This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

**Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

**About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

**Zasady użytkowania**

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

**Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

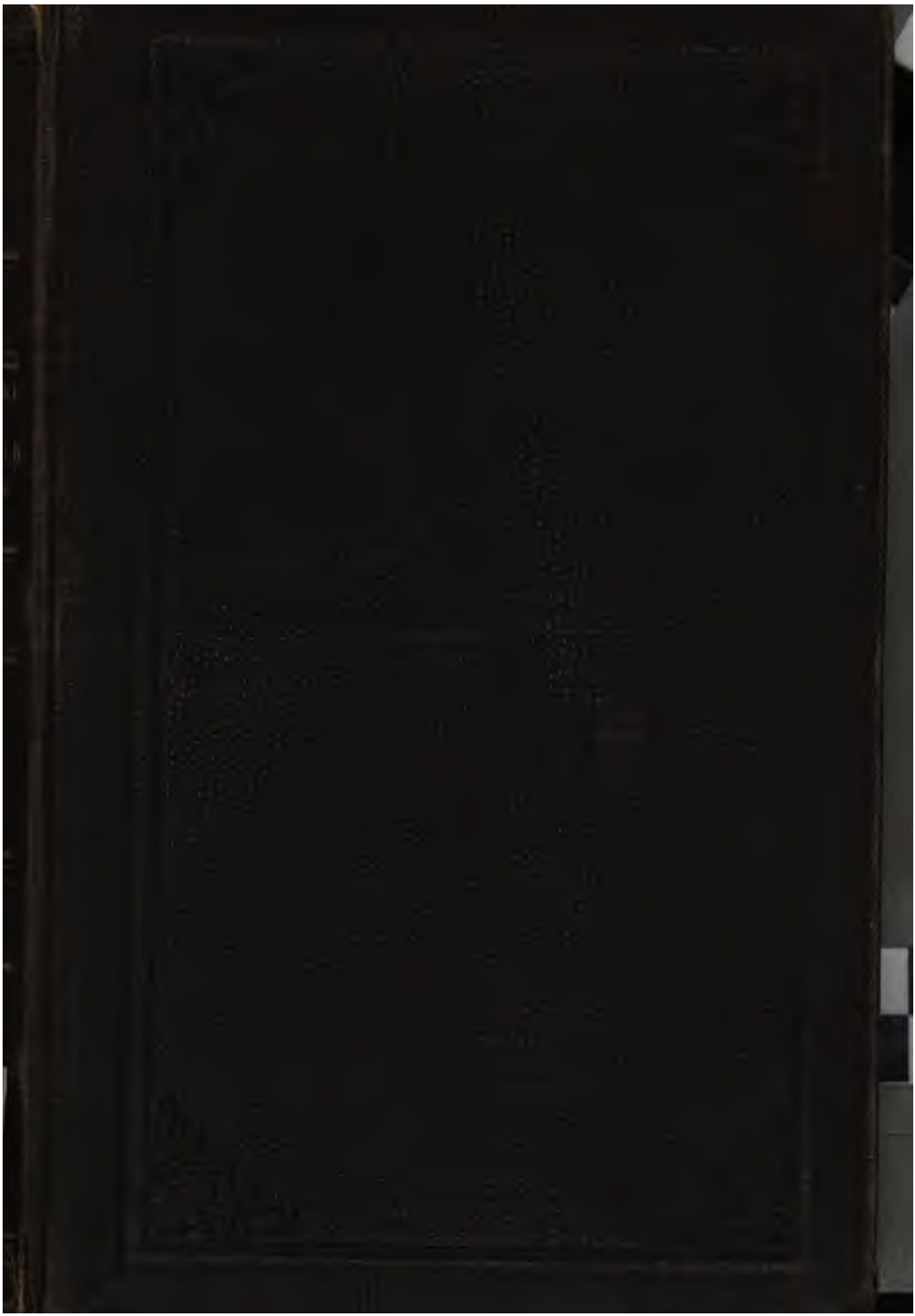

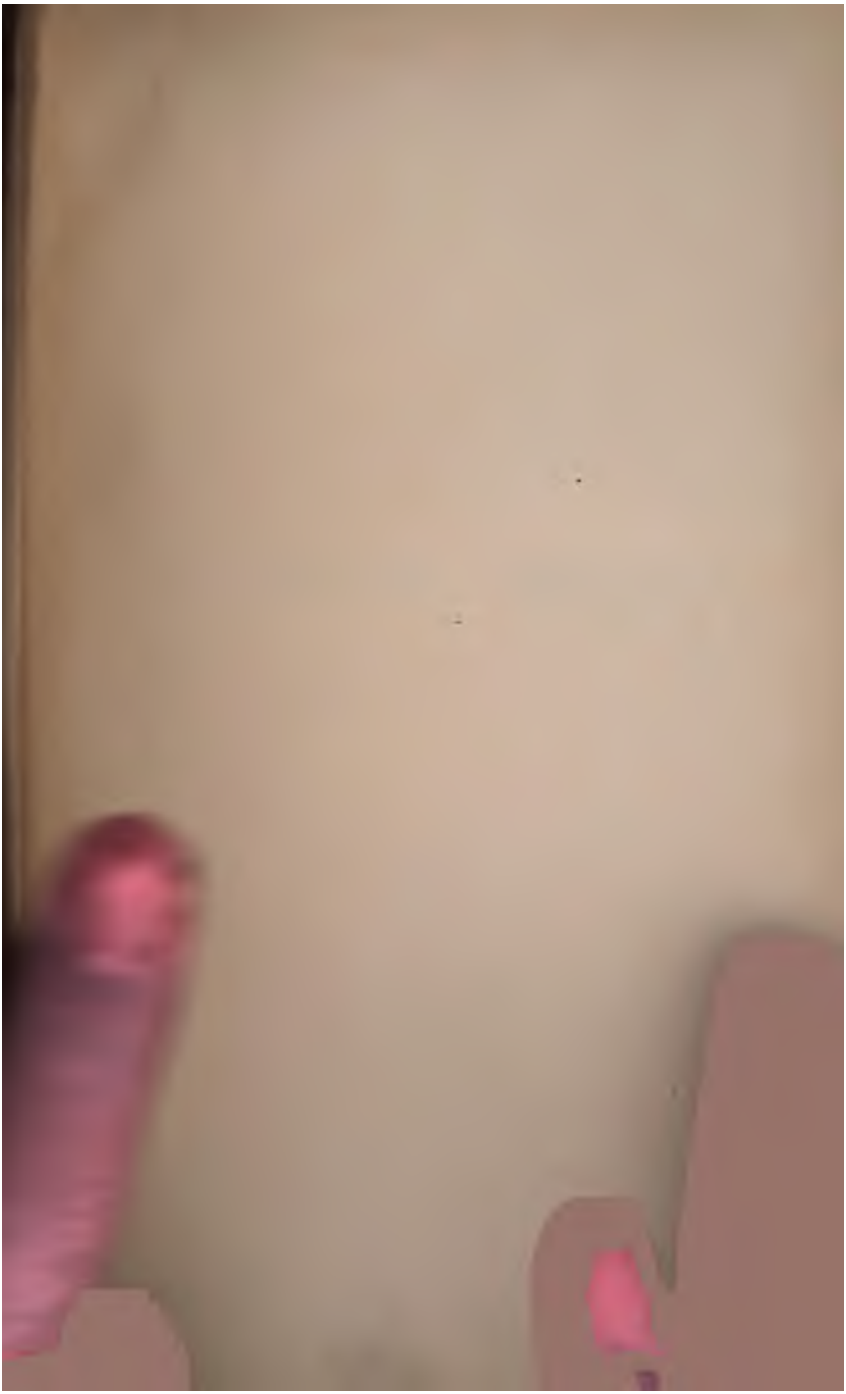

# Z DOŚWIADCZEŃ I ROZMYŚLAŃ.

ST. TARNOWSKI.

# Z DOŚWIADCZEŃ I ROZMYŚLAŃ.

WYDANIE DRUGIE.

**Cena 50 centów**

**na rzecz restauracyi Kościoła Katedralnego na Wawelu.**

W KRAKOWIE,
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1891.

DK434.9
T323
1891

W KRAKOWIE, W DRUKARNI „CZASU“ FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem J. Łakocińskiego.
Nakładem Autora.

# WSTĘP.

Książka niniejsza pisana była na zakończenie dwudziestu pięciu lat życia *Przeglądu Polskiego*. Życie to wypadło na czasy w dziejach świata i Polski, zwrotne, ponure, groźne. Czy kiedyś historya powié, że w tych latach począł się już na dobre i objawił upadek i rozkład tych sił i pierwiastków, tych pojęć i zasad, które przez wieki były życiem Europy, treścią jej duszy i jej cywilizacyi — lub też czy powié, że w tych latach z pod gruzów dawnej, dobywać się zaczęły na wierzch pierwiastki nowej epoki, niewyraźne jeszcze, niekształtne, potworne nieraz, ale zdolne ukształcenia, bo pełne istotnej i żywotnej treści? Jakakolwiek będzie odpowiedź na to pytanie, jedno zdaje się pewnem, to, że ten schyłek XIX wieku będzie w dziejach Europy jednym z okresów najważniejszych, stanowczych, granicznych. Francya pobita, Austrya w przekształceniu, i w położeniu które za główną regułę woli i postępowania nakłada ostrożność; środek ciężkości spraw przeniesiony z zachodu na północ, do Berlina, od ludów romańskiej krwi i cywilizacyi a katolickiego wychowania, do ludów germańskiej i protestanckiej (lub racyonalistycznej) świadomości siebie i dążności. Władza

świecka Papieża, rękojmia i podstawa jego niepodległości, odwieczna forma, w której występował i działał w historyi Kościół, obalona. Zjednoczenie Włoch poczęte w miłości ojczyzny, dokonane i utrzymywane w nienawiści Chrześciaństwa i Kościoła.... kiedy było w historyi tyle naraz faktów zmieniających postać świata i warunki jego życia, a wstrząsających samą jego podstawą i istotą? A to wszystko, to połowa ledwo pierwiastków przemiany. Po za całym tym światem zachodnim i germańskim jest Rosya; przez nasze polskie błędy, przez klęski Austryi i Francyi wyzwolona ze wszystkich względów obawy czy wstydu, w świadomości swojej potęgi dochodząca do namiętności i fanatyzmu, w dążności zaborczej dochodząca do otwartości zupełnej, i na zjednoczenie Włoch, na zjednoczenie Niemiec odpowiadająca swoją m i s s y ą religijnego i plemiennego zjednoczenia Słowiańszczyzny. Ta missya, to zagłada zachodniej katolickiej cywilizacyi, to odwieczna wojna sił wschodnich z zachodniemi, tasama (w zmienionych formach i ludach), którą Europa wygrała pod Maratonem i Salaminą, pod Lepantem i pod Wiedniem, a która wraca groźniejsza, bo zbrojna we wszystkie dyplomatyczne, ekonomiczne i wojenne sztuki i przybory naszego wieku, a osłoniona pozorami nietylko europejskiej cywilizacyi, ale nawet Chrześciaństwa. Nic to, że krew zepsuta objawi się wrzodem nihilizmu: odważna i wytrzymała Rosya krwawych operacyj się nie boi, wrzód wycina, i idzie dalej, jak żeby ją nic nie bolało, coraz silniej zjednoczona w swojej narodowej żądzy i w swoim carze. Słowiańszczyzna, niedoświadczona jeszcze i lekkomyślna, lgnie na ten lep plemiennej jedności; a Francya (choć rozumna i doświadczona)

błagalne ręce wyciąga, prosząc o łaskę i o przymierze, w którego węzłach mają niby udusić się Prusy.

I nowe Cesarstwo niemieckie, niepewne przyszłości, szuka zabezpieczenia w połączeniu wszystkich sił zdolnych i chętnych do obrony, szuka go w armiach tak wielkich, że to nie wojska już, ale zbrojne narody. Jak te miliony w pole wyprowadzić, jak je opatrzyć i wyżywić, jak niemi na polu bitwy obracać, nikt nie wie; a tymczasem dla zażegnania niebezpieczeństwa, dla utrzymania przeciwnika w strachu, z rokiem każdym rosną te armie, mnożą się wynalazki i nowe uzbrojenia, rosną i mnożą się wydatki, których żadne społeczeństwo długo wytrzymać nie zdoła, które użyte inaczej, mogłyby użyźnić świat pod błogosławiony plon dobrobytu, oświaty i szlachetnego chrześciańskiego obyczaju. W obawie i bezwładności powszechnej, tym kosztem utrzymuje się pokój, i na prawdę dla utrzymania pokoju ponosi się te koszta. Ale ten pokój niezależny od żadnej woli, od żadnego rozumu, trzyma się z dnia na dzień, na łasce pierwszego-lepszego nieprzewidzianego i nieobliczalnego przypadku.

Gdzie równowaga sił politycznych, gdzie podstawa zasad i praw jest zniszczona, tam to co jest i być chce, musi takiemi środkami swój byt zabezpieczać. Ale te środki, na jak długo wystarczą? a ten stan rzeczy czy nie jest wyrokiem potępienia, jaki wiek nasz na schyłku swoim wydaje na siebie i swoją cywilizacyę? czy nie jest wyznaniem, że on zaprzeczył wszystkiemu w co wierzył, a nie zrobił nic z tego, co w początkach swoich miał za swoje zadanie i obowiązek, za swoje w historyi przeznaczenie?

Pod tym stanem politycznym dopiero stan społeczny brzemienny zarodami przyszłych wypadków,

które mogą wybuchnąć jak wulkan, a rozlać się jak lawa, którędy i dokąd? nikt nie wié, ani przewidzieć może; siłom fizycznym, elementarnym, nie przepisuje się kierunku. Kommuna Paryzka z roku 1871, i rosyjski nihilizm, to objawy gwałtowne; szerzące się po całej Europie zmowy i berobocia, związki i programy robotników, to objawy dotąd łagodne tej siły nowej, która występuje na widownią świata. Mówiono to nieraz, że cywilizacya wieku XX wyjdzie z połączenia jedynych dwóch pierwiastków i zasad, które w wieku XIX nie straciły ani żywotności, ani wiary w siebie, ani wiary u ludzi — katolicyzmu i socyalizmu. Tylko, pomiędzy nami, a tym obiecywanym rezultatem dzisiejszych sił i prądów, leżeć może fakt, do którego popchnie natura ludzka i ludzka namiętność, a którego ludzki rozum ani ludzka cnota odwrócić nie zdoła: rewolucya socyalna. A zanim przyjdzie do owego połączenia, zajść może inny, przejściowy ale epokowy (również przepowiadany) wypadek, wylew barbarzyństwa, jak na schyłku czasów rzymskich, barbarzyństwa nie walącego się od zewnątrz, ale buchającego z wewnątrz, które Kościół potem dopiero obejmie, wychowa, oświeci, jak to zrobił przed wiekami z wędrownemi i osiedlającemi się ludami. Ale cokolwiek będzie, dziś już jest to, że żywioł do niedawna jeszcze uważany za negacyę wszelkiego społecznego i prawnego bytu, dziś jest prawnie uznanym w społeczeństwie pierwiastkiem. Młody cesarz niemiecki robi mu miejsce, i ma nadzieję mechanicznemi środkami wyznaczyć mu uregulowane spokojne łożysko i takiż bieg. Leon XIII, ze swego najwyższego na świecie miejsca nazywa go także wielką sprawą przyszłości. Tylko wiedząc, że sprawy tej wagi

Bóg jeden dobrze prowadzić i rozwiązać może, on obu stronom poleca w duchu Bożym i wedle Bożych przykazań do tej sprawy się brać; a otoczony i słuchany przez katolickie stowarzyszenia robotnicze, może już dziś, zawczasu, zakłada pierwszy fundament pod równowagę i budowę przyszłych społecznych stosunków.

Dość, że wiek, który w pierwszej swojej połowie zdawał się mieć za zadanie i obowiązek sprawiedliwy chrześciański układ stosunków międzynarodowych, gdy tego zadania nie spełnił, tego ideału urzeczywistnić nie zdołał, znalazł się przed swoim końcem wobec trudniejszego zadania. A jak tamten ideał narodowy, dwojako pojmowany, miał dwie formy i dwie drogi, jednę rewolucyjną i anarchiczną, a drugą polityczną, organiczną, budującą — tak dziś w tej nowej kwestyi stojącej u wrót historyi, widoczny już jest podział na podstawie tychsamych różnych zasad i środków. Po jednej stronie socyalizm bezbożny, rewolucyjny, psujący człowieka, a rozwalający i rozkładający społeczeństwo; po drugiej myśl, wola, i moc kształcenia, podnoszenia, zbawienia człowieka, harmonijnego układu i rozwoju, trwałego i prostego budowania społeczeństwa. Ten pierwszy obóz może mieć swoją chwilę wściekłego tryumfu, ale naprawdę i na długo zwyciężyć może tylko drugi.

Wielkie wynalazki wieku zmieniły nietylko ekonomiczne warunki, w jakich żył dawniej świat europejski, ale wpływają już dość widocznie na obyczaj i naturę ludów. Zbliżają się do siebie kraje i całe części świata: amerykańskie, indyjskie, australskie zboża szukają zbytu w europejskich portach i targach, a produkcyi europejskiej grozi trudna do wytrzymania kon-

kurencya taniości; Europejczyk ubogi rzuca dom, rodzinę, ziemię i idzie tłumnie próbować szczęścia za morzami; drogą dzienników i telegrafu myśl wszelka obiega w mgnieniu oka kulę ziemską, i utkwi, zostanie nieraz w umyśle milionów. W zdumienie wprawia nas zmiana, jaką przed czterema wiekami wywołał w losach ludzkości jeden wynalazek druku: zmiana ta, logicznie wnosząc, może okazać się małą w porównaniu z tą, jaką przynieść jest zdolna ogromna suma wynalazków naszego wieku. A jak wtedy zmiana dosięgła aż samej głębi sumienia ludzkiego, tak ta dzisiejsza może mieć następstwa głębsze. Dwojakie pojmowanie chrześciaństwa wywołało skutki, które dziś jeszcze czujemy i ponosimy. Teraz nie o różnice w łonie chrześcijaństwa chodzi, ale o Chrześciaństwo samo. Wtedy nikt nie przeczył ani Boskiego objawienia, ani odpowiedzialności człowieka i nieśmiertelności jego duszy. Dziś jest inaczej: a jacy będą ludzie, jakie społeczeństwa, jeżeli się w tych przeczeniach wychowają?

Przed stu laty, kiedy wiek XVIII kończył się rewolucyą francuską i rozbiorem Polski, był to powód i początek zmian i przewrotów dzisiejszych, ale zmiana nie była tak powszechną; a tego nie wiedział i nie czuł współcześnie nikt, że skutki tych zmian będą tak głębokie. Lawina zdarzeń tymczasem toczyła się swoim niepowstrzymanym pędem; każda przyczyna zła brzemienna była całem pokoleniem złych następstw, które znowu rozradzały się w nieskończoność, aż wreszcie u schyłku wieku możnaby powiedzieć z poetą: „Już się ma pod koniec starożytnemu światu.“ Coś się z tego chaosu sformuje, i da Bóg, coś lepszego od tego co było, ale przebyć ten stan chaosu, strasznem jest dla

ludzi, dla narodów i państw, które w nim żyć muszą, a nie mogą ani wiedzieć, jak i kiedy on się skończy, ani losami swojemi podług swojej myśli i woli kierować. Wieki będą przechodzić, a historycy będą znajdowali zawsze w tych latach dwudziestu pięciu przedmiot do głębokiego badania, do nauczającego i przejmującego opowiadania.

Wobec tego nawału i tego ogromu zdarzeń, choćby tych tylko, co zaszły u nas w Polsce, byłoby zuchwałością zrywać się na historyczny, choćby najpobieżniejszy rys tej świeżo ubiegłej przeszłości. Ale zamiarem naszym jest przejść po kolei niektóre przynajmniej kierunki i objawy polskiego życia, w tych latach i w chwili dzisiejszej. Co Polska przez te lata przebyła, opowiadać nie myślimy. To co ona przez wieki zrobiła, to pomknięcie wiary i cywilizacyi o dwieście mil na wschód, to przez ten okres czasu Rosya odrabia; jej fala wdziera się na zachód i chce te dwieście mil zalać. Ze sposobów, jakiemi to robi, prowadzi się rachunek podwójny: jeden u szatana, który je zapisuje na swoje *habet*, drugi u Boga, który zapisuje na *debet* tych ludzi i tego narodu. My nie liczymy, bo nie spisać chcemy co robili drudzy, ale co w nas i u nas zostało i jest: co się zepsuło, a co naprawiło i poszło w górę. Sądzimy, że takie rozmyślanie może się przydać, a chcemy je zrobić uczciwie i sumiennie.

# NASZE POŁOŻENIE POLITYCZNE.

# STANOWISKO W EUROPIE.

Lat temu dwadzieścia pięć, wypadki polskie były świeżo skończone, a skutki ich zaczynały się objawiać u nas i w Europie. Lata to rządów Milutyna w Petersburgu, ks. Czerkaskiego w Warszawie, Murawiewa w Wilnie, Bezaka w Kijowie; początki i pierwsze kroki tego sposobu rządzenia, który odtąd wzmagał się i wzmaga bez zmiany ni przerwy. W Europie wojna Prus z Austryą, skutek w dziejach powszechnych tej miejscowej polskiej przyczyny, nie pierwszy (bo takim była wojna duńska), ale pierwszy tak wielki, zmieniający widocznie i na długo całą dawną równowagę sił w Europie.

Ten rok 1863 w naszej historyi tak stanowczy i ważny, ale przez innych prócz nas i Rosyi dziś zapomniany, z czasem wystąpi może naprzód w pamięci ludzkiej i w historyografii, i oznaczać będzie punkt zwrotny w losach i dziejach naszej części świata. Związek jego z następnemi europejskiemi wypadkami, sposób, w jaki polityka pruska użyć go do swoich celów umiała, wpływ, jaki on wywarł na przymierze przeciw Danii, a następnie na wojnę Prus z Austryą, wykazał jasno i niezbicie Klaczko w napisanych rychło potem

*Deux Etudes de Diplomatie Contemporaine.* Nie dowodzimy tu tego, co dawno już dowiedziono; w goryczy serca tylko rzucamy nawiasową uwagę, że zawiniliśmy ciężko przeciw Europie całej, kiedy staliśmy się mimowolnym ale niezaprzeczonym powodem, przynajmniej ułatwieniem i zręcznością do Sadowy, a w dalszem następstwie do Sedanu.

Dla nas, nie już w naszym stanie wewnętrznym, ale w naszem stanowisku międzynarodowem, europejskiem, zaszła podówczas wielka zmiana. Od wojen Napoleońskich aż po ów rok, to jest przez pół wieku, stała w Europie sprawa polska, jako jedna ze spraw żywotnych, domagających się rozwiązania. Cesarz Mikołaj mógł po roku 1831 utrzymywać, że warunki wiedeńskiego traktatu przestały go obowiązywać; gabinety mogły uprzejmie udawać, że uważają sprawę za niebyłą — niemniej ona stała i trwała, uznawana przez sumienie ludzkie za dobrą i mającą prawo do bytu; a same powtarzane zaprzeczenia, wychodziły na jej faktyczne uznanie, dowodziły, że ona jest i stwierdzały jej powszechny międzynarodowy charakter.

To stanowisko straciliśmy zupełnie: dziś go nie mamy. Świat zachodni, kiedy nie mógł rozwiązać sprawy ze wszystkich najtrudniejszej, i sprawy, która na nieszczęście sama rozwiązanie swoje utrudniała, rad był uspokoić czy otumanić swoje sumienie uwagą, że ona stracona na zawsze, pogodził się z tym *dokonanym faktem* i zapomniał. Dziś, jeżeli o nas czasem przypomną sobie i myślą, to jedni na to, by nam złorzeczyć jako niepotrzebnej zawadzie na drodze postępów i tryumfów Rosyi, drudzy na to, by nas uważać za niedobitki jakiejś przestarzałej i zarzuconej formy rewo-

lucyi; inni wreszcie na to, by ruszyć ramionami i uważać nas za coś, co było ale nie jest, za polityczne cywilizacyjne i ekonomiczne *nic*. Nasz wielki nieprzyjaciel, książę Bismarck, uważał nas za rodzaj nie groźnych, ale bardzo nudnych lunatyków, których *künstliches Traumleben* drażniło jego nerwy i wywoływało gniew. Ci są bardzo w świecie nieliczni, a zupełnie milczący i pozbawieni posłuchu czy wpływu, którzy myślą o nas, jak myślano przed laty, szanują i cenią, jak chrześciański człowiek szanować i cenić powinien.

Ale to nasze stanowisko w świecie dziś tak bolesne i upokarzające, nie jest tylko skutkiem faktów, ani zmienionych politycznych stosunków i interesów; ono jest także oznaką dokonanej zmiany w pojęciach i dążnościach, w samej głębi moralnej i politycznej świadomości europejskich społeczeństw.

Przez większą połowę swego życia, wiek XIX miał to o sobie przekonanie, że jego zadaniem i obowiązkiem, jego w historyi powołaniem i przeznaczeniem, było oprzeć stosunki między narodami i międzynarodowe prawo, na zasadach sprawiedliwości i wolności. Rewolucya francuska pojmowała prawa człowieka w niejednem mylnie, a doszła do zaprzeczenia i pogwałcenia wszystkich praw ludzkich — o Boskich już nie mówiąc — ale nie mniej człowiek po niej swoje prawa miał. Czyż one tylko człowiekowi się należą? Czy narody nie mają także prawa do swojej woli, do swojej własności, do swego jestestwa? Czy ludzkość ma poprzestać na tem co zrobiła i oddawszy człowiekowi, co mu się należało, pozwolić na to, by dla narodów nie było prawa, tylko gwałt, przemoc i niewola? Takiem uczuciem tchnęły szlachetne serca i wyższe umysły

w pierwszej połowie naszego wieku. W każdem sercu i w każdym umyśle przyjmowało ono kształt i kierunek inny: u Mazziniego stało się bezsumiennym rewolucyjnym macchiavelizmem środków, służyć mających do idealnie wzniosłego celu. U Krasińskiego stało się prośbą o *dobrą wolę* i wiarą, że „nie drugich śmiercią, lecz własną bezpłodnie — kończą na ziemi wszystkie ziemi zbrodnie". U Mickiewicza, u Lammenais'go stało się gorzkiem zniechęceniem do Kościoła za to, że tego cudu nie sprawił i szukaniem jakiegoś kościoła nowego. Rewolucyonista francuski, włoski (czasem niestety i polski), chciał iść do tego celu przez przeczenie Boga i wojnę z Kościołem; Montalembert i Lacordaire wiedzieli, że tylko drogą Kościoła do tego celu dojść można; ale punkt wyjścia był u wszystkich tensam. W taki cel miał wzrok utkwiony Pius IX w początkach swego panowania, i w taki jeszcze na jego końcu, kiedy wśród walącego się politycznego, a rozpadającego moralnego świata, wśród świata, w którem na teraz już żaden chrześcijański ideał urzeczywistnionym być nie mógł, ratował go na przyszłość, gotował mu grunt i fundament w ludzkich sumieniach, a zarazem drogę do urzeczywistnienia zapewniał, kiedy na Watykańskim soborze utwierdzał jedyną w świecie jedność niezachwianą, jedyną podstawę i nadzieję sprawiedliwości na przyszłość, jedyną prawdę i drogę, jedyny w powszechnem trzęsieniu ziemi stały środkowy punkt ciężkości dla dusz ludzkich i dla cywilizacyi ludzkiego rodu.

To pragnienie sprawiedliwości i prawa, dawało początek wielu także wypadkom naszego wieku. Z niego wypływały i tajne sprzysiężenia włoskie i otwarte powstania polskie. Ono przyczyniło się do obrony i uzna-

nia niepodległości greckiej i belgijskiej; ono później do wyzwolenia Multan i Wołoszczyzny z pod tureckiego lennictwa. Panowanie Napoleona III odbywa się całe w dążeniu do tego ideału, i w jego skrzywieniu; a najlepszym wyrazem dążenia jak skrzywienia, jest narodowa niepodległość Włoch, dokonana rewolucyjnie, bez poprzedniego obmyślenia jak zabezpieczyć Włochy same, Francyę, a przedewszystkiem Chrześciaństwo od niebezpieczeństw, jakie ma w sobie zawsze każde wykonanie celu dobrego z pomocą złych środków i ludzi.

Nietkniętą, nierozwiązaną zostawała zawsze sprawa jedna, najtrudniejsza: ta, która była właśnie najdoskonalszym wyrazem sprzeczności między chrześciańskiem sumieniem i chrześciańską cywilizacyą, a stanem faktycznym Europy. Ta wzięła się źle sama do swojego rozwiązania — i upadła.

Z upadkiem tej sprawy, przestała i owa dążność objawiać się i odzywać w Europie — zaczęła znikać, wychodzić ze świadomości ludzi i ludów. Dziś nikt nie mówi o tem, że stosunki polityczne powinny opierać się na słuszności i na prawach; nikt nie pyta i nie rozróżnia, która sprawa jest dobra a która zła, kto ma za sobą słuszne prawo, a kto je gwałci. Świat nazywa *walkę o byt* swoim stanem przyrodzonym, normalnym, prawnym; patrzy tylko na fakt, znak i skutek siły, i temu przyznaje słuszność. Rzecz to naturalna, a przyczyny jej tkwią w samej głębi naszego historycznego i cywilizacyjnego stanu, w tej walce dwóch sprzecznych pojęć i zasad, która od wieków toczy się przez cały ciąg naszych dziejów.

Podług jednej, początkiem spraw ludzkich i ich sędzią jest Bóg; ich przeznaczeniem, do Niego dążyć

przez coraz lepsze urzeczywistnianie Jego woli. Jego objawienie jest źródłem wiary, Jego przykazanie regułą postępowania dla ludzi, jak dla społeczeństw. Podług zasady drugiej, środkiem ciężkości świata jest człowiek. On ma sądzić i stanowić co jest dobre a co złe; jego rozum jest najdoskonalszą miarą, jego wola jest najwyższem prawem. Złe było na świecie zawsze, ze swojem niezliczonem potomstwem występków i nieszczęść; ale były wieki całe, które tej walki zasadniczej nie znały, które miały jedność sumienia, wspólną jednę świadomość złego i dobrego, na wierze i przykazaniach opartą. Wskrzeszone pojęcia starożytne przygotowały i ułatwiły w tej mierze zmianę, którą wprowadziła i dokonała Reformacya. W niej rozum ludzki przypisał sobie prawo i moc sądzenia i stanowienia o wierze; wyrzucał z niej co mu się nie podobało, zostawiał co się z jego opinią godziło. Reformacya nie myślała, ani chciała objawieniu przeczyć, owszem, była w ogromnej większości swoich zwolenników szczerze i nawet fanatycznie religijną; mniemała (u bardzo wielu) w dobrej wierze przywrócić pierwotną prostotę i czystość chrześcijańskiego obyczaju. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że stawia rozum ludzki jako najwyższy trybunał w rzeczach Boskich: niemniej zrobiła to, a przez to zrobiła człowieka sędzią, panem, środkiem ciężkości świata. Logicznie już musiały z niej wyniknąć konieczne dalsze następstwa. Jeżeli rozum ludzki ma prawo sądzić i orzekać, co w prawdzie Bożej jest prawdą, a co nią nie jest, to oczywiście rozum każdego człowieka tak dobrze, jak rozum Lutra albo Kalwina. Ale w takim razie jedność nauki, jedność wyznania będzie niemożebną: może bowiem powstać tyle nauk i wyznań, ile jest

różnych zdań i rozumów ludzkich. A przecież jakaś jedność jest potrzebna, a jedności niema bez zwierzchności. Tej potrzebując koniecznie dla swojej organizacyi, dla swego bytu, oddał ją protestantyzm wyłącznie albo przeważnie w ręce tych, którzy mieli moc fizyczną: połączył władzę duchowną z władzą świecką. Przez odrzucenie pewnych dogmatów i własnowolne określenie nauki chrześciańskiej, Reformacya zrobiła rozum ludzki sędzią i zwierzchnikiem prawd Bożych, zrobiła go najwyższą na świecie instancyą; przez połączenie władzy duchownej ze świecką, zrobiła znowu rząd świecki, rządzcę, państwo, najwyższą w świecie, zupełną, jedyną władzą. Zatem poszło, że jak w rzeczach wiary i moralności rozum ludzki, tak w rzeczach politycznych państwo było najwyższą miarą i najwyższą zasadą, jego interes najwyższem prawem. A że państwo jest z ludzi złożone, i w ręku, w woli, w osobie jednego najczęściej człowieka skupione i wyobrażone, więc w sprawach świeckich i politycznych, jak w religijnych, środek ciężkości świata przeniósł się na człowieka.

Absolutne monarchie XVII i XVIII wieku, *racya stanu*, jako najwyższa zasada i najwyższe prawo, racya stanu, która wszystko uniewinnia, wszystko popełnić pozwala, były naturalnym i nieuniknionym skutkiem tego wyniesienia ludzkiego rozumu i ludzkiej woli na miejsce, które im się nie należało: a teorya szła równym krokiem z praktyką, rozumowanie z działaniem, filozofia z polityką. Hobbes mówi, że niema ani dobrego, ani złego, ani sprawiedliwości ani nieprawości, ani *mojego* ani *twego;* wszystko to wymysły tylko i układy, a prawdziwym, naturalnym stanem ludzkości jest wojna wszystkich przeciw wszystkim. Tę żeby powstrzymać, po-

trzebne jest państwo. Ono jest jedyną wolą i jedynem prawem; ono ma orzekać i stanowić co jest dobrem a co złem, godziwem a niedozwolonem; ono pozwala lub zabrania myśleć w pewien sposób; ono może z własnością ludzi robić co mu się podoba. Nieprawda, iżby człowiek miał prawo w swojem sumieniu sądzić co złe a co dobre, iżby miał prawo swojego sumienia słuchać i do niego swoje postępki stosować; nieprawda, iżby wiara i cnota otrzymywały się od Boga przez łaskę, od człowieka samego przez wolę; one się zdobywają przez naukę i ćwiczenie, od państwa. Buntem jest utrzymywać, że ktokolwiek ma prawo do swojej własności — prawo to do własności każdego, ma tylko państwo. Bóg jest, ale państwo jedno, ma prawo orzekać i stanowić co poddani mają o Nim myśleć i jak w Niego wierzyć. Praw przyrodzonych niema wcale; wszystkie prawa faktyczne pochodzą od państwa, które może je zmieniać, znosić, odwoływać. Państwo może robić wszystko, na co tylko jego siła wystarcza.

Spinoza nie jest absolutystą jak Hobbes, jest raczej wolnomyślny i republikanin; ale u niego taksamo „prawo rozciąga się tak daleko, jak daleko sięga siła. Wielka ryba z mocy swego przyrodzonego prawa zjada małą“ — człowiek jest także w swojem prawie, kiedy idzie za swoim instynktem i żądzą, i robi to, do czego one go pchają. To, co my nazywamy złem, takiem nam się wydaje, ale nie jest takiem samo w sobie, ani dla człowieka który je popełnia. Stan naturalny człowieka jest zatem znowu stanem nieustającej wojny. Dlatego potrzebny jest stan społeczny, w którym człowiek swoje prawa przelewa na państwo. Jak zaś jego prawo w stanie natury było nieograniczonem, tak nieograniczonem

jest w stanie społecznym prawo państwa. Granicą jego praw jest jego możność. Państwo ma prawo robić z poddanymi co mu się podoba, nawet skazywać ich na śmierć dla najbłachszej przyczyny; tylko państwo rozumne, robić tego nie będzie.

Zmiarkować łatwo, do czego dojść musiały pokolenia (zwłaszcza pokolenia panujących), chowane w takich pojęciach i zasadach. Absolutyzm Ludwika XIV, jak przewrotność i zbrodniczość polityków XVIII wieku, Fryderyka i Katarzyny, zawarte są w tych naukach filozoficznych, jak przyszłe drzewo w ziarnie. „Niema ani złego ani dobrego, ani godziwości, ani nieprawości. Państwo samo, racya stanu, przezemnie panującego w pewien sposób pojęta, sama jedna stanowi o tem, co złe a co dobre. Przyrodzonem prawem jest tylko żądza, granicą prawa możność zaspokojenia tej żądzy, a naturalnym stanem człowieka walka o byt, „pożeranie małej ryby przez wielką.“ Sumienie, honor, słowo i wiara traktatów, wstyd wreszcie, wszystko jest zaprzeczone, zatarte, zgładzone. Tego wszystkiego niema — jest tylko *prawo* pozwolenia sobie na wszystko, co nasza *siła* wykonać jest zdolna. Owszem więcej, bo jest obowiązek, zasługa, chwała i wielkość, w imię *racyi stanu* siłę swoją wywierać jak się tylko da najbardziej.“ Encyklopedyści francuscy z całym swoim liberalizmem, ze swoją demokracyą, nie przeszkadzali postępowi takich pojęć; owszem pomagali mu, bo przez materyalizm, przez negacyę duszy, utwierdzali tylko naukę, że niema ani złego, ani dobrego, ani odpowiedzialności. Ta filozofia pozwala wniknąć w myśl i w sumienie, raczej w tę dziwną nieobecność sumienia, jaką widzimy u Fryderyka i u Katarzyny, i u ich następ-

ców. Pojęcie prawa Boskiego, czy ludzkiego, nie istnieje u nich; znają tylko swoją żądzę, którą nazywają swojem prawem. A jak upadek i negacya wszelkiego prawa narodów, tak i wszelki do dziś dnia ucisk religijny opiera się na tejsamej filozoficznej podstawie, na temsamem znicestwieniu sumienia: „Bóg jest, ale państwo samo tylko ma prawo orzekać, co ludzie mają o Nim myśleć i jak w Niego wierzyć.“ Takiego państwa skutkiem naturalnym była rewolucya. A wychowana na tychsamych pojęciach i zasadach, była inną tylko formą tego samego ducha. Dla niej także najwyższem prawem była *racya stanu*, z tą różnicą, że dawne despotyczne państwo mieściło tę racyę stanu w głowie, w ręku, i w interesie panującego, rewolucya zaś mieści ją niby w interesie ludu, a naprawdę w głowie i w ręku tych, co lud tumanią i prowadzą. Ludwik XIV mówił: *l'Etat c'est moi* — Robespierre, a po nim wszyscy przywódzcy wszystkich rewolucyj, nie mówią wprawdzie głośno *lud to ja*, ale myślą to i podług tego działają.

Po rewolucyi francuskiej, pod wpływem wielkich wypadków, wielkiej wiary w wolność i doskonalenie się ludzkiego rodu, i pod wpływem potężnie odradzającego się katolicyzmu, przycichły te idee filozoficzne i polityczne — ale nie ustały. Owszem, w swoim dalszym ciągu i rozwoju wyszły o jeden szczebel wyżej, sformułowały się jaśniej, praktyczniej, przystępniej dla ogółu; i znalazły też do ogółu (niemieckiego) przystęp a u niego wiarę, kiedy Hegel objawił, że sam Bóg rozlany w wszechświecie, skupia się i krystalizuje w państwie — w różnych po kolei państwach, a teraz przyszła kolej na pruskie. Ubóstwienie państwa, identyfikacya jego z bóstwem (któremu w praktyce pozwo-

lono zostać niby jakimś pierwiastkiem odrębnym w zborach i kazaniach, pod warunkiem, żeby pierwiastkiem samoistnym być sobie nie pozwalało), dokonało doreszty skrzywienia zmysłu moralnego w jednym narodzie naprzód, następnie w innych. Wszechmocność tego nowego bóstwa stała się *historyczną koniecznością*, zatem jego prawem, a pierwszym artykułem wiary i przykazaniem jego wiernych. Jemu wolno wszystko i dla niego wolno, owszem, należy się robić wszystko. Jak Spinoza był poprzednikiem Fryderyka, tak Hegel był poprzednikiem Bismarcka. A jak po wielkich filozofach XVII wieku nastąpiło mniejsze, ale liczne pokolenie encyklopedystów, toczących prawdę i duszę jak robaki drzewo, tak teraz (tylko rychlej) po wielkim, przyszli ci niezliczeni mali, którzy przez to właśnie że mali, do małych umysłów trafiali łatwo; materyaliści, jak Büchner, nauczający, że niema ani złego, ani dobrego, ani duszy, ani Boga; naturaliści (zkądinąd potężni), jak Darwin, którzy mądrzejszych prowadzili do tychsamych wniosków; filozofowie, jak Hartman (otoczony plejadą mniejszych), którzy uczyli, że prawa niema, a siła może i powinna robić wszystko co zdoła. Tylko ta jest dziś różnica, że kiedy nauki Hobbesa albo Spinozy działały na małą liczbę umysłów, a do społeczeństw jako takich nie przenikały i tych nie psuły, to dziś kiedy każdy czyta, i każdy mniema że łatwo napisaną książkę rozumié, a rzadko kto rozważyć ją i osądzić jest zdolny, dziś pojęcia tesame przesiąkają do samego szpiku kości społeczny organizm Europy i mogą go zepsuć tak, jak niegdyś doktryny Hobbesa i Spinozy psuły panujących i ich ministrów.

Jak zaś przez cały ten ciąg trzech wieków, chrze-

ściańskie, na Bożem prawie oparte pojęcie człowieka, społeczeństwa i prawa narodów, szło zawsze z tamtem równolegle i przeciw niemu się broniło — przez Bossueta i Leibnitza, przez Vicona i Fenelona, nawet poniekąd przez niechrześcian wcale, jak Kant: tak w pierwszej połowie naszego wieku, ono mimo wszystkiego było górą w świadomości i sumieniu ludzkiem, a dążyło do urzeczywistnienia się w praktyce, w to urzeczywistnienie wierzyło. Dziś przez tryumfy przeciwnej polityki, a rozpowszechnienie przeciwnej filozofii, widzimy, że świadomość prawa zaciera się w sumieniach ludzkich. Zaczynamy wierzyć coraz częściej, że prawem (choć może nie celem) ludzkości jest walka o byt, „wzajemne bestyi pożeranie się“ — i że zwierz mocniejszy nie robi nic złego, idzie tylko za prawem swojej natury, kiedy pożera słabszego. Wierzymy coraz częściej, że człowiek nie jest odpowiedzialny, a złego i dobrego niema; zatem ani się czemu dziwić, ani na co oburzać człowiek rozsądny nie będzie, bo wszystko jest w porządku rzeczy. Sprawy lub uczynki, które niezbyt dawno jeszcze przejmowały zgrozą i zdawały się wołać o pomstę do nieba, dziś wydają się naturalnym skutkiem naturalnych przyczyn. Młody Francuz kiedy się dowiaduje o rozbiorze Polski (a słucha o nim jak o żelaznym wilku), odpowiada zimno, że to rzecz bardzo prosta: byli słabsi, więc byli zabrani. Kiedy mu mówić o prześladowaniach religijnych, o wygnaniach, konfiskatach, sybirskich minach, mężach odrywanych od żon a dzieciach od ojców, odpowiada flegmatycznie, że Rosya potrzebuje tego dla swojego bezpieczeństwa. Czuła Niemka płacze kiedy słyszy, że trzydzieści tysięcy ludzi wypędzają z Wielkopolski bez winy i śledz-

twa, ale pociesza się uwagą, że *es ist eine historische Nothwendigkeit*. Co więcej, co straszniej, pomiędzy nami samymi zdarza się słyszeć takich, którzy mówią, lepsi: „Oni ze swego stanowiska robić tak muszą“ — gorsi, nie widzą powodu żeby to brać za złe, lub mieć o to żal jaki.

Postawienie człowieka środkiem ciężkości świata, źródłem wszelkiego prawa, najwyższym sędzią złego i dobrego, do tego nas prowadzi i tem się kończy! Rozbiło niegdyś religijną jedność Europy, potem stoczyło społeczny ład i organiczną jedność narodów; dziś rozkłada sumienie, rozróżnienie złego i dobrego: odpowiedzialność człowieka w życiu prywatnem, prawo narodów w życiu publicznem.

Z tą zaś świadomością równocześnie znikać zaczyna inna, która od początku świata we wszystkich krajach i wiekach uchodziła za cnotę i honor, która wydała bohaterów największych i najpiękniejsze karty historyi — świadomość ojczyzny. Wprawdzie Francuz zgrzyta zębami i pięść zaciska, kiedy wspomni o Alzacyi, a marzy o dniu odwetu; Włoch i Niemiec pyszni się wielkością odrodzonej ojczyzny; Polak rad o niej słucha i mówi, i myśli w dobrej wierze, że ją temsamem już kocha, a Rosyanin gotuje się naprawdę swojej rzucić świat pod nogi — ale w tych żywiołach nowych, które coraz liczniej, coraz silniej dobywają się na powierzchnię ziemi i dziejów, tej świadomości nie znać. Nie z miłości ojczyzny podnosiła paryska kommuna wojnę domową wobec nieprzyjaciela, stojącego prawie jeszcze pod murami miasta. Nie z miłości ojczyzny zabija nihilista rosyjski Aleksandra II, a zamierza się na Trzeciego. Nie o wielkości Niemiec ra-

dzą socyaliści na swoich zebraniach. Nie o Polsce myślą ci agenci, co u nas burzyć próbują czy włościan, czy robotników, czy uczniów. W miejsce dawnego narodowego, występuje nowy społeczny ideał: obiecuje wypoczynek, dobry byt, używanie; a sam demokratyczny prąd wieku i sama natura ludzka, wynoszą go tak w górę, że niebawem może stanąć nad wszystkimi. „Co mi tam biednemu do tego, kto w stolicy panuje, albo czy mój kraj wolny i potężny: bylem miał w domu ciepło i wygodnie, za domem życie znośne, o więcej nie stoję!“ Rzecz tak ludzka, że dziwić się jej nie można; ideał tak ponętny, że każdy upośledzony lgnąć do niego musi, tak sam w sobie dobry i pożądany, że natury dobre, rwą się do niego łatwo, nie myśląc o przepaści nieszczęść, jaka między ideałem a rzeczywistością leżeć musi. Nienawiści narodowe tam słabną, wzmagają się społeczne; za brata można mieć i wroga ojczyzny, jej dobroczyńcę za wroga. Wspólność, jak sprzeczność tych uczuć i dążeń, zaczyna się w tych warstwach opierać nie na podstawie wolności narodowej i jej wspólnem pragnieniu, ale na wspólności stanu, jego interesów i potrzeb.

Ta zmiana w usposobieniu, dająca się dostrzegać w całej Europie, a sięgająca aż do samej tej głębi uczuć i popędów, z której wychodzą dążności i zdarzenia, ten stan moralny świata, już same mogły nas pogrążyć głęboko — o ileż więcej stan polityczny!

# STOSUNEK DO ROSYI.

Temu stanowi sumień i pojęć, odpowiada doskonale przeważne stanowisko Rosyi i Prus w Europie; jest po części jego skutkiem, po części nowym dla niego impulsem. Wyrosły one na tej zasadzie, że państwo jest wszystkiem, i są najzupełniejszem w Europie urzeczywistnieniem takiego państwa, jak je opisał Hobbes. A jakżeby były czekały na dojrzałość tych pojęć, wtedy dopiero ze skromniejszych początków róść zaczęły do europejskiego znaczenia, kiedy ludzkość przesiąkła już do szpiku kości wpływami i skutkami Reformacyi, a dawne chrześciańskie pojęcie państwa, jego praw, obowiązków i celów, zostało w teoryi tylko; w sumieniach, umysłach, lub dziełach niektórych nielicznych ludzi.

Nie można nigdy zanadto przypominać mądrego słowa Staszyca, że odkąd w Europie zupełnie osiedlonej te dwa nowe państwa zaczęły bez przeszkody wzrastać, to jej równowaga dawna runąć musiała, bo one na to by się utrzymać tylko, cóż dopiero na to by znaczyć, musiały zabierać. Zabierały też tak dobrze, że dziś nie Francya jak niegdyś, nie dom Habsburski, ani Anglia, ma pierwszy głos w sprawach świata, ale one;

a potrzebaby tylko szczerego między niemi zbliżenia i porozumienia na to, by czy Francyę, czy Austryę, czy obie razem, zagrozić w ich bezpieczeństwie, może w samym ich bycie. Porozumienie takie zapewne możliwem nie jest: dwa mocarstwa tej siły, nigdy jeszcze długo w zgodzie i spokoju na świecie nie były — brak zaś porozumienia i skutki, jakie pociągnąłby za sobą zatarg, jest na dziś dla tych stron obu i dla wszystkich innych państw w Europie względem stanowczym, do którego się cała polityka stosuje, i jest może tym warunkiem, który dziś utrzymuje pokój w Europie. Ale to pewna, że pokój jak wojna, zatem przyszłe losy naszej części świata, są w ręku tych dwóch mocarstw. Każde z nich, jeżeli zechce, może każdej chwili zmienić stosunek sił, związki przymierzy, i dać hasło do wojny, gdyby ją za korzystną dla siebie, a porę za sposobną uważało.

Różnica między niemi jest ta, że Prusy już do swego celu doszły, a Rosya jeszcze do niego dąży. Jest zaś w fakcie i w stanie dążenia samym, siła wielka; cóż dopiero, kiedy dążącą, jest największa na świecie massa ludu na największej przestrzeni ziemi. Społeczeństwo zaspokojone w swoich pragnieniach, w swojej narodowej dumie, z prawa natury ludzkiej chce używać a w potrzebie bronić tego co już osiągnęło, ale po więcej nie sięga; chce zachować, chce utrwalić teraźniejszość która mu dogadza, ale o innej przyszłości nie marzy, do zuchwałych przedsięwzięć się nie zrywa, stopniowo i z czasem traci przedsiębiorczość i popęd do działania. Jego siła narodowa może być zawsze wielką, ale staje się mniej rozprężliwą i mniej namiętną. Społeczeństwo, które widzi przed sobą jakiś cel upra-

gniony i do niego dąży, które jeszcze pożąda i jeszcze zazdrości, ma we wszystkich namiętnościach duszy ludzkiej i zbiorowej duszy narodu popęd, który je pcha naprzód, którego ono opanować nie może, który jego siłę mnoży i podnosi. Takiej zaś narodowej namiętności i takiej żelaznej stateczności w dążeniu, jaką ma Rosya, może nie było w dziejach przykładu od czasu, jak osłabł i ustał wielki popęd Muzułmanów na zachód — a siła tego popędu, dodana do ogromu Rosyi, być może, że daje jej wyższość nad potężnem cesarstwem niemieckiem.

Kiedy Aleksander I wchodził do Paryża na czele wojsk sprzymierzonych, kiedy Mikołaj mógł się mieć za Jowisza, przeważającego swoją siłą wszystkich bogów i bożków Europy, śniło się Rosyi zapewne o takiem stanowisku jakie ma dziś, ale było jej do niego daleko. Z wyżyn środkowej Azyi zagląda do Indyj; przez cieśninę morską sąsiaduje z Ameryką; do Japonii wysyła krzewicieli swojej wiary; ze szczytów zgnębionego Kaukazu strzeże i Persyi i azyatyckiej Turcyi, a otwartemi równinami Polski sunie się nieznacznie, ale nieustannie do środka Europy. Na dwóch częściach świata wsparta, gotuje się do chwili, kiedy o losie obu będzie stanowiła. Na tej przestrzeni ma kilkadziesiąt milionów ludu jednej krwi, jednego języka, jednej natury, jednych uczuć, jednej wiary; a nad tym bezmiarem ziem i ludzi ma jednę głowę, jednę wolę, jednę władzę. Lepszych warunków siły chyba niema na świecie — a ta siła fizyczna ożywiona jest i prowadzona przebiegłością niezrównaną, miłością ojczyzny fanatyczną, i niezaprzeczoną cnotą poświęcenia i posłuszeństwa. Taką się widząc i czując, nie dziw, że Rosya

dumna z siebie, pyta, kto w Europie śmiałby bez jej zezwolenia spalić jeden nabój prochu, i powtarza na wszystkie tony wiersz któregoś ze swoich poetów: „Sięgnij, a wszystko co jest, będzie twojem.“ Za Piotra, za Katarzyny, jeszcze za Mikołaja, to poczucie się całego narodu w carze choć było, nie było takiem jak dziś; miłość i posłuch były więcej bierne; car myślał i chciał, naród miał tylko słuchać. Ale dziś dążności i plany przeszły w samą krew narodu; dziś jeżeli nie człowiek każdy, to każda grupa ludzi, każde pismo myśli, rozumuje, rozprawia osobno, a po rozumowaniach i rozprawach pokazuje się, że myśli i chce jak car. To nie jest posłuch bierny społeczeństwa, które instynktem czuje się w swoim carze i jemu ślepo poddaje — to jest świadomość jasna i zupełna tożsamości dążeń i celów, jedności organizmu i nierozdzielności głowy od tułowia; to jest świadoma siebie i dobrowolna zgodność, jedność, tożsamość woli. Byli za Mikołaja dekabryści, a później emigracyjni rewolucyoniści; byli za Aleksandra II i są za jego syna nihiliści — i udał im się jeden zamach na cara; ale ogół, czy ludu, czy wojska, czy kupców, czy bojarów, jednego chce — wielkości Rosyi i jej pierwszego w świecie stanowiska, przez prawosławie i samodzierżenie.

Zmysł i rozum polityczny tego społeczeństwa jest chyba jeszcze większy od jego siły.

Na czele tego ogromu człowiek, który czy rządzi sam jak chce, czy słucha instynktów swego ludu i za nim idzie? — wszystko jedno, bo w nim i w ludzie jest instynkt tensam, duch tensam, i tasama wola. Zdarza się czasem w Europie słyszeć, że Aleksander III jest człowiekiem i panującym bez wyższych zdolności.

Nam się wydaje, że on ma nietylko rozum, ale nawet pewien rodzaj wielkości. Rozumem jest to zawsze u panującego, jeżeli on umié być doskonałym wyrazem popędów swojego narodu, uczynić zadość jego uczuciu i miłości ojczyzny i dumy. Aleksander III może jest w swoich uczuciach jak w swoich pojęciach jednostronnym, przez to może Rosyi gotować szkody na przyszłość, ale wyraża i zaspokaja zupełnie jej narodową świadomość siebie; z niego i w nim ten naród czuje się dumnym. I znowu ani Aleksander w swoich zwycięztwach nad Napoleonem, ani Mikołaj w swojej Jowiszowej postawie i roli, nie dawali tej dumie satysfakcyi tak zupełnej i tak słodkiej, jak cesarz dzisiejszy. Tamci, choć trzęśli europejskim światem, nie czuli mu się równymi: uznawali w skrytości serca wyższość jego cywilizacyi, chcieli ją naśladować, zbliżać się do niej, dogonić ją. Ten w głębi swojego przekonania ma, a śmiało i otwarcie uznaje, Rosyę za wyższą i lepszą od wszystkich. Mikołaj nawet do Polaków nie mówił inaczej jak po francuzku; nie miał pretensyi, iżby człowiek zachodni umiał po rosyjsku. Mikołaj chciał, żeby jego wojsko, jego urzędnicy, jego dwór, jego państwo, w pozorach podobne były do Francyi, do Niemiec, do Anglii, do starych europejskich dworów i cywilizacyj. Aleksander III każe, żeby to co rosyjskie było nietylko równe temu co niemieckie albo francuzkie, ale żeby było lepsze. Innym językiem chyba do posłów zagranicznych przemawia; w zwyczajach, w ubiorze, w kroju mundurów, affektuje rosyjskie formy; na kolejach żelaznych nie znosi napisów innych jak rosyjskie: cudzoziemcy powinni znać jego abecadło! A jak w rzeczach zewnętrznych to co rosyjskie podoba mu się jedynie,

tak duch rosyjski jest w jego przekonaniu najwyższy. On wierzy naprawdę, że jego prawosławie jest prawdziwą wiarą: on niema żadnych w umyśle wątpliwości, w duszy potrzeb, w sumieniu niepokojów, którymby ta wiara — dla Aleksandra I zbyt martwa — nie wystarczała. On wierzy naprawdę, że jego lud lepszy i cnotliwszy od wszystkich innych, przeznaczony jest do panowania nad światem, przynajmniej nad Słowiańszczyzną, którą do prawdziwej wiary nawróci i do królestwa Bożego wprowadzi; a z tem przekonaniem łączy nie wyłączność narodową tylko, albo dumę, ale narodową pogardę i wstręt dla wszystkiego, co nie rosyjskie. W tem uczuciu wychowany, wierzy w spróchniałość „zgniłego zachodu," i ma taką wiarę w swoją missyę z Bożego niby rozkazu, jaką mieli niektórzy chanowie tatarscy. W życiu domowem przykładny podobno, surowy dla przekupnych i rozpustnych, ma poszanowanie swojej korony, swojej i rosyjskiej godności, posunięte do ostatnich granic pychy, ale pochlebne i rozkoszne dla jego narodu. Żartowano z niego w Europie, kiedy na dworskiej jakiejś uroczystości pił zdrowie księcia Czarnogóry, jako swojego *jedynego* przyjaciela. Płoche to żarty: a ta szczerość zuchwałości blizka, ta niegrzeczność lekceważąca względem królów Europy, ta umyślna pogarda przestrzeganych form i zwyczajów, głaskała serca jego własnych poddanych rozkosznem uczuciem siły, pociągała ku niemu serca tych drobnych książąt i ludów słowiańskich. Z tem zaś uczuciem godności łączy i cierpliwość, i moc nad sobą, i zimną krew, kiedy w spokojnej bezczynności (pozornej) znosi przez całe lata niepowodzenia raczej upokarzające w Bulgaryi, i czeka na sposobną chwilę odwetu. Sam jest nie

panem tylko, ale naprawdę głową państwa i narodu. Sam myśli, sam chce, sam rządzi; zazdrosny o swoją władzę, wpływów do siebie nie dopuszcza. W swoim rodzaju, jako samowładzca, i cesarz rosyjski, jest doskonałym typem. A pomiędzy tym cesarzem a tym narodem jest zrozumienie się tak ścisłe, a podobieństwo tak zupełne, cesarz jest takim wyobrazicielem społeczeństwa i wcieleniem rosyjskiej duszy, że musiałby zawsze dla swego narodu być postacią sympatyczną, jedną z bardzo ulubionych w jego dziejach. Do tego wszystkiego dopiero, gdy przyszło dziwne istotnie ocalenie cesarza i jego rodziny w Borkach, gdy podłożona pod szyny kolejowe mina zdruzgotała wagony, zabiła lub pokaleczyła ludzi dokoła, a on wyszedł cały i nietknięty, wtedy dopiero, w przekonaniu własnem i narodu jego osoba i jego missya dostała widomą sankcyę jakoby od Boga samego. Bóg zrobił dla niego cud, a więc on wybraniec, on pomazaniec Pański, on wyobraziciel i organ woli Bożej na ziemi! Z cara, z patryoty, z doskonałego idealnego Rosyanina, stał się w mniemaniu własnem i ludu niby świętym. Prawosławny i narodowy jego fanatyzm znalazł w tem zrządzeniu nowe i potężne utwierdzenie, znak oczywisty, że wszystko co robi jest dobrem, i że dalej tak robić powinien; a wiara, jaką zawsze pokładał w nim naród, przybrała charakter czci niemal religijnej. Ani Piotr, ani Wielka Katarzyna, ani Mikołaj, te trzy doskonałe wcielenia rosyjskiej duszy i passyi, nie byli otoczeni taką czcią i miłością swego ludu; jeden Iwan chyba, od którego wszystkie okrucieństwa nie mogły odstręczyć ludu czującego instynktem, że ten car, to on sam, i on cały, w jednego człowieka wcielony.

Jeszcze raz, Aleksander III może w polityce błądzić i naród swój przyprawić o szkody, które on poczuje kiedyś, ale taka jedność, taka doskonała tożsamość narodu z panującym, musi być dla obu warunkiem i pierwiastkiem siły ogromnej.

A sumienie tego-człowieka? a jego uczucie ludzkie? A Bóg i jego prawo? a ta istota i racya bytu każdego rządu, którą jest poddanym zapewnić spokój, bezpieczeństwo, sprawiedliwość? Jak on to wszystko godzi — on, człowiek religijnie usposobiony, po swojemu ale szczerze wierzący, pobożny nawet, jak on to godzi z tem, co się za jego rządów i w jego imieniu dzieje?

Godzi łatwo i doskonale. Sumienie? czemużby nie miało być spokojnem? Wszak wszystko co robi, robi w najlepszej wierze, dla dobra Rosyi, dla dobra państwa; a jedynym celem, jedyną zasadą jest państwo, i dobrem być musi wszystko, co jemu na pożytek wychodzi. Rosya jest świętą, i świętem musi być wszystko, co się dla niej robi. Że jakaś garstka opornych i niepoprawnych płacze, tracąc wolność albo życie, mienie albo rodzinę, to darmo! wielkie rzeczy nie robią się bez trudu, a grzechem byłaby niewieścia miękkość, gdzie chodzi o chwałę Boga i Rosyi. Jakież zresztą prawo jest zgwałcone? któż ma jakie prawo, prócz państwa, prócz Rosyi? A Bóg? Bóg swojego głosu nie ma, i od Focyusza czasów, Jego rzekomy głos powtarza tylko to, co cesarz myśli, chce i każe. Któż wreszcie może wiedzieć i sądzić co Bóg chce i nakazuje, jeżeli nie państwo jedno, jeżeli nie cesarz, który przecie jest i kościoła także głową? Dla kogóż dalej robi on to wszystko co robi, jeżeli nie dla Boga, którego

prawdziwą prawosławną wiarę krzewi, a nieprzyjaciół i bluźnierców poskramia i trzyma na wodzy, żeby dusz chrześcijańskich uwodzić nie mogli? Spokój? bezpieczeństwo? sprawiedliwość? Niesprawiedliwym względem Rosyi byłby, jej bezpieczeństwo i spokój narażałby ten, kto w jej granicach znosiłby swobodę fałszywego katolickiego kościoła, lub innego narodowego bytu! Katarzyna była wcieleniem bezbożności zupełnej, jaką wyrobił wiek XVIII, i bezsumienności zupełnej, jaką wyrobiła w rzeczach publicznych *racya stanu* ogłoszona za najwyższą zasadę i prawo; Katarzyna miała sumienie spokojne, bo go nie miała wcale. Niespokojne sumienie miał Aleksander I; Mikołaj, udający wiarę i pobożność, jak jego babka, moralność miał jak ona jedną: racyę stanu — a niepokoje sumienia jeżeli miał, to je swoją pychą zagłuszał. Aleksander III jest ciekawym i może jedynym przykładem spokoju sumienia niezepsutego, przy postępowaniu wołającem o pomstę do Boga. Ten spokój, to trudne do pojęcia skrzywienie i stępienie sumienia, jest produktem dwóch czynników: europejskiego pojęcia państwa jako najwyższego prawa, które to pojęcie wpływało na Rosyę, a przedewszystkiem na jej cesarzy od pokoleń i wieków, i tej wschodniej wiary, która zbuntowana i oderwana, bez kościoła, bez łaski Bożej, bez powagi i niepodległości wobec ludzi, poszła samochcąc na niewolnicę świeckich panów, i straciła i moc i prawo, i nawet chęć czuwania nad sumieniami i robienia ich rzetelnego rachunku.

Czegóż chce to społeczeństwo z tym cesarzem na czele, tak silne, a tak szczęśliwe, że wszystkie okoliczności na wyścigi zdają się prostować przed niem drogi? Ono

*mówi*, że chce tylko pokoju, bezpiecznego zachowania tego co już ma, co najwięcej oswobodzenia z poświęceniem siebie słowiańskich braci jęczących pod jarzmem bisurmańskiem lub niemieckiem! Ono *myśli*, że chce i ma panować nad połową Europy przynajmniej, że ze swoją siłą może stać się jakimś Rzymem drugim, od dawnego większym, bo sięgającym od gór Tybetu do gór Sudetu, a od Lodowatego aż do Śródziemnego morza. Ono myśli, że skoro ma tę siłę, to ma i to prawo, bo na to dał mu ją Bóg, by swoją wiarę *prawdziwą*, i swoją cywilizacyę *zdrową*, *nie zgniłą*, rozszerzyło po świecie. W tem uczuciu zgodni oni są wszyscy: i ci co wierzą w królestwo Boże na ziemi wcielone w Rosyę prawosławną, i ci (nieliczni) coby ją chcieli widzieć katolicką czy Kościół katolicki do niej nieznacznie nagiąć i nawrócić, i ci co o Bożem królestwie nie myśląc, pożądają poprostu ziemskiego. W tej myśli robią zgodnie wszystko co robią. W niej rzekome oswobodzenie Bulgarów, i przyjaźń z Czarnogórą, i łudzenie (nie bezskuteczne) innych południowców, nawet katolickich, jak Kroaci. W tej myśli pieniądze i sprzęty kościelne rozsyłane hojnie do Bałkańskich krajów, do Grecyi, do Ziemi świętej; w niej złocone kopuły cerkwi wznoszone po różnych miastach Europy, żeby się tym widokiem oswoiła, i misye niby apostolskie do Nubii w jednę stronę, do Japonii w drugą. W tej myśli przez całą Azyę ciągną się koleje, w tej fałszują się dzieje, w tej dąży się nieznacznie do tego, iżby rosyjski język zrobić z czasem jednym urzędowym piśmiennym literackim językiem Słowiańszczyzny. Plan tak szeroki, że zapewne ziścić się nigdy nie zdoła; stanie mu na zawadzie natura rzeczy i ludzi, nawet gdyby nie

stanęły wypadki; ale dotąd prowadzony ze zręcznością i szczęściem rzadkiem. Nietylko to, co Rosya rozumem i staraniem swojem obmyśliła, przygotowała, zrobiła, to nawet, co stało się bez jej pomocy, obraca się na jej korzyść. Tak upadek władzy świeckiej Papieża, a wzrost wszystkich niekatolickich sił i dążności w Europie; tak pogrom Francyi. Naród pobity, upokorzony, zbolały, a tchnący żądzą zwycięztwa i odwetu na kiedyś, naturalnym porządkiem rzeczy zwraca oczy ku temu państwu, które jedno dziś w Europie może myśleć o współzawodnictwie z cesarstwem niemieckiem, w niem widzi swój ratunek, swego sprzymierzeńca, swego zbawcę. Że Francya miłość swoją ofiaruje zbyt łatwo i natarczywie, że te błagalne i uniżone spojrzenia i westchnienia Rosya urzędowa przyjmuje z powagą chłodną, jak hołd który jej się należy, i z rozwagą chłodniejszą jeszcze, która wszystko przyjmuje a nic nie przyrzeka,— widok to bolesny i upakarzający dla ludzi czy ludów przywiązanych do Francyi i do Zachodu: ale to jej rzecz, nie nasza. Że Rosya może w danej chwili doskonale Francyę w tych nadziejach zawieść, to także jej rzecz. Tylko Rosya sama w swoich rachubach zawiedzioną być może! i z tego zapału Francuzów dla siebie dziś już ciągnie rzetelne i wielkie korzyści. Ona jeżeli kiedy zechce bić się z Niemcami, Francyę po swojej stronie mieć musi, a w jej wojsku, w rozdwojeniu wojsk niemieckich, ma niemałe warunki powodzenia. Ona dziś już, bez jednego słowa, samą możliwością francuskiego przymierza, grozi Niemcom i trzyma je w szachu. Ona bezpieczna, bo nikt jej tyłów wziąć nie może, ani jej przebić nawylot. Niemcy przeciwnie, wzięte we dwa ognie, między rosyjskie i francuskie

armie, mogłyby upaść tak, że podnieśćby się nie zdołały. Ona już teraz francuzkiemi pieniędzmi zapomogła swój skarb, zbudowała linie kolei, opatrzyła twierdze, wojsko uzbroiła w nową broń, a to wszystko nie kosztowało jej nic, wszystko dała jej Francya na rachunek i na wiarę. Wyjątkowo szczęśliwe warunki położenia, równają się zręczności w korzystaniu z nich, wstrzemięźliwości, z jaką Rosya ich używa, a nigdy nie nadużywa.

To stanowisko Rosyi w Europie, zmienić się może tylko przez wojnę, gdyby ta wypadła dla niej nieszczęśliwie. Minęły już te czasy, kiedy dobrodusznie przypuszczano rewolucyę w Rosyi. Rewolucya w kraju tak rozległym, w kraju gdzie miast mało, a wpływ ich nie tak przeważny jak w Europie, udać się naprawdę i na długo nie może. Gdyby nawet udała się w pewnych punktach, to mas ludności za sobą nie pociągnie, a wojsko stłumi je, prędzej czy później. Osłabienie wewnątrz, a z niem zmiana w europejskiem stanowisku Rosyi przez rewolucyjny przewrót, trudno przypuścić się dadzą.

Co ją i kiedy na tej drodze wstrzyma, to przyszłość kiedyś pokaże. Dziś widzimy tylko, że ona na takiej drodze jest, i że kroczy po niej z jasną i powszechną świadomością zamiaru, z przeświadczeniem o swojej sile, ze stanowczością bezwzględną i nieubłaganą.

I na tej drodze leżała przed nią zawada — Polska.

Przez wieki toczy się ten historyczny proces między dwoma narodami, dwiema cywilizacyami, dwiema wiarami. Ledwo się z pod tatarskiego jarzma trochę podźwigła, zaczęła ówczesna Moskwa spoglądać pożądliwie na Litwę i ku niej się pchać. Jej dzisiejsi potomkowie — wszyscy, nawet katolicy (!) — mówią, że

to zawsze była ich ziemia. Kiedy? jakiem prawem? Tem, że wszystko co jest, jest rosyjskie, i Rosya do wszystkiego ma prawo. Za Kazimierza się zaczęło, za jego synów szło dalej; za Zygmunta już kusiło się cesarza do rozbioru Polski, potem zajęło się Smoleńsk. Dwaj ostatni Jagielonowie bronili swoich wschodnich granic jak mogli, jak im wewnętrzny stan Rzeczypospolitej pozwalał; za Batorego Polska zbliżała się do zwycięztwa, za jego następcy mogła była zwyciężyć stanowczo. Nie zwyciężyła; i odtąd siła rosyjska zaczęła ciężyć na Polsce coraz większą wagą, a każde panowanie znaczy nowy krok w postępie Rosyi ku środkowi Europy. Za Jana Kazimierza Chmielnicki, opanowanie (czasowe) Litwy, i pokój Andruszowski; za Sobieskiego traktat Grzymułtowskiego, odstąpienie Kijowa! Potem Piotr, z tą polityką której sukcesem był sejm roku 1717, sankcyonujący jego wpływ na sprawy polskie. Elekcya Augusta III, elekcya Poniatowskiego, wszystko to kroki zbliżające ją do celu; aż wreszcie krok stanowczy zrobił się w roku 1772, ostatni 1795. Ale końca jeszcze nie było. Pamięć Polski była zbyt świeża, sumienie publiczne mimo wszystkiego niedość jeszcze zepsute, udział wojska polskiego w wojnach napoleońskich zbyt głośny, iżby sprawa polska mogła była zbyć się milczeniem; a na utworzenie Królestwa Kongresowego wpływało może sumienie cesarza Aleksandra niemniej, jak wielki rozum polityczny, przez poddanych jego niepojęty i nieoceniony. Po roku 1831 Mikołaj uznał się zwolnionym z konstytucyjnego paktu, ale odrębności Królestwa nieuznawać jeszcze nie śmiał, a w krajach zabranych choć znosił polskie szkoły, i miłością łączył z prawosławną cerkwią gwałtem oderwanych od

niej unitów, ludności polskiej z korzeniem z gruntu wyrwać nie próbował. Aleksander II zaczął łagodniej. Z natury i temperamentu, czy z obudzonego chwilowo sumienia, czy z politycznej rachuby, że to łagodniejsze postępowanie było mu do przymierza z Francyą potrzebne? W każdym razie była zmiana w postępowaniu, a do nas należało z niej korzystać. Poniżej, kiedy nam przyjdzie mówić o politycznych stronnictwach polskich i ich błędach, znajdzie się miejsce na przypomnienie błędu, jaki oba stronnictwa popełniły za tego panowania, i na wytłómaczenie jego powodów. Tu wystarczy wzmianka o jego skutkach.

Jeżeli Murawiew mówi prawdę w swoich Pamiętnikach, to w początkach roku 1863 panował na dworze rosyjskim przestrach taki, że o zachowaniu Warszawy nie myślano nawet, a wątpiono, czy Wilno da się zachować. Przypuszczano inne w Europie usposobienia, inne zrozumienie europejskich w tej sprawie interesów. Ale pomiarkowano się rychło; a gdy się pokazało, że równobrzmiące noty trzech wielkich mocarstw są na to tylko, by na nie uwagi nie zwracać, a odpowiadać zuchwale, gdy się pokazało, że te mocarstwa, według sławnego wyrażenia lorda John Russell, *mają prawo, ale nie mają obowiązku* wdawać się w tę sprawę, wtedy odwaga wróciła, a z odwagą w jednej chwili narodziło się zrozumienie i postanowienie — teraz albo nigdy! Że Rosya chciała powstanie stłumić, temu nikt dziwić się nie może. Że przy tem stłumieniu używała srogości nieludzkiej, na którą wzdryga się nie już chrześciańskie sumienie, ale ludzka natura, to znowu nie jest dziwne dla nas, którzy ją znamy. Miała w tem cel podwójny, podwójne wyrachowanie. Zgnębić

Polskę tak, żeby w niej nie został żaden pierwiastek i żaden ślad siły, narodowej, ekonomicznej, czy moralnej, a z siebie wyrzucić tysiące niespokojnych, niesfornych i głodnych, którzy mogli stać się niebezpiecznymi. Rozżarzono w nich fanatyzm narodowy i socyalistyczny, i rzucono ich na Polskę. Ona miała stać się pastwą tych namiętności i eksperymentów, które w Rosyi samej mogły były zawadzać i wichrzyć. Głodny malkontent, czy *słowianofil*, czy europejski liberał gorszący się z katolickich przesądów i szlacheckiego ucisku, czy komunista marzący o podziale majątków równym dla dla wszystkich (z największą częścią dla siebie), szedł do Polski z misyą uregulowania kwestyi włościańskiej i „obrusienia“. Dostawał tę kość do gryzienia, która miała zaspokoić jego apetyt, żeby Rosyi samej gryźć nie próbował.

Jednak w pierwszej chwili po zwycięztwie, pod wpływem i sukcesu, i minionego niebezpieczeństwa, i namiętności, wszelkie srogości, wszelkie gwałty, dawały się łatwiej zrozumieć. Ale kiedy nastał ten pokój, ta śmiertelna cisza, jakiej Rosya chciała, nie ustała w tym pokoju walka; owszem szła i idzie dalej bez przerwy, na wszystkich polach, wszechstronnie obmyślona, a prowadzona z energią niemniejszą od konsekwencyi, walka z narodem, który Rosya chce nietylko zniszczyć, ale wytępić. Wszystkie środki używane przeciw nam od roku 1864, dążą do podkopania wiary i Kościoła, do obniżenia poziomu oświaty, do majątkowego zubożenia, i do moralnego zepsucia tego społeczeństwa. Samo zniesienie poddaństwa i uwłaszczenia poddanych, rzecz w zasadzie dobra i słuszna, którą się Rosya chlubi jako swoją niby historyczną zasługą i dowodem swojej mniemanej

nad cywilizacyą polską wyższości, gdyby było w dobrej myśli i woli zrobione, byłoby stało się dawniej, kiedyśmy o nie prosili; a powtóre, rzecz dobra była prowadzona i wykonana źle. Poczęta w zamiarze żeby szlachtę zubożyć, daleko bardziej niż w tym żeby byt ludu podnieść, odpowiedziała sprawa ta swemu założeniu. Dopięła głównego celu; a jak dopięła tego podrzędnego, o który mniej chodziło, świadczy tłumne wychodztwo do Ameryki.

Milowemi słupami tej pokojowej walki, w której jeden dławi i dusi, a drugi bronić się nie może, było naprzód wyrugowanie polskiego języka i polskich urzędników. Znowu cel podwójny. Zniszczyć ten znak i organ narodowej odrębności i środek jej zachowania, a swoim głodnym i niespokojnym dać tysiące posad i sposobów do życia, — dać im polską kość do gryzienia. Polaków ze wszystkich miejsc usuwać; administracyę, sądownictwo, wszystko zapełnić swoimi. A że rodziny pozbawione chleba zmarnieją w niedostatku, że dzieci na ludzi oświeconych wychować nie będą mogły, to korzyść oczywista, bo oczywiste konieczne osłabienie polskiego żywiołu.

Drugim takim słupem znaczącym ten *postęp*, było zniesienie resztek pozornej odrębności Królestwa, zniesienie namiestnictwa w Warszawie, a ustanowienie jenerał-gubernatora. Dalszym były szkoły. Zamykać do nich przystęp, ograniczyć liczbę Polaków w szkołach a wymyślnemi wymaganiami co do rosyjskiego języka utrudniać promocye i examina, tak, żeby ile możności szkół kończyć nie mogli. Bez zawodu, bez przyszłości, muszą się krzywić i paczyć i psuć; bez nauki będą głupi, a zatem nie niebezpieczni. Jako środek pomo-

cniczy w tym systemie wychowania, fałszowanie i przekręcanie dziejów, tępienie uczucia honoru i godności przez zwierzchników takich, że nawet uczniów Rosyan doprowadzali do oburzenia i rozpaczy; wreszcie przystęp naoścież otwarty filozofii materyalistycznej, która może niewiele więcej, ale tego z pewnością nauczy, że niema na świecie ani złego ani dobrego, a w człowieku ani duszy ani odpowiedzialności.

Po wychowaniu, posiadanie ziemi. Na Litwie i Rusi katolik i Polak nie może jej nabyć, nawet kiedy jest rosyjskim poddanym; w Królestwie nie może jej odziedziczyć, jeżeli nim nie jest.

Gdyby kto w Europie śmiał powiedzieć — nikt nie powié — ale gdyby przecie, że to co Rosya robi, jest niegodziwe, a Polacy są ludźmi i jakieś prawa mają, odpowiedź prosta, że to wewnętrzna sprawa, a kraj to odwiecznie rosyjski! Albo że się broni milionów ludu od ucisku kilku niegodnych tysięcy polskiej szlachty! Albo że opornych zdrajców słowiańskiej sprawy czyni się nieszkodliwymi na to, by zapanować mogło braterstwo i królestwo Boże na ziemi!

Ile krzywd, ile ruin, ile łez, ile nędzy — ach, i ile, ile ludzi zmarnowanych, zepsutych, zgubionych, zawiera się w tych wszystkich ukazach i ich skutkach! Bóg jeden może zliczyć i wiedzieć. Ale to jeszcze nie dosyć. Ziemia, mienie, byt, zawód, przyszłość rodzin, nauka, język, to choć zabrane, jeszcze nie ubezpiecza zupełnie, jeszcze nie wiedzie do celu na pewno. Jeden jest środek, ze wszystkich najlepszy. Znała go Rosya zawsze i używała statecznie, skoro Kościołowi nigdy wolnego oddechu, związku członków z głową nie pozwalała; a dała już przykład Wielka Katarzyna, drugi

dał Mikołaj, jak się *miłością* jednoczy dusze w prawosławnej cerkwi. Ale nieśmiałe półśrodki Katarzyny i Mikołaja na dziś nie wystarczają — dziś trzeba więcej i lepiej. Teraz albo nigdy! Niewolno księdzu bez pozwolenia ruszyć się z parafii; niewolno biskupowi bez opowiedzenia się objeżdżać dyecezyi; niewolno przypominać, że małżeństwo z ludźmi innej wiary dozwolone jest tylko pod warunkiem że dzieci będą katolickie; niewolno przyjmować do zakonów, niech wymrą ci, którzy żyją, a potem koniec.

Tak jest tam, gdzie jest lepiej. A tam, gdzie gorzej? Tam z samych wileńskich, dwóch biskupów na wygnaniu, tam kościoła założyć, ani walącego się naprawić nie można; tam o kilka mil od kościoła, bez nabożeństw, bez nauk, bez Sakramentów, niech ludzie żyją i umierają. Zdziczeją? zepsują się? mniejsza o to. A ci, co mniej rozumieją i rozróżniają, jak się dobrze za Kościołem stęsknią, to pomału oswoją się z naszym i do niego wejdą. Parafie znosić — jest ich za wiele. Seminarya być muszą jeszcze, bo inaczej Rzym podniósłby krzyk za wielki; ale w nich pod pozorem nauki rosyjskiego języka, niech świecki i prawosławny uczy historyi kościelnej. Układy z Rzymem prowadzić tymczasem, nawet zawierać i podpisywać, tylko je w wykonaniu przebiegle obchodzić. Tak jest tam, gdzie nie najgorzej jeszcze.

A gdzie najgorzej? Tam pewnego dnia cesarz podpisał, że katolików greckiego obrządku niema na świecie, więc być ich nie może. Tam knuty i strzały, i wsie całe w stawie pławione na mrozie; tam wsie całe porwane, wywiezione w głąb Rosyi; tam bez chrztu, bez ślubu, bez spowiedzi żyją ludzie, co na obcą wiarę

przejść nie chcą; tam żony od mężów, a dzieci od matek odrywane, na resztę życia wiedzieć o sobie przestają. Tam jeżeli twój dziad czy pradziad był unitą, musisz być prawosławnym, albo z życiem uciekać. Tam ksiądz katolicki nie śmie ci dać chrztu przy urodzeniu, ani wiatyku przy śmierci, bo jego łaciński kościół zamkną, Tam matka niemowlęciu rozbiła głowę o mur kościoła, mówiąc, że jej Bóg ten grzech przebaczy, bo dla zbawienia duszy tego dziecka poświęca jego życie.

Ksiądz Kalinka mawiał, że ta ruina Kościoła na Litwie i Rusi, ta jego niewola w Królestwie, to kara za naszą o Kościół niedbałość, za naszą pobożność bierną, za naszą wiarę letnią — a po ludzku tylko mówiąc, gdybyśmy o ten Kościół byli dbali czynniej, więcej, to dziś nasza wiara nie byłaby tam tak zagrożoną wykorzenieniem. Ale jeżeli w rzeczach świeckich i politycznych, grzechy opuszczenia i zaniedbania miewają czasem skutki gorsze niż występki, to przed sprawiedliwością Bożą jest przecie inaczej; a skoro ona tak karze zaniedbanie i opuszczenie, to jakże odpowie na krzyk całej ziemi wołającej o pomstę?

Chrztem Litwy i unią w Horodle, a potem w Lublinie, bez jednej krwi przelanej, bez jednej ludzkiej łzy, szły fale polskie na Wschód i posunęły o mil dwieście wiarę katolicką i europejską cywilizacyę. „Mętne krwią i łzami“, brudne od kłamstwa, walą się dziś fale rosyjskiego zalewu na Zachód, a każdy ich ruch naprzód znaczy się zwaliskiem, nieszczęściem. Ale po tej różnicy środków, poznać różnicę tych pierwiastków, tych wiar, tych cywilizacyj, tych narodów. W straszliwym dzisiejszym akcie tej tragedyi, którą gramy z sobą od wieków, oni są górą — ale ten akt nie ostatni. Mac-

betowi wróżono panowanie, wróżba się spełniła. Po zamordowaniu Duncana mordował dalej bez litości i upamiętania; potrzebował tego by sobie zabezpieczyć to, co pierwszą zbrodnią osiągnął. On mordował, jego żona tarła i tarła rękę, wołając grożnie: „Precz z tą przeklętą plamą!“ Wszystko nadarmo! Ona z jękiem rozpaczy i zgrozy musiała przyznać, że plama zawsze była i wychodziła na wierzch; on doczekał się tego, że las Birnam zbliżył się do jego zamku, i w ręku zabitego Banka — nie w swojem — widział to zwierciadło, w którem się długi szereg królów odbijał.

Ale czy Rosya postępuje mądrze? Nie pytamy o to, czy uczciwie i słusznie; o to ona nie dba, a my jej nie zmienimy. Ale czy postępuje praktycznie i ze skutkiem, czy ma jaki dochód z tego intensywnego nakładu bezprawia i niegodziwości? Dziwnie mały. Że Polski nie odpolszczy, a nas na Moskali nie przerobi, że jej *obrusienie* jest marną utopią, to ona ze swoim rozumem, mimo całej swojej exterminacyjnej pasyi już dobrze miarkuje, choć tego naturalnie nie przyznaje. Na to ma dowody w oczach i we współczesnych wypadkach. Jeżeli narody małe i przez cztery wieki uśpione snem letargicznym, jak Bulgarzy i Serbowie, odżyli, to rzecz jasna, że naród taki jak polski, z tą świadomością siebie, z tą historyą, z tą cywilizacyą, ani się zupełnie zabić, ani na inny przerobić nie da. Niema o czem myśleć. A jeżeli Rosya pociesza się nadzieją, że jak zniweczy lub wytępi bogatszych i oświeceńszych, to z ludem samym da sobie radę — niech rzuci okiem na Szląsk, a zobaczy tam stan rzeczy, który jej da do myślenia. Może ona, nie przeczymy, zrobić z nami co innego: może nas zepsuć, to prawda. Co na tem zyska?

Irlandya jest wcale wymowną przestrogą, którą polecamy uwadze rosyjskich polityków. Jak w nas wyniszczą i wiarę, i sumienie, i honor, jak przez niedostatek doprowadzą nas do rozpaczy, to może istotnie nie będą potrzebowali bać się Polaków powstańców. Ale czy są pewni, że ci Polacy będą powolnymi sługami i narzędziami rządu? Nam się zdaje, że jak im w duszy nie zostanie nic prócz rozpaczy i zemsty, to o swojej ojczyznie może myśleć nie będą, ale z nihilistami pójdą burzyć i pustoszyć rosyjską. Dla nas nie będzie to pociechą, ale dla nich będzie może gorszą klęską.

Do czego zresztą doprowadziło ich dwadzieścia pięć lat takich rządów? Gdzież są te skutki? gdzie te zdobycze *russkiej cywilizacyi?* gdzie ona puściła korzenie? Czy przez szkoły w młodzieży? nie. Czy przez uwłaszczenie i rosyjskie książki w ludzie wiejskim? Czy przez napisy na sklepach, ulicach i stacyach kolei? Wszystko to, Rosya wié dobrze, to zewnętrzny pokost, który w krew i ciało nie przeszedł. Czy może prawosławie na Podlasiu? Wszystko to sukcesa pozorne, nierzetelne, któremi urzędowe raporty łudzić mogą cesarza, ale w które tu na miejscu oni sami nie wierzą. A może lepiej udało się na Rusi? tam się tyle szlachty polskiej wyrwało z korzeniem, a zaflancowało się tyle rosyjskiej i prawosławnej! Tylko że pokazało się i nauczyło, jak tych wielkich właścicieli z korzeniem wyrywać; a jeżeli ta operacya udała się na odwiecznej szlachcie polskiej, o ileż łatwiej uda się na tej importowanej i świeżo zasadzonej! Osłabiło się tam żywioł polski, to prawda, a ruski tłumi się tak, że udawać można jakoby się go nie widziało i nieuznawało. Ale na to się nie poradzi, że on swoją świadomość ma i w niej się

wyrabia, że dziś został prawie sam jeden na tej ziemi, która dla pewnego mocarstwa jest podobno ważniejsza od Polski, bo sięga aż po Don, a oddziela je od morza Czarnego.

I co dalej? Po tych dwudziestu pięciu latach exterminacyi, Rosya sama nie wié co począć dalej. Takie rządy trwać mogą jeszcze jakiś czas, jeszcze można nasłać nowy transport *diejateli* na kraj nieszczęśliwy, ale kres jakiś być musi. Rosya sama to czuje, a nie może się cofnąć, i idzie dalej po omacku, sama nie wiedząc gdzie dojdzie, przyświecając sobie tylko błędnym ognikiem swojej pasyi i swojej mniemanej, złudnej idei. Jeszcze trochę, a ona tak będzie wyglądać, jak ci ludzie w poemacie Krasińskiego, co mordowali i wieszali na wszystkie strony i że wszystkich sił, aż w końcu ustali. „Ręce nam opadają, wyziewy krwi nas duszą, ciemno nam i mdło, ślepniemy".

Dowie się kiedyś Rosya, po szkodzie, jak się dowiedział u Krasińskiego wcielony duch rewolucyi i jej przewodnik, że „dzieło zniszczenia odkupionem nie jest."

A swojej sile wewnętrznej, temu szpikowi swoich kości, którym jest duch narodu czerstwy i niewystawiony na zakaźne choroby, czy Rosya dobrze służy przez to co robi w Polsce? Prawda że ona ma naturę inną niż społeczeństwa zachodnie, że to co innych osłabia i rozkłada, jej jakoś nie szkodzi. Jednak na tę odmienność swojej natury, na ten przywilej bezkarności, liczy ona może zanadto. Natura narodów jest zapewne różna, jednak w tem podobna, że wszystkie jednako zdrowia potrzebują, a to zależy od tychsamych zawsze warunków i zasad. A jeżeli natura narodów jest różna, to natura ludzka jest wszędzie tasa-

ma, podlega tymsamym prawom logiki, i pewne przyczyny muszą pewne skutki sprowadzić.

Jednem z tych praw logicznych jest to, że kto na drugim wszystkie prawa gwałci, ten w sobie świadomość i poczucie prawa niszczy; a kto przeciw drugiemu ciągle kłamstwem wojuje, ten poczucie prawdy i uczciwości stracić musi. Rząd rosyjski, kiedy w Polsce i na niej wszystkie prawa prywatne i publiczne gwałci, uczy swój naród, że każde zgwałconem być może, że żadnego prawa i żadnej zasady niema. Tak ten rząd swój naród chowa, tego go swoim przykładem uczy; a jakiem okaże się społeczeństwo tak wychowane, jak raz samo przez się działać zacznie? Dziś wszystko idzie dobrze: dziś Aleksander III głaszcze i podnieca narodową miłość własną, a siłą swoich zasad i swojej woli trzyma to społeczeństwo w jedności i w karbach. Ale pod słabszą ręką jego poprzednika już się w tym organizmie różne niebezpieczne pierwiastki rozwijać zaczęły, a któż zaręczy, że syn lub wnuk Aleksandra III będzie miał rękę tak silną jak on? W jakiej zasadzie, w jakiem prawie znajdzie rząd oparcie, żeby ład w tem społeczeństwie utrzymać, kiedy sam żadnej zasady, żadnego prawa nie szanował, a wszystkie pogwałcił? Jeżeli zechce bronić własności, anarchista przypomni mu Polskę, przymusowe sprzedaże, zakazy dziedziczenia, konfiskaty, i powié, że własność nie jest prawem. Jeżeli zechce bronić religii, anarchista przypomni Polskę i powié, że religia i kościoły są od tego, by je prześladować. A jeżeli odwoła się do patryotyzmu, do wielkości Rosyi, do jej bezpieczeństwa, to anarchista odpowié, że *racyę stanu* reprezentuje zawsze ten, kto mocniejszy, i ona do jego pojęcia się stosuje:

*la raison d'état est la raison du plus fort* — a że dziś on mocny, więc *racya stanu* i interes Rosyi jest taki, jak on rozumié i chce. Rząd rosyjski, który od wieków na to pracował, aby społeczeństwa do świadomości i uczucia prawa nie dopuścić, temi gwałtami jakie spełnił na Polsce, wyniszczył w niem i poszanowanie prawa i zmysł moralny do reszty. A o tem zapomniał, że prędzej czy później, ale niechybnie przyjdzie czas, w którym to społeczeństwo zechce samo przez się myśleć, działać i rządzić — a wtedy z zepsutem jak sobie rząd da radę? Jak się mniema, że się jest rządem regularnym, a do tego monarchicznym, a Rosya taki nietylko przed światem ale przed sobą samą udaje, to przedewszystkiem nie trzeba być rewolucyą. Rosya, która wszystkie podstawy społeczeństwa, gwałci i podkopuje, jest w innej formie rewolucyą a jej rząd despotyczny i napozór monarchiczny, prostuje drogi przed jej nihilistami. Jaką gotuje sobie i swemu państwu przyszłość, to jego rzecz, nie nasza. Co jest ciekawe, to że Rosyanie, których to pytanie obchodziéby powinno, zdają się o niem nie myśleć wcale. W głosach i czynach rosyjskich słyszy się i widzi tylko dwa pierwiastki: rząd i nihilizm. Społeczeństwo samo, ludzie uczciwi i rozumni, którzy przecież być i jakieś zdanie mieć muszą, nie dają znaku życia. Jeżeli wyrwie się zniego jakie słowo protestu i przestrogi, jak pana Sołowiewa naprzykład, to bywa naprzód szlachetne ale niejasne, utopijne; a powtóre bywa odosobnione, przez nikogo niesłuchane i niepodjęte. A jednak dla Rosyan myślących, pytanie, jak się to skończy, godne jest uwagi i rozstrząsania. Nie trzeba patrzyć daleko w przyszłość: wystarczy spojrzeć na to

społeczeństwo, jakiem jest dziś, by poznać, czem go takie wychowanie zrobiło. Sumienia zbłąkane, brak prawdy, brak pojęcia o sprawiedliwości, zatamowanie wszelkich źródeł szlachetnej inicyatywy, kult sukcesu jako jedynego celu, za tem idący materyalizm teoretyczny i praktyczny, a w środkach działania srogość, na którą wzdryga się ludzka natura — to są wady ciężkie, które zacierają i paraliżują właściwe plemieniu przymioty politycznego zmysłu, karności, wytrwałości i przezorności. To są zaś skutki wychowania tego społeczeństwa przez despotyzm, przez racyę stanu, i przez religię stanu. Jeżeli się ten sposób postępowania rządu a wychowania społeczeństwa nie zmieni, to z czasem może Rosyi grozić rozkład gorszy, aniżeli ten, jaki nam sprowadził nasz polityczny nierząd.

# STOSUNEK DO PRUS.

Stuletnia z górą przyjaźń między Rosyą a Prusami była zupełnie naturalną; była skutkiem moralnych, politycznych i psychologicznych przyczyn. Był to wzajemny pociąg, łatwe zrozumienie się i wspólność interesu dwóch państw najmłodszych w Europie, najmniej znaczących, ambitnych bardzo i dążących do rozszerzenia posiadłości i potęgi. Prusy były między mocarstwami najsłabsze; Rosya była wielka i silna, ale nie czuła się równą starym europejskim tronom i państwom. Oboje miały ten instynkt i popęd, żeby się siebie trzymać, sobie pomagać; zbliżała je ta świadomość własnej niższości, żądza wyniesienia się, i nieodłączna tych uczuć towarzyszka, zazdrość i niechęć do szczęśliwszych, do wyższych, do silniejszych i świetniejszych. Zbliżała je także — choć może nie zawsze same o tem myślały — nienawiść zasadnicza do świata i Kościoła katolickiego, do starych katolickich monarchij i społeczeństw, Austryi i Francyi. Pasya Piotra III do Fryderyka uważana za prawie szaloną, była poniekąd symboliczną; a wzajemna niechęć i pogarda, jaką mieli dla siebie Fryderyk i Katarzyna, nie przeszkadzała zgodnemu działaniu, wypływającemu z natury rzeczy, z natury i położenia obu

państw. Rozbiór Polski musiał stać się najsilniejszym tego przymierza cementem. Oba państwa wiedziały dobrze, że w tej sprawie tylko na siebie wzajemnie, ale też na siebie bezwzględnie i absolutnie liczyć mogą. Nikomu w Europie nie zależało koniecznie na tym stanie rzeczy, który one stworzyły — owszem, był on dla wszystkich, dla równowagi sił w Europie niebezpiecznym, i czuły to dobrze wszystkie państwa i gabinety, z wyjątkiem Anglii. Ale im dwojgu zależało na tym stanie rzeczy niezmiernie i nadewszystko. Była więc jedna sprawa, w której one i rozumiały się doskonale, i potrzebowały się koniecznie, i w żadnym razie odstąpić się nie mogły. Musiały zostać sobie wiernemi i takiemi istotnie przez sto lat zostały. *Blut ist ein ganz besonderer Saft* — pakt oparty na wspólnym interesie, powstałym z krzywdy trzeciego, podpisany piórem w jego krwi zmaczanem, musiał mieć moc dużą i trwałą. Za Napoleona też jedność między niemi doskonała, a historya ówczesnych wojen i układów, jest historyą wzajemnie oddawanych sobie usług, nieraz największej wagi. Po Napoleonie, w świętem przymierzu te dwa państwa z sobą złączone najściślej, wiedzą to o sobie dobrze, że względem trzeciego sprzymierzeńca oba już takiej doskonałej przyjaźni nie czują — i to znowu łączy je pomiędzy sobą. Jestto wiek złoty tego stosunku. Prusy osłabione wojnami, a później zawsze jeszcze nie dość wielkie, by mogły być bardzo śmiałemi w swojej ambicyi, szczęśliwe były, że czuły się pod opieką potężnego Mikołaja; za opiekę wypłacały się zupełną powolnością w sprawach europejskich i utrzymywaniem wszystkich od siebie zależnych mniejszych państw niemieckich w pośredniej zależności od Rosyi —

a zarazem w tej opiece znajdowały ułatwienie, w tych małych państwach materyał do roli, jaką z czasem, kiedyś, sposobiły się odegrać w Niemczech. Za Fryderyka Wilhelma Trzeciego, dążności te nie myślały jeszcze przekraczać sfery teoryi; za Czwartego ani okoliczności, ani natura i pojęcia króla nie były po temu. Wierność dla Rosyi wszakże była zawsze niezmienną; w wojnie krymskiej, Prusy jedne w całej Europie stały po stronie Rosyi i życzyły jej zwycięztwa. Ale potem wkrótce nastała regencya, dalej zmiana panowania, i na scenę świata wyszło dwóch ludzi, którzy mieli zmienić i stanowisko Prus w świecie, i (to już niechcący) ich stosunek do Rosyi. Król Wilhelm I był jej nierównie bardziej, szczerzej, goręcej oddany, niż jego brat; jego poseł przy rosyjskim dworze, a później minister spraw zagranicznych, opierał swoją politykę, swoje widoki i nadzieje na ścisłym związku z Rosyą. Dowiódł tego w sposób niezbity w r. 1863, nietylko przez zawartą konwencyę, ale bardziej jeszcze i lepiej przez odwrócenie od Rosyi w jesieni owego roku interwencyi obcej, przez zniweczenie planów Napoleona III. Prusy, jak Rosya, znajdowały korzyść nieobliczoną w stanowczem zgnieceniu sprawy polskiej i Polski samej.

Za tę usługę znowu wypłaciła się Prusom Rosya w r. 1870. Tylko pewne rosyjskiej przyjaźni i o nią plecami oparte, mogły Prusy tak śmiało drzeć się w samo serce Francyi.

Ale był to podobno ostatni akt wiekowej przyjaźni, a r. 1863 i pod tym względem także był może znaczącą, zwrotną w dziejach datą. Od chwili jak mogły myśleć, że z Polską skończyły już na prawdę i na zawsze, Rosya i Prusy dotąd sprzężone i równo idące,

zaczęły rozchodzić się na drogi różne. Prusy po tym szczeblu naszego opłakanego błędu, wyzyskawszy go mądrze, wyszły wyżej niż same marzyć śmiały; ich dawna zależność od Rosyi musiała się skończyć. W działaniu Rosyi brakło tego tradycyjnego i wypróbowanego punktu oparcia, tego powolnego narzędzia; w uczuciu Rosyi musiał powstać żal i zazdrość z wyniesienia tak nagłego i niespodzianego. Obie strony zarówno dbają jeszcze o utrzymanie między sobą pokoju, obie chcą zostać w zgodzie i starają się o to usilnie. Ale dawny stosunek jest zepsuty nowem stanowiskiem Prus i przywrócić się nie da. Zamiast wzajemnych usług, obie strony karbują już wzajemnie wyrządzone sobie szkody. Kiedy w r. 1875 kanclerz niemiecki gotował powtórny napad na Francyę, powstrzymało go w zapędzie *veto* rosyjskie. We Francyi już od r. 1875 wszczął się zapał dla Rosyi i nadzieja odwetu z jej pomocą; w Rosyi w r. 1878 obudziła się namiętna nienawiść i zazdrość do Niemiec. Po dwóch swoich stronach miały Niemcy teraz dwie nienawiści, dyszące żądzą połączenia się i wzięcia ich we dwa ognie. Po śmierci Aleksandra II, przy fanatycznej wyłączności narodowej jego syna, przy niepowodzeniu i upokorzeniu, jakiego on doznał w Bulgaryi (która podług zaręczeń ks. Bismarcka dla Niemiec jest zupełnie obojętna, ale z Berlina przecie do porządku i posłuszeństwa wezwaną nie została), gabinety nie chcą wojny i utrzymują pokój — ale namiętności rosną i wzbierają.

Przeciw temu możliwemu połączeniu Rosyi z Francyą stoi potrójne przymierze, które je od siebie dzieli jak murem, a Europę przez sam środek masą swoją z północy na południe przecina, od Królewca do Mo-

staru, a od Kiel do Tarentu. Ilu trzeba było ofiar, ilu wyrzeczeń się z jednej strony, żeby rękę do tego przymierza podać! Bóg tylko i jeden człowiek wié, a reszta domyśla się tylko. Jakkolwiekbądź, przymierze to jest; i jest niezaprzeczenie warunkiem utrzymania pokoju, w razie wojny warunkiem powodzenia. Przymierze wszakże dla cesarstwa niemieckiego nie mniej oczywiście konieczne jak dla innych, jest dla niego więcej, niż dla innych korzystne. Między Austryą i Rosyą są sprzeczne, nie do pogodzenia, interesa w krajach Bałkańskich; wymagają ciągłej czujności i ciągłej gotowości, lada iskra może tam wzniecić pożar. Jest więc Austrya uwikłana w położenie trudne, które musi pochłaniać całą jej uwagę i krępować jej ruchy. Położenie utrudnione przez apetyt drugiego sprzymierzeńca na Trydent i adryatyckie wybrzeża, przez to wszystko zmuszające Austryę do wielkiej względem Niemiec względności i cierpliwości. Niemcy tymczasem oświadczają przy każdej sposobności, że nad dolnym Dunajem interesów żadnych nie mają, a przymierze obowiązuje je do czynnej pomocy tylko w razie, jeżeli sprzymierzeniec będzie zaczepiony. Obie strony potrzebują przymierza, ale jedna z nich jest w położeniu trudniejszem, zatem druga przewagę mieć musi. O tem myślał, to przewidywał ks. Bismarck, kiedy mawiał, że środek ciężkości Austryi należy bardziej ku Wschodowi przesunąć.

Wymieniło się imię człowieka, który przez ostatnie lat dwadzieścia pięć zajmował pierwsze w Europie miejsce, — i z niego zeszedł.

Jeżeli prawdą jest — a jest niezawodnie — że usposobienia narodów i ich polityczne dążności wcielają

się w ludzi, którzy są tych usposobień typami, a tych dążności doskonałemi wyrazami, to idealnym Prusakiem, jakim w wieku XVIII był Fryderyk, na wiek XIX był ks. Bismarck. Cesarz rosyjski jest wiernym wyobrazicielem swojego narodu, Bismarck jest takim w mierze chyba jeszcze zupełniejszej. Aleksander III, to przedewszystkiem Rosya dzisiejsza, rozzuchwalona powodzeniem, ubóstwiająca sama siebie z pewnym porywem fantazyi, z jakimś pierwiastkiem poetycznego zapału. Jest on naturalnie spadkobiercą wszystkich carów i wszystkich pokoleń rosyjskich, od samego Iwana, ma w sobie ich ducha; ale jest przecie głównie produktem i wyrazem chwili obecnej. Bismarck nie był skutkiem dzisiejszego usposobienia i stanowiska Niemiec, on je ukształcił i stworzył; on był nie jedyną przyczyną, ale przyczyną przecież i siłą poruszającą, i był essencyą wyciśniętą z pruskiego ducha i pruskich dziejów, od samego początku. On stanął na najwyższym szczeblu tej drabiny, po której szczeblach niższych pięli się i stawali, Albrecht, zlutrzony Krzyżak, Wielki Elektor, Fryderyk, ten co pierwszy wymyślił i włożył pruską koronę, i drugi Fryderyk, i jego następca, nasz aliant z czasów czteroletniego Sejmu; on ukoronował ich dzieło, od wszystkich większy, do wszystkich podobny. Drapieżny, twardy, na ludzkie prawo nieludzki, jak starzy Krzyżacy niby katolicy jeszcze i rycerze; jak Albrecht ze ślubów i wiary, tak on rozwiązał siebie i Prusy ze związków prawnych, które łączyły go z Rzeszą; jak Wielki Elektor między Polską i Szwecyą, Francyą i Austryą, tak on ważył się między Francyą i Rosyą, Włochami i Austryą, a jak tamten z polskiego lennictwa, tak on wyzwolił się z austryackiej przewagi

w Rzeszy. Jak Fryderyk na Szlązk, tak on napadł na Austryę i potem na Francyę; jak Fryderyk Wilhelm II Polskę, tak on Austryę oszukał (kiedy ją na duńską wojnę wyciągnął), a jak pierwszy Fryderyk pruską, tak on stworzył cesarską niemiecką koronę. W celu śmielszy, w duchu takisam, w metodzie tylko od poprzedników różny, w cynizmie samego Fryderyka prześcignął; nie więcej od tamtego był, ale otwarciej od niego przyznawał, że jest przeczeniem i urągowiskiem wszelkiego prawa. Był też przez to spadkobiercą znowu i essencyą, (a tu już nie przyczyną lecz skutkiem) całego tego filozoficznego i moralnego wychowania, jakie naród jego od Reformacyi odbierał. Formalny pietyzm, zachowywanie pozorów, a może nawet jakieś na dnie duszy źdźbła chrześciańskiej tradycyi, wiary, pobożności, mogły zostać; ale nie zostało ani śladu tej świadomości, że społeczeństwo chrześciańskie nie jest jedynie ziemskiem i świeckiem, że jest duchownem także, a przeto w dwa porządki, duchowny i świecki ujętem. Za tą protestancką nieświadomością i negacyą Kościoła, musiała pójść polityczna doktryna omnipotencyi państwa, filozoficzna doktryna nieodpowiedzialności i nieomylności państwa. Od Hobbesa i Spinozy, przez Hegla i jego Boga historycznie z kolei wcielonego w Prusy, aż do Hartmanna i tych materyalistów, co życie ludzkości pojmują jako walkę o byt i pożeranie słabszego gatunku zwierza przez mocniejszy, cała filiacya i cały naturalny postęp tej filozofii, wyraża się w duchu i działaniu Bismarcka tak, jak wyraża się w niem cała wiekowa dążność Prus. Wszystkie pojęcia, wszystkie zasady (czyli zasad nicestwo) i wszystkie środki w nim są skupione i podniesione do potęgi. Nie było też w naszym wieku czło-

wieka, któryby tyle był zrobił dla zepsucia ludzkości, co on — przykład w czynach, a mistrz w słowach tej reguły zabójczej, że prawem jest wszystko co siła sprawić i osiągnąć może; że nie jest gwałtem krzywda zadana słabszemu, bo słabszy jako słabszy, nie powinien zgoła być; że niema niegodziwości, bo godzi się wszystko co się da wykonać; że niema czci ani nikczemności, jest tylko sukces! Samem powodzeniem swojem, tą historyą, która cała jak jest wychodzi na stwierdzenie powyższych pojęć, psuł on ludzi; bo psuć ich zawsze musi widok zwycięzkiej i szczęśliwej nieprawości. Prawda, honor, poszanowanie praw drugiego i przykazania Boskie same, wydają się marnym wymysłem, na który zważać byłoby głupstwem. Psuł dalej słowem: psuł tą nauką, która kiedyś wybita będzie jak piętno na jego epoce i osobie, a której najprostszą formułę *siła przed prawem* wynalazł; psuł przykładem, popędem do naśladowania, jaki dał mniejszym od siebie; i zepsuł wreszcie najgorzej przez to, że dokonał ostatecznie ruiny prawa narodów w Europie i wygładził aż do jego nocyi, aż do wiary, żeby jakie było i być mogło. A prócz tego coś innego jeszcze: on obniżył uczucie honoru w Europie, poszanowanie siebie w ludzkości. Każdą zasadę gwałcił, a każdego słabszego upokarzał i deptał; każdy zaś musiał ukryć i przeboleć wściekłość i wstyd które czuł, a których przeciw temu mocnemu odeprzeć nie nie mógł; natura ludzka zaś pomału ze wszystkiem się oswoi, do wszystkiego przywyka. Upokorzenie boli, a gwałt i ucisk oburza; ale gdy się powtarza długo, gdy je w milczeniu połykać trzeba, bo ich oddać nie można, milczenie staje się zwyczajem, a przyzwyczajenie stępia samo wrodzone ludz-

kie uczucie. Na cudzą krzywdę i obelgę łatwiej i prędzej, na własną trudniej, obojętnieje stopniowo i człowiek i ludzkość, a krzywdzenie i znieważanie bierze w końcu za prawo czy za przywilej mocnych; przestaje się oburzać, przyzwyczaja się, i jak niegodziwości tak nikczemności rozeznawać ani potępiać nie umié. Sumienie się stępia i martwieje, wstyd i honor się wyciera. Że na tem kończy się wiek i postęp jego cywilizacyi, to dzieło w znacznej części ks. Bismarcka. On wepchnął świat na drogę, której metą może być powrót do barbarzyństwa, jeżeli nas co na drodze nie wstrzyma i nie zwróci.

Miał on przymioty pierwszego rzędu, zapisał kartę najświetniejszą w dziejach Prus, dał im pierwszą w Europie potęgę, i miał własność u wielkich ludzi najrzadszą — miarę, moc nad sobą; umiał zatrzymać się w porę, nie żądać za wiele, nie przekraczać kresu jaki sobie zamierzył. Ta organizacya żelazna a chłodna, ta wola bezwzględna, ale siebie samą trzymająca w karbach, to była jego mądrość główna, a zarazem cecha jego natury pruskiej. Napoleon, tak nieskończenie od niego większy, nie stworzył dzieła trwałego, bo mu na tych przymiotach zbywało; wielki człowiek Prus, państwa, które całe powstało z rozumu, wytrwałości i wyrachowania, umiał i zaczynać w porę i zatrzymywać się na czas. Nawet w nienawiści i w akcyi przeciw Francyi, umiał nie stracić tej mocy nad sobą; tracił ją tylko, kiedy chodziło o Kościół katolicki, i o Polskę. Kościoła nienawidził dziedzicznie, tradycyjnie, jako protestant zawzięty, choć może nie wierzący, jako wcielony duch tego państwa, które w Reformacyi powstało i w przeciwieństwie do Kościoła miało podstawę, siłę

główną, racyę bytu. Ale nienawidził go zwłaszcza jako tego pierwiastka, który wszechmocy państwa nie uznawał i jej przeszkadzał, który wyznawał i zabezpieczał niezawisłość ludzkiego sumienia od władz i rządów świeckich. Dopóki ten pierwiastek jest, dopóki żyje ten organizm i porządek duchowny, dopóty państwo w teoryi tylko jest najwyższą zasadą i jedynem prawem, Prusy w wywodach Hegla tylko widomem wcieleniem bóstwa, a idea państwa w rzeczywistości absolutną nie jest i nie będzie. Ztąd zasadnicze przeciwieństwo i nieubłagana nienawiść; ztąd pomysł (i nadzieja) dezorganizacyi, rozłożenia Kościoła w Niemczech. Pomysł dziwny u człowieka wielkiego, nadzieja dowodząca, że nie miał jasnego pojęcia o naturze i istocie siły, którą wyzwał do walki. Protestanci, jak syzmatycy rosyjscy, nietylko nie uznają Kościoła, ale nie rozumieją go zgoła. Zapomnieli już czem on jest; wyobrażają sobie, że to coś podobnego do ich niby duchownej hierarchii, którą ugiąć, przestraszyć, powolną uczynić tak łatwo. Z tego niezrozumienia wyniknęło wielkie złudzenie i wielki błąd ks. Bismarcka: nadzieja, że biskupów jednych zastraszy, a drugich pozyska, że przez zręczne wyzyskanie uczuć opornych dekretom Watykańskiego Soboru, rozdwoi, rozbije Kościół w Niemczech, i dojdzie z czasem do jakiegoś katolicyzmu niemieckiego, narodowego, państwowego, który przyjmie taki do państwa stosunek, w jakim żyją wyznania protestanckie. Walka była długa i zaciekła, prześladowanie systematyczne i bezwzględne, tylko nie krwawe. Skutek zawiódł sromotnie. Katolicyzm w Niemczech nietylko dał wspaniały przykład siły i wierności, ale sam w tej walce utwierdził się i rozrósł. Ze zręcznością godną podziwienia, umiał

książe Bismarck wycofać się z niewygodnego położenia, w które wepchnął się sam dobrowolnie; z głęboką psychologiczną znajomością natury ludzkiej, i tych poszczególnych natur z któremi miał do czynienia, przez pośrednictwo w sprawie Wysp Karolińskich, przez ukazywaną nadzieję jakiegoś wpływu i nacisku na Włochy, przez środki różne, stosowane i zmieniane zawsze podług osób i okoliczności, potrafił i do zgody z Kościołem dojść, i ostatecznie „nie pójść do Canossy“ — oprzeć tę zgodę na warunkach zapewniających państwu wpływ przeważny w sprawach Kościoła w Niemczech, na warunkach niesprawiedliwych i uciążliwych dla Kościoła, który przyjąć je musiał, żeby się od grożącego nieładu ratować. Wycofał się więc książe Bismarck zręcznie i szczęśliwie; ale niemniej wdał się w tę sprawę ani potrzebnie ani rozważnie, jedynie namiętnością swoją porwany.

Dla naszych usposobień polskich, trudnem to jest do zrozumienia, że wielkie mocarstwo na szczycie powodzeń i potęgi, że człowiek na czele tego mocarstwa stojący, ściga nienawiścią swoją i prześladuje kraj sobie poddany, tak mały, że mu zaszkodzić niema siły; że ten kraj służy za cel, w którym ta nienawiść godzi wszelkiemi pociskami, od kul największego kalibru, aż do szpilek i żądeł: broni, godnej swarliwych niewiast, nie mężczyzn, owadów nie ludzi, — cóż dopiero wielkich! Wszystko to przecież tłómaczy się logicznie i psychologicznie, naturą ludzką, naturą pruską, i naturą księcia Bismarcka. Jest naprzód wiekowa, dziedziczna, krzyżacka nienawiść do Polski; jest dalej to prawo, mocą którego człowiek (czy naród) przebaczy czasem krzywdy jakich doznał, ale nigdy tych, które drugiemu

zadał. Prusy pamiętają dobrze, co zrobiły Polsce; chciałyby zapomnieć, myślą, że zapomniećby mogły, gdyby ta Polska nie stała przed oczyma ich i świata. Trzeba zatrzeć jej ślady, trzeba zrobić, żeby to była ziemia niemiecka! Po kongresie wiedeńskim, i jeszcze po roku 1831, nie było tego popędu i hasła, i wtedy mówiło się w Polsce, że „pod Prusakiem jeszcze najlepiej.“ Ale kiedy dążność do zjednoczenia Niemiec a rozszerzenia Prus zaczęła się affirmować silniej za Wilhelma I, kiedy wcielona w księcia Bismarcka znalazła powodzenie nad wszelkie spodziewanie, wtedy sukces i siła podżegały namiętność, a namiętność wzajem oddziaływała na siłę, i obie razem zwróciły się przeciw Wielkopolsce. Skoro jest pod panowaniem pruskiem, więc jest i być musi ziemią pruską, niemiecką! Żądza narodu schodziła się i zgadzała z wyrachowaniem polityków; wspólnemi siłami zatoczyły one wielkie działa i zaczęły z nich walić. Po raz pierwszy rząd jakiś, rząd cywilizowanego społeczeństwa, oświadczał jawnie i głośno w sejmie, że jest pewna część jego poddanych, spokojnych, nie czyniących nic przeciw prawu, przeciw której potrzeba mu praw osobnych, wyjątkowych; po raz pierwszy przyznawał z otwartością cyniczną, że pewnej części swoich poddanych chce się pozbyć; a sejm tego cywilizowanego społeczeństwa i państwa, kwiat i wybór tej ludności chowanej *in Gottes Furcht und edler Sitte*, przyznawał, że to słusznie i dobrze! Wiara traktatów, pierwszy obowiązek wszelkiego rządu, którym jest opieka nad prawami poddanych, to wszystko przedawnione przesądy. Państwo ma zawsze prawo robić co mu się podoba, a zwierz mocniejszy ma prawo pożreć i strawić słabszego. A więc w imię tej zasady,

walka we wszystkich kierunkach i na wszystkich polach. W tej ogólnej walce z Kościołem, którą przezwano jak na urągowisko walką o cywilizacyę, Wielkopolska miała swoje miejsce osobne, i osobne przy zawarciu ugody. Dla niej jednej Rzym nie zdołał otrzymać nawet tych (złych) granic wolności, jakie rząd przyznał katolikom z całej przestrzeni państwa. Język? Ten nie śmiał się nawet odezwać; konduktor na kolei grubiaństwem odpowiada temu, ktoby do niego przemówił po polsku, a małe dzieci uczyły się pacierza i katechizmu w języku, którego nie rozumieją. Tem lepiej: nie nauczą się pacierza i katechizmu i łatwiej zostaną protestantami, albo cywilizowanymi ludźmi bez wiary i przykazań! Urzędnik, sędzia, nauczyciel Polak, jeżeli chce mieć miejsce i utrzymanie, niech idzie do Hannoweru albo do Westfalii — tu ziemia i ludność ma być niemiecka, więc miejsca i posady tylko dla Niemców. Ale to wszystko jeszcze nie skutkowało. Prusy także jak Rosya wołały: „Precz z tą przeklętą plamą“ — a ta polska „plama“ była zawsze i szpeciła piękną jednolitość wielkiej niemieckiej ojczyzny. Trzeba na nią użyć środków dzielniejszych, kiedy zwykłemi wyprać się nie daje. I widziało się wtedy rzecz w swoim rodzaju jedyną: monarchę, starca nad grobem, człowieka mającego wielką kartę w historyi, który więc swoją siwiznę, swoją sławę, swoją koronę (o duszy już nie mówiąc) powinien był szanować, a stary już bardzo i opanowany silniejszą od swojej wolą, nie wstydził się własnemi usty ze swego tronu zapowiedzieć posłom swego kraju, że będzie potrzebował ich pomocy i uchwał do dokonania zagłady jednej części swoich poddanych (w styczniu 1886). Cały program tępienia, obejmujący

i Kościół, i szkoły, i stowarzyszenia, i dziennikarstwo, i wreszcie posiadanie ziemi! a mowy kanclerza były obszernym, otwartym i cynicznym komentarzem do zapowiedzi cesarza. W ślad za tem poszły wyjątkowe środki przeciw Polakom, raczej nowa ich emisya, jak rozwiązanie stowarzyszeń polskich uczniów w Niemczech, przenoszenie urzędników i nauczycieli, zakaz seminaryów w polskich dyecezyach, wyniesienie Niemca na arcybiskupią stolicę Gniezna i Poznania, wypędzenie Polaków, rosyjskich lub austryackich poddanych (to cokolwiek dawniejsze) i wreszcie kredyt stu milionów marek na wykupywanie ziemi od właścicieli polskich... Istne wyścigi między Prusami a Rosyą, jakoby zakład, kto lepiej, kto prędzej da sobie radę z Polakami; a przykład dany przez jeden rząd, naśladowany był, jego wynalazek doskonalony przez drugi. Rosyjski ukaz zabraniający Polakom i katolikom nabywania ziemi, był dla Prus wzorem, z którego wykształciły wydalenie Polaków i swój program kolonizacyjny. Pruskie wydalania posłużyły za wzór Rosyi; tylko naśladowca przekroczył zakres i zamiar wynalazcy, a wynalazek zastosował i do Niemców także.

I tu, jak w Rosyi, ani prawo przyrodzone, ani wiara traktatów, ani względy ludzkości, czy chrześcijańskie sumienie, nie znaczą nic; znaczy tylko jedna rzecz, *racya stanu*. Dla niej popełnia się wszystko, i ona z wszystkiego z góry rozgrzesza. A jednak Prusy, uczone, filozoficzne, i niegdyś w chrześcijańskich pojęciach chowane, więcej niż Rosya obowiązane są znać, co państwo każde winne jest swoim poddanym: wiedzieć, że kiedy tych obowiązków nie pełni, traci swoje uzasadnienie, swoje uprawnienie, swoją racyę bytu.

Państwo, które gwałci przyrodzone prawa poddanych, pozbawia się dobrowolnie swego charakteru prawnego państwa. Takiem pogwałceniem prawa, było rugowanie polskiego języka ze szkół przedewszystkiem i z sądów. Prusy wiedzą doskonale, że naprzód każdy ma prawo mówić językiem jaki mu Bóg dał, że dalej męką i umyślnem ogłupianiem dzieci jest nauka w języku którego nie umieją, że wprost już zamachem na ich sumienie i dusze jest nauka religii w języku niezrozumiałym; że sądy w języku, którego strona nie rozumie i którym nie włada, to urąganie sprawiedliwości, ale nie sprawiedliwość. A przecież Prusy to wszystko robiły, bez prawa nawet, prostym tylko administracyjnym porządkiem. Wiedzą one i to, że każdy człowiek ma prawo do swojej osoby i jestestwa, że on tylko wie i stanowi o tem czem jest, że każdy ma przyrodzoną wolność swego sumienia i wiary. Ale w pruskich szkołach dziecko z niemieckiem nazwiskiem, choć jego rodzice świadczą że są Polakami i katolikami, zapisane bywa jako dziecko niemieckie i do protestanckiego oddziału szkoły wliczone. Ze wszystkich pruskich gwałtów, ten jest chyba najbardziej krzyczący. Obok tego wszystko blednie i wydaje się mniejszem; a jednak w każdem takiem rozporządzeniu czy prawie ile jest niesprawiedliwości ile krzywd i nieszczęść, i jaka dla polskiej ludności pobudka do nienawiści i rozpaczy! Gdyby nic więcej jak systematyczne zamykanie przed Polakami wszystkich urzędów, wszystkich zawodów, wszystkich uczciwych sposobów dojścia do stanowiska i losu, to już mogłoby wystarczyć, żeby tę ludność (i to w jej części oświeconej, myślącej, zdolnej do cy-

wilizacyjnej pracy), utrzymywać w namiętnej do siebie nieprzyjaźni.

Jednak na oczywistość ślepym być nie można, a sprawiedliwość każe przyznać, że jest w Prusiech grunt cywilizacyi, że było w nich chrześciańskie niegdyś wychowanie, które użycia wszelkich środków jednak nie dozwala. W ich prześladowaniu religijnem może być otwarta droga do upadku i rozkładu Kościoła, ale niema przymusu do przechodzenia na ich wiarę; w ich prześladowaniu i tępieniu narodowości jest gwałt i ucisk, ale nie w takich rozmiarach przecie; a przeciw niektórym ich środkom, naprzykład przeciw kolonizacyi, my bronić się możemy, jeżeli nam nasze własne wady na to pozwolą. Oni korzystają z położenia, ale do sprzedaży nie zmuszają.

Tych środków wielkich, strzałów z dział Kruppa, używał przeciw nam rząd i naród zgodnie *communi consensu*. Szpilkami i żądłami kłuł nas, obelgami i urąganiem upokarzał (jak mniemał) książe Bismarck, wierny w tem swojej pasyi i swojej naturze — małej, przy wielkich zdolnościach. Ale i rząd, i naród, i ten ich wielki człowiek i do celu dotąd nie trafili, i może nie postępowali mądrze. Prusom nie lepiej jak Rosyi udał się ich plan i system tępienia polszczyzny. Prawa wyjątkowe są, a pomimo nich posłów polskich w Berlinie więcej niż bywało; od pacierza i katechizmu dzieci polskie uczą się wszystkiego po niemiecku, a ducha polskiego we wszystkich warstwach ludności jest więcej niż było; wygnano tysiące robotników i kupców, a tymczasem ludność i zamożność polska wzrasta w miastach, a Niemcy niedawno jeszcze wyłącznie prawie w posiadaniu handlu i rzemiosł, dziś ubożeją i z Po-

lakami niezawsze wytrzymują współzawodnictwo. Brak biskupa miał sprowadzić rozprzężenie Kościoła; arcybiskup Niemiec miał urażonych w narodowem uczuciu Polaków zniechęcić do Rzymu? — Księża rządowi znikli bez śladu, jak żyli bez wpływu i powagi, księża dobrzy zepsuć się nie dali, a upragniony arcybiskup Niemiec ledwo zasiadł na swojej stolicy, wszedł w spór z rządem o obsadzenie probostw, i dowiódł tem, że nie krew polska, ale istota Kościoła z tym rządem w zgodzie być nie może. Kolonizacya, prawda, w przymierzu ze złem majątkowem położeniem jednych, a z lichym charakterem innych, osiągnęła skutki dość znaczne. Ale i ona z każdym rokiem jakoś postępuje wolniej, a w nas uczucie obowiązku rośnie, utrzymanie ziemi staje się regułą, do której stosuje się tryb życia, przyzwyczajenia, nagina się sama polska natura. Skutek więc bardzo świetny dotąd nie jest. A czy niema skutków dla Prus złych? Zawsze ludzie myślą, że ten ucisk najcięższy, który ich gniecie, i Wielkopolanie się mylą, kiedy doprowadzeni do rozpaczy przez Prusaków, mówią, że już chyba Moskale mniej źli. Mylą się — ale tak myślą. A czy jest w interesie Prus, żeby tak myśleli? czy na przypadek wojny, która niemożliwą nie jest, bardzo będzie wygodnie i pożytecznie mieć tak blisko Berlina ludność, która tego nieprzyjaciela ujrzy bez wstrętu, może z pewnym rodzajem przychylności? a nieprzyjaciel w chwili wojny może się stać zręcznym, i o tę przychylność się starać. Czy ucisk i krzywdy ze strony Niemców, nie mogą w polskich umysłach i sercach obudzić żądzy odwetu, i tego uczucia, że od tego pangermanizmu można i należy bronić się panslawizmem? Tępiąc Polaków i przerabiając ich gwałtem na

Niemców, Prusy mogą sobie wychować zamiast *Polaków, Słowian* — a co na tem zyskają? niech obliczą. Ale nie trzeba i tego. Niemcy podobno więcej od innych społeczeństw europejskich noszą w sobie zarodów socyalizmu. Czy jego siły nie boją się zwiększyć całym zastępem Polaków skrzywdzonych, pozbawionych urzędu, posady, przyszłości? Od rozpaczy do nienawiści krok bliski. A polscy rzemieślnicy i wyrobnicy tysiącami nagromadzeni w westfalskich i saskich prowincyach, czy z tej nienawiści do rządu (którą sam w nich wypiastował), nie mogą przejść w nienawiść społeczeństwa? Gnębiony i uciskany Polak może w innej formie okazać się groźniejszym nieprzyjacielem.

Jest w tem nauka wielka, i pociecha zarazem, że te środki tak wielkie a tak niegodziwe, nie wydają spodziewanych skutków. I to nie w samej Wielkopolsce tylko, ale wszędzie podobno w granicach i dziejach nowego niemieckiego cesarstwa. Zbyt wiele złego zrobiło się Francyi, a przez to skazało się ją samochcący na szukanie odwetu i rosyjskiego przymierza, siebie na tego przymierza niebezpieczeństwo. Wyciągnęło się z tej Francyi pięć tysięcy milionów, a dziś skarb niemiecki w stanie mniej zasobnym i porządnym, niżli bywał pruski. Nie szanowało się praw cudzych, a dziś społeczeństwo tym przykładem nauczone traci świadomość i poszanowanie prawa; sławna niegdyś i niezaprzeczenie czcigodna niezawisłość pruskich urzędów i sądów, zaczyna należeć do wspomnień przeszłości, czy do przestarzałych przesądów. Nie chciało się znać i szanować żadnych zasad, prócz państwa: dziś ma się więcej niż w całej Europie ludzi, którzy twierdzą, że i ono także zasadą nie jest, a jest wrogiem. Dziwnie nawet i rzadko

prędkim jest ten proces historyczny, to następstwo złych skutków po złych przyczynach, wzrost zepsutego plonu z zepsutych posiewów. Przypomnienie to i znak widomy, że jest ten, kto wszystko widzi i wymierza sprawiedliwość. Dlaczego tu w Niemczech przypomina ją rychło, jak żeby chciał ostrzedz? dlaczego gdzieindziej chowa się i daje mniemać jakoby pozwalał i pochwalał? dlaczego Bismark upada bez chwały, bez wielkości, bez hałasu nawet, a cesarz rosyjski swoje ocalenie w Borkach może brać za sankcyę swojego dzieła? W każdym razie historyczna sprawiedliwość już spełniona na jednych, lub dana im do poznania, jest wśród zamętu naszego świata otuchą i pokrzepieniem na duchu, jest zadośćuczynieniem dla sumień za zgorszenia na które wzdrygać się muszą, jest stwierdzeniem siebie samej, a przypomnieniem, że sprawiedliwość skoro jest, to nie dla jednych tylko.

Upadek Bismarcka był taką satysfakcyą, a zarazem nauką dla ludzkiego sumienia — i był nią właśnie przez to, że był tak niesławny, nie wielki. Gdyby po jakiem nieszczęściu żelazny kanclerz był skończył boleśnie, jak Napoleon, gdyby oddalony był prostą pychą i niewdzięcznością swego cesarza, postać jego i upadek po wiekach jeszcze byłyby robiły wrażenie tragiczne i wielkie. Ale tego poskąpił mu sprawiedliwy los, a w upadku, jak w naturze jego, nie było wielkości duszy. On nie runął, nie upadł nawet: on się prozaicznie i powszednio przewrócił. Nie wielkie wypadki, nie wielkie zamiary lub zasady sprowadziły różnicę pomiędzy nim a jego cesarzem, tylko te niższe i mniejsze własności ludzkiej natury, humor, temperament, upór, nałóg rozkazywania, przed którym cesarz ustąpić nie

mógł i nie był powinien. I w tem owa sprawiedliwość na nim wymierzona, że on, wcielenie pruskiego ducha, przed tym duchem musiał ustąpić; że tej zasadzie, temu bóstwu, któremu służył, państwu, musiał być złożonym na ofiarę. W tem zaś pociecha słodka dla nas wszystkich, cośmy nie wierzyli w prawdziwą wielkość bez ludzkości i szlachetności, że nizkość jego duszy okazała się w tym wypadku w całym blasku swojej... nie mamy na to polskiego słowa.... *Gemeinheit*. Nie żądamy, żeby Bismark odchodził od władzy jak Wolsey Szekspira, z głębokiem uczuciem marności tego świata i poczynającem się badaniem własnego sumienia. Ale jak się zajmowało wielkie w świecie miejsce, to trzeba przynajmniej zejść z niego poważnie; a jak się żyło w wielkim świecie, to trzeba przynajmniej odejść z dobrym smakiem, jak człowiek dobrze wychowany. Ale wywodzić skargi przed lada wędrownym dziennikarzem, ale drukować je po gazetach, ale znajdować ulgę i przyjemność w przytykach i przekąsach na cesarza, dawać taki przykład poszanowania korony, jak się było całe życie wielkim monarchistą i wielkim sługą Hohenzollernów — nie! tak odchodzi odprawiona pokojówka, ale nie kanclerz! i tak dalibóg nie odszedłby żaden Polak. I w tem także słuszna Nemezis: i przykład, że kto nic w świecie szanować nie chciał, ten i siebie samego szanować nie umie.

W tej nienawiści, z jaką gnębił Polaków książe Bismarck, w tem okrucieństwie mocniejszych względem słabego, jest jedna strona nie dobra, ale znacząca i godna uwagi. W czasie kiedy sprawa polska jako taka zeszła z pola zupełnie, kiedy nikt o niej nie

mówi, a zapewne mało kto i pamięta, prześladowanie dowodzi, że pamiętają o niej dobrze, że ją za rzeczywistą i wielką sprawę uważają nieprzyjaciele. Nie gnębi, nie dręczy, nie miażdży się dla przyjemności tylko ludzi lub plemion obojętnych, w których się wartości, siły, przyszłości nie widzi. Złym, nieludzkim, srogim, rząd wszelki i naród bywa zazwyczaj względem takich tylko, których ma za niebezpiecznych dla siebie, których się boi. Ukazy rosyjskie, wyjątkowe prawa pruskie, sławne i śmieszne urzędowe twierdzenia księcia Bismarcka o niebezpiecznej sile polskiego żywiołu i grożącem spolszczeniu ludności i ziem niemieckich, wszystko to świadectwa, że ta kwestya, ogłoszona za wewnętrzną tylko i za niebyłą, sławnemu kanclerzowi taką się nie wydawała. Kiedy ani wypadki, ani traktaty, ani zabiegi polskie wreszcie, nie utrzymywały ogólnego historycznego stanowiska i charakteru tej kwestyi, przyznawało i stwierdzało ten charakter i to znaczenie Polski postępowanie Rosyi i Prus względem niej.

Czy z ustąpieniem ks. Bismarcka zmieni się ten stosunek? W każdym razie przed ustąpieniem jeszcze zaszła w naszem postępowaniu pewna zmiana, którą uważamy za szczęśliwą i zręczną. Koło polskie w Berlinie porzuciło dawne stanowisko zasadniczych protestacyj, oświadczyło się z gotowością czynnego, a pod pewnemi warunkami nawet życzliwego uczestnictwa w sprawach państwa, i oświadczenia tego dotrzymuje. Od lat paru wskazywały tę drogę sporadyczne głosy czy pism, czy ludzi politycznych, a opinia zaczęła się z nią stopniowo oswajać. Zwrot był i roztropny i względem nieprzyjaciela dowcipnie złośliwy. Roztropny dlatego, że biernością i abstencyą nie dochodzi się nigdy

do niczego, traci się tylko wprawę i zdolność działania, a nieraz dobrą sposobność opuszcza; zręczny i złośliwy był dlatego, że wytrącał z rąk ks. Bismarka ostatni pozór prześladowania, zmuszał go niejako do otwartego wyznania, że prześladuje nie zasadniczych i nieubłaganych przeciwników, ale poprostu Polaków jako takich. Jemu to nie zawadzało naturalnie, ale na innych jednak pewne wrażenie robiło, a dziś już jest rzecz widoczna, że miało pewne skutki praktyczne. Jak wpłynie na nasze losy zmiana panowania i osoba cesarza Wilhelma II? Młody, śmiały, przedsiębiorczy, nie okazuje on dotąd ustalonej równowagi, ale okazuje naturę niezwykłą, i szanowne w panującym poczucie, że powinien o wszystkiem wiedzieć, złe, jakie jest, usuwać. Może za wiele na raz obejmuje i poczyna, ale niemożna nie cenić w nim tego, że się do wszystkiego poczuwa. Jakie jest jego uczucie i usposobienie względem nas? Namiętności, nienawiści nie dał poznać ani słowem ani uczynkiem; a rząd w jego ręku jest cokolwiek łagodniejszy i względniejszy niż był dawniej. Po ustąpieniu zaś ks. Bismarcka, czy Polacy trafnie czy mylnie dostrzegli zapowiedź lepszej woli w pierwszem zaraz przemówieniu jego następcy, sami okazali swoją niejeden raz, a najwyraźniej, urzędownie niejako, w oświadczeniu hr. Józefa Mielżyńskiego w izbie panów, w mowie posła Komierowskiego, i w głosowaniu za wnioskami rządowemi w sprawach wojskowych. Dalszym krokiem na tej politycznej drodze, była mowa p. Kościelskiego i głosowanie Polaków w sprawie wydatków na marynarkę (1891). Kroki te nie pozostały bez skutku, bez odpowiedzi z drugiej strony. Nominacyę hr. Willamowitza-Möllendorffa, którego Polacy w Księstwie uważają za

człowieka prawego a nawet szlachetnego, na naczelnika rządu w Poznaniu, mimo, że nie podjął się roli prezesa komisyi kolonizacyjnej, przyjęto tam jako znak i akt dobrej woli młodego cesarza; a jest mniemanie i nadzieja, że ten nie będzie ostatnim ani jedynym. Czyż potrzeba tłumaczyć, że dobra wola byłaby w tym razie i dobrą polityką? Nie mamy ani złudzeń, ani przesadnych żądań: ale jak dla siebie bylibyśmy radzi, tak ze stanowiska pruskiego rządu i państwa uważalibyśmy za rzecz mądrą, gdyby między tem państwem a Wielkopolską nastały mniej nieprzyjazne, sprawiedliwsze stosunki. Jako oznakę tej zmiany, witamy też te ulgi, które przyniosły ostatnie tygodnie. Drobne są, podyktowane najprostszem tylko uczuciem sprawiedliwości, politycznego stanowiska rządu nie zmieniają, ale po tem co było, dowodzą zmiany w jego usposobieniu, a dla nas są rzeczywistem dobrem. Prywatnie tylko może wiejski nauczyciel uczyć dzieci polskiego języka, ale jednak wolno mu tego języka uczyć, i to w izbie szkolnej. Religia może być uczoną po polsku, nawet w godzinach szkolnych. Wściekła nienawiść, mania prześladowania i tępienia Polaków, ustępuje miejsca uczuciom więcej ludzkim, godniejszym cywilizowanego społeczeństwa, godniejszym potężnego państwa, godniejszym monarchy znającego swoje stanowisko i swoją powinność.

Nie można też odmówić uwagi, a do pewnego stopnia nawet i wagi, sposobowi, w jaki pisma niemieckie wyrażają się o Polakach i stosunku Państwa do nich. Kiedy jedne natchnione i ziejące zawsze tąsamą zawziętością, kwilą sentymentalnie lub lamentują proroczo nad zgubnem zaślepieniem rządu, który zdaje się Po-

lakom folgować, inne (a znaczące i wpływowe) przyznają, że rząd mógł się dopuścić „pomyłek“, a Polacy mogli mieć słuszność i prawo za sobą.

Jako bardzo zaś nieroztropne i niezręczne, a w skutkach szkodliwe, uważamy te ze strony polskiej kroki lub słowa, które powodowane uczuciem dobrem, ale niemającem mocy nad sobą, wywołują ze strony rządu pruskiego oświadczenia lub kroki wstecz, po jednym najmniejszym kroku naprzód.

Cokolwiek będzie dalej, pragniemy i życzymy nie sobie tylko, ale Prusom także, i to szczerze, żeby obie strony wytrwały na tej drodze, na której postawiły pierwszych parę kroków. W tem przeciwieństwie dwóch cywilizacyj, które choćby do otwartej walki nie doprowadziło, jest, i być nie przestanie — cała nasza historya, całe nasze wychowanie, cała nasza cywilizacya stawia nas koniecznie po stronie tych, z którymi połączeni jesteśmy rodzajem naszej historyi i naszej cywilizacyi. A kiedy te wiekowe związki łączą nas ze światem zachodnim, to i naturalny takich związków wynik, interes, z tym światem łączyć nas może i powinien. Dla polityków pruskich jest w tym fakcie materyał do poważnego zastanowienia się; może jest i powód do roztropnego postanowienia.

# STOSUNEK DO AUSTRYI.

„Niema przepaści, której polityka nie zdołałaby zapełnić“; przez najbardziej rozwartą zdołają się spotkać ręce, które wzajemna potrzeba ku sobie wysuwa; przez najgłębszą da się rzucić most, kiedy stojący na dwóch brzegach ludzie zbliżyć się chcą i potrzebują. Lat temu czterdzieści, przepaść największa dzieliła Polskę od Austryi; za wojny włoskiej nikt u nas nie życzył jej zwycięztwa, a w r. 1863 i 1864 mieliśmy do niej żal nowy i niemały, za naglą zmianę postępowania... — Dziś jakże inaczej! Polak mówi, że w Austryi tylko jest mu dobrze, z najszczerszego przekonania i uczucia życzy jej powodzenia, chwały, potęgi; Austrya nie szpieguje, nie więzi, nie boi się Polaków, i wierzy, że są jej nietylko *de facto* poddani, ale z przeświadczenia i woli oddani. Wspólne potrzeby, wspólne niebezpieczeństwa, utrwaliły ten związek, sankcyę dał mu czas i doświadczenie, rzeczywiste dowody wzajemnej dobrej woli; a początek dały mu może nieszczęścia, ta twarda szkoła, która uczy rozumieć i błędy popełnione w przeszłości i konieczności dzisiejszego położenia.

Dziwne są losy tego państwa w drugiej połowie naszego wieku. Po dwóch wojnach nieszczęśliwych, po

utracie posiadłości włoskich, i odwiecznego, dziedzicznego podstawowego stanowiska w Niemczech, po zmianie swojego prawa publicznego, po dokonanym rozdziale na dwa państwa połączone ale odrębne, Austrya musi znajdować się w stanie przejścia i przeobrażenia, a logicznie mogłaby, raczej powinnaby słabnąć, chylić się do stopniowego ale niechybnego upadku. Tymczasem wbrew tej logice, ona politycznie, ekonomicznie i militarnie ma się lepiej i stoi silniej niż po długich, a napozór tak świetnych i szczęśliwych rządach księcia Metternicha, niż przed wojną włoską i przed pruską. Jej stanowisko mocarstwa jest rzetelniej prawdziwe, rzeczywistsze, jej dobra sława i powaga w świecie nierównie większa i zdrowsza. Wtedy przy pozorach wielkiej siły, miała wewnętrzną niemoc taką, że węgierskiego powstania sama pokonać nie mogła, a stan jej skarbu równał się bankructwu; w Wiedniu miała rewolucyę, w prowincyach wielu życzenie, żeby się ta rewolucya udała; w Europie złą reputacyę państwa policyjnego, które się trzyma dynastyą tylko i armią, ale sił żywotnych nie ma. Teraz powtarzają wprawdzie zarozumiali i zagorzali patryoci rosyjscy, że to organizm spróchniały, a sam czas dokona procesu i sprowadzi rozkład; rewolucyjna partya wszelkich krajów czy narodów, zgrzyta zębami i zaciska pięści na monarchię prawdziwą i starą, jeszcze bardziej na taką, która szanuje i ubezpiecza zasady społecznego składu i porządku; ale oprócz tych, nie ma w Europie nikogo, ktoby nie rozumiał, że byt i potęga Austryi, jest wspólnym i najistotniejszym interesem wszystkich, warunkiem i rękojmią równowagi sił, bezpieczeństwa innych, i cywilizacyi samej. Nieprzyjaciół — oprócz Rosyi i rewo-

lucyi, a to pojęcia i siły prawie równoznaczne — Austrya nie ma; nie dlatego, że Prusy i Włochy już jej odebrały co chciały, lub że dawne współzawodnictwo z Francyą skończone, ale że wszyscy rozumieją, jak im jest koniecznie potrzebna, a wszyscy z uszanowaniem widzą, jak sobie mądrze i skutecznie radzi, jak z położenia opłakanego dźwiga się własnym rozumem i o własnej mocy.

Położenie jej niemniej najeżone trudnościami: nawa państwa pływa zawsze między Scyllą i Charybdą, i wymaga niezmiernej czujności i biegłości u steru, żeby o jednę lub o drugą nie zawadziła. Trudności te, skutki dawnych błędów i dawnego krótkiego widzenia, to może także znak i nauka historycznej sprawiedliwości. Należało sto lat temu rozumieć, że rozszerzenie Rosyi i wdarcie się jej w Europę, jej sąsiedztwo, musi z czasem stać się groźnem dla państwa tak pełnego słowiańskich plemion i języków; należało (a można było po Fryderyku) znać pożądliwość pruską i przewidywać, że ona niełatwo się nasyci; należało w roku 1854 i 1855 zabezpieczyć dolny Dunaj i Bałkany, gdzie Francya nigdy niebezpieczną stać się nie mogła. Tego zaniechano, tego nieumiano zrozumieć, i zęby synów cierpną dziś po kwaśnej jagodzie, którą zjedli ojcowie. Ogromnym łukiem galicyjskiej granicy, leży na Austryi Rosya całym swym ciężarem, i do tej granicy wojska swoje ustawicznie choć cicho przysuwa, a drugim łukiem od południa okrąża Węgry, obławą swoich agentów i siecią swego słowiańskiego braterstwa; w sieć tę chwyta i katolików nawet, Kroatów i zachodnich Czechów; w Czarnogórze ma placówkę, z której zagraża Bośnii, a drobne naddunajskie państwa, niby wysunięte przeciw niej oszań-

cowane obozy, jedne jak Bulgarya, nie zdołałyby bronić się długo, inne jak Serbia, poddałyby się łatwo i chętnie.

Przeciw temu niebezpieczeństwu, środkiem niezaprzeczenie najlepszym, koniecznym, jest przymierze z Niemcami i Włochami, z temi właśnie, co Austryi zadali ciosy największe, upokorzenia najboleśniejsze. I znowu polityka zapełniła przepaść, a tak głęboką i wielką mało kiedy miała do zasypania. Ale aliant przemyślny chcąc Austryi zależnej od siebie, nie chce zbyt spokojnej i ubezpieczonej, woli uwikłaną w stosunki zagmatwane i grożące zawsze możliwym zatargiem: więc nad Dunajem „własnych interesów nie ma, z dobrego serca tylko jak na uczciwego faktora przystoi, życzliwy jest interesom austryackim, ale mimo tej życzliwości może się od tych interesów cofnąć“, jeżeli mu to wzgląd na własne sprawy doradzi. Sprzymierzeniec drugi, przy zdarzonej sposobności może uznać się nie dość mocnym, by utrzymać w karbach wzburzone namiętności narodu i może będzie zmuszonym wyzwalać „niewyzwoloną Italię“. Przymierze konieczne jest zarazem przymierzem niedostatecznem; utrzymanem być musi, a warunkiem jego utrzymania jest powolność względem sprzymierzeńca mocnego, stosowanie polityki zagranicznej i ekonomicznej do jego widoków, niemożność inicyatywy. W takim stanie rzeczy, jedna zostaje droga postępowania: gotowość wojskowa i skarbowa na wszelki wypadek i spokój posunięty do nieruchomości.

W położeniu wewnętrznem dwa wielkie parlamenty i kilkanaście mniejszych sejmów, w każdym z nich stronnictwa i dążności różne, narodowe, społeczne, nawet religijne; rosyjska propaganda mniej lub więcej

ukryta w krajach słowiańskich, i stosunkami postronnemi nałożona konieczność ogromnych wydatków na wojsko, ogromnych podatków. Oto przeciwności, z któremi Austrya ma do walczenia.

Jakim sposobem daje im radę? czem się dzieje, że te dwa parlamenty, te kilkanaście sejmów, tak różnorodne, złożone z żywiołów, dążności, namiętności tak często sprzecznych, mogą przecież godzić się w jednym celu i usiłowaniu, którem jest całość i bezpieczeństwo państwa? Tem, że każdy z tych ludów i krajów, każda z tych dążności widzi zabezpieczenie i przyszłość dla siebie w tem państwie. Węgrzy widzą, że bez Austryi zatonęliby w morzu Słowiańszczyzny; Niemcy, że bez wielkiej Austryi, zeszliby do znaczenia małej prowincyi w cesarstwie niemieckiem; Słowianie południowi, że bez tego środkowego punktu i stanowczego głosu, który jest w Wiedniu, byliby wystawieni na dotkliwe skutki węgierskiej przewagi; Polacy, że tylko w Austryi mają język, i prawa, i warunki życia, i w niej tylko obronę przed takim losem, jaki ich nęka pod rządem rosyjskim; Rusini, ci którzy o swoją osobną narodowość dbają, że tylko tu mogą ją zachować i rozwijać; Czesi nawet, o ile nie odurzeni paroksyzmem istotnej czy udanej gorączki, wiedzą, że gdyby nie było Austryi i to potężnej, groziłoby im zniemczenie. Ta świadomość sprawia, że żywioły różnorodne i sprzeczne, które mogłyby mieć rozprężającą odśrodkową dążność, ciążą przecie do środka; i kiedy z natury swojej mogłyby być pierwiastkiem rozsadzającym państwo, one z przekonania i postanowienia spajają i utrwalają jego jedność. Austrya jest dziś jedynem w Europie państwem, które daje widok i przykład dobrowolnego wspólnego bytu

i pożycia plemion różnych. Mnogość i różnorodność jej pierwiastków składowych jest niewątpliwie powodem względnej słabości jej organizmu, w porównaniu do organizmów jednolitych; ale ten powód słabości jest przecież także pierwiastkiem siły, a co w jednym kierunku Austryi odbiera, to jej nagradza w drugim. Nie jestto rzecz mała, jest owszem w dzisiejszej Europie zupełnie wyjątkowa, ta mnogość narodów i interesów różnych, które się w środkowym punkcie skupiają i łączą, które wiedzą, że na utrzymaniu całości zależy im koniecznie. Piękny to nawet przykład i nauka dla świata; a widzimy, że odkąd on jest dany, odkąd te wszystkie ludy, nieraz między sobą zwaśnione i sprzeczne godzą się przecież i ze swoich żądań osobnych zawsze coś ustąpią i spuszczą, żeby jedności państwa nie osłabić, od tego czasu powaga Austryi w świecie, uszanowanie dla niej, podniosły się bardzo znacznie, a jej materyalna siła nie upadła, lecz owszem urosła i wzmogła się także.

Cesarstwo niemieckie było przez długie lata skupione i niejako wyobrażone w jednym człowieku, w ks. Bismarcku; cesarz rosyjski łączy w swojej osobie wszystkie instynkta i namiętności dzisiejszej Rosyi. Ten nowy porządek rzeczy w Austryi, to jej przekształcenie się na lepszą i mocniejszą, ma także reprezentanta jednego, w którego duszy i umyśle odbyła się ta wielka przemiana, to zrozumienie trafne natury i potrzeb państwa, to postanowienie śmiałe, żeby do nich zasady i praktykę rządów stosować — a w którego głowie i ręku schodzą się te wszystkie warunki dzisiejszego bezpieczeństwa, przyszłego rozwoju poczętego dzieła. Historya mało wskaże panujących, którzyby stanowisko swoje

pojmowali szlachetniej, cnotliwiej, jak cesarz Franciszek Józef, a przed Bogiem i względem swoich poddanych tyle mieli zasługi. Czterdzieści i trzy lat panowania, a w nich nieszczęść i boleści bez miary; ofiary z siebie, zwycięstwa nad sobą, tyle i więcej niżeli ciosów. A po każdym z nich, ten wielki charakter podnosił się wyżej, dźwigał się w górę w coraz jaśniejszym blasku cnót budujących — i skutecznych — uczucia obowiązku, wytrwałości i męztwa, sprawiedliwości i dobrej woli, zapomnienia o sobie. Zaprawdę, to on chciał i on sprawił, i on sprawia dalej, że jego monarchia odradza się i krzepi, że staje się tem, czem w myśli Bożej i w porządku rzeczy państwo być powinno; on kamień węgielny tej budowy, której cementem spajającym była jego myśl, jego wola, jego praca, jego przykład, jego cnota — i nieraz zapewne jego dla ludzi niewidzialne, ale bohaterskie z sobą samym walki i gorżkie łzy. Zasługi tego żywota nie mogą chyba zostać bez nagrody i skutku. Niepowodzenia i nieszczęścia były niezawodnie skutkiem dawnych błędów, położenia, jakie zgotowali Austryi nieopatrzni poprzednicy cesarza, może zadośćuczynieniem za ich winy; ale z pod niepowodzeń i trudów tego żywota, wygląda przecież jego nagroda, jego skutek: sukces rzeczywisty, i ufamy, że trwały; ten postęp wewnętrznej i świadomej siebie jedności, na której Austryi cesarza Józefa, cesarza Franciszka, cesarza Ferdynanda zbywało.

Wiemy dobrze, że pojęcia i zamiary cesarza z jednej strony, przekonania i dążności jego wiernych poddanych z drugiej, nie objęły jeszcze wszystkich umysłów; a jak w sferach rządzących dawne tradycye Metternicha i Bacha, tak u rządzonych dawne niechęci

do Austryi jeszcze się tu i owdzie plączą. Ale zwrot niemniej jest dokonany, utrwala się z każdym rokiem, i z każdym także objawia i wypłaca się widocznemi dotykalnemi dobremi skutkami i postępami. Dowodzi tego choćby ta podwojona energia, z jaką tajne rewolucyjne, a po części postronne siły i wpływy, starają się spokój Austryi zakłócić, a ustaleniu się jej równowagi przeszkodzić. Równocześnie jak na komendę wzburzenia młodoczeskie, Kosutowskie reminiscencye w Węgrzech, rozruchy robotników w Wiedniu, zabiegi irredentyzmu w Tryeście, w Galicyi nieokreślone socyalne czy rosyjskie z polskim pozorem pokusy na młodzież. Musi Austrya nabierać sił, musi u jej przeciwników być obawa, że wzmocni się zupełnie i na długo, kiedy rozpoczęli taką przeciw niej głuchą ale widoczną i dość systematyczną kampanię. Nowy w tem trud, nowa walka i zwłoka w stanowczem ustawieniu się czynników składowych do równowagi. Ma zaś Austrya tradycyjne sposoby postępowania, tradycyjne sekreta — a może tradycyjne błędy — które jej stan wewnętrzny, sam przez się dość zawiły, plączą i utrudniają, zamiast go uprościć. Skutek to może tej wrodzonej ostrożności, która jest jej cechą, ale której jak wszelkiej rzeczy dobrej, nie należy nadużywać. Troskliwa (żeby nie rzec lękliwa) dbałość o to, by żaden z pierwiastków i czynników składowych nie wzrósł zbytecznie w siłę, żeby żaden system polityczny nie wziął góry stanowczo i trwale, może się nieraz przydać jako wybieg i sposób; ale gdyby miała sama przez się być systemem i regułą postępowania, to na długo wystarczyćby nie mogła, bo jest ujemnej i negacyjnej, a nie affirmacyjnej i działającej natury, i mogłaby rządowi i państwu sprowadzić

niemałe trudności. Obecne naprzykład, wynikające z wzrostu różnych skrajnych, lub odśrodkowych żywiołów i dążności, w Czechach i w krajach niemieckich, są może skutkiem tego zbyt zręcznego, zbyt ostrożnego i dyplomatycznego utrzymywania równowagi między różnemi siłami, które w złym razie mogłoby zachwiać równowagą rządu samego.

Jest druga w naturze Austryi słaba strona, pochodząca może także z tej zbytniej tradycyjnej ostrożności, która bywa niekiedy nieśmiałością, aż do chwili, kiedy pod wpływem silnych wrażeń staje się czasem śmiałością zbyteczną i porywczą. Czy w stosunkach postronnych mianowicie, są jakie świadome widoki, drogi i plany? Potrójne przymierze: tak! Ale ono z natury rzeczy może być środkiem tylko, nie celem; a po za niem, czego się chce? do czego się dąży? co ma być metą i koroną politycznego działania? Prusy miały swoją myśl zjednoczenia Niemiec i tą myślą porwały Niemców, przykuły ich do siebie. Rosya ma dla swego narodu swój popęd zaborczy, dla innych blichtr słowiańskiej jedności, którym może łudzić i pociągać. W państwie złożonem z narodów wielu jak Austrya, nie może zapewne być takiej idei, któraby wszystkie te narody zapalała jednako i wszystkim dawała popęd, a obrona sama, instynkt zachowania siebie, choć potężny, nie może wspólnej wielkiej dążności zastąpić. Dążność taka tkwi w Austryi, ona ma sprawę i swoją własną i całego cywilizowanego świata; jest nią nie obrona tylko, ale i szerzenie zachodniej chrześciańskiej cywilizacyi. Misya i wzniosła i zrozumiała nawet dla mało oświeconych, i zdolna wstrząsnąć uczuciem, a rozpalić wyobraźnie. Ale czy równie dobrze jasno świadoma, jak

przyrodzone warunki pomyślnego stanu wewnętrznego i służące po temu środki? Stanowisko Austryi w sprawach słowiańskich i tureckich, daje niejaką otuchę, że tak jest; a zatem pozwala i przypuszczać, że się ta świadomość rozwijać i dojrzewać, ta droga przyszłości coraz wyraźniej będzie rysować.

Dowodem i miarą tego przeobrażenia i odrodzenia Austryi, jest po Węgrach może najbardziej Galicya. Kraj przed laty najbardziej podejrzywany przez rząd centralny, a nienawidzony i gnębiony przez jego organa, kraj przez ten rząd społecznie rozdarty, ekonomicznie zaniedbany i zniszczony, umysłowo i naukowo zacofany, politycznie nie wyrobiony, a usposobiony nienawistnie. Temu krajowi zawierzono; wrócono mu język i prawa, zarząd jego od góry do dołu, od namiestnika do aplikanta oddano krajowcom, pewne sprawy jego własnej wybieralnej administracyi. Miał on do walczenia z własnem niedoświadczeniem naprzód, z rozmaitością własnych uczuć i opinii, ze stanem społecznym bardzo zawiłym, zepsutym rozlicznemi długotrwałemi historycznemi powodami i wpływami; miał dwa języki i dwa szczepy, z których jeden stał drugiemu z umysłu na zawadzie (żeby nie rzec na zdradzie); miał przeciw sobie wszystkie zajadłe niechęci dawnej biurokracyi austryackiej i wielkiej części niemieckiej prasy, i miał kryte sztychy spiskowców polskich. Do tego wszystkiego miał najniepomyślniejszy geograficzny kształt i położenie: długi, wązki, granicami zamknięty tak, że stosunki handlowe rozwijać się w nim nie mogły i dotąd nie mogą. Do tego jeszcze złożony był z dwóch części, dwóch przedtem różnych jedności terrytoryalnych, z których każda miała inne warunki etnograficzne i ekono-

miczne, i inne naturalne związki i środki ku którym ciążyły, jedna korytem Wisły ku Bałtykowi, druga ku morzu Czarnemu; z tego wynika, że ich potrzeby i warunki pomyślności są różne, że często co tam dobre, to tu złe i naodwrót. Nadomiar zaś tych trudności, kraj ten po dawnem polskiem sejmikowem życiu publicznem, przez lat dziewięćdziesiąt nie miał żadnego politycznego życia i żadnego w niem wykształcenia czy doświadczenia.

Po okresie niezbyt długim lat dwudziestu pięciu, kraj ten wygląda inaczej, i jest inny. Że nieraz błądził w postępowaniu, dobre sposobności opuszczał, a w złą chwilę lub w sposób niezgrabny rozpoczynał działanie, że nieraz na dobre rady nie zważał, czasem unosił się zbytnią pewnością siebie, że więc mógł był i szkód niektórych uniknąć i rychlej, pewniej, skuteczniej, do organicznego zjednoczenia i do politycznego wpływu dojść, to rzeczy aż nadto wiadome i dodajmy, nie dziwne; szkodliwe, ale zważywszy naturę ludzką i takie warunki, nieuniknione. Jednak ogółem wziąwszy, kraj ten dawał sobie radę wcale nie źle, i ostateczny wynik obrachunku wykazuje, że czasu nie tracił, pracy i grosza nie żałował, a pożytku sobie niemało przysporzył. Miał drogi jedne z najgorszych w Europie, dziś ma je doskonałe i w wielkiej liczbie. Miał jednę linię kolei żelaznej, dziś ma dwie równoległe i kilka do nich prostopadle idących. Miał szkółki wiejskie i nader rzadkie i niedołężnie prowadzone, dziś większa połowa wsi ma szkoły z nauczycielami umyślnie kształconymi. Gimnazyów nie można nastarczyć młodzieży, która się do nich aż nazbyt licznie garnie. Uniwersytety oba liczbą katedr, doborem profesorów, zaopatrzeniem w zakłady,

przewyższają nierównie swój stan dawniejszy. W miastach powstają nowe ulice, całe nowe dzielnice; po wsiach zabudowania, zaprzęgi, ubranie, sposób gospodarowania, lepsze; dostatku więcej, pijaństwa nierównie mniej niż bywało. Banki i kasy oszczędności przechowują kapitały znaczne; regulują się rzeki, a osuszają moczary; produkcya rolna się wzmaga, przemysł naftowy także, ludność wzrasta; postęp jest widoczny i wielostronny.

A więc Galicya jest rajem? Arkadyą? i do tego zamieszkałą przez samych rozumnych i porządnych ludzi? Niestety, bardzo jej do tego daleko, a do wszystkiego co się na jej korzyść da powiedzieć, dodawać można przykre znaki zapytania. Zamożność kraju wzrasta, ale posiadanie ziemi zmienia się w sposób dla naszych narodowych interesów groźny; szkół więcej i lepsze, ale pokolenie które z nich wychodzi, nie lepsze, nie zdolniejsze od dawnego; stan społeczny lepszy niż był, ale i on, i stan administracyjny byłby znacznie jeszcze lepszy, gdyby był oparty na lepszej ustawie gminnej, a ta mogłaby być od lat dwudziestu pięciu i niema jej dotąd; Wydział krajowy i rady powiatowe zrobiły dużo, ale te organa wykonawcze, bez wykonawczej władzy, są z urodzenia chrome i nie mogą tak iść jakby potrzeba. A ileż razy znowu przyjdzie się przekonać ze smutkiem, że my sami nie jesteśmy do naszego zakresu działania dość wyrobieni i dojrzali! Nie wyliczamy więcej; te przykłady wystarczą, na dowód że znamy i widzimy słabe strony kraju. Ale ten kraj miał jednak ten rozum, że jak raz na pewną drogę polityczną wszedł, to z niej nie zboczył i zepchnąć się nie dał; że pomimo licznych i znacznych różnic w szczegó-

łowych zdaniach, w ogromnej większości trzymał się zgodnie jednego kierunku; że tego kierunku nie zmieniał nawet, kiedy u steru rządu były zasady i dążności jemu przeciwne, a on sam w opozycyi; że potrafił wyrozumieć konieczność ogólnego położenia państwa i poddawał się im nie bez poświęcenia własnych względów. To wszystko wypłaciło mu się ufnością i rządu i innych krajów monarchii; w skutku tego coraz szerszemi i trwalszemi warunkami życia i postępu, większą w państwie powagą i miarą wpływu. Tylko znowu nie należy zaślepiać się, mniemać, że stanowisko to jest zapewnione nazawsze. Z naturą naszą o baczność i statek i miarę trudniej jest, aniżeli o bystrość i trafne zrozumienie rzeczy; a w stosunku do Austryi właśnie baczność, statek i miara, potrzebniejsze są, niż wiele innych przymiotów. Przezorna i cierpliwa Austrya ma tę naturę, że nie łatwo wpada w gniew, zły humor długo w sobie tłumi i ukrywa; ale zrażona, umié wykonać zwrot nagły i niespodziewany. Ma zaś zawsze takie w sobie pierwiastki, dla których zwrot w stosunku do nas byłby pożądany i miły. Taktu i miary potrzeba nam dziś i na przyszłość, z pewnością nie mniej jak mieliśmy dotąd. Żeśmy go zaś mieli, to wiemy dobrze, że nam przyniosło mnogie i wielkie pożytki.

Państwo także wyszło na tym stosunku dobrze, bo we wszystkich sprawach ważnych, w potrzebach istotnych, miało zawsze zastęp głosów polskich i mogło liczyć na nie z pewnością, że zawiedzionem nie będzie. Charakterystycznem i pięknem stwierdzeniem tego stosunku (zarazem jego skutkiem), nagrodą poniekąd dla państwa za jego zmienione względem Galicyi postępowanie, dla kraju świadectwem chlubnem i zaprzecze-

niem świetnem jego mniemanej niezdolności do gospodarowania i rządzenia, jest fakt, że kiedy w odmęcie austryackich finansów, oddawna coraz gorzej prowadzonych i zagrożonych, trzeba było stworzyć ład i równowagę, powołano do tego dzieła Polaka; a ten Polak, który przez lat dziesięć skarbem państwa zawiadował, podołał zadaniu, któremu nikt przed nim rady nie dał, dochody z wydatkami zrównał, a pomimo wydatków na jakie żaden z jego poprzedników wystarczać nie potrzebował, jeszcze po pokryciu wydatków miał nadwyżkę w dochodach.

A jeżeli, jak niektóre fakta a przynajmniej symptomata wskazywać się zdają, zaszłaby jaka zmiana w zagranicznych Austryi stosunkach i polityce, czy ona miałaby pociągnąć za sobą jaką zmianę w naszem postępowaniu? Tę jednę, że wymagałaby od nas tem większej baczności i przezorności, tem więcej taktu i miary. Zmiana zagranicznych stosunków, naprzykład pewne zbliżenie do Rosyi, może wpłynąć na chwilowe warunki położenia i postępowania, może (jeżeli będzie zabezpieczeniem pokoju) mieć dobroczynne, szczęśliwe skutki. Ale nie może zmienić przyrodzonych podstawnych trwałych warunków położenia i bytu, geograficznych, etnograficznych i ekonomicznych, a do tych polityka zawsze się stosować, podług nich regulować się musi. Dzisiejsze trudności dadzą się może wyminąć i usunąć; niebezpieczeństwa przyrodzone zostaną, a przeto zostaną i wynikające z nich konieczności. Zostaną więc i dla nas w każdym razie pewne stałe punkta oparcia i pewne rękojmie zdobytego korzystnego stanowiska, które dziś już straconem być nie może, chyba z naszej własnej winy i woli.

W tem zapomnieniu i poniżeniu, w jakiem zostajemy, poważne stanowisko w państwie austryackiem jest naprzód niejakiem zadośćuczynieniem i pociechą, a co więcej, jest sposobem wskazanym, żeby się na widowni świata utrzymać, żeby o sobie nie dać zapomnieć, żeby się uwadze powszechnej narzucać. Rozumne postępowanie posłów polskich, ludzie wyżsi jacy się między nimi znajdują, dopieroż tacy którzy z pośród nich wchodzą do rządu i w nim wiele znaczą, to jest właśnie co wyrabia i utrzymuje poszanowanie i stanowisko Polaków w krajach austryackich, w parlamencie, w rządzie i u dworu. Stanowisko to jest skromne; nie możemy sobie tego ukrywać, a nie potrzebujemy się wstydzić; jest takie, jak jedna prowincya mieć może. Jednak musi ono już być rzeczywistem i dość silnem, bo obudza zazdrość, a wszyscy nasi przeciwnicy z przesadą i złą wiarą skarżą się na nieograniczony, wszechmocny niby wpływ Polaków i na faworyzowanie ich z uszczerbkiem jakoby innych narodów i krajów. Naprawdę, uznając zupełnie i łaski otrzymane od cesarza i dobrą względem nas wolę rządu, musimy powiedzieć otwarcie, że to stanowisko choć dobre, potężnem nie jest; że zasadza się na tem głównie, iż jesteśmy dziś uzupełnieniem (a poniekąd pierwiastkiem łączącym) większości parlamentu, że gdyby nawet nastać miała inna większość i inny gabinet, to na naszych głosach każdemu zależałoby wiele. W tem też sztuka i staranie naszych przeciwników, żeby nas wyprzeć z tej zajętej pozycyi, a zepchnąć z tego toru postępowania; w tem nasz rozum i nasza zasługa, żeśmy się przez lat dwa dzieścia kilka wyprzeć i zepchnąć nie dali, ale w zajętem stanowisku się umocnili. Praktycznie ważne ze

względu na wszystkie szczegóły spraw krajowych, jest ono niezmiernie pożyteczne, jako szkoła i wprawa politycznego życia i jako środek do nabycia jakiegoś w świecie znaczenia. Naród mały może żyć i utrzymywać się w równej mierze bez znaczenia nazewnątrz; ale my nie jesteśmy narodem małym, i jak drzewo musimy koniecznie piąć się konarami w górę, na słońce, bo inaczej zduszeni uschlibyśmy jak drobny leśny chrust między potężnemi pniami. Dziś w jednem państwie jedynie znaczyć coś możemy, i przy niem, w niem, przez nie, trzymać jakotako nasze miejsce na świecie; ale to powinniśmy z najusilniejszem staraniem, z pilnością czujną i niezmordowaną, ze śmiałą i otwartą ambicyą. Wiedząc dobrze, że podług stawu grobla, i że nasze stanowisko jednej prowincyi wielkiem być nie może, powinniśmy pracować na to wszelkiemi siłami, żeby ono stawało się coraz silniejszem i świetniejszem. Dotąd szło nam to wcale pomyślnie; a Koło polskie nieraz stanowiące o położeniu i utrzymujące równowagę w Izbie, a prezes tej Izby Polak, a zwłaszcza w radzie korony Polak i to nie do spraw wyłącznie galicyjskich, ale do najważniejszych i najtrudniejszych, bo skarbowych spraw państwa, wszystko to dowody niemylne, że w pozakrajowem życiu, w świecie szerszym, w sprawach ogólniejszych, znaczymy coś i coś możemy.

Ale też tyle naszego stanowiska poza granicami naszego własnego kraju; z wyjątkiem jednego jeszcze pola, kościelnego. Tu ani zapomnieni, ani lekceważeni nie jesteśmy, i w sprawach powszechnego Kościoła, nasze najnieszczęśliwsze ze wszystkich, mają swoje miejsce odrębne. Obrona ich tak trudna, że z największą sztuką tylko i nieznacznie, może Stolica Apostolska duszonemu

Kościołowi polskiemu zapewnić cokolwiek powietrza na oddech; ale jego stanowisko w Rzymie jest utrzymane i szanowane, a w tych czasach ucisku uświetnione nazewnątrz jak tylko mogło być najbardziej, sposobami od Ojca świętego zależnemi i w jego jedynie ręku zostającemi. Trzech w przeciągu lat kilkunastu kardynałów Polaków, tego się i za najlepszych czasów Rzeczypospolitej nie widziało. Jest i to stwierdzeniem, jest zaznaczeniem i uznaniem stanowiska tej części Kościoła w Kościele powszechnym.

Tak więc, w Austryi warunki i rzeczywistość narodowego życia, istotny pod wieloma względami postęp, ale stanowisko prowincyi, i to jeszcze utrudnione i różnemi stosunkami austryackiemi, i różnemi przeszkodami wewnętrznemi, i stosunkiem do Rusinów; w Rzymie opieka, która prawie nic nie może, bo nie jest oparta o siłę fizyczną, a wpływu moralnego niema na sumienia ludzi innej wiary, ani na uczucie honoru ludzi bez słowa; wreszcie Europy zapomnienie i niechętne lekceważenie; i dwa najpotężniejsze w świecie mocarstwa, ciążące na nas całą swoją siłą, żeby nas zgnieść i znicestwić; my sami żyjąc od wieku pod odmiennemi prawami, w odmiennych stosunkach, odwykający stopniowo od siebie, a wsiąkający w siebie koniecznie te odmienne pierwiastki i wpływy, z któremi jesteśmy w bezpośredniej styczności; na Litwie i Rusi mechanicznym środkiem niemożności nabywania i dziedziczenia ziemi, skazani niejako na wykorzenienie czy wymarcie, w Królestwie tymsamym środkiem nie tak stanowczo zagrożeni, ale oderwani od naturalnych z sobą stosunków i związków; na Litwie przez częściowe wprowadzanie języka rosyjskiego do nabożeństw dodatkowych, na Rusi przez

zamykanie parafij, wszędzie przez odjętą możność swobodnego religijnego życia, przez skrępowanie Kościoła, który swoich przyrodzonych koniecznych funkcyj pełnić nie może i przez zamierzoną stopniową, ale systematyczną jego dezorganizacyę, przez wpływ szkoły i wpływ bezbożnej przez rząd rosyjski protegowanej literatury i publicystyki, przygotowywani zwolna do utraty wiary, a na Podlasiu i Chełmszczyźnie gwałtem do innej zmuszani; pozbawieni języka, pozbawieni praw, pozbawieni miejsc, posad, sposobu do życia, niedopuszczani do szkół, albo w nich fałszów uczeni i psuci — bez rady, bez ulgi, bez możności skargi, bez sposobu i nadziei zmiany, takie jest na schyłku XIX wieku, w sto lat po Trzecim Maju, nasze położenie w świecie. W trudniejszem nie znajdował się żaden naród w historyi.

Ważnym czynnikiem w tem położeniu i utrudnieniem niemałem (choć ono nam nie zawsze czuć się daje) jest wzajemny stosunek, jaki pomiędzy trzema mocarstwami wyrobił się naturalnie w skutku posiadania ziem polskich. Stworzyło ono między niemi pewną wspólność, ale większą sprzeczność interesów. Rzecz oczywista, że przez posiadanie Polski, Rosya przedtem daleka i niegroźna, stała się dla Austryi niepokojącą. Prusy, zanim były cesarstwem niemieckiem, nie śmiały się Rosyi sprzeciwiać, ale jej bezpośrednie sąsiedztwo im także wygodne nie było. Ztąd obawa obu państw, żeby Rosya nie rozszerzała się w Polsce; ich czynny opór ilekroć objawiała jakie w tym kierunku zamiary. Za kongresu wiedeńskiego, cała dawna Polska byłaby w Austryi budziła mniej obawy i niechęci, aniżeli cała w ręku Rosyi; w r. 1830 i jeszcze nawet w r. 1863, ślady tej obawy były widoczne. Widoczne także, że

Królestwo Kongresowe, że rządy Wielopolskiego nawet, nie cieszyły się zbyt wielką Austryi sympatyą. Usposobienie to, naturalne i wynikające z jej położenia, być może że trwa i utrzymuje się zawsze. Prusy, w r. 1815 zupełnie od Rosyi zależne, chciwiej innych nabytków pożądające, nie śmiały Aleksandrowi I w jego zamysłach otwarcie przeszkadzać; a później za Mikołaja i jego syna, zawsze do rosyjskiego przymierza przykute, nie mogły robić nic takiego, coby to przymierze mogło na szwank narazić. Ale i one bały się także wszelkiego lepszego trwalszego porozumienia między Rosyą a Polską. Dowodzi tego ciągłe systematyczne podżeganie Rosyi przeciw Polsce, kiedy Austrya przeciwnie Polakom raczej okazywała współczucie i życzliwość. To stanowisko obojga jest zupełnie zrozumiałe, dla nich niemal konieczne; ale dla nas jest ono jednym więcej szkopułem, którego z uwagi nigdy spuszczać nie należy, żeby na nim w złym razie nie utknąć.

Czy potężne cesarstwo niemieckie, które dziś już podpory nie potrzebuje, zachowa nadal tę taktykę, której w rzeczach polskich trzymał się jeszcze względem Rosyi ks. Bismarck? Dziś może inna byłaby już wskazaną. Lepiej byłoby może Polaków do siebie przyciągać, niż Rosyę do ich wytępienia zachęcać. Ale czy się te stosunki między trzema mocarstwami zmienią, czy zostaną czem były, to pewna, że ich zawiłość jest jedną trudnością więcej w naszem tak trudnem i zawiłem położeniu.

A jednak położenie to przetrzymać, z labiryntu tego wydobywać się musimy. Jakie mamy po temu

warunki? Jakie mamy w sobie i jak możemy utrzymać i wzmocnić pierwiastki zdrowe i silne, a wstrzymać wzrost i szerzenie się niezdrowych? Jednem słowem, jaki jest nasz stan wewnętrzny i czy ma w sobie sił żywotnych dosyć na to, by te zewnętrzne stosunki wytrzymał?

# OPINIE I STRONNICTWA.

# W CIĄGU WIEKU.

Pierwszym względem jaki rozważyć wypada, jeżeli się chce dojść do odpowiedzi na powyższe pytanie, jest ten, jak sami swoje położenie pojmujemy, i czy w tem położeniu umiemy działać tak, żeby ze stanu gorszego wydobywać się i przechodzić do lepszego? Stopień naszego politycznego rozumu, stan naszych politycznych opinij, sposób działania naszych politycznych stronnictw, to jest pomiędzy pierwiastkami naszej siły i warunkami naszej przyszłości, jeden z najważniejszych. Przypatrzmy się więc jaki on jest, jaki był w ciągu całego tego wieku.

Przedewszystkiem to musimy mieć na pamięci, że samo nasze wyjątkowe, najtrudniejsze w świecie położenie, nietylko nas do prawdziwego politycznego wykształcenia nie dopuszczało, ale narażało nas koniecznie na błędne pojęcia i na błędy w postępowaniu. Naród był pozbawiony swojej naturalnej równowagi — niedziw, że jedno po drugiem pokolenie szukało jej, a w tem szukaniu myliło się i błądziło. Tem łatwiej zaś, że przeszłość nasza nie wychowała nas dobrze pod tym względem, a ślady i pierwiastki swoich usposobień

Rzeczpospolita szlachecka, przez to że wyłącznie szlachecka, nie była i nie mogła być społeczeństwem organicznie całem, ale nie można powiedzieć, że była społeczeństwem rozbitem i w sobie rozdartem. W miastach, rzadkich, nieludnych, biednych, nie było poczucia siebie aż do końca XVIII wieku; lud wiejski nie znać żeby miał świadomość swojej niechęci do szlachty, choć niezawodnie miał jej zarody. W szlachcie samej nienawiści społecznej przez cały ciąg dziejów Polski nie widać. Bywała ta szlachta w różnych obozach, trzymała się tego lub owego magnata, tej lub owej konfederacyi, króla lub rokoszu, ale byłyto tylko przeciwieństwa chwilowe, nie ta nienawiść wzajemna, stała i nieubłagana, która jest właściwa namiętnościom społecznym naszego wieku. Dziwno jest nawet, jakim sposobem ta szlachta, tak różna co do znaczenia i majątku, tak namiętnie rozmiłowana w swojej mniemanej równości, tak nieufna, podejrzliwa, żyła tak dobrze z dawną polską arystokracyą. Prawda, że dawniej znoszono arystokracyę wszędzie, uważano ją za rzecz naturalną; ale zdawałoby się, że przy naszych egalitarnych instynktach, kolosalne wpływy pozycye i majątki naszych magnatów, powinny były logicznie więcej razić i więcej mieć nieprzyjaciół. Tymczasem choć narzekanie na panów było nieustające, to silniejsza niechęć była prawie zawsze chwilową, okolicznościową, i brała za cel zawsze jakąś osobę, dążność, lub uczynek, nigdy stanu senatorskiego, nigdy arystokracyi jako całości. Społeczeństwo szlacheckie, zbliżone do siebie pozorną równością i koniecznościami publicznego życia, politycznie wiecznie z sobą w niezgodzie, społecznie było

dość jednolite i spokojne. Z końcem XVIII wieku musiało się to z gruntu zmienić.

Gdyby dzieło Czteroletniego Sejmu nie było zostało gwałtownie przerwanem, lub gdyby rewolucya francuska nie była wybuchła w tymsamym czasie, w takim razie społeczeństwo nasze mogło było wyrobić się organicznie; ziarno rzucone 3 maja mogło się przyjąć i rozwinąć. Ale kiedy te ziarna zaczęły puszczać korzenie, powstały zarazem warunki nienormalne: wpływy wszystkich przesad rewolucyi francuskiej i wpływy rozbioru. Rzecz prosta, że rozbicie społeczeństwa musiało stać się koniecznością, i że w takich warunkach sama miłość ojczyzny, samo działanie dla niej, musiało fatalnie stać się także czynnikiem rozkładu. Czas sejmu Grodzieńskiego i powstania Kościuszki, jest czasem pierwszego u nas wyraźnego objawu przerodzenia się dawnej demokracyi polskiej w nowoczesną francuską czy europejską. Ówczesne pamflety i wiersze wspominają o „kanonizacyi Capeta“ tonem paryskiego *Przyjaciela Ludu*, i pierwsze rozciągają oburzenie na winnych na całą jednę warstwę narodu, występują z nienawiścią, szczepią nienawiść do wszystkiego, co możniejsze majątkiem lub wpływem. Obok silnego i rozumnego ruchu miast, którego dobrym reprezentantem był Dekert, prezydent Warszawy, obok idealnego republikanizmu Kościuszki, mamy już wtedy i demokracyę nie mniej jak idealną tych, których Kiliński nazywał francuskiemi duchami: pierwsze podszczuwania ludu przeciw władzy, pierwsze próby zaszczepienia w nim nieufności, pierwsze oskarżenia o brak patryotyzmu i zdradę, pierwsze usiłowania obalenia rządu (Kościuszkowskiego podówczas) i wyniesienia siebie za pomocą rozruchu, i pierwsze wy-

roki i exekucye śmierci bez sądu. Potem, aż do roku 1815 niema ani śladu zaburzeń, ani niechęci społecznych. Przyczyna jest prosta. Chwalą wszyscy Księstwo Warszawskie, że było jedyną epoką w dziejach Polski, w której nie było stronnictw, a była jedność. Prawda, ale byłoto raczej koniecznością, jak zasługą. Naprzód Europa cała była tak zmęczona i tak zbrzydzona terroryzmem republiki francuskiej, że odwracała się ze wstrętem od ówczesnej równości, ze strachem od ówczesnej wolności; powtóre, pod żelazną ręką Napoleona musiał ustać wszelki ruch czy liberalny, czy demokratyczny; wszyscy, republikanie, terroryści, liberaliści, musieli zamilknąć; wreszcie, wobec wojny, której skutek zdawał się pewnym, wobec częściowej restauracyi Polski a niezawodnej, nieuniknionej, jak wierzono, jej restauracyi zupełnej, musiała wyrobić się jedność, bo oczywiście jedno było tylko do roboty: słuchać Napoleona i bić się. Ale gdy to chybiło, i gdy z reakcyą r. 1815 odezwały się w całej Europie dążności liberalne, demokratyczne, od najspokojniejszych, których wyrazem była Karta francuska, aż do najradykalniejszych (karbonaryzm włoski), zaraz wyszły one na wierzch i w Polsce. Królestwo Kongresowe nosi już w sobie początki tej dziwnej walki napół społecznej, napół politycznej, która trwa dotąd. Walka ta bowiem u nas nie jest ani polityczną walką stronnictw, ani też czystym społecznym antagonizmem klas. Do wojny z arystokracyą rzeczywiście niema powodu, bo naprzód arystokracya w Polsce nie była nigdy ciałem organicznem, ale tylko zbiorem jednostek zawziętych przedewszystkiem na siebie; powtóre, nie można się dopatrzeć ani za Księstwa Warszawskiego, ani za Królestwa, ani cienia działania lub

dążenia tej arystokracyi, żeby się jako taka ukonstytuować lub utrzymać. Cały więc ruch demokratyczny u nas nie mógł być i nie był nigdy walką z arystokracyą, ale był czem innem: walką świeżej demokracyi z polityką roztropną, obliczającą i środki działania i jego skutki. Z położenia kraju wypadało, że osią, około której wszystko się obracało, środkowym punktem wszystkich tych zapasów, musiała być sprawa powstań; i na tym gruncie powstał właśnie najzaciętszy antagonizm, rozwinęły się bujnie nienawiści społeczne. Kwestya ta jest najściślej politycznej, nie socyalnej natury, i nie powinna była nigdy być punktem rozdziału; ale kiedy ogólny prąd spisków, na których końcu było zawsze zbrojne powstanie, doszedł i do Polski, gdy umysły więcej rzutkie a mniej rozważne, nie wątpiły o skutku i oswobodzeniu ojczyzny — inne, nie tak porywcze a więcej doświadczone, regularnie odwodziły od wybuchu, którego skutek zdawał im się być wątpliwym. Otóż, ta ostatnia opinia miała najgorliwszych i najliczniejszych zwolenników pomiędzy dawną szlachtą: nie z mocy urodzenia ani z kastowej solidarności, nie z instynktów konserwatywnych, właściwych ludziom osiadłym na roli, najmniej z braku patryotyzmu, ale że ta warstwa narodu zdawna obeznana z praktycznym biegiem spraw publicznych, a jedyna reprezentowana w rządzie Królestwa, najlepiej znała trudności położenia i najlepiej obliczała fatalne skutki w razie przegranej. To stanowisko polityczne pojęte zostało fałszywie, jako rezygnacya, jak wyrzeczenie się Polski, — i jako dążność szlachecka, przeciwna nowoczesnej demokracyi. Jedno i drugie zrodziło rozbrat, a wszystko składało się na to by go zwiększyć i utrwalić. Historya polska, wszystko

złe, jakie zrobiła kiedykolwiek czy szlachta, czy arystokracya, nieraz tendencyjnie nawet wyzyskane i przedstawione, prowadziłą do konkluzyi, że szlachta ojczyznę zgubiła i gubi ją zawsze; konieczność trzymania się w granicach konstytucyi, wydawała się jak odstąpienie sprawy za ordery i honory; ambicye ludzkie, żądza władzy, zrobiły także swoje i dopomagały do dzieła.

Jak niegdyś rewolucyjna doktryna Kołłątaja (przeciw insurrekcyjnej i społecznie zdrowej idei Kościuszki), tak teraz doktryna spiskowa przyszła do nas z Zachodu, gdzie zapewne miała swoje ognisko, swój środek łączący i kierujący. Znalazła u nas grunt sposobny, sposobniejszy niż gdziekolwiekindziej. Rozbiór tak świeży, nadzieje tak świeże a tak zawiedzione, wszystkie uczucia ludzkie i wszystkie prawidła sumienia i honoru, świadomość sama praw Boskich i sprawiedliwości, mówiły, że dobrem i świętem jest to, co do oswobodzenia prowadzi; przykład drugich, powszechny prąd, pchał do spisków silnie. Nie było zaś tego doświadczenia i politycznego rozumu, który pyta, czy ten środek do tego celu służy i wiedzie; nie było tego rzetelnego sumienia i tego stopnia miłości ojczyzny, który pyta, czy mam prawo ja, czy mamy prawo my kilku, kilkunastu, kilkuset, rozrządzać losem narodu i brać go na swoją odpowiedzialność? Świadomość dobrej sprawy, zapał dla niej, przykład sprzysiężeń zagranicznych, oto były pierwiastki naszych za Królestwa Kongresowego.

Zaczęły się związki tajne, a zaprzysiężone; zjawił się ten fenomen tak dziwny, że do zrozumienia niepodobny, ludzi którzy dobrowolnie pod przysięgą oddają wolę swoją w poddaństwo drugim ludziom, których nie znają, o których nie wiedzą czy są mądrzy czy głupi,

uczciwi czy przewrotni. Wzmagał się i rósł zapał do spisków i dochodził do fanatyzmu,; z pism ówczesnych (z Mochnackiego zwłaszcza) widzi się, że przystąpienie do spisku wydawało się pierwszym obowiązkiem patryoty i największą zasługą — słowo *konspirator* równoznacznem ze słowem bohater, ślepe posłuszeństwo utajonej władzy największą zasługą i mądrością. W tem zaś siła i powodzenie spisków, w tem trudność działania przeciw nim. Wtedy miały tajne związki jeszcze charakter patryotyczny tylko, nienawiści społeczne były dopiero w zarodzie i odzywały się mało; niemniej były te związki nie politycznie tylko, ale i społecznie zgubne. Przez to, że oddawały kraj w ręce ludzi ukrytych, bezimiennych, nieodpowiedzialnych, i nie mogących nawet nigdy w praktyce działać tak jak zamierzali, były już anarchią w swojej istocie i anarchią w czynie, i były źródłem niezliczonych politycznych błędów i szkód. Były zaś zarazem pierwiastkiem i zarodem nienawiści i walki społecznej, społecznego rozkładu. Opór przeciw spiskowi, niewiara w spisek, podnosiły fanatyzm rewolucyi, wiarę w tak zwane rewolucyjne środki i w ich potrzebę. A znowu charakter narodowy spisków, ich dążenie do niepodległości, sprawiały, że zmysł i rozum polityczny nie śmiały przeciw nim tak występować, jak były powinny. Przez uszanowanie dla dobrej sprawy nie śmiano powiedzieć głośno i otwarcie, że dobro tej sprawy wymaga, by tym sposobem do jej zwycięstwa nie dążyć.

Z tego wyniknął rok 1830, w którym winni byli wszyscy. Jedni, że samowolnie porwali się na przedsięwzięcie, którego prowadzić nie mieli zdolności, a wykonać nie mieli siły; drudzy, że nie mieli albo odwagi

sprzeciwienia się i powstrzymania, albo raz już przystąpiwszy, odwagi prowadzenia rzeczy z potrzebną, choćby rozpaczliwą energią. Te wypadki i objawiły, i posunęły bardzo naprzód nasz rozstrój społeczny. Klub obradujący obok rządu, niby jego stróż i zwierzchnik, klub wdzierający się do sali obrad, rząd w przeciągu tygodnia trzy razy zmieniony w swoim składzie, to w samym zarodzie powstania zaród anarchii, i dla jego powodzenia niebezpieczeństwo. Gdy zaś z powodzeń, jakie początkowo były, nie korzystano (tu znowu wina wodzów i rządu), gdy nastąpiły niepowodzenia, wtedy zwykłym w takich wypadkach trybem żal i zawiedziona nadzieja wybuchły przypuszczeniem i obawą zdrady; doktryna *rewolucyjnych środków* skorzystała z tego usposobienia i rozżarzała je do namiętności. W nocy 15 sierpnia ona Warszawy ani sprawy nie uratowała, ale splamiła ją czynem występnym, a przez anarchię doprowadziła powstanie do ostatecznego smutnego końca. Od tego dnia bowiem Warszawa, rząd, wojsko, były w tym stanie chwiejności i rozprzężenia, który jest zawsze oznaką i poprzednikiem upadku. Nikt nie posiada ani zaufania, ani wiary, ani władzy, nikt nie czuje w sobie siły; a że ktoś na czele jednak stać musi, więc staje na czele kto chce, choćby... Krukowiecki.

Na emigracyi dopiero proces społecznego rozstroju rozwinął się na dobre. Nie mogło być inaczej. Po wielkich nieszczęściach musi zostawać w duszach jad wzajemnej niechęci; takie już prawo natury ludzkiej, że każdy przypisuje winę drugiemu, a zwala ją z siebie. Emigracya poszła do Francyi już w wielkiem rozdrażnieniu wzajemnem, a tam musiało ono wzrastać pod działaniem rozlicznych wpływów. Jednym z nich było

samo nieszczęście, tułactwo, niedostatek, wszystkie te smutki i cierpienia, które wyjątkowo silnych i szlachetnych podnoszą w górę, ale zwykłych ludzi, zatem większość, psują. Do tego wpływ drugi: bezczynność, i potrzeba łudzenia się czynnością, połączona z naszą polską odwieczną passyą politykowania. Ta stworzyła nasze emigracyjne kluby, a charakter nadało im otoczenie, wpływ i przykład francuski. Byłyto lata różnych republikańskich, a po części radykalnych spisków i zamachów przeciw rządowi Ludwika Filipa, zamachów także na jego osobę. Ci z emigrantów, którzy już w kraju od młodości wychowali się w uwielbieniu dla spisków i dla rewolucyi, pod tym wpływem naturalnie utwierdzili się w tej wierze, a w swoich pojęciach demokratycznych już przedtem zapaleni, teraz czytając i słysząc, co we Francyi pisano i mówiono, doszli do fanatyzmu w swojej demokracyi — fałszywo i dziecinnie pojętej. „Wojna roku 1831 nie udała się, bo nie była liczebnie dość silną, bo podnieśli i prowadzili ją ludzie oświeceni tylko; gdyby cały lud był powstał, żadne wojska nieprzyjacielskie nie byłyby go przemogły. Trzeba zatem cały lud poruszyć; na to trzeba obudzić i zapalić w nim miłość ojczyzny. Jakim sposobem? Zniesieniem poddaństwa, uwłaszczeniem, obietnicą obywatelskiej równości, ponętami demokratycznego ideału. Z temi obietnicami i ponętami rozsyłać emissaryuszów, niech między ludem sieją ziarna przyszłego powstania. Nie udało się Konarskiemu? to nic dziwnego, pośpieszył się zbytecznie, grunt nie był dość dobrze, dość szeroko przygotowany. Robić tosamo, tylko na większą skalę, a udać się musi. Jeżeli druga połowa emigracyi powié, że udać się nie może, zatem że próbować nie

trzeba, to się ogłosi, że to podli służalcy tronów i arystokracyi, ciemięzcy i wrogowie ludu, zaprzedańcy i zdrajcy.“ Skrzyneckiego oskarży o zdradę *patryota* i *demokrata* Gurowski! *Nowa Polska* oskarży Mickiewicza, a Czartoryskiego i jego przyjaciół naturalnie wszyscy.

Rozchodzą się tedy emissaryusze do kraju; z ludem nie stykają się prawie, a gdzie się przypadkiem zetkną, tam miłości ojczyzny w nim wprawdzie nie rozpalą, ale obudzą i rozjątrzą w nim uczucie upośledzenia i pokrzywdzenia, nienawiść do bogatszego i do pana, do szlachcica. Że zaś ten pan i szlachcic, ten wróg i ciemiężyciel ludu jest Polakiem, więc lud już sam (przy pewnej zewnętrznej pomocy) logicznie doszedł do wniosku, że ta Polska, której jego nieprzyjaciel chce, to musi być coś złego, od czego jemu bronić się należy wszelkiemi siłami. Nienawiść społeczna, nienawiść szlachty, szerzona przez emissaryuszów między ludem, wywołała w nim nie miłość Polski, ale nienawiść jej i śmiertelny przed nią strach.

Za to po miastach, między młodzieżą, po wsiach (między tą zgniłą szlachtą, przyczyną wszystkich nieszczęść ojczyzny!), spiski zawiązały się łatwo. Wiara w ich skuteczność była głęboko zakorzeniona; *nikczemna* szlachta była gotowa wszystko dla sprawy poświęcić (siebie, swego stanowiska i majątku bynajmniej nie wyjmując), a powaga emigracyi, a naiwność i nieznajomość spraw tego świata była tak wielka, że mało, komu przeszło przez głowę pytać i wątpić, czy prawdą jest to co mu mówiono i obiecywano. „Z poświęceniem, z niebezpieczeństwem (rzeczywistem, prawdziwem), przedarł się ten człowiek z Francyi aż tu; jest oczywiście odważny i ojczyznę miłujący. Mówi nam rzeczy, o ja-

kich nam się nie śniło; oczywiście musi być mądry; a skoro zaręcza, że we Francyi, albo w Niemczech, albo w Rosyi, wybuchnie rewolucya i nam pomoże, to on oczywiście wiedzieć to musi. On ma stosunki, on przecie nie mówi na niepewne.“ W łatwowierne i urojone, a nieraz świadomie przesadzone nadzieje, wierzono jak w ewangelię. Był więc skutek podwójny: nienawiść społeczna, zasiana i między ludem i między znaczną częścią tych co do spisków lgnęli: i przyzwyczajenie ludzi oświeceńszych do opierania widoków i planów politycznych na urojonych podstawach.

Przyszedł rok 1846, najstraszniejsze zaprzeczenie Polski, jakiego sprawa jej dotąd doznała: lud wiejski oświadczający się czynem przeciw zamierzonej restauracyi Polski. Zarazem rozdarcie społeczne, takie, że ślady i skutki jego po pół wieku, po dwóch pokoleniach, ledwo zaczynają się potrochu zacierać i usuwać.

W dwa lata później powszechna w całej Europie zawierucha, która wypadkami czerwcowemi w Paryżu, wypadkami rzymskiemi, przekonała w Polsce niektórych, że rewolucya a powstanie to nie jedno. Aż dotąd mięszano u nas te dwa pojęcia, i wierzono że rewolucya to naprawdę wolność i sprawiedliwość. Ci byli bardzo rzadcy, co (jak Krasiński) wiedzieli i rozumieli, że wolność i sprawiedliwość jest w słowach i zamiarach, a anarchia w praktyce i w czynach. Teraz zrozumiano, i teraz dopiero zaczęło się naprawdę w pojęciach, w przekonaniach, w sumieniach, odłączenie sprawy ojczyzny od sprawy rewolucyi, świadomość, że jej działanie nie odradza, ale chemicznie rozkłada i przygotowuje ostateczną zgubę.

W Królestwie, gdzie za Mikołaja ani rewolucyjna, ani przeciwna dążność objawiać się nie mogła, zmiana ta nie miała sposobności się okazać; ale okazała się w Wielkopolsce, i (mimo całego ucisku, mimo policyjnych i centralizujących rządów Bacha) w Galicyi. Ta świadomość, która w Królestwie przed rokiem 1830 była, i nawet w większości, ale objawić i stwierdzić się nie śmiała, świadomość, że spiskami dochodzi się do anarchii i klęski, a nie do ojczyzny, teraz zaczęła występować otwarcie *(Przegląd Poznański, Czas)*. Na emigracyi także. Zarzucano wielokrotnie księciu Adamowi Czartoryskiemu i jego stronnikom, że sprawę polską wiążąc do wszystkich jakie świat zajmowały, narzucali krajowi swoją wolę i politykę, nie znając jego rzeczywistego stanu. Że wszelka polityka emigracyjna, jako oderwana od podstawy, zawieszona w powietrzu, może łatwo bujać w złudzeniach, to prawda; ale tego narzucania kierunku i stanowienia samowolnego o losach kraju, po tej stronie emigracyi nie było. A że nie było lekkomyślnego wiązania jego losów ze wszystkiemi sprawami i wypadkami, dowodzi najlepiej największa z tych spraw i sposobności, wojna krymska, z której książę Adam i jego stronnicy usiłowali wojnę polską wyprowadzić, ale w której jednego kroku zrobić nie chcieli, dopókiby ta wojna polską się nie stała. Drugą połowę emigracyi, tę, która od roku 1831 niezmiennie spiski wiązała i gotowała powstania, tę możnaby zapytać, dlaczego tę sposobność opuściła? Dlaczego nie próbowała wywołać (trudnego prawda za Mikołaja) choćby najmniejszego ruchu, kiedy najmniejszy nawet wtedy byłby sprzymierzonym na rękę, i za stronę wojującą byłby uznany z pewnością? Dlaczego? Dlatego,

że wojna prowadzona była przez rządy, a nie przez rewolucyę, więc choć powstaniu polskiemu mogła otwierać dobre widoki, to sympatyą naszych tajnych rządów się nie cieszyła. Dlatego może także, że spiski rosyjskie nie gotowały się jeszcze, i naszej pomocy nie potrzebowały.

Doktryna zaś tajnych rządów i ich akcya, była zawsze na emigracyi; i przeciw niej zwróciła się teraz część emigracyi śmielej, silniej, rozumniej, niż gdziekolwiek i kiedykolwiek przedtem. To *Wiadomości Polskie*, to artykuły Klaczki i Kalinki, cała ta jak żeby w przeczuciu przyszłych wypadków czteroletnia kampania przeciw konspiracyom i tajnym rządom, przeznaczona na to, by uprzedzić i odwrócić ich ostatnie zabójcze działania i skutki.

Nie odwróciła. Wojna włoska zdawała się konieczną zapowiedzią niedalekiej wojny polskiej, a wpływ rzeczywisty, jaki rewolucyjne spiski wywarły na te wypadki, a związek, jaki między różnemi gałęziami rewolucyi był (i jest), zachęcały do spisków w Polsce, do organizacyi i przygotowania wybuchu. Szczęście włoskie zachęciło; włoskie programy i sposoby postępowania służyły za wzór. W wypadkach warszawskich roku 1861 i 1862, widoczne jest naśladowanie praktycznych przepisów Mazziniego. Wyprowadzać lud na ulicę, utrzymywać go w ciągłym stanie silnych wrażeń (nasz za pomocą nabożeństw i processyj), drażnić tem rząd i wojsko; jeżeli przyjdzie do strzałów i śmierci, tem lepiej, lud wpadnie w rozpacz i wściekłość. Pozyskanych wiązać w piątki i dziesiątki, a zawsze w niewiadomości, kto nimi rządzi; wszystko taksamo: nawet skrytobójcze zamachy na w. księcia Konstantego i na margrabię

Wielopolskiego były jak we Włoszech. Jednego tylko nie było... Piemontu z Cavourem i wojskiem, i Francyi w sąsiedztwie.

I teraz dopiero, tutaj, największa wina tych, których podówczas *Białymi* zwano. Jak w roku 1830, tak i teraz ta część narodu nie wystąpiła stanowczo, nie oparła się, nie powstrzymała. Pomiędzy pierwszemi wypadkami i zawiązkami organizacyi a między wybuchem powstania przeszły dwa lata czasu, dwa lata, w ciągu których niebezpieczeństwo rosło widocznie z każdym dniem, a my widząc go, nie śmieliśmy stawić mu tamy; nie śmieliśmy skupić się około Wielopolskiego... Czy dlatego, żeśmy tak odwagi cywilnej pozbawieni, czy dlatego, że jego usposobienie było nam niesympatyczne? Poczęści, u niektórych, działały i te mizerne, ciasne względy; nieraz i on sam swoim temperamentem utrudniał sobie zadanie. Ale u większości, u ogółu, powód był inny. Naprzód ta w całej Europie panująca opinia, że głoszona z najpotężniejszego w ówczesnym świecie tronu zasada narodowości, musi logicznie doprowadzić do niepodległości Polski. A prócz tego to uczucie, że oświadczyć się przeciw powstaniu, to znaczyłoby wyrzec i zrzec się Polski. Tego doświadczenia i zrozumienia jeszcze nie było, że pierwszą rzeczą jest byt, pierwszym obowiązkiem życie. Nam się zdawało, że się Polski zrzeczemy i wyprzemy, jeżeli jej na zatratę narazić nie damy.

I naraziliśmy na zatratę.

I znowu obie strony winne, jedna uczynkiem, druga zaniedbaniem i opuszczeniem; obie więcej niż w roku 1830, dlatego, że do stracenia mieliśmy już da-

leko mniej, a w niewiadomości i złej polityce mniej wymówki i uniewinnienia.

Mówiło się zawsze i mówi dotąd w rewolucyjnych książkach i pismach, że szlachta i arystokracya zgubiła dawną Rzeczpospolitę. Jeżeli tak, to w wieku XIX pozazdrościła im tej zasługi demokracya. Jej to polityka, jej tajne spiski i tajne rządy sprawiły, że na Litwie i Rusi jeden Bóg wié co z Polski zostanie, a że Królestwo jest gubernią jednolitego rosyjskiego cesarstwa, z jego językiem, urzędami, szkołami i nawet z jego cerkiewnemi kopułami, które tak wznoszą się na jego granicach, jak niegdyś za Chrobrego biły się słupy żelazne w nurty rzek. W politycznej tego stronnictwa ślepocie i niezdolności (obok zręczności i obrotności w agitacyi), była jedna myśl mądra i zbawcza: nie ich własna bynajmniej, myśl dawnej Polski naprzód, potem myśl polskiej szlachty (postulata sejmów galicyjskich, adres szlachty litewskiej do cesarza rosyjskiego, Towarzystwo rolnicze w Królestwie), myśl uspołecznienia Polski, zniesienia poddaństwa, uwłaszczenia poddanych. Że tego szczerze chcieli, wierzymy; że się do tego wzięli najgorzej, twierdzimy. W Galicyi jak zaczęli koło tej myśli pracować, wywołali rzeź i nieufność, wstręt ludu wiejskiego do Polski. W Królestwie, swoim manifestem Rządu Narodowego, którego obietnic dotrzymać i wykonać nie mieli możności, sprawili tyle, że to dobrodziejstwo wolności i ziemi lud polski zawdzięcza cesarzowi rosyjskiemu. Oni, którzy zawsze biorą słowo za fakt a złudzenie za rzeczywistość, chwalą się do dziśdnia, jakoby to ich sprawą i zasługą się stało, i ludowi każą święcić rocznicę roku 1863 jako rocznicę niby

jego uwłaszczenia, a swojego dobrodziejstwa. Ale lud mądrzejszy od nich rozróżniać umie; i wié, że słowo to nie czyn, że nie manifest oddał mu ziemię, ale cesarski urzędnik. Bóg sam strzegł, i cudem prawie, że to Rosyi nie przyniosło takich pożytków, jakich się spodziewała.

# OD LAT DWUDZIESTU PIĘCIU.

Zauważył to Klaczko w jednym ze swoich artykułów, że Opatrzność jak żeby chciała różne części Polski wystawiać na próbę, by pokazały ile postąpiły i co mogą, jednej po drugiej daje sposobność i warunki życia. Był Wołyń za Czackiego, było Królestwo, była Wielkopolska około roku 1840 i po nim. W ten sposób, jeżeli cały organizm nie żyje jednakowo i krew po całym równo nie krąży, to część przynajmniej oddycha, żyje i dla wszystkich pospołu życie przeciąga i wyrabia. Z kolei przyszedł czas na Galicyę.

Ta, po nauce roku 1863 zrozumiała, postanowiła i oświadczyła Austryi, co następuje: „Cokolwiek zrobił Józef II i Metternich, odtąd nie będziemy wam życzyli źle, ale dobrze; nie zdradzimy was, ani nie odstąpimy. Wasze dobro możemy, więc chcemy i będziemy, uważać za swoje. Trzymamy się was wiernie, rzetelnie, z przekonania i statecznej woli. Przyszłość w ręku Boga; ale jakąkolwiek on dla was i dla nas chowa, możecie wierzyć i być pewni, że przeniewierzenia i zdrady od nas nie doznacie, tylko owszem, pomoc szczerą wedle naszych sił i możności.“

W tej zmianie stosunku i postępowania tkwił środek zaradczy, lekarstwo, na dwie chroniczne choroby naszego społeczeństwa. Na rozdział między ludem wiejskim, który się rządu austryackiego trzymał i chciał trzymać, a tymi, których on panami nazywał; i na chorobę drugą, na zadawnione pojęcie rządu jako czynnika odrębnego od społeczeństwa i jemu przeciwnego. To pojęcie (staropolskie niegdyś, a rewolucyjne w wieku XIX) zasadniczo fałszywe, a praktycznie szkodliwe, bo nie dopuszczające jednolitości społeczeństwa, a siły i jedności w polityce, zaczęło się zmieniać po raz pierwszy w Galicyi, zwłaszcza od roku 1866. O skutkach zmiany wspomnieliśmy już wyżej, w poprzednim rozdziale.

Starszyzna kraju z ówczesnym marszałkiem na czele, ludzie z politycznym rozumem i doświadczeniem, weszli na tę drogę śmiało i szczerze, ale nie bez walki. Było w społeczeństwie uczucie żywe i aż nazbyt słuszne, żalu do Austryi i jej dawnych rządów; było także to drugie, że zgoda i porozumienie z rządem rozbiorowym, którymkolwiek, nie da się pogodzić z wiernością dla Polski. Uczucie szanowne, szlachetne, ale mylne. Stanowisko zasadnicze, nieuznawanie rządu, a tylko bierne znoszenie go, naprzód w praktyce możliwem nie jest, bo dałoby się objawić i utrzymać jedynie przez zupełną i systematyczną abstencyę (od Rady państwa, od Sejmu, od Rad powiatowych i gminnych itd.); a na taką rząd, od kraju silniejszy, a w kraju silniejszy od opozycyi, zawsze znalazłby sposób. Powtóre, jest szkodliwem, bo przez nieczynność wiedzie do bezwładności, do niezdolności rządzenia się i życia. Wreszcie jestto stanowisko w samej istocie swojej,

w zasadzie mylne, bo nie jest niewiernością względem ojczyzny to, co jej służy i na rzeczywisty pożytek wychodzi. Na tej zmianie wszakże, na tej różnicy między stanowiskiem zajętem przez nas w Galicyi, a dawnem pojęciem absolutnego przeciwieństwa między Polską, a państwami rozbiorowemi, oparło swoje nadzieje, rachuby i działania stronnictwo przeciwne.

Stanowisko Galicyi i jej polityka mogły logicznie prowadzić do przywrócenia, utrwalenia społecznej równowagi w kraju; faktycznie prowadzić do niej zaczęły. Tej zaś nad wszystko nie lubi i boi się polityka rewolucyjna i anarchiczna. W tem, co się w Galicyi działo, ujrzała ona zaprzeczenie swoich dwóch zasad kardynalnych: legitymizmu tajnych rządów (niby narodowych) i tajnej organizacyi, oddającej pod władzę tego tajnego rządu pewną liczbę ludzi ślepo posłusznych, gotowych na rozkaz dać się użyć do takiego działania, jakie ów rząd tajny w swojej polityce uzna za potrzebne. Zaczęła się więc walka. Trafiając do uczucia patryotycznego, partya przeciwna wołała i szeptała, że zajęta w Galicyi postawa i zaczęta akcya jest wyrzeczeniem się Polski. Przy zręczności własnej, a nierzadkiej u nas łatwowierności i podejrzliwości miała niezłe powodzenie. Działanie sejmowe utrudniała, podkopywała powagę ludzi a ufność do ich polityki; w razie wydarzeń ważnych i zawikłań trudnych, wymagających wielkiej przezorności, mogła zepchnąć kraj z obranej drogi i sprowadzić go na swoje manowce. Ale obrona była tym razem czujniejsza i śpieszniejsza, była też i liczniejsza; a między różnemi jej środkami godzi się nam wspomnieć przyjaciela zasługę, te *Kilka prawd z dziejów naszych*, które Szujski w roku 1867 powie-

dział: „Jeżeli naród jako państwo upadł, to z własnej winy; jeżeli powstanie, to własną pracą, własnym rozumem: własnym duchem... Jakąkolwiek jest forma rządu, jakikolwiek jest skład społeczny, dwa te czynniki istnieć i zgodnie z sobą działać muszą, jeżeli naród ma kwitnąć... Jak *liberum veto* po Konstytucyi Trzeciego Maja było Targowicą, tak dziś byłoby nią *liberum conspiro*. To nie wolność, tylko socyalizm; to nie niepodległość, tylko pożarcie przez Moskwę.“

Wojna była wypowiedziana i zacięta; szczegółów jej przypominać nie mamy ani czasu, ani chęci. Skutek był ten, że słowa, które objaśniały fakta i na faktach były oparte, wrażenie sprawiły, a następstwa roku 1863 same mogły były zrodzić przekonanie, że tajne sprzysiężenia i tajne rządy nie ratują spraw, ale je gubią. Kiedy w roku 1869 próbowano utrzymać „nieprzerwalność organizacyi,“ odparli ją nawet tacy, którzy niedawno jeszcze w nią wierzyli i do niej należeli. Polityka tajnych związków była osądzona jako zła przez ogromną większość kraju, polityka zgody z Austryą była przez tęsamą większość rzetelnie i z przekonania przyjętą; tak zwana *organizacya* nie miała widoków powodzenia. Skryła się też pod ziemię i przycichła, a przestawała na tem, że utrzymywała hałaśliwą opozycyę, szkalowała Sejm i delegacyę do Rady państwa, i przeszkadzała im w działaniu, a *Stańczyków* ogłaszała zdrajcami ojczyzny. Jak osłabła, dowodzi najlepiej, że po raz pierwszy zaczęto się z niej śmiać. Słowo *tromtadracya* wynalezione przez jedno z pism humorystycznych lwowskich, oznaczające politykę pustą a głośną, przechwałkową, deklamacyjną i demonstracyjną, przylepiło się do tej partyi i było charakte-

rystycznym objawem ówczesnych usposobień. Polityka rzeczywista i stateczna — pomimo stawianych przeszkód i popełnionych błędów — robiła postępy, szerzyła się w opinii, gruntowała w przekonaniach. Ci nawet, którzy najbardziej stronili od tak zwanych Stańczyków, którzy albo nie mogli wyleczyć się z wrodzonej (a zręcznie pielęgnowanej) podejrzliwości, albo bali się o popularność swoją i na nazwę złych patryotów, serwilistów, zaprzedańców, narażać się nie chcieli, — nawet tacy wiedzieli doskonale, że tajne związki i organizacye prowadzą tylko do szkody, a polityka statku o państwo austryackie oparta i jemu wierna, jest rzeczywistością i korzyścią. Przekonanie to rozeszło i przyjęło się tak dobrze, że podzielają je skrycie nawet ci, którzy najgłośniej zwolenników tej polityki oskarżają i potępiają. Lepszej, korzystniejszej nikt nie wymyśli; a kto najbardziej nawet (z patryotycznego niby stanowiska) na nią narzeka, ten nie zmieniłby jej z pewnością, gdyby sam do steru spraw naszych doszedł.

Ale dawna rewolucyjna tradycya i polityka nie ustała. O powstaniu ona nie myśli, ani go gotuje; ale anarchii z programu swego nie wykreśliła, a środki, modyfikując lekko według potrzeby, zachowała zawsze tesame. Utrzymywać społeczeństwo w rozdrażnieniu i niedowierzaniu jednych przeciw drugim, to sposób najpewniejszy, żeby poróżnionych opanować i zaprowadzić gdzie się zechce. Nie mówiąc też ani o powstaniach, ani o organizacyach, ani o spiskach, umiano zręcznie zaszczepić i krzewić ciągły niepokój, ciągłą niejedność w umysłach. Narzędziem były dzienniki; a środkiem? wszystko, co każdy dzień przyniósł i nadarzył. Pierwsza lepsza sprawa, ważniejsza czy mniej wa-

żna, w Sejmie czy w Radzie państwa, służyła za dowód niegodnego *serwilizmu* poselskiej większości, i bezwzględności twardej a życzliwości tylko udanej rządu. Cóż dopiero jak ten rząd wnosił, a ci posłowie uchwalali podatki coraz wyższe i rzeczywiście uciążliwe! Co za sposobność wyborna do wołania, że ten minister Polak jest państwa tylko sługą, a kraju nieprzyjacielem, i tak samo ci, którzy go popierają i bronią. A kiedy takie oskarżenia trafiały do podrażnionego uczucia wiejskich obywateli podatkami najbardziej obciążonych, to do miast znowu przemawiało się innym językiem, drażniło się żyłkę demokratyczną, uderzało się w czułą strunę równości. „Wszystkie miejsca, wszystkie wpływy, opanowane są przez małą garstkę uprzywilejowanych, przez *arystokratyczną koteryę;* a my, czyż nie jesteśmy ludźmi jak oni? czy nie potrafilibyśmy robić tak, i lepiej jak oni?“ Miłość ojczyzny, o ile była gorąca a krótko widząca, jątrzyło się oskarżaniem o odstąpienie i wyrzeczenie się Polski; przestarzały i doktrynerski (ale nie rzadki niestety) liberalizm, straszyło się widmem arystokracyi i feudalizmu; religijną obojętność lub religijną nienawiść do Kościoła (a i ta się zdarza) widmem klerykalizmu. Pochlebiało się jednym, żeby drugich poniżyć; szkalowało się jednych, żeby drudzy zastraszeni opierać się nie śmieli; a wszystko z tym skutkiem, że społeczeństwo systematycznie utrzymywane w stanie wzajemnych podejrzeń i niechęci, do prawdziwego zdrowia i równowagi przyjść nie mogło.

Tymczasem podrosło pokolenie nowe, które ostatnie wypadki znało tylko z tradycyi, które wychowało się już w przekonaniu, że powstania do celu nie wiodą, ale chowało się bez narodowych nadziei. Bez dą-

żeń, bez ideałów przecie żyć nie mogło: jakież mieć mogło? Patryotyczne zawsze; ale te cofnięte w głąb, odłożone do przyszłości niewiadomej; a jako bliższe, bezpośrednie, praktycznie do osiągnięcia możliwe stawiały się ideały demokratyczne. Obowiązkowa nauka, zwiększona liczba szkół, w skutku tego zwiększona liczba uczących się, dostarczały coraz nowych warstw ludzi, do których te ideały koniecznie żywo przemawiać musiały. U jednych znajdowała wiarę i zapał przestarzała doktryna demokratyczna i liberalna, odświeżona niby godnym zazdrości przykładem republiki francuzkiej i zasadą powszechnego głosowania; u innych czy z usposobienia gorętszych, czy z umysłu bardziej logicznych i bardziej jednostronnych, znalazły wiarę i zapał doktryny socyalistyczne. Materyał, nad którym polityka anarchiczna mogła pracować, stał się i bogatszym i wdzięczniejszym, bo łatwowierniejszym, mniej doświadczonym i wyrobionym, zatem łatwiejszym do obrobienia, powolniejszym do użycia. Za długo też trwała i zakorzeniła się zbyt zuchwale ta polityka statku i rozumu, która sprawę narodową gubi, a *postępu* w społeczeństwie nie dopuszcza; trzeba jej raz przytrzeć rogów! A gdy po jednej stronie wiele najtęższych głów zabrała śmierć, po drugiej przybyło wiele głów do prowadzenia łatwych — zaczęła się robota z podwojoną energią.

Przedewszystkiem to co najłatwiejsze: młodzież szkół, a zwłaszcza uniwersytetów. Trzeba jej podchlebiać, i mówić że jest osobnym, samodzielnym w społeczeństwie czynnikiem i ciałem; że ma prawo do głosu i ze zdaniem swojem w jakiej zechce sprawie występować powinna. Gdyby jej kto przypomniał, że czas

głośnego mówienia i działania jeszcze na nią nie przyszedł, to oczywiście wstecznik i tchórz, który wolność obywatelską krępuje, zapał młodzieży mrozi, a ojczyzny nie kocha! Rzecz wiadoma zresztą, abecadło politycznej sztuki, pierwsza zasada rewolucyi i anarchii, że wszelka władza (z wyjątkiem tajnej ma się rozumieć) jest nieprzyjacielem. Niech młodzież wierzy, że kto ją do nauki nawołuje, ten ją za małe dzieci uważa. Niech się łudzi, że się kształceniem ludu zajmuje. Robić tego nie ma możności, ale zawsze z tego ta wielka korzyść, że się młodzi przyuczą i tego nie robić co powinni, i w marnem gadaniu lub agitowaniu widzieć rzeczywiste działanie. W razie zajścia ze zwierzchnością, oczywiście zawsze młodym słuszność przyznawać; a kiedy już żadną miarą głośno zrobić tego nie można, to zganić ich lekko napozór, a pocichu przyznać im słuszność i dać zachętę na przyszłość. Wszczepić w nich zwłaszcza to uczucie wzniosłe, że co się robi dla *idei*, to zawsze dobre i szlachetne; że więc podstęp, podejście, kłamstwo, jest rzeczą nie brzydką, za jaką uważa ją przestarzały przesąd uczciwości i honoru, ale rzeczą obowiązku, zasługi, może bohaterstwa. O tem już i mówić nie warto, bo rozumie się samo przez się, że niedowiarstwo jest samym gruntem rozumu i postępu, wiara ciemnotą i niewolą; to oświecona młodzież koniecznie wiedzieć powinna. Przedewszystkiem zaś powinna wiedzieć, że zbawienie i przyszłość ojczyzny, jak niegdyś były w emigracyjnem Towarzystwie Demokratycznem, tak dziś jest w jego następcach i spadkobiercach. Nieufność, niechęć, opór wszystkiemu co jawne i prawne; wiara, że lepszem i jedynie prawowitem, jedynie rozumnem, jedynie

patryotycznem jest to, co pokątne, ukryte, bezimienne. Oto uczucia i pojęcia, w jakich młodzież ma być chowaną i kształconą, jeżeli ma wyjść na — wygodne narzędzia bez własnego sądu i woli.

Ale to dopiero część zadania; a prócz tej są inne. Przecież jest lud, ten lud, który się nad wszystko kocha! dla którego niby i przez który robi się to co się robi, a który w dobroduszności i powolności swojej tak się naiwnie daje nadużywać, że dziś pokazuje a może i czuje dużo mniej do szlachty nieufności i niechęci, aniżeli przed czterdziestu laty. Otóż to skutki tej niecnej roboty wstecznikow! Ten lud przestaje czuć się w sobie, traci stopniowo świadomość siebie jako ludu (to jest jako upośledzonego, skrzywdzonego). Na to już pozwolić nie można; tę świadomość ludowi przywrócić trzeba koniecznie! O pańszczyźnie wprawdzie mówić trudno, bo jej niema; ale znajdzie się zawsze co innego, co choć mniej rzeczywiste, posłużyć może skutecznie. Trzeba w ludzie obudzić to przekonanie, że on sam o wszystkich sprawach radzić powinien, bo naprzód jego dobro jest od dobra całego narodu naturalnie odrębne i różne, a powtóre ma rozumu dosyć, żeby o wszystkiem radził. Że on nie wszystko znać i rozumieć może? to nic nie szkodzi; wszak my jesteśmy od tego, żeby za niego myśleć i mówić mu co w każdym razie ma robić. A to powinien wiedzieć, że jest ludem, zatem upośledzonym — ludem, a zatem wszechwładnym. W tej świadomości trzeba go utwierdzać, a przedewszystkiem uczyć, że bogatszemu i szlachcicowi wiary i zaufania nigdy dawać nie powinien, że on i szlachta, to ogień i woda, że szlachta nigdy jego dobra nie zrozumié ani o nie dbać nie może, owszem, przeciwnie,

będzie mu zawsze stała na zdradzie. Wtedy dopiero będziemy na dobrej drodze, wiodącej do zbawienia ludu i ojczyzny, w dawnej tradycyi Towarzystwa Demokratycznego! — i roku 1846. W miastach innemi sposobami, z innego tonu, ale taksamo pod pozorem samoistności, roznieca się w ludziach oświeconych społeczne uprzedzenia i antagonizmy, w ciemniejszych zawiści. Jak na wsi hasło jest: gromada przeciw dworowi — tak tu: miasto przeciwko wsi, i światło przeciw ciemności (naturalnie mniemanej).

Za tą zaś niby demokratyczną i niby patryotyczną, naprawdę rozkładową dążnością, posuwa się zwolna inna, przez nią nie prowadzona zapewne, ale z jej przygotowań wynikająca i korzystająca agitacya socyalistyczna. Ta w całej Europie czynna, nie mogła zatrzymać się na naszych granicach, musiała je przejść; ale kiedy znalazła grunt już przygotowany, umysły nauczone pojmować porządek społeczny jako rzecz złą, zwierzchność jako ograniczenie wolności, urząd, wiek i sam rozum nawet, jako obrazę równości, śmielej i skuteczniej mogła na tej podstawie wznosić swoją budowę. Znalazła — jak wszędzie — głowy, charaktery i osobiste stosunki, do których trafić, które poruszyć i wyzyskać mogła. U jednych rzetelne współczucie dla nieszczęśliwych, u innych naturę skłonną do fanatyzmu przy pojęciu ciasnem, jeszcze u innych próżność, która zwykłym zawodem i biegiem życia zaspokojoną nigdy nie będzie, bo jest sama o tyle wielka, o ile jej zdolność mała; jeszcze u innych niedostatek, a w jego skutku żal do ludzi i społeczeństwa. W te różne strony natury ludzkiej uderzając, jątrząc jednych, podchlebia-

jąc drugim, agitacya socyalistyczna wzmaga się, i tak się czuje silną, że taić się ledwo uważa za potrzebne.

Pod rządem rosyjskim nie jest z pewnością pod tym względem lepiej; owszem, jest gorzej. Ale że tam nie jawnie pokazać się nie może, więc ze sporadycznych tylko symptomatów wnosić można, że złe postępuje. Takim symptomatem są te exemplarze młodzieży, wychowane w rosyjskich szkołach i pojęciach, jakie w Warszawie a częściej jeszcze na Litwie spotykać się dają. Cechą ich, brak zupełny narodowości: ojczyzna jest przesądem, rozumnego człowieka niegodnym. Dalej bezbożność zupełna, jako wyrozumowana zasada, i jako passya. Jeszcze dalej, nienawiść społeczeństwa jako takiego, i otwarte cyniczne pojmowanie człowieka, jako istoty fizycznej tylko, do używania przeznaczonej. Mięszanina i produkt rosyjskiego nihilizmu, filozoficznego materyalizmu, i (niestety) polskiego naśladownictwa, istoty te wyzwolone z pod wszelkich przesądów moralności i honoru, gdyby się mnożyły, musiałyby stać się zgnilizną narodu i społeczeństwa. I dla tegoto rząd rosyjski tak łaskawie, tak przez szpary patrzy na wszystko, co się przyczynić może do wydawania ludzi tego rodzaju; dla tego pisma, które nie uznają ani Boga w niebie, ani ojczyzny na ziemi, ani duszy w człowieku, taką mają w Warszawie swobodę szerzenia swoich nauk, kiedy ludzie uczciwi mają i ręce związane i usta zakneblowane.

Obok zaś tych zepsutych (a nielicznych jeszcze), jest większość z sercem polskiem a uczuciem szlachetnem, która właśnie dla tego, że taką jest, łatwo może uwierzyć i dać się uwieść konspiratorom i organizatorom. Doprowadzona do rozpaczy przez istniejący stan

rzeczy z jednej strony, do obrzydzenia przez tych swoich rówieników, którzy do niego przystają, ta część ludności i opinii, zwłaszcza ta część młodzieży, nie dziw, że może być przystępną namowom spiskowców. „Patrzcie, jak rząd wszystko tępi i niszczy; patrzcie, jak niektórzy z was młodych nawet płaszczą się i podlą i zapominają o ojczyznie; patrzcie, jak starsi spokojnie wszystko znoszą, napozór niby z rozumu i obowiązku, naprawdę z tchórzostwa. W was jednych nadzieja; na was jednych obowiązek ratowania i honoru i miłości ojczyzny; wyście powinni dawać znaki życia, i pokazywać że „Jeszcze Polska nie zginęła".

Takie słowa mogą znajdować wiarę i robić wrażenie. A komu służą? Dowód najlepszy znowu w tem, że pisma warszawskie o duchu bezbożnym i rewolucyjnym, mają wszelką wolność szermowania szumnemi patryotycznemi frazesami. Chodzi o to, żeby temi frazesami ułatwić im posłuch i wiarę u nierozważnego czytelnika; a w swoim czasie polityka rosyjska zbierze plon z tego zasiewu.

W Galicyi złe jest jawne, a przez to samo już mniej złe, bo widząc je, można przeciw niemu działać; a więcej może rozpostarte, nie jest tak nawskróś zepsute i zgniłe. Niemniej polityka niby postępowa i demokratyczna, naprawdę negacyjna i rozkładowa, prowadzona z różnem natężeniem, jest, działa, szkodzi, i tu także.

Najnowszym, najwymowniejszym dowodem, że takie działania postępują, jest rozrzucona w Warszawie odezwa wzywająca do obchodu rocznicy 3-go Maja. Że tysiące ludzi może pójść do więzienia, a tysiące rodzin polskich, które jeszcze mają jakieś miejsce i utrzyma-

nie, pójdzie z torbami, mniejsza o to, a raczej to dobrze; bo przecież znana jest stara maxyma Towarzystwa Demokratycznego *„Im gorzej, tem lepiej“*. Trzeba zatem „budzić ducha“ i wywoływać „znaki życia“, na to, żeby było jeszcze gorzej niż jest, a powtóre na to, żeby utrzymać swoją zasadę i swoją władzę, żeby z ukrycia (bezpiecznego ma się rozumieć) rządzić, rozkazywać, organizować. Ośmieliła się ta polityka bardzo w ostatnich latach, skoro tak jawnie występuje, i nie boi się oburzenia, jakie jej działanie mogłoby wywołać. Jeszcze niedawno nie byłaby śmiała narażać Warszawy i Królestwa na nowe nieszczęścia i prześladowania, Polski na nową klęskę i nowy ubytek sił. Ośmieliła ją niezawodnie nasza powolność i bojaźliwość w Galicyi, nasze zachowanie się względem dzienników, które tę politykę popierają i prowadzą skrycie, choć jej jawnie nie głoszą. Wszystko im było wolno; od roku 1866 do dziś dnia prowadziły swoją destrukcyjną robotę, a my, jedni z braku zrozumienia, drudzy ze strachu, milczeliśmy albo uprzejmie potakiwali. Kto im czoło stawić próbował, ten był zdrajcą, a przynajmniej podejrzanym. Nic dziwnego, że po długiej bezkarności w Galicyi, polityka ta czuje się dość silną, by próbować szczęścia w Królestwie — pewna, że jakiekolwiek i na kogokolwiek spadną nieszczęścia, to jej zwierzchnikom i przewodnikom żadne niebezpieczeństwo nie grozi.

Czy w zamiarach tego stronnictwa i tej polityki jest nowe powstanie? Sądzimy że nie; że nateraz przynajmniej jedynym celem jest anarchia. Anarchia nieczynna i łagodna, ale rzeczywista, która nie myśli dawać hasła do powstań, ani nawet do rozruchów, tylko

którzy jej mówili, że zdradza i czyha na jej wolność Batory czy Zamoyski, Władysław IV czy Jan Kazimierz, czy Sobieski. Jak wtedy *absolutum dominium*, tak dziś *reakcya, arystokracya,* albo *klerykalizm* jest tem straszydłem, które odbiera przytomność i sąd. Jak dla dawnej szlachty *pupilla libertatis* i równość szlachecka, tak dla dzisiejszej młodej demokracyi *demokracya* jest hasłem, które zagłusza rozum, zmysł polityczny, i samo patryotyczne sumienie. Ono tłómaczy tę wiarę i to posłuszeństwo, jakie polityka anarchiczna wzbudza i znajduje u ludzi, w których naturze, stanowisku, przekonaniach i dążnościach niema anarchicznego nic — prócz tej łatwowierności i powolności. Ona tłómaczy namiętność, z jaką ludzie godni, rozumni zkądinąd i stateczni, odpierają ze wstrętem wszelką myśl lub akcyę podjętą przez tych, których mają za wstecz-ników. Dawna szlachta pomiarkowała w końcu, co była warta jej *złota wolność,* jej przywilej wybierania królów, i jej *liberum veto;* poprawiony sposób widzenia objawiła w ustawie Trzeciego Maja. Ale Trzeci Maj przyszedł zapóźno. Życzymy naszej dzisiejszej demokracyi i narodowi całemu, żeby na wartości tych haseł, w które ona tak wierzy, jak my niegdyś w *nemine contradicente* i wolną elekcyę, poznała się na czas.

Dziś, co prawda, opór jest i silniejszy, i liczniejszy, i wcześniejszy; a jeżeli na wszystkich polach robią się (i nie bez skutku) próby rozstroju, to na wszystkich także spotykają się z odparciem. W tem jest postęp; w tem jest dowód, że charakter męski, że odwaga cywilna, są dziś częstsze niż bywały, a zatem dowód, że społeczeństwo wyrobiło się znacznie, że nie tracąc nic ze swojej siły i szlachetności uczucia, zy-

skało na rozumie, a zwłaszcza na charakterze, na tej władzy, która rozum z uczuciem godzi, a postępowanie do tak zgodzonych stósuje. Zatem jeżeli anarchia dąży do tego, by się stać naszą chorobą chroniczną, to z drugiej strony organizm sam powinien tem więcej znajdować w sobie przyrodzonych sił i środków, żeby jej postępy wstrzymywać. Mamy nadzieję, że się na to zdobędzie. Do zdrowia on nie doszedł, i daleko mu jeszcze do tego iżby złe pierwiastki w sobie poskromił, a chorobę przemógł; ale obok symptomatów choroby, okazują się niemylne znaki zdrowia podnoszącego się, upominającego się o swoje prawa, dążącego do tego, żeby stopniowo opanować organizm. Trzeba tylko, żeby ten poczęty opór przeciw złemu nie słabł, nie cofał się przed walką, nie poddawał się „łagodnej anarchii.“ Przy naszem usposobieniu tego zawsze obawiać się można, tego pilnie strzedz się należy.

# W CHWILI OBECNEJ.

Są więc dwie opinie, dwie polityki, które idą równolegle do siebie od wieku, i stoją naprzeciw siebie w każdym okresie tych stuletnich dziejów: jedna organiczna, druga anarchiczna. W Sejmie czteroletnim pierwsza miała przeciw sobie drugą, wcieloną w opozycyę z charakterem staropolskim i arystokratycznym, konfederacyjnie-konspiracyjną, i w opozycyę w nowym francusko-demokratycznym i rewolucyjnym rodzaju, której niezłym typem jest Turski, krzykacz, trybun i... szambelan. Przeciw Kościuszce powstaje ta polityka anarchiczna, staje się rewolucyjną (w przeciwieństwie do organicznej insurrekcyjnej), a wciela się w Kołłątaja, w jego *kuźnicę,* w jego pomocników. Za Królestwa Kongresowego pierwiastek insurrekcyjny góruje nad rewolucyjnym, ale sam na nieszczęście jest anarchicznym, skoro jest spiskowym, a dlatego że takim jest, wybucha w złą porę i zamierzonego celu nie osiąga, a do pięknej sprawy dodaje brzydką kartę 15 sierpnia. Na emigracyi cel i pierwiastek insurrekcyjny tak się z rewolucyjnym zrasta i tak mu się opanować daje, że z największą dla swego celu (dla sprawy niepodległości)

szkodą, wprowadza i zwyczaj anarchicznej konspiracyjnej polityki, i anarchię otwartą i zupełną, nienawiść społeczną, w sam organizm narodu (rok 1846). Polityka przeciwna, organiczna, jest i na emigracyi, i działa bez przerwy, ale na namiętności działać nie chce, na umysły zapalne a płytkie działać nie może, i dlatego ani przed rokiem 1846, ani później przed 1863 (mimo że wtedy działa nierównie energiczniej), nie może w świadomości narodu oderwać polityki polskiej od polityki rewolucyjnej i anarchicznej. Rozróżnienie i rozdział tych dwóch pojęć różnych, sprowadza dopiero najgorsza od rozbiorów klęska, rok 1863 i jego skutki. Po nich dopiero konspiracyjna i rewolucyjna anarchia zaczęła być rozumianą w swojej istocie i swoich skutkach, a była osądzona tak surowo, że sama uznała za potrzebne na czas jakiś zataić się i przycichnąć.

Ale gdy w Galicyi stosunki zaczęły coraz bardziej ustalać się do równowagi, gdy w skutku tego społeczeństwo przywykłe oddawna brać anarchię za patryotyzm mogło od tego pomięszania pojęć pomału odwykać, gdy nadto rewolucyjne siły z zachodu i północy skupiły swoje działanie przeciw Austryi (wzrost tych działań w Czechach, na Węgrzech i w Galicyi jest zbyt równoczesnym, iżby mógł być przypadkowym), wtedy polityka anarchiczna podniosła się znowu, podwoiła swoje usiłowania i wznowiła dawną politykę emigracyjnego Towarzystwa Demokratycznego. Z tą wszakże wielką, a dla dzisiejszych czasów i ludzi mniej zaszczytną różnicą, że dawniej polityka konspiracyjna była rewolucyjną i anarchiczną, ale była insurrekcyjną także; miała dwa cele, dwa ideały, dwie zasady szlachetne: powstanie, i uwłaszczenie poddanych. Szła do nich drogami najgorzej wybra-

nemi, ale do nich dążyła. Dziś powstanie nawet u tych, co najgłębiej są zanurzeni w tajne związki, stoi chyba na dalekich planach programu, a zniesienie poddaństwa jest faktem dokonanym. Dwie więc pobudki i idee szlachetne ubyły tej polityce; został tylko pierwiastek trzeci, anarchia. Stroi się on wprawdzie w różne pozory, nazywa się demokracyą, liberalizmem i postępem; mówi, że w dalszym ciągu uwłaszczenia ludu ma obowiązek trudnić się jego oświatą i politycznem wychowaniem. Ale sposoby postępowania wskazują i dowodzą, że treścią i celem tej polityki jest anarchia jako taka. Ani demokracya, ani postęp, ani zwłaszcza wykształcenie ludu, nie zasadzają się na dzieleniu i jątrzeniu, na szerzeniu waśni społecznych; a kto w ludzie budzi nieufność do szlachty i do bogatszych, przeciw wszelkiej zwierzchności podejrzliwość u wszystkich podwładnych, ten nie powstanie gotuje, nie demokracyę rozszerza, ale poprostu porządek społeczny podkopuje i rozprzęga.

Skoro są dwie opinie i dwie polityki, walczące z sobą od wieku i doskonale od siebie rozdzielone to z nich logicznie powinny były wyrobić się dwa również odznaczone, świadome siebie i od siebie statecznie oddzielone stronnictwa. Tego niema. Pod wpływem stronnictwa anarchicznego stoi wielu ludzi, którzy anarchii naprawdę nie chcą i nie cierpią; do stronnictwa organicznego przyznają się — i znowu w dobrej wierze — tacy, którzy anarchii (rozumié się łagodnej, chronicznej) bezwiednie, ale skutecznie i dzielnie pomagają. Nielogiczność ta i sprzeczność pozorna tłómaczy się łatwo skłonnościami i słabościami natury ludzkiej, i natury polskiej w szczególności. Rzecz jest zupełnie naturalna,

że człowiek młody i niedoświadczony rwie się całą duszą do postępu, ale nie zna jego podstaw i warunków, i wierzy na słowo, że jest postępem prawdziwym to, co się takim nazywa. Rzecz równie naturalna, że słowo *demokracya* ma wielki urok dla wszystkich młodych czy starszych, którzy widzą w niej daną każdemu słuszną wolność rozwinięcia swoich sił i zasobów, i sposobność okazania ich w czynie, w zasłudze, choćby w znaczeniu. Ten naturalny popęd sprawia, że człowiek postępem i demokracyą olśniony, choć czuje nieraz w swoim rozumie i sumieniu, że w praktyce słowa te bywają stósowane źle i do szkodliwych kierunków naginane, nie chce i nie ma odwagi przyznać sobie, że tak jest, i dalej poddaje się wpływom, dalej ulega i słucha... i sam o tem nie wiedząc, pozwala się prowadzić sam nie wié gdzie. Tem tłómaczy się wielka, wzmagająca się i niemal namiętna popularność polityki anarchicznej u ludzi, którzy z natury, z przekonania, z rozumu wreszcie, powinniby pracować nad organicznem zjednoczeniem społeczeństwa, nad ustaleniem jego równowagi, a z niedoświadczenia, z lekkomyślnego zapatrzenia się w pozory i hasła, przyczyniają się bez swojej wiedzy i woli do jego rozprzężenia. Ale brak wiedzy i woli nieoświeconym tylko może stanąć za wymówkę; oświeceni mają możność, zatem powinność, widzieć jasno, warunki społecznego i politycznego bytu znać, i polityczny sąd rozważnie sobie wyrabiać.

Co pewna, to, że w Galicyi mamy bardzo rozpowszechnione demokratyczne pojęcia i może nawet namiętności, ale prawdziwego demokratycznego stronnictwa nie mamy. Do tego bowiem nie wystarcza ani łączność, ani zręczność i obrotność w postępowaniu,

ani nawet jeden stały i ulegle przyjmowany kierunek. Odrębne i samoistne stronnictwo potrzebuje koniecznie mieć za podstawę, odrębną i samoistną politykę. Nasze zaś stronnictwo demokratyczne i postępowe, o ile nie jest konspiracyjnem i rewolucyjnem, polityki takiej nie ma. Kierunek ogólny naszych spraw i ich potrzeby, stosunek kraju do państwa, stosunek Polski do Rosyi lub Prus, pojmuje taksamo, jak ci, których wstecznikami nazywa. Jeżeli ma jakie ideały odmienne, to wié dobrze, że ich urzeczywistnić nie zdoła, a więc i nie próbuje. Najgorętszy republikanin nie myśli zapewne o republice austryackiej? a jeżeli marzy o głosowaniu powszechnem, to wié dobrze, że do niego łatwo nie dojdzie — o tem już nie mówiąc, że demokrata rozumny i dobrej wiary wié tak dobrze jak każdy, iż głosowanie powszechne musi być albo komedyą i narzędziem w ręku rządzących, albo anarchią.

Ale — słyszymy z góry odpowiedź — stronnictwo demokratyczne ma taki program osobny; tym programem jest: rozszerzać zakres i miarę samorządu, i podnosić ekonomiczny stan kraju. Co do pierwszego, trzebaby mieć oznaczony kres i cel dążeń: tego a tego potrzebuje się i żąda w porządku administracyjnym, sądowym, skarbowym, szkolnym itd.; wtedy dopiero miałoby się przed oczyma program i możnaby widzieć i mówić, co w nim pilniejsze, a co mniej nagle, co praktyczne a co nie. Program ogólnikowy w takich rzeczach jest pozorem i złudzeniem programu tylko, a nie rzeczywistością. Przy tem zaś rozszerzeniu samorządu trzeba zawsze zważać na jedno, to jest, czy się już należycie zużytkowało i przetrawiło to, co się ma? czy się temu w zupełności podołało? Jeżeli tak, można

śmiało sięgać po więcej; jeżeli nie, to lepiej się wstrzymać. Co zaś do drugiej, ekonomicznej połowy tego programu, to ta nie może być zasadniczą różnicą i podstawą odmiennej polityki, zatem osobnego stronnictwa. Może na zachodzie zasady i interesa ekonomiczne, wolny handel, protekcya itp., mogą stanowić granicę między politycznemi stronnictwami. Ale u nas te kwestye są jeszcze w stanie tak pierwotnym, te potrzeby tak elementarne i tak oczywiste, że ludzie najróżniejszych pojęć i zasad politycznych w nich porozumieć i zgodzić się nietylko mogą, ale muszą. I gdyby naprzykład sejmowa lewica — czego jej i sobie szczerze życzymy — wskazała nam praktyczne sposoby podniesienia krajowego bogactwa, to ręczymy z góry, że sejmowa prawica chwyciłaby się tych sposobów z radością. Odmienna polityka na tej podstawie i zasadzie (u nas przynajmniej) opierać się nie może. Stronnictwo zaś, które nie ma osobnych zasad i osobnej polityki, a koniecznie odrębnem być chce, z natury rzeczy musi być bez rzetelnej i ważnej treści naprzód; powtóre musi łudzić się, że ma swoje własne zasady i programy; wreszcie w praktyce musi dążenia swoje ograniczać do szczegółów albo do osobistości, i łatwowiernie popaść w zależność od tych swoich naczelników, którzy mniemaną odrębność polityki wymyślają, wmawiają, i głoszą. Będzie to więc raz opozycya hałaśliwa, z powodu szczegółu, który sam w sobie wielkiej wagi nie ma i często jest tylko pretekstem; albo będzie uprzedzenie do osób, niesłuszne, nieuzasadnione, lecz uparte i namiętne; albo uczucie patryotyczne, które (w dobrej wierze) sądzi się zranionem przez mniemane odstępstwo drugich; albo będzie wyobrażenie (również w dobrej wierze), że społeczeń-

stwo jest zagrożone arystokracyą, feudalizmem, klerykalizmem, a sprawa narodowa serwilizmem. U niektórych ludzi naturalnie mięsza się do tego próżność lub ambicya własna, pragnienie posad lub stanowisk, „walka o byt“ — osobisty. Stronnictwa, które własnej polityki odrębnej nie mają — a to mieć takiej nie może — muszą szamotać się w próżni, łudzić się pozorami wielkich dążeń przy czynności drobnej, jak jej przedmioty; muszą, żeby żyć, sztucznie wyszukiwać i wmawiać w siebie różnice zasadnicze i odmienną politykę, a przez to wszystko marnują się tylko i psują. Marnują, bo przywykają do pozornego i czczego politycznego życia, a rzeczywistego się nie uczą, ani go wyrabiają; bo przywykają brać agitacyę za czynność, a szczegół lub osobistość za zasadę. Psują się zaś dlatego, i psują drugich, że przez to lekkomyślne postępowanie tracą rozeznanie prawdy od fałszu, a uczciwego od brzydkiego postępowania; tracą stopniowo świadomość własnego przekonania i woli, tracą ducha publicznego, a zachowują (pod formą patryotyzmu i demokracyi) bezwiednie ducha fakcyi, któremu zrazu niebacznie prowadzić się dają, ale który stopniowo przenika je nawskróś i owłada zupełnie. Stronnictwo, które nie ma osobnej polityki, a osobnem stronnictwem być chce, musi koniecznie tumanić siebie i drugich jej pozorami, musi i pojęcia gmatwać i działania krzyżować, i każde rozpoczęte dzieło, każdy wyrabiający się porządek rzeczy podkopywać. Choćby złożone ze zdrowych i dobrych żywiołów, ono musi (bez swojej wiedzy i woli) anarchicznem być i pomagać do anarchii, a złudzone hasłem demokracyi i postępu, musi ulegać tym, co — już nie bez swojej wiedzy i woli — pod temi hasłami

i pozorami przemycają i rozszerzają rzeczywistą chroniczną anarchię.

Politycznej zręczności i obrotności, biegłości w łączeniu się, zalety posłuszeństwa, jest w tem stronnictwie wiele. Jest też w jego jedności jeden pierwiastek, jeden cement mocny bardzo, to zawiść i pragnienie władzy. Politycznego rozumu, tego, co losami narodu dobrze kierować jest zdolny i ku lepszej przyszłości je zwrócić, tego nie było w tem stronnictwie od wieku nigdy, i niema go dziś.

Czy pod rządem rosyjskim jesteśmy pod tym względem inni, a bylibyśmy mądrzejsi, gdyby się sposobność publicznego życia nadarzyła? Wiedzieć nie można, skoro niema doświadczenia. Ale z tego, co się tam pisze, z dzienników mianowicie, przypuszczać można, że lepiej nie jest; a można się obawiać, że byłoby raczej gorzej, bo praktyka dwudziestu kilku lat politycznego życia musiała tu u nas samą siłą rzeczy wyrobić pewien zasób doświadczenia i znajomości spraw, którego tam być nie może. Wyrabia się tam wszakże z tychsamych pierwiastków i pojęć, jeden odcień nowy, w którym istotnej politycznej treści jest więcej, aniżeli w naszej demokracyi galicyjskiej. Swoją politykę ma ten odłam demokracyi polskiej: jest nią demokratyczna i liberalna Rosya, a przy niej Polska z pewnym wymiarem praw narodowych i samorządu. Szkodliwe i niebezpieczne jest działanie tego stronnictwa, bo przez wyraźną (nawet namiętną) nienawiść do szlachty, i przez zupełną (nieukrywaną nawet) obojętność religijną i wprost nienawiść katolickiego Kościoła, prowadzi ono nieznacznie (może nawet nieświadomie) nietylko do społecznego rozstroju, ale wprost do rozkładu polskiej du-

szy i świadomości siebie; prostuje drogi przed schizmą, czyli przed zupełnem i chemicznem już zlaniem się i połączeniem Rosyi z Polską. Nie zdaje się jednak, iżby stronnictwo to swój ideał mieściło w panslawizmie; a przez to samo, że ma jakiś przedmiot rzeczywisty i określony, do którego dąży, jest mniej czczem a więcej politycznem, niż nasze stronnictwo *postępowe* w Galicyi. Tradycyi polskiej i polskiego ducha ma od niego mniej, ale mniej znowu w sobie anarchicznego ducha i pierwiastku. A zważywszy przyrodzony pociąg, podobieństwo i *Wahlverwandschaft* demokracyi do Rosyi, przypuszczać można, że z różnych odcieni i odłamów naszego demokratycznego stronnictwa, ten może najwięcej mieć w sobie żywotności, w pewnych warunkach najwięcej przed sobą przyszłości. Czy dobrej dla Polski? to rzecz inna.

Jeżeli zrozumieć łatwo, dlaczego stronnictwo tak zwane demokratyczne i postępowe rozszerza się i rośnie w liczbę, to trudniej, a przynajmniej przykrzej jest wytłómaczyć sobie, dlaczego stronnictwo przeciwne nie jest silniejszem, niż jest. Postąpiło ono i wyrobiło się widocznie i znacznie; tamto rozpostarło się szeroko, to zakorzeniło się głębiej, doszło do stalszych i lepiej wyrozumowanych przekonań, znalazło gorliwych i śmiałych zwolenników w różnych warstwach ludności. Mniej liczne, silniejsze jest od przeciwników środkami pieniężnemi, w znacznej części na posiadłości ziemskiej oparte; a ludzi rozumnych i zdolnych ma nie mniej, lecz owszem więcej niż tamto. W takich warunkach powinnoby mieć przewagę zupełną, i żadnego przeciwnika w kraju się nie obawiać. A jednak tak nie jest.

Powody są liczne i różne. Pierwszy jest ogólny

i musi być jakiemś wrodzonem prawem ludzkiej natury, skoro się we wszystkich wiekach i krajach powtarza — to pewna ociężałość i spokojność, właściwa takim stronnictwom na całym świecie. We Francyi większość nietylko stateczna, ale nawet katolicka, znosi parlamenty i rządy, które wyrzucają katechizm ze szkoły, księdza ze szpitala, a młodzież duchowną zmuszają do służby wojskowej. U nas jest podobnie: pojęcia polityczne rozumne i zdrowe, ale zręczności, obrotności, przebiegłości przeciwnika nam brak, Potem powód drugi, a ten szanowny i dobry, że kto zasady moralne ma i chce je utwierdzać i szerzyć a nie obalać, ten się w działaniu złych środków nie chwyci, nie szuka pomocy w złych uczuciach ludzkich (nienawiści, zazdrości, podejrzliwości i podobnych), nie ułatwia sobie sukcesu szkalowaniem przeciwnika i rzucaniem na niego potwarzy, nie podchlebia, nie obiecuje czego dotrzymać nie może; wszystkie te i tym podobne sposoby działania, bardzo wygodne i praktyczne, dla tego stronnictwa nie są do użycia. Ale prócz tych, są i inne powody jego słabości; te już gorsze, dziedziczne, niezaprzeczenie w polskiej naturze zakorzenione, jednak do win ludzi czy stronnictw należące, bo od ich woli zależy z tych błędów się wyleczyć. Jest ich zaś wiele. Jest brak cywilnej odwagi, który na krytykę narazić się nie śmié. Jest ta miękkość, która pochodzi częścią z dobroci serca, częścią z bojaźni, częścią z braku stałych przekonań i politycznego zmysłu; ta miękkość, co przeciwnikowi pobłaża, folguje, przebacza, sama mu do wpływu i stanowiska pomaga, a swoje temsamem podkopuje; ta miękkość, która się do każdego uśmiecha; ta dobroć, co nieprzyjaciela głaszcze a przyjaciela tylko chłostać

umie; „miła dobroć, co strzela do własnej stodoły.“ Jest dalej próżność, która dla popularności gotowa wejść w kompromis z przekonaniem i sumieniem; jest zazdrość i podejrzliwość względem osób taka, że tensam człowiek, który cieszył się największą wziętością i łaską opinii, dopóki był wszystkim innym równy, staje się podejrzanym i niechętnie widzianym, odkąd do wpływu i stanowiska (a dopieroż do władzy!) doszedł. Brak zmysłu politycznego połączony z brakiem odwagi, sprawia, że złemu, które się dopiero poczyna, lub przeciwnikowi jeszcze słabemu, nie stawia się oporu zawczasu. Miłość równości i podejrzliwość sprawia znowu, że nie lubimy ludzi zdolniejszych i popierać ich nie chcemy, raczej radziśmy poniżyć. Partykularyzm powiatowy (lub prowincyonalny) składa też swój grosz do tej skarbony naszych błędów; a wszystko to w różnej proporcyi pierwiastków zmięszane w różnych indywiduach, ma ten skutek zgubny, że ludzie przekonaniami siebie blizcy albo wcale wspólnie nie działają, albo przynajmniej nie tak wspólnie i nie tak sprężyście, jakby mogli i byli powinni. Wszystko to zaś ma jedno źródło, mianowicie to, że synowie dawnej Polski, z jej instynktami i wadami we krwi, statku i ładu nauczyć się naprawdę nie możemy. Uczymy się go pomału i z trudem, nauczyliśmy się niektórzy; ale ogółowi jeszcze do tego wykształcenia daleko. W naszym statku i politycznym zmyśle tkwi jeszcze zawsze dawny pierwiastek szlacheckiego indywidualizmu i nierządu; natura i tradycya konfederacka odzywa się nieraz w najstateczniejszych nawet i najrozumniejszych. I dlategoto, choć dążymy do tego, żeby się organicznem stronnictwem stać, choć zrobiliśmy ku temu kroki dość

znaczne, nie zdołaliśmy dotąd stronnictwem takiem być naprawdę. Dlatego w naszych działaniach luźność i rozprzężenie, albo brak śmiałości i energii, spowodowany obawą, żeby śmiałość i energia nie odstraszyła lub nie zraziła stronników jeszcze nie dość wytrawnych i ustalonych.

Te dwie opinie, te dwa stronnictwa, z których każde nabiera w naszych oczach silniejszej świadomości siebie, a każde zawiera w sobie pewną liczbę podrzędnych różnic i odcieni, stoją dziś w naszem społeczeństwie, jedno szeroko rozlane i głośniejsze, a przez to silniejsze, drugie cichsze, z kierunkiem zwróconym raczej wgłąb niż wszerz, które stanowczo silniejszem byćby mogło, gdyby miało na to dość woli i statku.

Między niemi trzecie, rewolucyjno-socyalistyczne, dotąd w zarodzie dopiero i w początkach swego działania — w przyszłości do jakiego znaczenia, do jakiej roli w naszej historyi przeznaczone? Może do znacznej, a z pewnością do zabójczej, jeżeli się go zawczasu nie opanuje i w dobry kierunek, w regularne łożysko nie ujmie.

Wzmagający się nieznacznie, ale stale od lat prawie dziesięciu prąd polityki anarchicznej, doprowadził nas w obecnym roku 1891 do punktu, od którego albo będzie musiał cofnąć się znowu, albo weźmie górę stanowczo. Przebywamy w tej chwili niezawodnie i niezaprzeczenie pewną kryzys, która nie objawia się zbyt gwałtownie, ale może być rozstrzygającą.

Wypadkiem, w którym się to skupia i objawia, była stuletnia rocznica Trzeciego Maja i sposób jej obchodzenia. Odezwy różnego rodzaju, jedne wprost socyalistyczne i ukazujące w uroczej perspektywie *śmierć*

*tyranom* (zaprawione jednak zawsze patryotycznym smakiem), drugie poprostu tylko konspiracyjne, wzywające do organizowania i spiskowania (zaprawione jednak zawsze nienawiścią społeczną), rozrzucane w wielkiej liczbie nawet w Królestwie, wskazywały, że anarchia przestaje być łagodną, a zabiera się do czynniejszego energicznego działania. Przecim tym odezwom i skutkom, jakie one (przedewszystkiem pod rządem rosyjskim) wywołać mogły, odezwały się zgodne protesty wszystkich pism polskich, z wyjątkiem dwóch tylko, *Kuryera lwowskiego* i *Nowej Reformy*. Ta ostatnia oświadczała się przeciw odezwom czysto socyalistycznym; w drugich widziała „gorącego ducha," ale o ich politycznej szkodliwości lub pożyteczności milczała.

Rezultat był połowiczny. Wobec opinii przeciwnej występującej bardzo łagodnie, ale jednak licznie, *tempo* tak zwanego *budzenia ducha* musiało stać się powolniejszem. Jednak usposobienie i zachowanie się niektórych, przypominało rok 1861 i 1862.

Po tym więc dniu Trzeciego Maja, który dalibóg powinien był być zaznaczonym i obchodzonym rozpamiętywaniem i poprawą dawnych błędów, a nie ich przypomnieniem i powtarzaniem, stoją rzeczy tak, że polityka anarchiczna, rada że choć trochę na swojem postawiła, ale miarkująca, że grunt czy czas dość sposobnym dla niej nie jest, stara się lepiej wkręcić w łaski i pozyskać ufność. Wié, że jej wiece miejskie i agitacye wyborcze odstręczyły od niej wielu — więc teraz głaszcze i wychwala szlachtę. Wié, że w Warszawie pozwoliła sobie za wiele, tem zaszkodziła sobie w opinii — więc napozór zwalnia kroku i stara się uspokoić obawy i oburzenia, jakie obudziła. Ale naprawdę za wygraną

nie daje, i owszem śmiało i jawnie przyznaje się do swego działania. Po za krajem polityka anarchiczna występuje otwarcie i przyznaje jawnie, że chce sprawą zawładnąć i uważa się za *rząd*. Obchód Trzeciego Maja w Zürichu, jest pod tym względem charakterystyczny i nauczający. Delegacye różnych stowarzyszeń emigracyjnych, zapowiedź, że zjazdy takie mają odbywać się peryodycznie, co roku, i skupiać wszystkie stowarzyszenia polskie, sprawozdanie ze stanu „Skarbu Narodowego," wszystko to zupełnie podobne do dawnych *Towarzystw Demokratycznych* i *Komitetów Centralnych*. A że to w kraju widocznie działanie swoje rozszerza, że zwolenników znajduje (dziennik *Nowa Reforma* opisawszy ten cały obchód w Zürichu, znowu ani jednem słowem nie dał poznać, że go nie pochwala, i czytelników swoich przed nim nie ostrzegł) — więc opór powinien się objawić i być niemniej energicznym od ataku.

To też, obudzony długiem a zbyt widocznie szkodliwem działaniem, nie dość silny i stanowczy naszem zdaniem, objawił się opór ten w ostatnich czasach protestami przeciw wspomnianym wyżej odezwom, i zamiarami organicznego łączenia się w działaniu zdrowem i rozumnem. Życzymy gorąco, żeby w tem podobieństwie dalekiem, ale dość wyraźnem, roku 1891 do 1861, usiłowania te uniknęły podobieństwa do rozumnej i szlachetnej, ale nie dość stanowczej, zbyt łatwej do ustępstw, ówczesnej tak zwanej *Białej Dyrekcyi*.

Powtarzamy, że podobieństwo jest dalekie, rozmiary są inne, cele zapewne inne, ale pierwiastki naszego położenia, siły działające są takie jak wtedy; i że to co dziś przebywamy, to jest lekkiem i nieznа-

cznem, ale rzeczywistem przesileniem, którego dalsze skutki mogą być widoczniejsze i ważniejsze.

Na tym punkcie stanęły dziś nasze opinie i stronnictwa po wiekowej walce, i taki jest ich stan obecny. Co dalej? Walka nie ustaje, trwa, a od zwycięstwa jednej lub drugiej strony zależy przyszłość. Albo utrzymanie i stopniowe wzmocnienie narodowej istności i świadomości, w dalszem następstwie polityczna siła; albo jeżeli zwycięży anarchiczna polityka, to po osłabieniu strasznem sił polskich na Litwie i Rusi a wielkiem w Królestwie, które już jest, może nastąpić ostateczne rozbicie i w końcu chemiczne rozłożenie społeczeństwa, a wtedy utrata własnej istności.

Jeden więc pierwiastek i warunek naszej siły i życia, stan naszych opinij i sposób działania naszych stronnictw, nie jest taki, jakby ze względu na dobro naszej sprawy być powinien; jest po jednej stronie stanowczo zły, po drugiej niewyrobiony i niepewny. Zobaczmy pierwiastek i warunek inny: psychologiczne usposobienia i polityczne skłonności naszego społeczeństwa, świadomość i miarę ducha publicznego jaka w niem jest.

# USPOSOBIENIA I SKŁONNOSCI POLITYCZNE.

# W MIASTACH.

Wyobrażenia, stosunki polityczne i prawne, stosunki towarzyskie, stanowiska osób i samo pojęcie tego stanowiska, są tak różne od tego, czem były za dawnej Rzeczypospolitej, że Polak z końca XVIII wieku gdyby wstał z grobu, nie mógłby się rozpoznać i pomiarkować między Polakami z końca wieku XIX. Jednak gdyby cokolwiek dłużej z nami pobył i przyglądał nam się baczniej, dostrzegłby w zmienionych kształtach tychsamych własności charakteru i popędów temperamentu, tychsamych politycznych usposobień, skłonności i zwyczajów. Czyby on był magnatem, czy szlachcicem ziemianinem, czy mieszczaninem, czy chłopem, znalazłby swoje miejsce w społeczeństwie i warunki swego życia zupełnie innemi, niż je znał; wszędzie znalazłby nietylko stosunki, ale żywioły i pierwiastki nowe, mechanicznie z sobą zmięszane, a wchodzące nierzadko w chemiczne z sobą połączenia i przemiany. Tylko w mechanicznej mięszaninie czy w chemicznym związku, podstawne pierwiastki są przecież tesame, a przeto to co się z nich składa, jest w naturze swojej (nie w kształtach) podobne do tego co było. Stary Polak z przed

stu lat, coby u nas do swoich czasów podobnego zobaczył?

Przedewszystkiem byłby zdziwiony widokiem nowym, sobie nieznanym.

Sto lat właśnie, jak ustawa Trzeciego Maja rozbiła obręcz, która nas trzymała w zakresie społeczeństwa szlacheckiego, a kto popatrzy na skutki, ten z jakiemś uczuciem rozpaczy i wściekłości musi zapytać, czembyśmy byli, gdybyśmy byli zawsze społeczeństwem zupełnem zostali. Jeżeli w ciągu jednego wieku, bez niepodległości, bez swego rządu, bez możności i swobody rozwijania się we wszystkich kierunkach, przybyło nam tyle życia, tyle światła, tyle miłości ojczyzny, tyle wreszcie materyalnego dorobku, coby było, gdyby od końca XV wieku przez lat czterysta te miasta były rozwijały się normalnie i ciągle? Dziś nie możemy krokiem ruszyć za granicę, żeby na każdym kroku nie zazdrościć nagromadzonych wiekowych zasobów i świeżych nabytków cywilizacyi, bogactwa, pracy; nie potrzebowalibyśmy tak zazdrościć, gdybyśmy tylu głów i tylu rąk nie byli skazali na trzechwiekowy sen. Z tego letargu obudzone miasta pomnożyły sumę naszego życia w sposób, który się obliczyć nie da. Mało ich jest, między niemi jedno tylko większe, a i to nie z rzędu prawdziwie wielkich na świecie; jednak takie jak są, zdołały rozwinąć i posunąć naprzód naszą cywilizacyę, ożywić takie jej kierunki, które przedtem były martwe, uprawić pola leżące odłogiem i plon z nich obfity oddawać. Z natury rzeczy wynikło, że ich cywilizacyjna czynność i zasługa płynęła dwoma głównie korytami. Jednem był przemysł i handel, drugiem nauka i piśmiennictwo. Ten pierwszy, wiemy, że rozwijał się

w wielkiej części i rozwija dotąd rozumem, pracą i kapitałem nie polskim; że tam, gdzie rozwinął się najlepiej, w Warszawie i w niektórych fabrycznych okolicach Królestwa, zostaje w rękach ludzi, których charakteru polskiego (z nielicznemi chlubnemi wyjątkami) pewni dotąd nie jesteśmy. Jednak skutki, jakie przemysłowa czynność za sobą pociąga, te zostają w kraju i podnoszą jego bogactwo; a jeżeli wielkie przedsiębiorstwa bankowe, kolejowe, lub fabryczne bez obcych głów i kapitałów trudno obejść się mogą, to jednak są i takie, choć mniejsze zapewne, które powstają i prowadzą się polskiemi tylko środkami i zabiegami. W Warszawie skupiają się interesa prawdziwie wielkie, a wzrost miasta, pomimo upadku kraju, stłumić się nie dał; Lwów rośnie w oczach; sam mały Kraków, choć w najgorszych ekonomicznych i handlowych warunkach, choć z dwóch stron granicami zamknięty i swoich naturalnych dróg zbytu pozbawiony, dźwiga się przecie i wygląda inaczej, a jego finansowe zakłady przechowują miliony w depozytach i wkładkach. Ludzie niedawno zmarli pamiętali tu za młodu kamienice pustką stojące i okna deskami pozabijane na samym rynku; dziś ciasno miastu w dawnym obrębie i rozszerza się w różne strony, jak daleko mu wały forteczne pozwalają.

Większy, sądzimy, a przynajmniej dla nas zrozumialszy postęp, w kierunku drugim, umysłowego i naukowego życia. Pracą i zdolnością tych nowo obudzonych żywiołów otworzyły się nam nowe zakresy wiedzy, zapełniły się (nieraz znakomitymi ludźmi) katedry uniwersyteckie i mnożących się coraz szkół średnich; wszystkie nauki znalazły swoich reprezentantów, pracowników i krzewicieli; żadna nie została odłogiem,

każda starała się wznieść na ten stopień, na którym stała współcześnie w krajach szczęśliwszych. Cała ogromna przestrzeń nauk lekarskich i przyrodniczych, w wieku XVIII u nas step głuchy i prawie ręką ludzką nietykany, teraz zdobyta jest dla wiedzy i uprawiana pilnie, pracowicie, ze świetnym nieraz skutkiem przez te nowe, przeważnie miejskie siły. W naukach historycznych świecą jak gwiazdy, wielkie mieszczańskie imiona: Helcla, Szajnochy, i Kalinki; w sprawach publicznych (z zasady wymieniamy tylko zmarłych) z tego gruntu wyrósł Zyblikiewicz, Dietl, Aleksander Kurtz, Kantak, Mann, publicysta pierwszego rzędu; literatura we wszystkich gałęziach — i w różnych oczywiście stopniach zdolności — roi się od pisarzy; a choć w liczbie tak wielkiej wszyscy nie mogą być naprawdę powołani, to jest między nimi wielu naprawdę wybranych i nazawsze pamiętnych. Sam Pol, ten Pol przez długie lata tak niezmiernie popularny, Pol nawskróś nie staropolski nawet, ale staroszlachecki, był synem nietylko mieszczańskim, ale urzędniczym, przysposobionym a nie rodzonym synem Polski, a któżby go od rodzonych rozpoznał? On jest najdziwniejszym może przykładem tej szczególnej własności i zdolności przyswajania i przysposabiania sobie dzieci, jaką Polska widocznie ma. A nigdzie ta zdolność szczęśliwa nie objawiła się tak licznie, tak świetnie, z równie błogiemi skutkami, jak właśnie w ludności miejskiej. W każdej nauce, w każdym zawodzie, wielu jest takich synów przybranych, zasłużonych bardzo, a czasem i nieśmiertelnych!

Sztuka, której za dawnej Rzeczypospolitej nie było, a która dziś jest, ona znowu jest, dzięki temu przybytkowi, tej otwartej nowej kopalni uczuć, fantazyi, talen-

tów, które w ludności miejskiej leżały jak pod ziemią, a w naszym wieku wyszły na słońce. Jeszcze raz, nie można się wstrzymać od żałosnego wykrzyku, cobyto było, gdyby te wszystkie bogate pokłady szlachetnych kruszców były przez trzy wieki dobywane na wierzch?

Nie o to wszakże chodzi nam w tej chwili, by wskazywać i mierzyć wzrost miast i ich około naszej cywilizacyi zasługę; chcielibyśmy dojść i określić, jakie jest ich pod względem politycznym usposobienie i wykształcenie.

Te dwie opinie i dwie polityki, które staraliśmy się poprzednio określić, są tu, jak w całem naszem społeczeństwie. Ich wyznawcy i stronnicy nie dobierają się i nie rozeznają po krwi, ani po zawodzie; jak polityka anarchiczna ma swoich zwolenników, a nawet fanatyków pomiędzy szlachtą, tak przeciwna z miast brała nieraz swoich najgorliwszych, najtęższych, najmędrszych obrońców. Ale nie mogło być inaczej, tylko że miasta z natury rzeczy musiały być przystępniejsze polityce złej, dlatego, że ona nazywała się i dotąd nazywa demokratyczną.

Dla tych, którzy przez wieki całe do życia publicznego nie należeli, musiało być ponętnem to, co wrota jego szeroko otwierało, musiało mieć urok to słowo: *demokracya!* Wszystkie lepsze i gorsze popędy ludzkiej natury, miłość ojczyzny i chęć służenia jej, miłość własna i chęć (słuszna i godziwa) odznaczenia się, zdolność niezużyta, ambicya niezaspokojona, wszystko sprawiało, że miasta musiały być przystępne wpływom, które tę cechę miały lub ją sobie dawały. A jeżeli u doświadczeńszych, u tych, co przez wieki należeli do życia politycznego, nie było dostatecznego rozeznania

między dobrą a złą polityką, jakże można żądać go od takich, którzy w to życie wstępowali po raz pierwszy, rwąc się do niego z całym zapałem niedoświadczenia, z całym zasobem sił świeżych, nieużytych dotąd, a namiętnie pragnących ujrzeć się, poznać się, wywrzeć się w działaniu. Złudzenie i łatwowierność były tu łatwiejsze do zrozumienia i do darowania.

Gdyby to był kraj niepodległy, gdyby miał życie publiczne wszechstronne, w takim razie te żywioły byłyby się widziały i byłyby działały wszędzie, w sejmie, w rządzie, w gabinecie, i byłyby poznały że są, że ich prawo jest faktem. Ale tego nie było. Demokracya polska nie rządziła swoim krajem dlatego, że kraj nie rządził sobą; nie rządząc nim, a widząc, że inni zajmują przecie to znaczenie, jakie daje nie polityczny wpływ lub władza, ale majątek i tradycya, zwyczaj, — demokracya polska nie uwierzyła i dotąd nie wierzy, że zwyciężyła. Droga do wszystkiego w zasadzie przed nią otwarta w rzeczywistości i w praktyce jest niezamknięta, ale zawalona przeszkodami wynikającemi z ogólnego położenia kraju. Popęd działania, jaki w niej był, żądza rządzenia i władzy, jaka była u niektórych, nie miała naturalnego zaspokojenia, prąd silny nie miał łożyska. W tem uposobieniu działanie tajne stawało się nader ponętnem; obiecywało zaspokoić wszystkie pragnienia, spełnić wszystkie nadzieje. Ojczyzna, zasługa, sława, poświęcenie, władza, wszystko łączyło się w czarującym ułudnym obrazie, wszystko porywało za serce, za wyobraźnię — i za namiętność. Były tam bowiem zarody niechęci i zawiści społecznej, i tlały, a rozżarzały je wszystkie wpływy emigracyjne. Nie samo powstanie i oswobodzenie ojczyzny, ale powstanie przez

*nas*, demokratów; nietylko Polska, ale Polska tak urządzona, jak my to rozumiemy, i przez *nas* rządzona, to był pierwiastek widoczny we wszystkich konspiracyjnych działaniach od roku 1831. Działania te zaś w drugim okresie emigracyjnej epoki wpływały nierównie więcej, na miasta, aniżeli na szlachtę. Powstanie roku 1863 wyszło z tych warstw głównie, a niewątpliwie i niezaprzeczenie wielką do niego podnietą i pokusą była ta myśl, że dzieło oswobodzenia ojczyzny pocznie, podejmie, wykona demokracya sama. Ambicya szkodliwa i duchowi publicznemu przeciwna, ale psychologicznie zrozumiała i do usprawiedliwienia łatwiejsza. To było gorsze, że w niezliczonych i nieskończonych nominacyach, urzędach i godnościach tak zwanego Rządu Narodowego, w tej całej hierarchicznej a nierzeczywistej budowie, złożonej z różnych władz i dykasteryj, była ta niezaspokojona żądza władzy i rządzenia, która się płocho nazwami i pieczęciami cieszyła, która się bawiła jak dzieci w ministerya i ambasady — a bawiła czyim kosztem, i z jakim skutkiem?

Nie możemy dziwić się tym siłom nowym, że się złej polityce złudzić dały; nie możemy ich wyłącznie winić, że ją wykonały, bo do doświadczeńszych należało stawić im opór; ale nie możemy też zaprzeczyć, że w wypadkach roku 1863 one znaczyły najwięcej, i że pierwsza karta, jaką własną ręką i na własną odpowiedzialność w historyi polskiej zapisały, była kartą jedną z najsmutniejszych.

Że ją krwią swoją oblały i podpisały, to prawda; a przed krwią zawsze schyla się głowę ze czcią. Ale krew sama nie zwycięża i spraw nie ratuje; nie ofiara jest celem ale zwycięztwo, a poświęcenie życia nie jest

jedynym obowiązkiem, ani większym niż obowiązek rozumnego działania.

Od tego czasu czy się te żywioły zmieniły, i jak? Taksamo i tyle, co szlachta. Tu jak tam są ludzie, jest ich wielu, co nieszczęście ojczyzny i jej straszliwe niebezpieczeństwo wzięli do serca, wzięli na sumienie, i widząc, że dotąd chcąc jej służyć szkodzili jej tylko, przyszli do przekonania, że powinni służyć inaczej i lepiej: nie krwią i zapałem tylko, ale rozumem, wytrwaniem, mozołem, mocą nad sobą, rzetelnością, prawdą, czystością zamiaru, wszystkiem; że nie dość dobrze czuć dla ojczyzny, ale trzeba i mądrze o ojczyznie myśleć. Są tu, jak gdzieindziej, drudzy, którym zabrakło czy głowy, czy sumienia, czy odwagi, by przyznać sobie samym i drugim, że chcieli dobrze, ale działali źle, i że to co zrobili, było nieszczęściem. Pomiędzy jednymi a drugimi zaś, jak zawsze wśród ludzi, liczba niemała takich, którzy własnych przekonań sobie nie wyrobili, a wrażenia i uczucia mają silne; którzy składają sobie jakiś sposób myślenia niepewny i wiotki, z różnych pierwiastków eklektycznie zebrany, a zależny zawsze od tego, co w nich najsilniejsze: — od wrażeń. Wrażenie często powtarzane może stać się nałogiem, nawet namiętnością, mieć pozory stałości i konsekwencyi; niemniej u wielu takich pośrednich niema wyrozumowanych przekonań i zasad, są po największej części uczucia tylko i popędy.

Ztąd łatwowierność względem haseł, i przywiązanie do haseł. Człowiek świadomy swoich przekonań i przywykły opierać je na rozumowaniu, bierze pod rozwagę myśl jaką mu drugi podaje, zastanawia się, czy jest w niej treść, a jeżeli jest, to jaka, dobra czy

zła? ważna czy błaha? Człowiek wrażeń i popędów nie podejmuje tej pracy w umyśle i sumieniu, nie domyśla się nawet że ona potrzebna, a on do niej obowiązany; chwyta słowo, które na pierwszy rzut oka wydaje mu się prawdą, chowa je w pamięci i jego się trzyma, myśląc (w dobrej wierze) że ono jest jego przekonaniem.

Dzisiejsza opinia postępowa, czy liberalna, czy demokratyczna (jak ją nazwać?) zdaje nam się być na tymsamym stopniu politycznego wykształcenia, na jakim była szlachta za dawnej Rzeczypospolitej. Ma pewne pojęcia i hasła, bierze je za pewne, nie badając ich i nie roztrząsając; przyjmuje je z góry za dobre, nie pytając, czy istota rzeczy zgadza się z pozorem i nazwą i przywiązuje się do nich namiętnie, w przekonaniu, że to prawdy zbawcze, zasady święte, podstawy same przyszłości i szczęścia narodu. *Postęp* i *demokracya* to są te słowa magiczne, w które opinia ta wierzy tak, jak szlachecka wierzyła w równość szlachecką, w wolną elekcyę, w *nemine contradicente;* jak tamta za dawnemi, tak ta za dzisiejszemi hasłami idzie łatwowiernie i daje się niemi prowadzić; a w skutku tejsamej politycznej niedojrzałości, która nierozważa i nie sprawdza tego co słyszy, demokracya dzisiejsza jest taksamo prowadzona na pasku, jak była prowadzoną szlachecka, i przez tensam gatunek ludzi, i temisami zawsze sposobami.

Taka już jest natura wszystkich prądów *popularitatis,* od ateńskiej demokracyi aż do polskiej, szlacheckiej czy innej. Wszelako tę dzisiejszą uniewinnić jest trudniej, bo okolicznością obciążającą jest dziś doświadczenie wieków, jest przykład naszej demokracyi

szlacheckiej, która swoją polityczną niedojrzałością wiemy gdzie Rzeczpospolitę doprowadziła. Z takich nauk nie korzystać się nie godzi, jeżeli się ma prawdziwą miłość ojczyzny i rozum. Zwłaszcza kto siebie samego oznacza mianem *intelligencyi*, kto zatem uważa się za rozum i światło narodu, ten jeżeli nie chce być samozwańcem bez prawa do swojej nazwy, powinien mieć tę *intelligencyę*, to zrozumienie i dziejów, i obecnego położenia, i tych niezmiennych warunków i zasad, bez których żadne powodzenie udać się, żadna siła wyrobić się żadne polityczne dążenie do swego celu trafić nie może.

Nasza *intelligencya* naprzykład mogłaby i powinnaby rozumieć, że warunkiem siły i przyszłości społeczeństwa jest jedność i zgodność między jego składowemi częściami; prawda to dość dawno znana, i w teoryi z pewnością przez wszystkich najbardziej postępowych uznawana i wyznawana. Mogłaby ona także i powinnaby wiedzieć, że budzić w ludzie wiejskim niechęć i nieufność do szlachty, a dopieroż w Galicyi, po roku 1846, jest rzecz politycznie zgubna a patryotycznie niegodziwa. W teoryi znowu każdy z pewnością to przyzna. Ale w praktyce, kiedy demokratyczne zgromadzenie uchwali, że należy działać przeciw wyborom szlachty na posłów z mniejszej własności, nikt nie pomiarkuje że to złe, albo powiedzieć że złe nie ma odwagi. Prawda, że na temsamem zgromadzeniu (we Lwowie w roku 1889) byli i ludzie innych przekonań, i także odwagi tej nie mieli — od tamtych nierównie winniejsi, bo nie mają wymówki zaślepienia i niezrozumienia. Było też smutnem świadectwem i wstydem dla polskiego społeczeństwa, że w całym tym zbiorze ludzi znalazł się jeden tylko, który uczuł i zrozumiał, że

uchwala się coś złego, albo przynajmniej jeden, który to śmiało powiedział, a tym był — Żyd.

Nasza opinia liberalna wié z pewnością i rozumié, że w Radzie państwa tylko przez solidarną jedność Koła polskiego znaczyć i sprawić coś możemy, że zatem potrzebujemy jedności kierunku przy wyborach, i obowiązani jesteśmy do powolności i pomocy dla tych komitetów wyborczych, które są wybrane (choć nieurzędowo) przez Sejm. W praktyce przecież ta opinia, czy to stronnictwo, tworzy sobie komitety osobne i czuje się obowiązanem do bezwzględnego dla tych komitetów osobnych posłuszeństwa; tamten sejmowy uznany jest i słuchany o tyle, o ile te osobne na to pozwolą. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że te komitety nazywają się demokratyczne. To jest w proporcyach zmniejszonych o tyle, o ile Galicya mniejsza od dawnej Polski, ale w zasadzie i w istocie rzeczy zupełnie tosamo, czem były konfederacye pewnych ludzi czy stronnictw, obok legalnej, normalnej władzy Rzeczypospolitej, i przeciw tej władzy. A w tem przykład i dowód nowy, że nasza

---

[1]) Po wyjściu pierwszego wydania niniejszej książki fakt ten podany był przez niektóre dzienniki jako niby nieprawdziwy. Przypominamy tedy, że między punktami programu uchwalonego przez wiec miejski we Lwowie w kwietniu roku 1889, było zniesienie wyborów kuryami, a zaprowadzenie jednolitych okręgów wyborczych. Przeciw temu oświadczył się pan Fruchtmann, z powodu, że jednolite wybory mogłyby wprowadzić do sejmu wielką liczbę ludzi nieoświeconych. Odpowiedział mu pan Romanowicz, że miasta miałyby zawsze swoich posłów, bo jedne zostałyby jak są okręgami wyborczemi, a inne mniejsze ulegałyby ich wpływom. Odpadłaby tylko większa własność.

*Przegląd*, 29 kwietnia; *Czas*, 1 maja 1889.

demokracya dzisiejsza jest na tym stopniu politycznego wykształcenia, na którym była dawna szlachta; coś jej się nie podoba, a więc odbija się i prowadzi swoją politykę na własną rękę.

Za gorsze wszakże — ze względu na przyszłość — uważalibyśmy to, że ta opinia czy stronnictwo przywyka pomału do podstępnego działania swoich przewodników, znosi je, pozwala na nie, jak żeby je miała za dobre. To przecież każdy wié i rozumié, że dobra wiara jest podstawą wszelkich między ludźmi stosunków, że bez niej nie może być ani ufności, ani szacunku, ani porozumienia, ani w ostatecznem następstwie wiary i uczciwości publicznej. Praktyka zaś naszego niby postępowego stronnictwa oswoiła bardzo tych, którzy do niego mają pociąg, z kłamstwem, z podstępem, z podejściem, a publiczność je znosi jak rzecz naturalną, zdaje się już nie czuć ich zdrożności, nie rozumieć koniecznych złych skutków.

Publiczność przyzwyczaiła się do nieprawdy. Od długich lat karmiona jest nieprawdą w pismach, które jedynie lubi, którym jedynie wierzy. Ludzie, wypadki, sprawy, wszystko tam wystawione jest w świetle fałszywem. Ludzie jedni szkalowani, drudzy wynoszeni pod niebiosa nad wszelką zasługę, nieraz otoczeni uszanowaniem — udanem; wypadki naciągane, sprawy przekręcane w swojej istocie i znaczeniu, w powodach jak w skutkach. Osoby czy ciała zbiorowe, najgodniejsze i najbardziej zasłużone, obrzucane są błotem; postępki najuczciwsze i najroztropniejsze okrzyczane jako serwilizm, jako przedajność, w najlepszym razie jako niedołęstwo. Ogół, który to czyta — i tylko to — musi pomału dojść do tego, że jego zmysł moralny się przy-

tępia, a z czasem słabnie w nim sama zdolność rozeznania fałszu od prawdy; sumienie publiczne krzywi się i psuje. Kto się nie oburzał na jedno złe, ten drugie weźmie już za dobre. Kto pozwalał na potwarze przeciw ludziom uczciwym, albo ich chętnie słuchał, ten nie uczuje już w sobie oburzenia na podstępne i zdradliwe działanie. Ta jest natura zgorszenia, że kto się z niego nie gorszy, na nie nie oburza, ten się przez nie gorszym stanie, zarazi się niem i da się niem owładnąć. Taki jest na nieszczęście dzisiejszy stan naszej opinii liberalnej i postępowej. Tak długo pozwalała ona potulnie i pokornie się psuć, że się w końcu zepsuła. Stała się opinią namiętną, może opinią wpływową, ale opinią zdrową i szanowną nie jest.

Przyczynił się do tego wielce i ten podkład, ten fundament pojęć zasadniczych, nie mówimy już religijnych, ale moralnych tylko, etycznych, na którym się ta opinia opiera. Za czasów, kiedy dawna podstawa pojęć, religijna, zaczęła się chwiać i usuwać, zajął jej miejsce jakiś liberalno-filozoficzny eklektyzm, powierzchowny, obojętny, nie zdający sobie dobrze sprawy z tego czem jest, ani nie czujący potrzeby świadomości swoich pojęć i przekonań. Miał on sobie za obowiązek nie wierzyć, a przynajmniej wierzyć nie bez zastrzeżeń; religijnych praktyk się wstydził, narzekał bardzo na katolicki obskurantyzm, a na Jezuitów w szczególności — ale namiętnym i wojowniczo antireligijnym bywał rzadko. Byłoto usposobienie niby nie bardzo złe, naprawdę bardzo szkodliwe, bo bierne, letnie, bojaźliwe, nie dopuszczające rzetelnych i stałych przekonań, z męskim charakterem niezgodne, a działające źle na młodszych, którzy się pod takiemi wpływami i wzorami chowali.

Jakoż pokazało się z biegiem czasu, że grunt był przygotowany dobrze pod pojęcia wprost już przeciwne moralności, pojęcia, które muszą krzywić i psuć ludzkie sumienie. Dziś już dorosło i zestarzało się poczęści to pokolenie, które się kształciło na filozofii, która się pozytywną nazywa, a naprawdę materyalistyczną jest. Prawdą według niej jest to tylko, co się rozumem dowieść a zmysłami doświadczyć daje. „Siłą się wprawdzie obskuranci i metafizycy na rozumowe dowody, że jest Bóg w niebie, a dusza w człowieku, ale dowieść tego nie mogą, bo żaden z nich ani Boga ani duszy nie widział i nie pokazał. Jeżeli są, to w każdym razie „my ludzie rozumni“ musimy o nich mówić, jak Aretino o Chrystusie, *non lo conosco*. Zato wiemy doskonale, pozytywnie, że chrześciaństwo jest mitologią taką, jak grecka lub rzymska, choć od tamtych odmienną; wiemy, że łańcuch organizmów jest nieprzerwany i stopniowany od zoofytu do człowieka, i łańcuch pojętności taksamo. W tem stopniowaniu gdzie się zaczyna dusza, w czem i dlaczego ludzka ma się różnić od zwierzęcej? nie widzimy; a widzimy, że związek między fizycznym organizmem człowieka a jego wolą i postępowaniem jest bardzo ścisły. Zatem wszystko, co prawiono dawniej o wolnej woli człowieka i jego odpowiedzialności, o niezmiennych niby prawach i zasadach, których on trzymać się winien, to urojenie i przesąd. Człowiek robi tylko to, co w skutku swojej organizacyi fizycznej robić musi; winy zatem ani zasługi nie ma. Ma owszem prawo robić to, co mu jest przyjemnem; tylko powinien sobie mieć za przyjemność drugiemu nie robić nic złego.“ Na to wychodzi tak zwana moralność niezależna, zastępująca prawa sumienia i prawidła honoru starą filantropią

XVIII wieku, odświeżoną nowem mianem altruizmu; znoszącą naprawdę te prawa i prawidła, skoro moje powinności nie mają innej zasady, jak moja dobra wola, jak mniejsza lub większa przyjemność, jaką mi sprawia ich pełnienie, które może taksamo (i częściej) w praktyce sprawiać mi przykrość. Tym zaś regułom moralności w osobistem życiu człowieka, odpowiada dogmat objawiony dla życia zbiorowego i społecznego, który brzmi: „Postęp zasadza się na upadku dwóch powag, religii i władzy.“ Wiedząc, jak od lat dwudziestu pięciu wielu z tych, co się mianują *intelligencyą* kraju i narodu, skwapliwie, łatwowiernie, powierzchownie a namiętnie czepiało się formuł Buckla, i wywodów jakie znajdowało w podręcznikach filozofii materyalistycznej (z tem umysłowem lenistwem, które w nas było zawsze, a lubi bardzo gotowe formuły, bo mniema, że ma gotowe prawdy, a mając, dalej mozolnie myśleć nie potrzebuje), nie będziemy się dziwili, że obniżyła się u nas dobra wiara i moralność publiczna, a wzrosła dążność i polityka rozkładowa, dezorganizacyjna. Skoro postęp jest niczem innem, jak „obalaniem powag, religii i władzy,“ więc oczywiście, kto postępu chce i postępowym być ma, ten do tego dzieła pomagać musi.

Wspominamy o tem na tem miejscu dlatego, że ten rodzaj pojęć w miastach szerzy się najbardziej i najwięcej liczy zwolenników, a przeto tłómaczy to obniżenie publicznej opinii i publicznego ducha, jakie w nich nieszczęściem widzieć się daje. Temu zaś towarzyszy i odpowiada obniżenie lub może niewykształcenie zmysłu politycznego, które ma znowu swój powód osobny.

Jest nim jednostronność, niezupełność wykształcenia.

Rzecz to ludzka zapewne czytać z największem upodobaniem to, co się zgadza z naszem uczuciem lub wyobrażeniem, ale nie może być inaczej, tylko że czytanie takich dzieł lub pism wyłącznie, musi z czasem jako skutek wydać jednostronność i ciasnotę pojęć. Jeżeli zawsze tylko z pewnego punktu i pod pewnym kątem widzenia na pewien przedmiot (sprawę, kwestyę czy fakt) patrzymy, to dokładnego wyobrażenia o nim nie nabierzemy. My Polacy mamy w ogóle skłonność do formowania naszych pojęć podług modły gotowej, jakiej nam dostarcza pewna liczba książek lub formuł przypadających do smaku; sposób to nie dobry, ale wygodny, bo nie wymaga wiele myślenia. Nigdzie jednak ta skłonność nie objawia się tak często i w takim stopniu, jak właśnie wśród naszej opinii liberalnej i postępowej. Panuje w niej wspaniała pogarda, ale też i wielka nieznajomomość wszystkich dzieł polskich (a cóż dopiero obcych!), które jej upodobaniom lub uprzedzeniom nie schlebiają. Historyę zna się i rozumié tak, jak ją opowiadały i tłómaczyły książki szkolne, z niemieckich i protestanckich przerabiane, a na tej podstawie stoi dopiero rusztowanie pojęć, wyczerpniętych z jednej jakiejś postępowej książki. Przed półwiekiem był tą książką Rotteck; dziś jest nią zazwyczaj Buckle (a tamten był szlachetniejszy, i mimo wszystkiego przecież prawdziwszy). Wiadomości ekonomiczne podobnie ograniczają się na formułkach, wydobytych z tego lub z owego dzieła; o socyologii mówi się wiele, ale studyum tej socyologii odbywało się zwykle na dziennikarskich artykułach. O tem naturalnie niema i mowy, żeby ktokolwiek wziął do ręki dzieło pisane przez katolika. Byłoby to daremną stratą czasu, bo tam oczywiście

nic mądrego być nie może! Byłoby sprzeniewierzeniem się swojej zasadzie i sprawie; — byłoby wreszcie niebezpieczeństwem, bo nuż znalazłoby się tam coś mądrego, coby naszym przekonaniom narzuciło się koniecznie? Ostrożność radzi nie brać tego do ręki. W tych wolnomyślnych kołach jest niewidzialna, ale czujna, ostra i systematyczna cenzura, która strzeże adeptów od czytania dzieł podejrzanych, dzieł, z których mogliby się zgorszyć: dowiedzieć, że jest na świecie inna prawda, jak ta, którą wyznaje i głosi ten lub ów liberalny dziennik. Zakres wiedzy i refleksyi ludzkiej staje się przez to bardzo ciasnym. Ogranicza się na pewną liczbę książek (w Galicyi zwykle niemieckich, w Królestwie francuskich lub angielskich w polskim przekładzie) i na pewną liczbę liberalnych pism peryodycznych, przy najzupełniejszej nieznajomości całej literatury naukowej i politycznej (o religijnej już nie mówiąc), jaka się z programem rzeczonego dziennika nie zgadza. Wié się cokolwiek o Bucklu (czasem się go nawet czyta), ale ze szczytu swojej wielkości patrzy się na Guizota, nawet na Rankego. Na wiarę (najczęściej nie czytając) przyjmuje się wszystko, co powié Renan (o chrześciaństwie ma się rozumieć, nie o rewolucyi albo o społeczeństwie), ale wstydby był wziąć do ręki Venturę, Balmesa albo Kajsiewicza. Rozprawia się o Auguście Comte (czytając tylko Büchnera — nieraz w polskich przekładach i przerobieniach) i wyznaje się z zapałem filozofię pozytywną; ale nie ma się dość odwagi czy rzetelności, by zobaczyć, jakiemi też argumentami odpowiada na nią filozofia przeciwna. Powstaje z tego powierzchowność, płytkość i jednostronność nietylko wiedzy i wykształcenia, ale samego myślenia, które

zamknięte w ciasnym zakresie, zasilane samemi tylko i zawsze jednemi formułkami, ciągnące swoje soki żywotne z małej przestrzeni (jałowego gruntu do tego), traci siłę, popęd, samodzielność i treść.

Tem niedostatecznem wykształceniem tłómaczą się dwa zjawiska: powierzchowność i wiotkość politycznych zdań i sądów u ogółu tego stronnictwa — czczość, jednostajność i zacofanie jego pism politycznych. Rzecz to ciekawa, jak ciągle i zawsze o postępie mówiąc, stronnictwa te, a zwłaszcza ich pisma, powtarzają tylko tesame oklepane ogólniki i stoją na stanowisku dawno przebytem, przedpotopowem, a przynajmniej przedwiecznem. Szuka się w nich pilnie jakiejkolwiek kwestyi zasadniczej, jakiegokolwiek zagadnienia politycznego lub społecznego, któreby było podjęte i traktowane tak jak je pojmuje i traktuje dzisiejsza teorya (ta teorya, która zawsze wyprzedza i przygotowuje praktykę), i szuka się nadarmo. Świat naprzykład wié oddawna, że system reprezentacyjny dlatego nie przyniósł tych w Europie dobrych skutków, jakich się po nim spodziewano, że reprezentacya parlamentarna nie jest dokładną reprezentacyą społeczeństwa, a powodem tego jest zasada wybieralności, źle pojęta i źle określona. Świat też pracuje oddawna nad pytaniem, na jakiej zasadzie powinna być oparta ustawa wyborcza, na to, by wybory dały najwierniejszą możliwą reprezentacyę społeczeństwa: a zarazem jego siły, przyszłości, bytu nie narażały na niebezpieczeństwa. Nasza literatura *postępowa*, jeżeli o tych rzeczach mówi, to z przestarzałego stanowiska; wierzy, lub udaje że wierzy w głosowanie powszechne, a całą dyskusyę, jaka się od lat w tej sprawie toczy, całą walkę argumentów, pomija, ignoruje, nie próbuje

zdać z niej sprawy; prawdopodobnie sama o niej nie wié, ani się domyśla. Kwestyą dla przyszłości wszystkich na świecie społeczeństw pierwszej wagi, jest stosunek wzajemny Kościoła i państwa: jak ma, jak może być opisanym, żeby był spokój i równowaga. Nasze pisma postępowe nie zadają sobie tej pracy, iżby się nad tem zastanawiać miały. Trzymają się zasady, że „postęp zależy od upadku religii," i to im wystarcza; z tego stanowiska kształcą opinię swoich czytelników i przygotowują ich do rozwiązania kiedyś tego pytania. Kwestya socyalizmu! Jeżeli którą, to już tę przynajmniej powinnaby literatura i publicystyka postępowa roztrząsać i zgłębiać; ona tymczasem umié tylko socyalizmowi pobłażać i podchlebiać, a gdyby czynnie i groźnie wystąpił, umiałaby tylko wezwać przeciw niemu opieki policyi i wojska.

W sprawach krajowych, czy ogólnej polityki kraju, czy szczegółowych bieżących potrzeb, podobna powierzchowność i czczość, w którą wchodzi pewien procent frazeologii opozycyjnej lub patryotycznej, pewien znowu liberalnej doktryny i owej passyi, którą Tocqueville nazywał „najbardziej demokratyczną," i pewien jeszcze procent żądań pozbawionych albo rzeczywistej podstawy, albo możności osiągnięcia ich w dzisiejszych stosunkach, albo możności podołania im, gdyby się istotnie osiągnąć dały.

Czczość zaś i powierzchowność tych pojęć, jest niezawodnie skutkiem niedostatecznego, jednostronnego wykształcenia politycznego tych warstw. Innym znów skutkiem tegosamego powodu jest liczba nader mała ludzi politycznie zdolnych, jaką ta opinia u nas dotąd wydała i wydaje. Zręcznych agitatorów, zdolnych przy-

gotować rozruch albo wywołać demonstracyę, albo utrudnić jakie potrzebne działanie, albo wykonać jaką drobną intrygę bez ważnych celów i skutków, wydało to stronnictwo bez liku; politycznej głowy nie wydało w naszym wieku (w Polsce) ani jednej.

Że polityczna maksyma „postęp jest obaleniem powag“ dla jednych ogranicza się tylko na religii i władzy, ale drugich doprowadza do przeczenia wszelkiej powagi i wszelkiej zasady, do przekonania, że połowiczny jest postęp, który tylko religię i władzę obala, a prawdziwy i zupełny ten, który obala i rodzinę, i własność, i sam związek społeczny — to zbyt logiczne, iżby mogło nie być koniecznem. Na pochyłości przeczenia i walenia niektóre umysły cofną, a czasem i potrafią utrzymać się w połowie drogi; ale muszą zawsze znaleść się umysły śmielsze i więcej logiczne, które dochodzą do ostatnich konsekwencyj raz postawionej zasady. Socyalizm czyli anarchia otwarta i wojująca, jest naturalnym skutkiem tej anarchii nieszczerej i nieśmiałej, która nadużywa imienia postępu i demokracyi.

Demokracya! Jest faktem, jest prawem, może być w Polsce jak wszędzie nieprzebraną kopalnią dobrego; ale trzeba umieć ten kruszec kopać, bo inaczej szyb się zawali, i runie w przepaść ten pokład ziemi, który nad nim leży. Trzeba szyb podstęplować moralnemi prawami i zasadami, politycznym rozumem. U nas to podstęplowanie było słabe, i dlatego kopalnia nie dała nam tyle bogactwa, ile dać była mogła: zapadała się sama i zapadała się ziemia nad nią. Politycznie, działanie tego stronnictwa, które się demokratycznem nazywa, przynosiło nam dotąd same i najcięższe szkody, czy w roku 1846, czy później w 1863. Z tychsamych sfer miejskich

i demokratycznych wychodziły i wychodzą dotąd umysły najbardziej oświecone i charaktery najtęższe, ale tych wypiera się hałaśliwa demokracya, kiedy jej polityki popierać lub prowadzić nie chcą. Nie mówimy też o demokracyi jako takiej, w ogólnem i zdrowem jej pojęciu; mówimy tylko o tej polityce, która się od roku 1831 demokratyczną mieni, a zwolenników swoich istotnie głównie w miastach szuka i znajduje. Tej więc demokracyi licznej, uczciwej, ale źle prowadzonej i naiwnie prowadzić się dającej, mamy ze szczerego serca do powiedzenia, co następuje:

Uważa się ona za przyszłość narodu; niech pamięta, że tą być chcąc, winna być przyszłością dobrą, a taką być nie potrafi, jeżeli będzie do przeszłości w jej błędach podobna. Powtarza demokracya zawsze, że szlachta zgubiła Polskę; ona jej nie zbawi, jeżeli nie będzie od szlachty politycznie rozumniejszą, a moralnie stateczniejszą i tęższą. Dziś zaś jest ona pod względem politycznego rozumu i wykształcenia na tym szczeblu, na którym stała szlachta w wieku XVII i XVIII. Jak tamta wierzyła w swoje puste i fałszywe hasła, w *Polska nierządem stoi*, tak ona wierzy w swoje, w postęp oparty na przeczeniu i waleniu religii i władzy; jak tamta swoim arystokratycznym, tak ta daje się wodzić swoim demokratycznym demagogom; jak tamta swoich, tak ta swoich nie umié sądzić, ani pytać co robią i czy działanie ich jest z dobrem ojczyzny zgodne; jak tamta Zborowskich przeciw Batoremu i Zamoyskiemu, tak ta swoich faworytów popiera i wynosi przeciw każdemu, kto śmié w kraju postawić myśl zbawczą ładu i statku; jak tamta dała się pociągnąć Lubomirskiemu do wojny domowej w chwili, kiedy Rzecz-

pospolita ledwo żywa wyszła z postronnych, tak ta na wiarę swoich dowódzców sprowadziła porozbiorowe klęski. Kto chce być przyszłością narodu i jego siłą, ten musi koniecznie być jego rozumem, i nauczyć się sprawy polityczne lepiej pojmować, lepiej prowadzić niż dotąd.

Nie dość na tem. Kto chce być przyszłością narodu i jego siłą, ten musi być nietylko jego rozumem, ale jego sumieniem, jego szlachetnością, jego prawością i jego honorem. Pod tym względem, moralnym, szlachta w dawnej Rzeczypospolitej miała w swojej wierze i w swoim katechizmie punkt oparcia, grunt stałych zasad, miarę do rozeznania złego od dobrego. Niedojrzałą i bałamutną bywała często; przewrotną w rzadkich tylko wyjątkach. Dzisiejsza demokracya, wychowana na przewrotnych paradoksach opinii i teoryi, na przewrotnem postępowaniu w praktyce, z niem oswojona, nie brzydząca się ani kłamstwem, ani potwarzą, ani podejściem, młodziutka jeszcze a już tem wszystkiem nadpsuta, pozbawiona przytem tego stałego środka ciężkości i tego kierunku, jaki ludzkie sumienie i ludzki honor znajduje w posłuszeństwie dla przykazań boskich i w poszanowaniu należnem ziemskiej powadze zasługi, wieku, czy urzędu — czy bez tego wszystkiego demokracya dzisiejsza zdoła zachować i wyrobić w sobie tę uczciwość i prawość, bez której niema w społeczeństwie zdrowia, siły, ani publicznego ducha? Bez tego wszystkiego przyszłości trwałej i silnej ona z siebie nie wydobędzie — to pewna.

Zdarzyło nam się niedawno w książce jednej francuskiej czytać, że w dzisiejszej Francyi „rydwan państwa konie ma doskonałe, ale woźniców?... Boże zmiłuj się!“

O naszej tak zwanej demokratycznej partyi i polityce, dałoby się podobno powiedzieć tosamo. Wiozą ci woźnice — tak mówią od lat sześciudziesiąt — do Polski demokratycznej; ale jak zaczęli wieźć, tak zawieźli raz do roku 1846, drugi raz do 1863! Mówią, że ani wozu nie przewrócili, ani w drodze nie zbłądzili, że owszem to prosta droga do Polski demokratycznej. Ale demokracya uczciwa, dobrej wiary i rzetelnie polska, ta nie może myśleć i wierzyć, że rzeź i społeczna waśń jest dobrą dla demokracyi, że russyfikacya Litwy i Rusi jest dobrą dla Polski. Czemuż się tym woźnicom tą drogą dalej wieźć pozwala? kiedyż się nareszcie przekona, że droga jest zła, i zastanowi do jakiej mety tą drogą dojechać wszyscy możemy?

Między objawy pocieszające, między postępy prawdziwe, jakie się w naszem społeczeństwie poczynają, liczymy dążność istotnie wyraźniejszą do przekonań politycznych wyrobionych i stałych, zrozumienie, że takie są potrzebne, od czego są zawisłe, i że każdy człowiek myślący i sumienny postępowanie swoje w życiu publicznem do takich przekonań winien stosować. Tego rzetelnego postępu nigdzie znowu nie widzi się u nas tyle, co w miastach. Przedział pomiędzy istotnem i wyrozumowanem przekonaniem, a wiotkiem i powierzchownem wyobrażeniem i wrażeniem, tu jest większy, bardziej widoczny i skuteczniejszy, aniżeli wśród szlachty. Po jednej stronie rozlewają się wprawdzie pojęcia niejasne i niezdrowe, przyjmowane bez zastanowienia i krytyki, i nie dopuszczają nam wznieść się na wyższy poziom cywilizacyjny i polityczny; ale po drugiej stronie zato stają w zastępie coraz liczniejszym, a wyborowym pod względem rozumu, charakteru i publicznego ducha,

jej obowiązek i warunek jej znaczenia, to zaczyna usuwać się jej z pod nóg. Na Litwie i Rusi sprawiają to rządowe ukazy, w Wielkopolsce rządowy system, w Galicyi stosunki ekonomiczne, wszędzie (zazwyczaj) nie bez dodatku nieoględności własnej. Na tych wschodnich i zachodnich kresach, dzieło jest posunięte naprzód w sposób przerażający; u nas, są co najmniej niepokojące oznaki. Gdyby ten początek miał się stać faktem ogólniejszym niż jest, i stałym, to nosiłby w sobie zarody zmiany może najgłębszej w naszym społecznym składzie i w warunkach naszego narodowego bytu. Własność ziemska średniej wielkości, połączona z średnim ale pewnym dostatkiem, połączona z życiem na wsi, z wpływem i znaczeniem jakie to życie daje w okolicy, to był sam stos pacierzowy naszego społecznego organizmu, środek ciężkości jego równowagi, siła, od której zależały jego ruchy. Przemiana tej średniej własności ziemskiej na małą, albo przejście jej w ręce ludzi innej krwi i natury, musiałyby wydać jakieś społeczeństwo nowe, nieznane, odmienne, w którem ile znalazłoby się polskiego ducha i polskiej tradycyi, tego nikt przewidzieć ani obliczyć nie może.

Powody tego niebezpieczeństwa są aż nadto widoczne i wiadome. Pierwszym była zamiana robocizny daremnej na robociznę płatną. Kapitału na obrót nie miał prawie nikt, zatem prawie każdy musiał go sobie stworzyć, przez zaciąganie pożyczek. Rzecz dla nas Polaków zawsze niebezpieczna, bo mamy tę nieopatrzną skłonność, że pieniądz gotowy, płynny, uważamy za pieniądz przeznaczony na wydanie, a nieraz (choć on jest pożyczony tylko) za pieniądz przybywający, za *plus* w majątku, a nie za *minus* i ciężar. Z tej skłonności

wynikło niebaczne częstę użycie pożyczonej summy pieniędzy; z nieumiejętności lub niedozoru w gospodarstwie, wynikała znowu niemożność regularnego opłacania procentów; nieurodzaje (cóż dopiero nieuniknione klęski, wylewy, grady, pożary) zwiększały ciągle tę niemożność i te zaległości, za któremi znowu następowały albo nowe długi, albo unifikacye i konwersye długów w wielkich instytucyach kredytowych, albo częściowe odprzedawania gruntów — środki ratunku nieuniknione zapewne, ale zawodne, bo zależne zawsze od tych warunków urodzaju, zbioru, ceny i braku większych klęsk, na które ani wola ani praca ludzka poradzić nie może. Ta trudność utrzymania się przy ziemi, to doświadczenie, że właściciel jej wychodzi coraz bardziej na jej dzierżawcę, i chęć naturalna zabezpieczenia i powiększenia majątku dla dzieci, kazały nam szukać innych zarobków, w spekulacyach i przedsiębiorstwach. Ztąd ten wielki napływ żywiołów szlacheckich do miast, który zaciera pomału odrębny charakter i szlachty, i ludności miejskiej. Z takich, szukanych po za ziemią zarobków, najniebezpieczniejsze — przed laty dwudziestu bardzo częste — były spekulacye giełdowe, ponętne, nie wymagające trudu, obiecujące wielkie zyski — pochłaniające wiele naszych majątków w pamiętnym wiedeńskim *krachu* z roku 1873. Inne, oparte na rzeczywistej wartości krajowych produktów (naprzykład nafta), albo połączone bezpośrednio z gospodarstwem (gorzelnie na wielką skalę), miały rzeczywistej podstawy i rozumnego wyrachowania więcej niż tamte, ale były zależne, pierwsze i od szczęścia i od umiejętności, drugie od nakładu i od ceny, jedne i drugie od konkurrencyi — i to złośliwej konkurrencyi — węgierskiej, która dla produkcyi węgierskiej zdobyła

fawor i protekcyę, a austryackiej w ogóle, galicyjskiej w szczególności, nałożyła cięższe nierównie i niekorzystne warunki. Jeżeli więc te spekulacye przemysłowe mogły przynieść znaczne pożytki ogólnej summie krajowego bogactwa, to stan majątkowy szlachty poprawiły one w pewnych tylko, prawie wyjątkowych przypadkach; ogół zostaje zawsze w tym stosunku dzierżawy na własnej ziemi, zaległości pożyczkowych lub podatkowych, i pod grożbą przymusowej sprzedaży.

Wykup prawa propinacyi, kapitał jaki każdy właściciel z tego powodu dostać musi, może niezaprzeczenie być albo wielką pomocą, albo przynajmniej wielką ulgą, jeżeli będzie użyty na spłacenie długów. Ale naprzód niema tej pewności, że będzie zawsze dobrze użytym, a powtóre dochód jaki on przynosi, od dawnego dochodu z propinacyi mniejszy, dla zadłużonych może nie być wystarczającym na opłacenie rat i na pomoc w gospodarczym obrocie. Dodajmy do tego podział majątku na równe części w każdem pokoleniu, a pokaże się, że jeżeli wielkie majątki mogą się łatwiej bronić i w samej swojej rozległości znajdować środki zaradcze, to utrzymanie majątków średnich w jednem ręku, w tejsamej rodzinie, staje się rzeczą trudną. Widzimy też całe powiaty, w których większość ziemi przeszła już z rąk szlachty w ręce, które czy się polskiemi kiedy staną? Ziemia i zmienione warunki życia mają swoją moc i swój wpływ, i być może, że kiedyś, z czasem sprowadzą spolszczenie się nowych nabywców. Ale do tego daleko jeszcze bardzo, a w każdym razie ci nowi, choćby kiedyś na najlepszych wyszli, to nie będą mieli staropolskiej tradycyi dawnych, którzy od wieków na swojej ziemi siedzieli, a mieli krew tęsamą, co się lała pod

Grunwaldem, pod Chocimem, pod Wiedniem i pod Grochowem.

A jeżeli nam tu w Galicyi grozi zmiana posiadania ziemi, i przez to zmiana stanu i zmiana bytu, to pod rządem rosyjskim i pruskim grozi coś gorszego, bo wynarodowienie ziemi. W krajach zabranych, Polak który sprzedać musi, nie może sprzedać majątku Polakowi bogatszemu, musi sprzedać Moskalowi; w Królestwie, gdzie jest łagodniej, Polak obcy poddany jest dożywotnikiem tylko, po którego śmierci spadkobiercy będą mogli wynosić się gdzie zechcą. Kolonizacya niemiecka w Wielkopolsce jest o tyle mądrzejsza i gorsza, że nie zmusza; że oparta na dobrowolnej sprzedaży, daje tej zmianie posiadania ziemi nietylko moc i skutki, ale nawet istotę aktu rzeczywiście prawnego. Środek rosyjski jest obliczony na wynarodowienie ziemi i na zubożenie jej właściciela; pruski właścicielowi materyalnej krzywdy nie robi, ale korzystając z jego potrzeby lub słabości, psuje go i zniża, a do głównego celu, wykorzenienia szlachty polskiej z ziemi, trafia tak samo i pewniejszemi może środkami. Szlachta polska jest dziś jak stary pień, który korzeniami trzyma się ziemi, ale ze wszystkich stron przyłożone są kilofy, które mają go podważyć i wykarczować. W Galicyi kilofem są tylko stosunki ekonomiczne; w Wielkopolsce oprócz nich jest państwo i pieniądz; pod rządem rosyjskim są (oprócz stosunków ekonomicznych zawsze) zakazy nabywania ziemi lub jej dziedziczenia.

Czy pień wytrzyma? czy pomimo wszystkich natężeń, nie da się wykarczować? W każdym razie ma świadomość swojego położenia i postanowienie oporu.

Rzecz to do zrozumienia trudna, ale powtarzająca

się często w losach rodzin i narodów, że za winnych pokutują i odpłacają niewinni. Ojcowie zjedli jagodę słodką — a zęby synów pocierpły. Niedawno jeszcze można było wyrzucać szlachcie polskiej marnotrawstwo czy niedbalstwo, zbytek czy próżniactwo. Dziś wady te zostały zapewne w niektórych, ale byłby bardzo niesprawiedliwym, ktoby je chciał ogółowi wyrzucać. Większość żyje skromnie i cicho, pracuje gorliwie, gospodaruje ze znajomością rzeczy. Czasy wiejskich lub jarmarcznych hulanek, gry i pijatyki, przeszły tak, że ledwo ich pamięć została; wiejski gospodarz próżniak zdarza się zapewne, ale jest wyjątkiem; wiejska elegantka zmuszająca męża do wydatków nad możność, taksamo; życie większości jest szanowne, przykładne i rozsądne. W Wielkopolsce, gdzie wyjątkowe prawa przeciw Polakom obudziły silniejszy instynkt zachowawczy polski, przymioty te dochodzą częściej zapewne niż u nas do wysokości niezwykłej zasługi i cnoty; i tam, gdzie dawniej życia na pokaz i nad stan było podobno najwięcej, teraz panuje największy ład i oszczędność, tryb życia najskromniejszy, największe ograniczenie się w wydatkach a przezwyciężenie się w skłonnościach i przyzwyczajeniach. W Królestwie — jeżeli świadkom naocznym wierzyć mamy — byłoby to złe, nie powszechne oczywiście, ale jednak niepokojące jako symptom, że kłopoty majątkowe w połączeniu z niedostatecznem i złem wychowaniem w rosyjskich szkołach, sprowadziły w młodszem pokoleniu jakieś zniechęcenie i zobojętnienie, jakiś rodzaj niedbałości, nietylko o swój poziom umysłowy, ale nawet o swoją wartość moralną. Nieszczęście i rozpacz muszą między innemi mieć i ten skutek, że ludzi obniżają i psują. Wszyscy nie mogą

mieć tyle siły i cnoty, żeby w nieszczęściu znajdować popęd i bodziec do walki ze złem, do dźwigania się w górę. Słabsi i płytsi muszą zrazu załamywać ręce rozpaczliwie, a z czasem je bezwładnie opuścić. A jeżeli do tego nie dano im w domu silnej podstawy zasad moralnych, lub ją zachwiano w szkołach, jeżeli nie ma tej wiary, która siły i pomocy szuka w Bogu, i znajduje siłę cierpliwości i obowiązku nawet gdy nie znajduje pociechy nadziei, to nie może być inaczej, tylko wielu musi się zniżyć i zepsuć. Tego oczywiście chce, na to liczy nieprzyjaciel. Ale że mu się to z niektórymi tylko, nie ze wszystkimi, nie z większością uda, że między młodem pokoleniem szlachty w Królestwie, więcej zawsze będzie takich co z Bogiem w sercu i z poszanowaniem siebie samych będą umieli i siebie nie zniżyć i obowiązku swego nie odstąpić, na to znowu liczy Polska: i wierzy, że się nie zawiedzie.

Ci najnieszczęśliwsi, na Litwie, na Ukrainie, na Wołyniu i Podolu, wyglądają tak, jak w czasie wielkiego wylewu wód ludzie, co się na strychy i dachy schronili, i czekają co się z nimi stanie. Bliżej lub dalej koło siebie widzą na drugim dachu drugą i trzecią i dziesiątą gromadkę, która czeka jak oni; dziś jeszcze jest, ale jutro? czy jej woda nie zabierze, albo głód nie zabije, albo rozpacz nie doprowadzi do zawrotu głowy i do rzucenia się w wodę? Ich cnotą, ich służbą, ich jedyną możliwą czynnością — czekanie. Wszystko znosić, nie robić nic coby dało jakiś najmniejszy pozór do zaczepki; majątek trzymać wszelkiemi siłami i przyrabiać go jeżeli można; zatrzymać w sobie oddech, ten oddech duszy coraz bardziej tłumiony i duszony brakiem kościołów i księży; zatrzymać wiarę i modlitwę, —

to w tych okolicznościach jest ich jedynem politycznem działaniem. Jeżeli to rozumnie i wytrwale prowadzić zdołają, kto wié, czy ich potomkowie kiedyś nie będą mogli zejść z dachów i strychów, i nie znajdą koło swoich domów suchej ziemi, na której mogliby nogę postawić.

Jednę chyba pozwolilibyśmy sobie wskazać powinność praktyczną: opiekę, życzliwość, w razie możności pomoc dla drobnej szlachty. Znamy — choć zdaleka i ogólnie tylko — jej słabe strony; wiemy, że czasem sama życzliwości tej przeszkadza. Niemniej w imię staropolskiego szlacheckiego braterstwa i ważniejszego nad to polskiego interesu, należy się względność, opieka, w możności pomoc, tym, którym rząd rosyjski herby i papiery odebrał, ale którzy w naszych oczach charakteru tego stracić nie mogli, a swój charakter polski, w warunkach nierównie jeszcze trudniejszych niż my, zachowali wiernie. Gdyby tam w zabranych krajach był kto taki, ktoby rządowi choćby tylko biernością i obojętnością swoją (a broń Boże dopiero czynnie) pomagał w systematycznem dziele upośledzenia i prześladowania drobnej szlachty, ten miałby na sumieniu ciężki grzech przeciw polskiemu życiu i polskiej sile w tych krajach.

Kwestya utrzymania się przy ziemi, jest ze wszystkich dziś dla szlachty najbardziej żywotną, i najtrudniejszą. Rozumiemy ją wszyscy dobrze; staramy się usilnie — wielu, jeżeli nie wszyscy — żeby temu obowiązkowi uczynić zadosyć. Ale z natury rzeczy wypływa, że sumieniem i wolą wiele dokazać nie możemy, bo rzeczy to zawisłe od stosunków ekonomicznych, a te od okoliczności. Wszelako rozum i wola zawsze coś mogą, a oszczędność, ład i dobra głowa, uratowały nieraz bardzo nawet zachwiane majątki. W Galicyi zwłaszcza gdzie

wykup propinacyi złożył w rękach szlachty kapitał znaczny, stan majątkowy wielu może i powinien się poprawić. Czas jest jeszcze za krótki na to, by skutki dały się już uczuć; jednak obudzony od roku pewien popęd do nabywania majątków, jest w każdym razie dobrą oznaką. Od tego wszakże potrzebniejszym byłoby spłacanie długów na majątkach, które ciężarom swoim podołać nie mogą; najpotrzebniejszy zaś ze wszystkiego, ład i ścisłość w prowadzeniu interesów i rachunków. Tych w ogóle mamy nie dosyć w naturze, a w sprawach majątkowych szkodzimy sobie tym brakiem niezmiernie.

My mało dotąd się znamy na wartości i znaczeniu czasu, nie uznajemy jego praw, jakżeby one były tyranią i ograniczeniem naszej osobistej wolności. Nie chcemy częstokroć rozumieć tego naprzykład, że termin jest terminem, i że jeżeli na pewien termin pewne zobowiązanie przyjąłem, to go dotrzymać powinienem, i zawczasu przysposabiać się na to, żebym mógł uczynić mu zadosyć. W drobiazgach nawet nie lubimy pamiętać o terminie (skończoną prenumeratę dziennika nawet rzadko kiedy na czas odnawiamy); ale w drobiazgach to nie szkodzi; w rzeczach ważniejszych (jak zaleganie z podatkami lub ratami) musi koniecznie pociągać za sobą złe skutki, bo zawsze pomnaża wydatek procentem od zwłoki, a z biegiem czasu robi go do poniesienia coraz trudniejszym. Albo zaniedbanie terminu w dostawach! Skarżymy się na brak i martwość stosunków handlowych; to zaniedbanie drobnych względów porządku, przyczynia się do tego więcej niż myślimy. Kupiec zagraniczny, zobowiązany na pewien czas dostarczyć umówioną wielką ilość produktu, jeżeli od

polskiego producenta odebrał go albo zapóźno, albo w ilości mniejszej, albo w gatunku gorszym, niż go ugodził i zadatkował, traci ufność, narzeka na nasz towar i na naszą rzetelność, psuje sławę i produktowi i producentowi, i w końcu każe sobie defalkować szkody. Stowarzyszenia zawiązane w zbawiennej myśli ułatwiania nam zbytu i otwarcia szerszych handlowych stosunków, upadały i założycieli swoich przyprawiały o ciężkie straty, dla tego tylko, że dostawcy miejscowi zawodzili je w terminie, w ilości, albo w jakości produktu.

Wspominamy o tym szczególe dla tego, że w wielkiej kwestyi i powinności zachowania ziemi, ład i ścisłość znaczą bardzo wiele. Synowie tych co mawiali „Polska nierządem stoi“, jeszcze nie dosyć nauczyliśmy się i uwierzyli, że nic na świecie nie stoi nierządem, tylko wszystko zawsze nim upadać musi. Wiemy już, że rzecz publiczna bez ładu i rządu obejść się nie może; we własnych majątkowych sprawach jeszcze się wielu bez niego obchodzić próbuje. Próba udaje się przez lat kilka, kilkanaście; to nas ośmiela i wzbudza nadzieję, że uda się do końca, „jakoś to będzie.“ A koniec z czasem przychodzi zły, i ziemia dostaje się w inne ręce.

Czy możemy wskazać jaki środek pewny a uniwersalny, żeby ją zatrzymać i zabezpieczyć? Gdyby taki środek był, jużbyśmy się go wszyscy chwycili w praktyce, bo niebezpieczeństwo widzimy wszyscy, i wszyscy odwrócić je chcemy. Jednego wielkiego środka z pewnością niema; mogą być tylko małe, a liczne i różne, w każdym szczególnym przypadku odmienne zapewne, bo zależne od majątkowych, psychologicznych

i moralnych stosunków. Jednak czy jakieś ogólniejsze i zbiorowe nie dałyby się wynaleźć i użyć? Bank ziemski w Poznaniu jest i działa, i oddaje rzeczywiste usługi w skromnym zakresie może, ale z ustaleniem dzieła może przyjść i rozszerzenie zakresu; a co się zrobi, co się uratuje, choćby niewiele, to jest i zostaje. Odwiecznego obyczaju, który nam przeszedł w krew i niemal w sumienie, zmienić trudno; jednak gdybyśmy spróbowali zmienić ten obyczaj, który nam każe po śmierci ojca zaraz dzielić jego majątek na tyle części ile jest dzieci, może i w tem znalazłby się częściowy środek zaradczy. Niemcy tak robią, że majątek niepodzielony zostawiają na długo w ręku jednego, a drudzy pobierają tylko dochody od swojej części, kapitał zaś odbierają wtedy dopiero, kiedy ów jeden wypłacić go może bez sprzedawania majątku. Dawniej, kiedy młody szlachcic nie pojmował, nie znał, i naprawdę nie miał innego zawodu jak ziemiaństwo, było takie dzielenie ziemi może koniecznem. Ale dziś jest inaczej; dziś synowie szlacheccy szukają różnych dróg, zajmują różne miejsca na świecie. W tych zawodach i obowiązkach dochód z ojcowizny może być wielką pomocą i ułatwieniem, ale doraźna i szybka wypłata schedy, może nie jest niezbędną. Da się to u nas zastósować, czy nie? Nie wiemy; ale znamy Niemców (z bardzo nawet szumnemi nazwiskami i tytułami) którzy żyją z żonami i dziećmi na jakiej posadzie w mieście, od brata pobierają procent od należnej im schedy, a na schedę samą wolą czekać cierpliwie i nieraz długo, niż widzieć ojczysty majątek sprzedanym.

Ten konieczny podział i rozdrobienie majątków ma ten skutek, że wielu synów szlacheckich przenosi

się do miasta i tam szuka szczęścia w innych zawodach. Skutek dobry niezaprzeczenie, bo i na nasze wrodzone lenistwo znacznie już poradził, i do praktyki w wielu zawodach nas wprawia. Ale tu niech nam wolno będzie zrobić uwagę, że o ile dobrze jest wstępować do służby administracyjnej, o tyle nie dobrze zaniedbywać inne. My zaś garniemy się (dziś już dość licznie) do urzędów; ale do wojska, albo do sądownictwa mało mamy ochoty. Wojsko tymczasem, nie mówiąc o zapewnieniu życia i szanownego stanowiska, dla samej miłości własnej, dla przyszłości nieraz świetnej, dla tego co za dawnych czasów nazywało się *krescytywą*, powinnoby dla tej młodzieży być zawodem bardzo ponętnym. Sądownictwo? Trudne, uciążliwe, a nie obfitujące w świetne widoki, to prawda. Ależ za to jak ważne; jaka potrzeba, żeby te miejsca właśnie zajęte były przez ludzi prawego, obywatelskiego, polskiego ducha! Na dobrej sprawiedliwości zasadza się ład społeczny, a ludzie, którzy wzniosłość powołania czuć powinni, od tego powołania stronią. Stronią także i od powołania duchownego, co też nie za nami, lecz przeciw nam świadczy. To ostatnie wszakże nie zależy od woli człowieka; ale służba wojskowa i sądowa, czy nie byłaby i zawodem, i sposobnością do wielkiej zasługi dla młodzieży, która na ziemi osiąść nie może lub nie chce?

Z kwestyą ziemi łączy się najściślej, i na niej się opiera kwestya wpływu, tego wpływu, który ziemianin skutkiem swego położenia i zamieszkania na wsi, łatwiej niż ktokolwiek inny wywierać może, a którego celem jest równowaga i organiczny związek między warstwami społeczeństwa, w duchu polskim i w co-

raz wyższej, coraz rzetelniejszej cywilizacyi wszystkich. Działanie na lud wiejski, wiemy że utrudnione jest bardzo jego usposobieniem niedowierzającem i podejrzliwem względem dawnego pana, utrudnione (w obecnej chwili bardzo) wpływami zewnętrznemi, które postęp i patryotyzm i dobro ludu upatrują w jątrzeniu tych jego usposobień, w hodowaniu i rozwijaniu społecznego rozbratu. W osobiste każdego wpływy i stosunki wdawać się, pytać, czy nigdzie niema zaniedbania i obojętności — nie myślimy ani prawa sobie nie przyznajemy. Ale nie możemy przemilczeć, że jest środek jeden ogólny, potężny, bo działający z mocy prawa i ustawicznie, który do organicznego połączenia i społecznego zbliżenia różnych warstw mógł prowadzić, a był zaniedbany. Gdyby od lat dwudziestu pięciu było się dokonało połączenie gmin, gdyby zamiast nienaturalnego rozdziału na dwór i gminę nasza ustawa była dwa te pierwiastki zbliżyła do siebie w ciągłym stosunku i we wspólnej naradzie o miejscowych sprawach, to dziś po takim lat przeciągu i gmina byłaby rzeczywistszą, zdolniejszą do czynności które spełniać powinna, i ten wpływ cywilizacyjny, polski i zdrowy na ludność wiejską, byłby już zakorzeniony i ubezpieczony, jużby wydawał swoje praktyczne skutki. Jeżeli Rada powiatowa, w której rzadko spotyka się z sobą mała liczba ludzi, wywarła pod tym względem wpływ dość znaczny jednak i dobry, o ileż więcej byłby go wywarł stosunek częsty, ciągły, pomiędzy tymi, którzy i mieszkają najbliżej i wzajemnie bez siebie obejść się nie mogą! Tegośmy nie zrozumieli i nie chcieli! A przez to jedno zaniedbanie (które nie spada na odpowiedzialność stronnictwa do którego należy ten co te słowa pi-

sze), straciliśmy najdzielniejszy sposób działania i wpływania przez ciąg lat dwudziestu pięciu! Jakiej sumy pożytków pozbawiliśmy się przez to dobrowolnie, o ile silniej mogliśmy stać w kraju i w państwie, gdyby nie to zaniedbanie — obliczyć się to nie da, a powetować da się w części tylko, bo przyszłość może ustawę tylko zmienić, ale straconego czasu nie wróci. A jeżeli dziś pomiędzy nas a lud wiejski wciskają się wpływy dla nas, dla niego, dla wspólnej politycznej i społecznej przyszłości niebezpieczne, to w wielkiej części dlatego, że szpar i rys, jakie były w naszym społecznym budynku nie zapełniliśmy sami. Dziś wciskają się w te szpary inni, i pracują nad tem, żeby je rozszerzyć i zwiększyć.

Tak bywało dawniej i taksamo jest dziś. Natura szlachty polskiej została tasama, i zawsze uczynkiem grzeszy ona stosunkowo mało, ale opuszczeniem i zaniedbaniem wiele. Skutek to poczęści naszego biernego leniwego usposobienia, ale skutek także naszego politycznego złego wychowania. Że pod tym względem dokonał się postęp znaczny, to oczywiste. Od lat dwudziestu pięciu kraj ten świadomie i statecznie trzymał się jednej politycznej drogi, nie zszedł z niej, pomimo licznych i niemałych trudności, a jego wybór, jego urzędowa i rzeczywista reprezentacya, Koło poselskie w Wiedniu, w położeniach często bardzo zawiłych i trudnych, postępowało z takim rozumem i taktem, że słusznie należy mu się sława wzorowego ciała politycznego: że było i wypływem i dowodem niezaprzeczonej politycznej dojrzałości kraju, jego zdolności do rządzenia sobą, do wytworzenia i do utrzymania własnej samodzielnej i konsekwentnej polityki. Postęp w naszem

politycznem uzdolnieniu i wyrobieniu jest niezaprzeczony, nie przez zasługę szlachty jednej, ale i przez jej zasługę także. Tylko, ten postęp mógł być większy, nasze stanowisko lepsze i pewniejsze, nasz zasób sił i wpływów pełniejszy, gdyby w ogólnym, trafnie obranym a wiernie dochowanym kierunku polityki, było mniej błędów, mniej kroków fałszywych, więcej jednolitości, więcej jasnej świadomości środków w postępowaniu. Przytoczymy jeden tylko przykład. Nasza kampania rezolucyjna (1868 i lata późniejsze) doprowadziła do bezpośrednich wyborów do Rady państwa, czyli do zaprzeczenia i okrojenia tej zasady, której zwycięstwa chcemy, tego znaczenia krajów i narodów w organizmie i w losach państwa, jakie w naszem przekonaniu i im należy się słusznie, i dla państwa jest najbezpieczniejsze i najkorzystniejsze. Czyli, osiągnęliśmy skutek wprost przeciwny temu, jakiśmy zamierzali; a więc prowadziliśmy naszą sprawę źle. Ten błąd — największy zapewne — i niejeden mniejszy, jest skutkiem złego wychowania politycznego, które odebraliśmy za dawnej Rzeczypospolitej, i które dziedzicznie przeszło z ojców na synów.

Dawna polska szlachecka demokracya, nie mogła prawdziwie wykształcić się politycznie. Do takiego wykształcenia przeszkadzała nasza konstytucya. Szlachta, kiedy przyjęła na siebie ster spraw państwa, nie była sama do takiego zadania dojrzałą: wszystko uczyniła od siebie zawisłem, ale tego nie wiedziała, że wtedy jedno stawało się dla niej koniecznem: rządzić! Ona zaś pojmowała swoje zadanie i swoje prawo, jako doglądanie i dozorowanie rządzących, o czynnem rządzeniu nie myślała. Przy silniejszym rządzie i przy dyna-

brak zdolności rządzenia i chęci rządzenia, doszedł aż do negacyi rządzenia, do straszliwego absurdum, które przecież było przez wiek z górą politycznym aksyomatem: *Polska nierządem stoi.*

Poprawiliśmy się znacznie, to pewna; ale z dawnej tradycyi, dawnego zwyczaju, wiele przeszło nam w krew i dotąd w nas zostało.

Nie bierzemy dziś opozycyi przeciw rządowi za pierwszy obowiązek dobrego obywatela, za konieczny warunek i najlepszy dowód patryotyzmu (w Wielkopolsce to rozróżnienie nie jest tak jasne i rozpowszechnione, jak w Galicyi, co postępowaniem rządu pruskiego naturalnie się tłumaczy). Wiemy, że w parlamentach tyle coś znaczyć i dokazać możemy, ile jesteśmy pewną sumą głosów jednakowych, i tej jedności (choć często przykrej) poddajemy się ściśle i stale, w czem znowu Wielkopolska wyprzedziła innych i dała im przykład. Nasza osławiona niesforność i niekarność jest legendą, opartą na złem zrozumieniu naszego charakteru; owszem rządzić nami łatwo, a jeżeli w czem nasza wina, to że zbyt łatwo, łatwowiernie, dajemy się ująć i prowadzić; a to ostatnie już nie za dobre, ale za złe mieć sobie musimy. Jednak, jeżeli postąpiliśmy dużo w politycznem wykształceniu, to do zupełnej dojrzałości jeszcze nam daleko; jesteśmy pod tym względem jak chłopiec, który jako dziecko i wyrostek był krnąbrny, samolubny, a zwłaszcza zmienny i kapryśny, a w latach młodzieńczych przez czas i zastanowienie nad sobą pozbył się wielu wad, ale do męskiego charakteru jeszcze nie doszedł. Tego politycznego charakteru, który umie roztropnie poznać i schwycić szczę-

śliwy skład okoliczności, żeby z niego skorzystać, który niebezpieczeństwo umie przewidzieć i uprzedzić, zanim stało się jawnem i groźnem, który rozumiejąc patryotyczną powinność i polityczną konieczność jedności, jedność tę utrzymuje, choć musi dla niej znosić osoby mniej lub więcej miłe, tego politycznego charakteru, który z pierwiastków siły składa siłę czynną, działającą, rządzącą; i taką być chce -- tego my jeszcze nie mamy.

Naprzykład nie było nic łatwiejszego, jak to, żeby przez te lat dwadzieścia pięć szlachta w rozumnem, szczerem i zupełnem połączeniu ze szlachetnemi i politycznie rozumnemi żywiołami ludności miejskiej, złożyła w kraju siłę nie mówimy wielką, ale jedyną prawie, przeciw której i bez której niceby się stać nie mogło. Pierwiastki rozkładowe były onieśmielone, straciły kredyt po tym rezultacie, do którego doprowadziła ich polityka w r. 1863; lud wiejski oswajał się pomału, i z dworem, i z temi polskiemi rządami, których nauczono go bać się; stosunki układały się nader pomyślnie po temu, żeby opinię i wolę tego społeczeństwa zjednoczyć i w jednym kierunku wyrabiać, kształcić i hartować. Zamiast tego, co dziś widzimy? Jednę część kraju, to jest miasta i miasteczka, w znacznej części pozyskane przez chroniczną anarchię, która się przezywa pięknie demokracyą lub stronnictwem postępowem, ale anarchią jest, skoro jedne warstwy ludności przeciw drugim podszczuwa. Ta wytęża się, by owładnąć większość zawodów wyzwolonych po miastach, młodzież szkolną i rzemieślniczą, w części kupiecką i rzemieślniczą starszyznę, i znaczną ilość Żydów. Lud wiejski znowu nauczany jest, że szlachcie

wierzyć nie powinien, że opieki nie potrzebuje, że sam zna się najlepiej na swoich interesach i że powinien się łączyć pod hasłem interesów specyalnie włościańskich i posłów włościan. Interes kraju, ogółu, jego sprawa, jego polityka, jego przyszłość, zdolność rozumienia jednej a pracowania dla drugiej, znika i zaciera się; a jak niegdyś partykularny interes pewnych domów albo pewnych ziem i powiatów, tak teraz występuje, działa, uznaje się za pierwszy i najlepiej uprawniony, partykularny interes miast albo wiejskiego ludu; pod nim (jak za dawnej Rzeczypospolitej) kryje się oczywiście osobista ambicya, próżność, albo zawiść ludzi.

Że to jest rozprzężeniem społecznem i politycznem, ten tylko zaprzeczy, kto w niem ma jakiś cel i niem się do tego celu posługuje. A jakim sposobem doszliśmy do tego rozprzężenia? Tym, żeśmy z dawnego złego wychowania politycznego lepiej poprawić się nie umieli, żeśmy do stanowczego i silnego politycznego charakteru nie doszli.

Taksamo naprzykład jak dawniej baliśmy się posądzenia, że sprzyjamy *absoluto dominio*, albo mu się poddajemy, tak teraz przez ćwierć wieku baliśmy się, żeby nas nie oskarżono o brak liberalizmu albo patryotyzmu, i przez ten brak odwagi pozwalaliśmy i pomagali robić rzeczy, które do dzisiejszego rozprzężenia doprowadzić musiały. Mieliśmy dzienniki politycznie niemądre, moralnie nikczemne, które opinii ani przekonań nie miały, miały tylko zawiści; a broni innej nie miały, jak pusty frazes albo podłe oszczerstwo. Takim pozwoliliśmy kształcić opinię wszystkich mniej oświeconych, a poniekąd nawet swoją własną; zamiast je

zmusić do milczenia albo do poprawy, myśmy im ulegali, przez wdzięczność, że szkalowały ludzi nam niemiłych, przez strach, żeby nas samych szarpać nie zaczęły. Kiedy dwa z nich przed sądem dowiodło sobie nawzajem swojej nikczemności tak dobrze, że aż od oskarżenia odstąpiły i pogodziły się, z obawy zbyt oczywistego zawstydzenia, zdawało się, że wtedy przynajmniej będą zgubione w opinii. Ale nie; ulegaliśmy im i podchlebiali jak dawniej, i pozwalali robić tosamo co dawniej. Jakże dziś mamy prawo się dziwić lub narzekać, że ludność przez ćwierć wieku kształcona przez takie dziennikarstwo, nie ma rozwiniętego politycznego zmysłu, a ma duch publiczny stłumiony i skrzywiony? Jakże się dziwić, że *Nowa Reforma* i *Kuryer Lwowski* znalazły grunt przygotowany pod swoją anarchiczną organizacyę miast, a *Pszczółka, Dzwon, Wieniec* i *Przyjaciel Ludu* próbują swojej znowu wiejskiej — kiedy przypatrywaliśmy się obojętnie, a nawet przychylnie przez lat dwadzieścia pięć, jak *Gazeta Narodowa* i *Dziennik Polski* grunt ten przygotowywały? Kto znosił przyczyny (chętnie lub tylko niebacznie), ten skutki, chce czy nie chce, znosić musi; a dzisiejszy nasz stan rozprzężenia jest w znacznej mierze spowodowany brakiem odwagi, brakiem politycznego charakteru w szlachcie, która złym wpływom w początkach sprzeciwić się nie umiała i nie chciała.

A i teraz jeszcze, kiedy „łagodna anarchia“ objawiła się wszem wobec przed sejmowemi wyborami z roku 1889 w tak zwanych różnych wiecach (miejskich, studenckich itd.), czy przynajmniej teraz mieliśmy odwagę wystąpić i zgromić? Sejm, a jeżeli nie on, to choć Koło sejmowe, były do tego polem i miały ten obowiązek.

Powinny były wiedzieć, że co się stało raz, to nie skarcone, nie powstrzymane, powtórzy się silniej raz drugi. Gdyby się to było stało, to dziś mielibyśmy zapewne mniej *komitetów* i mniej różnych *Przyjaciół ludu*. Że się nie stało, winna sejmowa większość, a w tej specyalnie i (rzec można jedynie) szlachta — z wschodniej części kraju, która niebezpieczeństwa widzieć nie chciała, dlatego że go na sobie mniej poczuła. Zupełnie tak, jak za dawnej Rzeczypospolitej, poseł z wielkopolskich lub pruskich województw niewiele troszczył o zabezpieczenie wschodnich granic, bo u siebie nigdy Tatarów nie widział.

Skutek takiego postępowania jest ten, że wpływ i kierunek spraw politycznych przechodzi w ręce inne. Gdyby one były pewne, mniejsza o to. Ale cała nasza historya od rozbiorów uczy, że polityka tak zwanych stronnictw demokratycznych przynosiła nam same szkody. Jeżeli więc szlachta o sprawę i jej przyszłość dba, to wpływu swego tracić, ani zrzekać się milczkiem nie powinna.

Straciła go zaś już bardzo wiele. Dlaczego? Dlatego, że się nie pozbyła dawnego braku cywilnej odwagi, dawnej podejrzliwości, dawnego partykularyzmu. Było jej łatwo stać się siłą istotnie rządzącą; tą się nie stała, bo nie chciała być dotąd siłą jednolitą. Przy temsamem pojmowaniu położenia narodu i jego potrzeb kraju i jego stosunków, co było naturalniejszego, jak niezważając na drobne i podrzędne różnice w zdaniach, lub na mniejszy czy większy pociąg do osób, być w Sejmie, w Radzie państwa i w kraju jednem stronnictwem, z którem żadne inne na siłę mierzyćby się nie mogło? My zamiast tego, zaczęliśmy od podejrzeń,

posądzań i rozdziałów. W dawnych Sejmach budził podejrzenie Leon Sapieha, bo był rozważny i spokojny; Adam Potocki, bo był śmiały, przedsiębiorczy; jeden i drugi, bo był wielkim panem i bogatym. W Sejmach późniejszych nowe pokolenie posłów, zamiast robić lepiej, robiło gorzej; zamiast starać się o jedność kierunku w Sejmie i w kraju, nie miało ono nic pilniejszego do roboty, jak rozdzielić się na kilka grup czy klubów, które politycznej racyi bytu nie miały żadnej, a chcąc jakąś sobie stworzyć, musiały sztucznie wyszukiwać między sobą różnice i drobne szczegóły rozdymać do wielkich rozmiarów. Na dnie tego wszystkiego był dziedziczny pierwiastek złego wychowania politycznego, objawiający się albo instynktową (często nieświadomą) chęcią jakiegoś niby większego (bardzo małego) znaczenia, albo niechęcią do pewnych osób, albo tym osobistym lub terrytoryalnym partykularyzmem, który chce koniecznie być osobno i z drugimi się nie mięszać.

Wszystko to pozostałe w nas pierwiastki dawnej demokracyi szlacheckiej, tego usposobienia, które przed wiekami i przez wieki oddawało nas zaślepionych w ręcę demagogów arystokratycznych, a dziś demagogom demokratycznym nad nami przewodzić pozwala. Ten instynkt i ta passya równości są w nas tak silne, że nawet umysłowej wyższości nie lubią. Zjawisko to w demokracyach powszechne, a historya Arystydesa jest klasycznym jego typem, tylko w rozmiarach niezwykle wielkich. W naszej porozbiorowej historyi daje się ono widzieć niejeden raz, a kto wie czy nasze *Towarzystwa Demokratyczne* nie mają pod tym względem

pewnej nad nami wyższości. One kierunek swojej polityki powierzają ludziom, których mają za zdolniejszych między sobą. Mylą się w wyborze, kiedy widzą zdolność w Mierosławskim naprzykład, ale zamiar ich jest logiczny. My łatwo i posłusznie poddajemy się kierunkowi jednego człowieka; ale na moralnego i politycznego przywódzcę wybieramy zwykle takiego, który nas swoim rozumem i zdolnością nie przyćmiewa i nie przewyższa. Żądamy od niego — najsłuszniej — prawości charakteru; ale kiedy tej daliśmy zaufanie, o resztę troszczymy się nie dosyć. W Sejmie czteroletnim największą powagę i wziętość miał Stanisław Małachowski; w naszym wieku, w Wielkopolsce nie Kożmianowie, nie Chłapowski, nie Raczyński, nie Marcinkowski (choć ten klerykalny ani arystokratyczny nie był), ale Gustaw Potworowski, wartością moralną tamtym równy, ale nie zdolnością. W Galicyi nie Leon Sapieha, nie Potocki, ani Kraiński, ani Helcel, ani Zyblikiewicz, ale Grocholski, który miał niezaprzeczenie i wartość ogromną i swój bardzo pożyteczny rodzaj zdolności, ale jako umysł i talent polityczny, był od tamtych niższy. Gdyby tasama ufność, tasama powolność, jaką miał u nas Grocholski, dana była któremu z tamtych — a byli jej charakterem niemniej godni od niego — kto wie, czy dziś jeszcze centralny parlament austryacki nie byłby złożony z delegatów sejmowych, i od krajowych sejmów zależny. Na przeszkodzie stała nasza tradycyjna podejrzliwość, nasz instynkt egalitarny, może poczęści nasz partykularyzm miejscowy, jednem słowem, nasze polityczne złe wychowanie.

A tymczasem sprawa narodu i jego przyszłość potrzebuje koniecznie, żeby szlachta została w jego służ-

bie tem, czem była gwardya w armii Napoleona, a falanga w wojsku Aleksandra. Nie żeby miała więcej od innych prawa do wyborowej służby, ale że mając ziemię w ręku, a tradycyę narodu we krwi, ma najwięcej po temu możności, zatem i obowiązku. Dziś jeszcze ona dzięki Bogu jest; a z tego, że jednak wiele zapomniała i nauczyła się wiele, można czerpać nadzieję że dopełni czego jej jeszcze brak jeżeli jej Bóg czasu pozwoli. Na to trzeba ziemi się trzymać, a wpływu nie puszczać. Ustępować go, przyjmować go z otwartemi rękami, poddawać mu się kiedy dobry; ale nie zrzekać się go przez bierność, bezwładność, lub bojaźliwość. Dziwna ta nasza polska natura! Czasem taka wzniosła, taka czysta, taka wspaniała w prostem, bezwiedniem a bohaterskiem poświęceniu, że zdaje się, jak żeby najlepszem z Boskich stworzeń był Polak i szlachcic! A chwilę potem taka opieszała i lekkomyślna, że się chce ręce załamać w rozpaczliwej trwodze, czy to nie plemię poświęcone zagładzie. Jakim sposobem dobre nie zwyciężyło w nas złego, albo złe dobrego nie zżarło do szczętu w tej wiekowej jednego z drugim walce? Jakim sposobem tasama szlachta pierzchła z pod Cecory, a w rok potem zdeptała Turka pod Chocimem? pierzchła sromotniej z pod Pilawiec i pod Ujściem Szwedowi się poddała, a rychło potem dźwigła się w Tyszowcach, i odjęła się Szwedowi, Moskalowi, Rakoczemu, Kozakom, Tatarom — wszystkim! Jakim sposobem zwłaszcza po tej cudownej obronie, po tem zwycięstwie i oswobodzeniu tak wspaniałem, w ojczyznie skołatanej, mogła podnieść wojnę domową? Żyje w nas i odzywa się zawsze ten dobry duch polski, jak i ten zły. Wtedy zły wziął górę, i dlatego sprawdziła się

przepowiednia Jana Kazimierza. Czyż dobry zwycięży kiedy naprawdę? Czy po dniach pilawieckich pogróżek i przechwałek przed zewnętrznym, pilawieckich ucieczek przed domowym nieprzyjacielem, przyjdzie jeszcze kiedy dzień Tyszowiec i Częstochowy?

Skarga mówi: „Leczyć się możecie i na sejmie, „i doma, i wszędzie, — byleście tylko chcieli.“

# NA WSI — W PAŁACACH.

W dawnej Polsce było znane przysłowie „szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie.“ Prawdą nie było ono nigdy. Nad mniemaną równością, unosiły się i górowały wielkie fortuny i wielkie wpływy potężnych senatorskich rodów.

Czy poznałby je i odnalazł w Polsce dzisiejszej stary Polak, gdyby powstał z grobu? Czy można w końcu XIX wieku mówić o arystokracyi? Wszak jej niema. Przywileje dawno zniesione; wyłączność rodowa znika coraz bardziej; podstawa majątkowa utrzymuje się tam chyba, gdzie ordynacye są liczniejsze niż u nas, a i tam majątki wielkich panów nie utrzymują się na równi z majątkami wielkich przedsiębiorców lub bankierów. Jednak w naszych demokratycznych społeczeństwach, stare nazwiska i tytuły zachowują jakieś znaczenie; bogate Amerykanki, urodzone i wychowane na łonie republiki, nie mającej żadnych monarchicznych i arystokratycznych tradycyj, lubią wychodzić za mąż za angielskich lordów lub francuskich markizów; europejski bogaty bankier chce być baronem; radykalny rewolucyonista, w pierwszej chwili rozruchu jaki wy-

woła, okrywa się galonami, szlifami i szarfami, i daje sobie szumne wojskowe lub cywilne rangi i tytuły. Nie może być inaczej, tylko że w naturze ludzkiej tkwi popęd do oznaczenia się, i wrodzone prawo logiczne, które sprawia, że ludzie zdolni i tędzy muszą wyróżnić się z ogółu i wystawać nad jego poziom; a znaczenie takiego ojca wyróżnia i jego synów, zwraca na nich uwagę, i nadaje im w świecie szczęśliwsze warunki położenia, niż je mają inni. Zdolność wyrabia wpływ, oszczędność i zabiegliwość wyrabia majątek; i tak samą siłą wrodzonej i nieuniknionej nierówności przymiotów, powstaje między ludźmi nierówność stanowisk i znaczenia. Jestto siła rzeczy, na którą nie poradzi żadne prawo, ani nawet żadna rewolucya. Wyobraźmy sobie taką, która spełniłaby wszystkie radykalne ideały: równy podział majątków, zakaz dziedziczenia, urzędy wybieralne i zmieniające się co pół roku, słowem wszystkie, jakie się tylko dadzą pomyśleć rękojmie zupełnej równości; to przecie zostałby ten fakt, że ludzie, którzyby ten porządek rzeczy stworzyli i zaprowadzili, znaczyliby w tem nowem społeczeństwie więcej od innych, i byliby zawiązkiem jakiejś arystokracyi. A różne popędy natury ludzkiej, ambicya, próżność, chęć zachowania nabytych korzyści, i tak dalej, wcielone w ludzi zdolnych, nie miałyby spokoju, dopóki nie osiągłyby znaczenia, wpływu, władzy, rządu, i wyrobiłyby znowu różne warunki życia, różne stanowiska. W społeczeństwie najbardziej rewolucyjnem, kommunistycznem, natura ludzka wytworzyłaby jakąś arystokracyę, którą rozwinąłby i utrwaliłby czas.

Tak i u nas. Z dawnych senatorskich domów wiele wygasło, wiele podupadło (i prawdopodobnie co-

raz bardziej majątkowo upadać będzie); i łatwo może z czasem przyjść do tego, że pozostałe resztki rozpłyną się i znikną. Ale z tego samego społeczeństwa podnosić się będą jakieś znaczenia, stanowiska, i rody nowe, które — jeżeli się krew i natura nie zmieni, jeżeli plemię zostanie tosamo — będą miały podobne skłonności, podobne przymioty i wady, podobne cechy do dawnej arystokracyi polskiej. Dla tego warto przez chwilę zatrzymać się nad pytaniem, jaka to jej natura i jaki charakter? jakie wrodzone i dziedziczne przymioty i wady? Tym co dziś jeszcze są, albo ich potomkom, tym co z biegiem czasu nastąpić po nich mogą, roztrząśnienie tego pytania może dopomódz do lepszej znajomości siebie — daj Boże, do wydobycia z siebie zasobów dobrego, do przełamania złych popędów lub nawyknień.

Jest w nas sprzeczność jedna (oprócz wielu innych), dziwna. Instynkt mamy demokratyczny, egalitarny, a obyczaj arystokratyczny. Za dawnej Rzeczypospolitej, szlachta była o szlachecką równość niezmiernie zazdrosna, a nigdzie wielki pan nie miał znaczenia tak ułatwionego, tak chętnie i powolnie uznawanego, tak przeważnego, jak u nas. Dziś jeszcze, w stosunkach tak do dna zmienionych na całym świecie i u nas, zjawisko to daje się przecież widzieć. Równość jest hasłem powszechniejszem i bardziej ulubionem niż dawniej, a historyczne nazwisko i tytuł, jest zawsze paszportem, ułatwieniem, wygodnym stopniem do zajęcia stanowiska w świecie; działa nawet na zaciętych i zagorzałych demokratów, i (rzecz ciekawa) na takich zazwyczaj więcej niż na szlachtę lub na konserwatystów nieszlacheckiego pochodzenia. Sprzeczność ta, skoro

trwa wieki, to przypuszczać można, że potrwa jeszcze i odzywać się będzie zawsze, chyba znowu że zmieni się plemię na tej ziemi. To nasze usposobienie jak ułatwia, tak i utrudnia bardzo stanowisko i działanie ludzi znajdujących się w tem położeniu cokolwiek wyjątkowem; ułatwia zazwyczaj wszelki początek, utrudnia dalszy ciąg czy zawodu czy każdego szczegółowego w tym zawodzie przedsięwzięcia; a zawsze nakłada konieczność i powinność nader czujnego taktu w postępowaniu, baczności nieustannej i drobiazgowej na tysiące względów, które same przez się nie byłyby godne uwagi, gdyby nie urażały (zwykle mimo wiedzy i chęci) naszego zmysłu równości, a przez to nie przeszkadzały w najlepszych nieraz zamiarach i dziełach. Dawny magnat rokoszanin, znajdował raczej pomoc i ułatwienie w tem naszem usposobieniu, do którego umiał stósować się zręcznie; ale człowiek polityczny, dbały o organizm społeczeństwa i o politykę państwa, których istotę dobrze rozumiał, zawsze na tem usposobieniu rozbijał się ze swojemi zamysłami i dążnościami. Zebrzydowskiemu i Lubomirskiemu służyło to usposobienie; Ossolińskiego ono zabiło, a udaremniło reformę Czartoryskich.

W naszych porozbiorowych dziejach powtarza się to zjawisko. Polityka Czartoryskich na emigracyi, od demokratycznej rozumniejsza i lepsza, byłaby w kraju z pewnością więcej budziła zaufania, mniej podejrzeń i obaw, gdyby jej reprezentant i naczelnik nie był księciem i Czartoryskim. Edward Raczyński doprowadzony był do rozpaczy takiemi właśnie egalitarnemi podejrzeniami; a sam margrabia Wielopolski, w przekonaniach i dążeniach właśnie szeroki i bynajmniej nie ary-

stokratyczny, byłby może mniej doświadczył niechęci a więcej wywierał wpływu, gdyby w charakterze i obejściu miał był więcej demokratycznej, starającej się o popularność giętkości. W ostatnim okresie naszego porozbiorowego życia, w Galicyi, Leon Sapieha, Adam i Alfred Potoccy, zawdzięczali swoje stanowiska silne, nietylko swojej osobistej wartości, ale swoim nazwiskom i majątkom także; a zarazem żaden z nich nie zdobył sobie wpływu zupełnego i stanowczego, nie stał się głową stronnictwa, jaką być był powinien, w znacznej mierze dlatego, że był Sapiehą albo Potockim.

Wskazujemy tylko fakt, nie umiejąc dociec ani wytłómaczyć jego ostatniej przyczyny. Natomiast mniemamy w dziejach naszych, w dawnej naszej konstytucyi, widzieć i rozpoznawać powód i wielkiego znaczenia naszej dawnej arystokracyi, i tych pokus, które logicznie musiały sprowadzić jej zboczenia i jej winy.

To pewna, że od wieku XVI począwszy, żadna arystokracya w Europie nie wpływała tak na losy i dzieje swego kraju, jak polska. Dla czego? Przecież niemiecka, francuska, włoska i angielska, opierała się na ordynacyach, miała majątki większe, miała tytuły dziedziczne, i miała ich wiele naraz; miała historyę dawniejszą i świetniejszą (tradycye rycerstwa i wojen krzyżowych); jednak żadna nie nakładała swojemu krajowi swojej woli w tej mierze, co polska. Panowie francuscy buntują się czasem przeciw królowi, podnoszą wojny domowe (Liga i Fronda), łączą się nawet z sąsiadami i nieprzyjaciółmi; ale nie mieszają się stale do rządu, nie wywierają ciągłego parcia na ten rząd i na kierunek polityki. Panowie angielscy należą do dwóch stronnictw doskonale rozdzielonych i określonych,

trzymają ze Stuartami albo z rewolucyą, są whigami albo torysami, ale działają w parlamencie i przez parlament. U nas przeciwnie, nie jest to sporadyczna opozycya wybuchająca buntem, ale stałe parcie na politykę króla i na losy państwa; nie jest działanie ujęte w regularne łożysko i w karby politycznych zasad i stronnictw, jest politykowanie na własną rękę.

Przyczyną jest nie co innego, jak nasza demokratyczna (w obrębie szlachty ma się rozumieć) konstytucya; jej to logicznem następstwem była wybujałość oligarchicznych wpływów, a zarazem wielorakość, niestałość, partykularyzm, oligarchicznych domowych polityk.

Kierunek spraw zależał od sejmowych głosowań; ludzie, którzy w skutku choćby tylko większego majątku mieli sposobność lepszego wykształcenia, którzy więcej jeździli za granicę, którzy mieli łatwiejszy i częstszy przystęp do dworu, a w domach swoich dziedziczne po wieku XV doświadczenie i tradycyę rządzenia, musieli mieć widnokrąg szerszy i lepszą znajomość spraw tego świata, aniżeli ogół głosującej szlachty. Było więc rzeczą konieczną, że na jej opinię i jej w każdym wypadku głosowanie, musieli wywierać wpływ przeważny— pod jednym wszakże warunkiem, to jest, żeby nie urażali jej nigdy w tem, co było jej stroną najsłabszą, w jej swobodach i przywilejach, lub w jej interesach, jak je w każdej szczegółowej chwili i sprawie pojmowała. Czyli, że taki wielki pan polski mógł kierować opinią szlachty i wpływać na uchwały sejmików czy sejmu, ale byłby ten wpływ utracił, w chwili, kiedyby był zechciał nadać tej opinii kierunek prawdziwie polityczny, skłonić ją do przyjęcia pewnych określonych

celów, i do poddania się tym koniecznościom, jakich dopięcie tego celu mogło wymagać. Żeby się przy wpływie utrzymać, musieli więc panowie polscy opinii folgować, pobłażać, podchlebiać, zamiast ją prostować i kształcić.

Przy znaczeniu i wpływie utrzymać się chcieli (rzecz ludzka), a wpływ ten na prawie opartym i ubezpieczonym nie był. Ordynacyi (najrzeczywistszej podstawy arystokratycznych stanowisk) nie lubił nasz instynkt szlacheckiej równości, i prawie ich nie dopuszczał. Senat stanowił wprawdzie stan osobny w Rzeczypospolitej, ale dożywotnie godności nie przechodziły na synów; dom mógł łatwo w następnym pokoleniu stracić znaczenie, jakie miał dziś.

Żadna arystokracya nie jest tak łatwą do zepsucia jak ta, która niema bytu prawnego. Taka ma pragnienie znaczenia, ma do niego środki, a nie ma jego zabezpieczonej pewności. Staje się więc naturalnie niespokojną o siebie, szuka sposobu jakby się na wierzchu utrzymać; jej myślą główną, jej namiętnością, staje się nie ta lub owa polityczna zasada i droga, ale osią jej polityki staje się utrzymanie siebie w stanowisku i znaczeniu. Ztąd naturalna i nieunikniona pokusa nagięcia się do wszelkich okoliczności, użycia wszelkich środków, jakie w każdej chwili po temu mogą być potrzebne lub przydatne: schlebianie opinii, korzystanie z jej podejrzeń lub oburzeń, kompromis z własnem sumieniem, zezwolenie na to co w swojem przekonaniu ma się za szkodliwe dla rzeczy publicznej, lub czynne do tego dopomaganie, gonitwa za popularnością, brak prawdziwych politycznych przekonań a nawet widoków, tylko ten jeden widok

znaczenia własnego, licytowanie się w popularności, targowanie się z królem, odgrażanie się królowi, zastraszanie króla, a dla skuteczniejszego targowania się czy zastraszania, porozumienie z państwami ościennemi i szukanie w nich oparcia. Arystokracya trzymana w karbach przez władzę i przez dynastyczne uczucie wierności, może nabrać wielkiej politycznej mądrości i publicznej cnoty; puszczona samopas, bez naturalnego ciążenia ku takiemu środkowemu punktowi, jakim jest dynastya, nie trzymana w respekcie ani przywiązaniem do króla, ani obawą, ani wreszcie potrzebą oglądania się na niego jako na źródło znaczenia, musi tracić polityczne wykształcenie i polityczny kierunek, musi tracić jedność i wspólność jako korporacya i jako stronnictwo, i musi tracić tradycyę jednej polityki. Musi się rozłożyć na tyle dążeń i polityk, ile jest wielkich domów, a w działaniu swojem, jeżeli jej nie trzyma sumienie i duch publiczny, musi się stać demagogiczną.

Oczywiście, nigdy zły pierwiastek nie wyda wszystkich swoich i ostatecznych następstw; nigdy wszyscy nie byli ani nie będą źli. Owszem, za każdego panowania byli u nas i dobrzy i rozumni panowie. Ale faktem jest, że oligarchicznych demagogów nie było nigdzie tylu co u nas, i że na tę zgubną drogę popchnęła ich sama nasza konstytucya, w połączeniu z tem wrodzonem prawem natury ludzkiej, mocą którego człowiek nie chce stracić tego co ma, a chce utrzymać się w stanowisku jakie zajmuje.

Arystokracya, która jako taka czuje się stanem, ma świadomość wspólności swoich interesów, może mieć w działaniu politycznem jeden kierunek, i trzymać się go z wielką stanowczością i statkiem. Nasza już w wieku

XVI tej świadomości nie okazuje; nie okazuje też jednego politycznego kierunku, celów lub środków wspólnie przyjętych. Jestto zawsze tylko w osobach lub domach polityka wrażeń, popędów lub wyrachowań własnych. Nie jest jedna wola potężnego i świadomego swoich celów stronnictwa czy stanu, któraby na opinię szlachty i na uchwały sejmów działała z rozmysłem i stale; to są różne wole, które kolejno i doraźnie wpływ swój wywierają, bez ogólnego widoku i planu, z jednym tylko szczegółowym chwilowym celem na myśli.

Rzecz prosta, że po wygaśnięciu Jagiellonów, od wolnej elekcyi, ten upadek i politycznego rozumu i publicznego ducha musiał postąpić. Wobec królów elekcyjnych, znaczenie magnatów musiało się podnieść; królowie zmuszeni rządzić wybiegami i sztuką równowagę utrzymywać, sami już z konieczności tę demoralizacyę utrwalali i szerzyli, kiedy ujmowali jednych, pobłażali drugim, a przeciw zbytecznej potędze jednych domów wynosili i stawiali drugie.

Tym sposobem przez brak prawnej podstawy, przez chęć znaczenia a łatwość utrzymania się w niem mniej dobremi środkami, przez brak zwierzchniej władzy zwłaszcza, zginęła u nas polityczna arystokracya, a wyrobiła się oligarchiczna demagogia i polityka domowa.

Ta była jedną z cech i jedną z win arystokracyi polskiej. Mówi gdzieś Tocqueville, że zazdrość jest *la passion la plus éminemment démocratique*. Możnaby na wzór tego ~~tego~~ ułożyć adagium drugie, że „passyą wrodzoną arystokracyom, jest pycha“. U nas, w skutku

przyczyn wyżej wskazanych, obie te passye łączyły się w domowych politykach.

Nic lepszego jak miłość i jedność rodzinna, jak prawidło „trzymać się razem“; ale trzeba, żeby ta miłość nie stawała się ślepą, ta jedność wyłączną i wyłączającą. W naszych wielkich domach, jedna i druga zbyt często krzywiły się w praktyce i wydawały skutki zgubne. Pycha (najczęściej ukryta i nie przyznająca się do siebie) sprawiała zbyt często, że dom taki uważał się za coś innego, lepszego, wyższego od reszty stworzenia, za rodzaj wybranego Izraela pośród trefnych Filistynów i Amalechitów, że podziwiał się w swoich cnotach, że mniemał się być przedmiotem szczególnej opieki i łaski Bożej, a przypisywał sobie niewątpliwe do takiej prawo. Iloma, i jak ciężkiemi upokorzeniami sprawiedliwość Boska przycierała nieraz i przyciera rogów tej pysze! Upadkiem fortun, upadkiem rozumów i charakterów, a z niemi nie już znaczenia, ale powagi i uszanowania wśród ludzi; nieraz zgorszeniem tak jawnem, że się ani ukryć, ani zaprzeczyć nie dało! Dość, że jak domowa polityka państwu, tak domowa pycha duchowi publicznemu szkodliwą być musiała — tem bardziej, że musiała zrodzić i wydać domową zazdrość: współzawodnictwo jednych przeciw drugim. Było tych wielkich domów dużo, a każdy miał swoje ambicye i swoje próżności; drugi mu wadził, kiedy się w znaczeniu podnosił. Powszechna arystokratyczna pycha, u nas połączona z powszechnie demokratyczną (a specyficznie polską) passyą, zazdrością, wiele nam złego zrobiła, choćby tylko od Władysława IV czasów (żeby głębiej nie sięgać), wyliczać by-

łoby i długo i niepotrzebnie; kto chce, niech sobie w historyi polskiej zobaczy.

A że wady bywają nieraz dziedziczne, i w dalekich nawet pokoleniach odzywać się czasem mogą — więc na dziś czy na przyszłość, wszystkich, którzy na tej ziemi wyższe stanowiska zajmować będą, a będą mieli polską krew i naturę, przestrzegamy przed domową pychą i domową zazdrością, bo ona jest jedną z najgorszych, dla państwa wszelkiego i jego siły najszkodliwszych skłonności.

Ale jakikolwiek był ten dawny magnat polski, miał niezaprzeczenie swoją specyficznie polską naturę i cechę; był produktem tego gruntu, na jego pierwiastkach wyrosłym, i był z tym gruntem doskonale złączony. Jego pojęcia polityczne w ogólności, jego pojęcie własnego stanowiska, jego sposób obejścia się w życiu towarzyskiem, były zastosowane do pojęć i zwyczajów jego sąsiadów i przyjaciół, z którymi doskonale rozumieli się nawzajem. To zrozumienie zaczęło się psuć, a ta specyficzna polska fizyognomia wielkiego pana polskiego zaczęła się zacierać, z przystępem wpływów francuskich. Od Leszczyńskiego daje się to widzieć coraz wyraźniej. Pojęcia polityczne, i pojęcia własnego stanowiska, zaczynają nabierać pierwiastków obcych, kształcić się na pojęciach francuzkich i angielskich. Wielki pan polski jak chciałby nieraz konstytucyę polską na wzór angielski przerobić, tak sam lubi być podobnym do arystokracyi zagranicznej. Związek ze szlachtą słabnie. Książe Jenerał Ziem Podolskich przy całym swoim polskim humorze i rezonie, ma już ten typ europejskiego wielkiego pana; młodsi, naprzykład Potoccy Ignacy i Stanisław, mają go jeszcze wy-

raźniej. W tej samej chwili kiedy dawna polska demokracya przerabiá się na nowoczesną, a głównie na francuzką, traci także swój typ odrębny i polska arystokracya.

Po rewolucyi francuzkiej, stosunek zmienia się tem bardziej. *Arystokrata* staje się często przedmiotem niechęci, podejrzliwości, którą podnosi jego układ, jego tryb życia, jego francuzczyzna; czuje to, i zamyka się w sobie; staje się bardzo hardym, albo bardzo nieśmiałym, przez to sztywnym. Przedział między nim a resztą społeczeństwa, staje się coraz większym. Za Rzeczypospolitej różnica ta była nierównie większą w praktyce, teraz zaczęła być wyraźniejszą w pojęciu. Tytuły zaczęły się mnożyć i znaczyć; mnóstwo próżności korzystało z łatwości ich nabycia; wszystkie mierności goniły za orderami i dworskiemi rangami, co miało oczywiście ten skutek, że raziło i demokratyczny i patryotyczny instynkt narodu. Nieszczęsna francuzczyzna dokonała przedziału; ludzie, którzy się coraz bardziej od siebie oddalali, szlachcic i magnat, nie mogli rozumieć się i zachowywać ścisłych stosunków, kiedy każdy z nich w życiu potocznem mówił innym językiem. Stosunki towarzyskie, które za Rzeczypospolitej trzymały w kupie szlachtę możniejszą i uboższą, teraz kiedy obyczaj się zmienił, stały się rzadszemi i wymuszonemi. Małżeństwa w ciasnem kole rodzin historycznych, dawniej senatorskich, lub tytułowanych, były i skutkiem i dalszą przyczyną coraz większego rozgraniczenia dwóch warstw szlacheckich. W starych herbarzach spotyka się często skromne nieznane nazwisko w najświetniejszych genealogiach. Od wieku XVIII stało się to rzadkim wyjątkiem. Arystokracya polska nie doszła do tego, żeby

stać się instytucyą jak angielska (o co się nawet nigdy nie starała), nie stała się stronnictwem politycznem, jakiem była francuzka, ale zapatrując się na tę ostatnią, dokazała tego, że się oderwała od szlachty, że wzajemny wpływ i związek ustał a przynajmniej osłabł, i że pozornemi, zwyczajowemi, towarzyskiemi różnicami raziła nierównie więcej, niż raziła dawniej rzeczywistą oligarchiczną potęgą i powagą, że się narażała na zarzuty zcudzoziemczenia i kastowej wyłączności; kiedy znowu osobistości lichsze i płaskie, uganiające się za dworskiemi łaskami, rzucały na nią złe światło i podawały w podejrzenie jej patryotyzm. Dodajmy do tego takie niedorzeczności i wady, jak zbytkowe życie i podróże za granicę, z małemi wyjątkami brak zajęcia i pracy, i lekkość obyczajów, która przeciągnęła się z XVIII wieku mniej więcej do pierwszej ćwierci naszego, a wtedy będziemy mieli powody, dla których arystokracya polska straciła swoje dawne znaczenie, stała się celem podejrzeń i niechęci, i dla których nie mogła spełnić obowiązków, jakie na nią w porozbiorowem społeczeństwie spadały.

Jaką była arystokracya polska w wieku XIX? Bez przesady można powiedzieć, że wydała liczbę stosunkowo wielką ludzi albo zupełnie znakomitych, albo przynajmniej bardzo niezwykłych. Książe Adam Czartoryski, Zygmunt Krasiński, Władysław Zamoyski, Wielopolski, Leon Sapieha, u Potockich Adam, Alfred i Tomasz, Lubecki, Gołuchowski, Działyński, Edward Raczyński, Jerzy Lubomirski, Leon Rzewuski, kardynał Czacki, wszystko to ludzie bardzo niepospolici, którzy w kraju niepodległym byliby warci i zdolni przejść może do historyi powszechnej. A to nie wszyscy wcale.

Sanguszkowie naprzykład od hetmana Romana czasów, nie mieli w swojej historyi karty tak pięknej, jak ta, którą dopisało im przedostatnte pokolenie. Andrzej Zamoyski popełnił w końcu wielki błąd polityczny, ale miał przymioty wielkie i trzydzieści lat bardzo zasłużonego żywota. Antoni i Michał Radziwiłłowie poszli do grobu ze sławą ludzi nietylko godnych, ale czynnie i rzeczywiście zasłużonych. Roger Raczyński miał umysł zdumiewająco świetny. Fredro był pisarzem tylko, roli politycznej grać nie chciał, ale jako pisarz, miał talent pierwszego rzędu; Henryk Wodzicki byłby doskonale zajął miejsce w rządzie każdego konstytucyjnego państwa; a ludzi rozumnych, dobrych obywateli, ludzi zdolnych do wszelkich poświęceń, nie próbujemy liczyć. Wszystkie wojny, od napoleońskich począwszy, świadczą o tem poświęceniu, a kolosalne majątki porzucone bez wahania z obojętnością wspaniałą, dziś skonfiskowane na skarb lub Rosyanom rozdarowane, każą raczej żałować, że w tej zdolności poświęcenia nie było więcej wyrachowania i przewidzenia przyszłości.

Towarzystwo Demokratyczne wprowadziło modę, która do dziśdnia jeszcze nie przeszła, oskarżania tych senatorskich domów polskich o brak patryotyzmu. Że się ono przyjęło, to tylko dowód, jak u nas każde przyjąć się może, bo było istotnie najmniej uzasadnionem ze wszystkich, jakie zrobić się dały. Słusznie można było zarzucać rzeczy wiele: w początkach wieku brak wiary w sercach a powagi w obyczajach, częste zgorszenia rozwodowe, później zawsze jeszcze (choć u niewiast już rzadko a prawie wyjątkowo) lekceważenie przysięgi małżeńskiej. Później, więcej może niż w początkach, występnego i głupiego marnotrawstwa,

które przez nierząd, przez lenistwo, przez próżność śmieszną, i przez ten *polski rezon*, z którego śmiał się już Krasicki, wyrwało z rąk polskich ogromne majątki z pod nóg polskiego społeczeństwa podstawę ogromnych przestrzeni ziemi. U innych znowu była ta (nieświadoma zwykle) nieposkromiona duma, która drugim pierwszeństwa ustąpić nie chce, a czasem nawet dzieci nie chce chować tak, jak się chowają wszystkie, żądając, żeby te swoje były lepsze od wszystkich, nadzwyczajne! (przez co nieraz dzieci te wychodziły na istoty jakieś niezwyczajne istotnie, ale niewyrobione i dziwaczne). Ludzie próżni, a przytem płytcy, ubiegający się za dworskiemi rangami czy stosunkami, byli naturalnie jak wszędzie i zawsze być muszą, ale stosunkowo było ich mało; a zważywszy nasz wrodzony pociąg do wszystkiego co błyszczy, urok jaki wywierała na nas zawsze i wywiera zagranica, było ich nawet dziwnie mało.

Było za to co innego — nie wina już, ale naturalny skutek naszego wyjątkowego położenia. Gdzie naród cały jako taki, wyrzucony jest z normalnych przyrodzonych warunków życia, tam indywidua trudno w równowadze wychować się i zostać mogą. Owszem im większa w nich moc uczucia i zdolność myślenia czy działania, tem łatwiej nieraz ten zasób sił niezużytych, a uczuć zbolałych, nada umysłom i charakterom kierunek i kształt dziwny, niezupełnie zdrowy. Będzie to raz jakaś gwałtowna, niemal awanturnicza potrzeba wrażeń i przygód (Emir Rzewuski); innym razem przy ogromnej potędze myślenia, niezdolność działania (jego syn Leon); albo znowu usposobienie smutne i drażliwe do chorobliwości (Edward Raczyński); w tej

wielkiej liczbie ludzi znakomitych niewielu istotnie było w prawdziwej równowadze i z naturą prawdziwie zdrową. Ale, gdyby ich porównać z ojcami i dziadami, to trzebaby im oddać tę sprawiedliwość, że byli od tamtych pod wieloma względami lepsi i wyżsi. Wady były niezawodnie zmniejszone, a duch publiczny i rozum polityczny, summa zdolności i summa miłości ojczyzny, summa wreszcie cywilizacyi i oświaty była większa; większa nietylko w porównaniu do najsmutniejszych czasów saskich, ale nawet w porównaniu do czasów czteroletniego Sejmu.

Ale gdyby znowu porównać ich z synami i wnukami?

Tym, sam czas okroił stanowisko i znaczenie; majątki zabrały częścią wypadki, częścią zniszczyły winy własne, częścią rozdrobniły konieczne działy, tak, że w oczach niemal topnieją i nikną. Wygaśli też w naszym wieku niektórzy: Ossolińscy, Pacowie, Działyńscy; inni dogasają smutno (jak naprzykład dom Małachowskich, do roku 1830 tak kwitnący), a upadków takich, kto wie, ile jeszcze najbliższe czasy przyniosą. Nie mówiąc wszakże o tem co od ludzi nie zależy, zatrzymajmy się przez chwilę nad pytaniem, jak to pokolenie dzisiejsze ma się do poprzedniego?

Często dają się słyszeć narzekania na zupełny jakoby i powszechny upadek. Bierze się do porównania kilka przykładów: widzi się, że ojciec rozumny i zasłużony, zostawił po sobie niezłego ale nieznaczącego syna, albo że ojciec był tylko lekkomyślny marnotrawca, ale uczciwy, honorowy człowiek, a syn sponiewierał i wyszarzał się do szczętu — i na tej zasadzie dochodzi się do wniosku, że wszystkie te niegdyś wielkie

domy idą w ruinę bez rady i ratunku. Jest w tem wielka przesada. Być może, że ruina majątkowa uniknąć i odwrócić się nie da, ale ruina wartości i dobrej sławy nie jest ani tak ogólną, ani tak głęboką.

Tak zawsze na świecie było i zawsze będzie, że jedni schodzą, a podnoszą się drudzy, albo, że tędzy i dzielni ludzie wydają *progeniem vitiosiorem*. Tylko że dobre równoważy złe; a kto ze smutkiem widzi w jednym domu synów ojcom nierównych, niech popatrzy w inną stronę, a przekona się, że tuż obok synowie mają i rozumu, i nauki, i charakteru więcej, niż mieli ojcowie. Te upadki niektórych są w pewnych razach skutkiem rodzicielskiej lekkości, złego przykładu i złego wychowania, w innych może sprawiedliwą karą za zbyteczne rozkochanie się w swoim domu, za rodową pychę; ale byle temu obniżeniu się jednych odpowiadał postęp wartości w drugich, to choć żałować zawsze należy, martwić się niema powodu. O to tylko chodzi, czego jest więcej, co przeważa? i żeby przeważał postęp dobrego.

Czy tak jest?

Pod niektóremi względami — zapewne. Naprzykład pod względem obyczajów i związków małżeńskich. Wiemy, że są kobiety, które się źle prowadzą; są młodzi rozpustnicy, są zgorszenia głośne w kraju, a co gorzej głośne niekiedy za granicą, i poniewierające tam resztki dobrej sławy polskiego imienia. Nie chcemy dochodzić, czy to rozpasanie aż pospolite i nieestetyczne, które się daje widzieć w błyszczących szumowinach życia paryzkiego (które od prawdziwego wielkiego świata francuzkiego należy bacznie i słusznie oddzielać), naturalnym procesem polskiego małpiarstwa nie zaraziło bodaj pozorami swemi

niektórych młodych Polaków i Polek. Być może, że tak jest; ale jeżeli jest, to rzadko, wyjątkowo; i to nam wystarcza. Złe być musi na świecie; a byle wywoływało szczere oburzenie i obrzydzenie, to jest wszelka nadzieja, że nie będzie zarazy złego. To zaś, jeżeli się nie bardzo mylimy, jest widoczne, że w sferze nie już wielkich i wyjątkowych zgorszeń, ale powszednich i zwykłych złych obyczajów, jest lekkości i licencyi mniej, uwagi na siebie więcej niż bywało, nietylko między kobietami, ale nawet między mężczyznami. Rzecz to niezaprzeczenie bardzo cenna. Kto chce, żeby świat stał prosto na silnych podstawach, ten naprzód musi patrzeć, żeby stał na takich jego dom i on sam, i swój sposób życia i wyznawanemi zasadami, z przykazaniami Boskiemi godzić. Za godnych ostatniej pogardy uważamy tych Polaków i te Polki, co bądź to w kraju przed tryumfującymi i urągającymi Moskalami, bądź za granicą przed niechętnymi, szyderczymi, i słusznie zgorszonymi cudzoziemcami, poniewierają i nazwiska godne lepszego noszenia, i samą dobrą sławę i godność polskiego imienia. Wiemy dobrze, że tacy są niestety zawsze najbardziej na widoku, i że jeden taki, lub jedna taka, więcej nam w świecie złej sławy narobi, niż jej stu dobrych poprawić potem zdoła. Ale tem się pocieszamy, że ich jest naprawdę mało, i że im społeczeństwo nasze choć może zanadto pobłaża, przecież nie przebacza, i przez wszystkie zachowywane względy grzeczności, przebija jednak zła opinia i żal jaki do nich ma.

Wszelako choć pod tym względem nie jest źle, to nie idzie za tem, iżby nie mogło być lepiej, a zwłaszcza, iżby nie mogło być gorzej. Ten otwarty cynizm,

który jest najnowszą niby formą — (a jak niezgrabną i niesmaczną!) — światowego poloru, który czy szczerze wszystko lekceważy, czy też sądzi się w obowiązku udawać że lekceważy wszystko, co szanowanem być powinno, i lubi popisywać się swoją wyższością nad stare przesądy (jak przyzwoitość, wzgląd na dobrą sławę, miłość rodzinna lub małżeńska, miłość ojczyzny, i naturalnie w końcu ewangielia i katechizm), ten rodzaj cynizmu nierzadki w pewnych eleganckich zbiorowiskach podejrzanego świata, jak Nizza naprzykład, i w niektórych sferach świata paryzkiego, nie przesiąkł dzięki Bogu do nas i dotąd nie zdaje się nam grozić; ale niektórym indywiduom imponuje przecież, i można dostrzedz czasem u młodych chłopców lub młodych kobiet, jakąś nieśmiałą — i zwykle niezgrabną — chętkę naśladowania. Nie mówiąc o gorszych skutkach tego *szyku*, wymieniamy tylko jeden, najmniej szkodliwy ze wszystkich. Za młodu ten tak zwany szyk *fin de siècle* może być zabawnym, dajmy na to, że może komu być do twarzy; ale w latach późniejszych każdy wygląda z nim śmiesznie, albo obrzydliwie. A że każdy zestarzeć się raz musi, więc lepiej wystrzegać się go zawczasu.

W każdym razie indywidua bywają zmarnowane lub zepsute, ogół zachowuje się pod tym względem porządnie; a dodając „dzięki Bogu“ i „nie uroku,“ trzeba przyznać, że to postęp znaczny i szczęśliwy. Brak złego jest oczywiście sam przez się już dobrem; ale raczej jego zadatkiem dopiero, niż jego rzeczywistością. To jest zero na termometrze naszej wartości, a nad niem dopiero są stopnie ciepła. Tych oznaczyć niepodobna, bo są w każdem z osobna indywiduum inne; w nie-

których niewątpliwie termometr stoi wysoko. U ogółu? — wiemy, że pokolenie które się rodziło i rosło, bez śmielszej nadziei (choć z pragnieniem) upadku i upokorzenia wszystkiego co złe, musi być z natury smutnem, a smutnemu trudno być silnym i śmiałym. Jednak uwzględniając okoliczności łagodzące, boimy się, czy w tych młodych ludziach, którzy kiedyś wezmą po ojcach jakie-takie majątki i wpływy, choć jest dość zmysłu chrześciańskiej i obywatelskiej karności, czy jest dość odwagi, by życie czynne z jego walkami i trudami podjąć? dość wytrwałości, by w niem wytrzymać? dość namiętnej myśli o przyszłości, by do spraw publicznych choćby najmniejszych się brać? brać choćby bez zapału, choćby ze wstrętem, ale dlatego tylko, żeby je nieźle pchać, a siebie do publicznego życia usposobić. Tego uczucia, tego stopnia publicznego ducha nie jesteśmy pewni. Pokolenie zaś, któreby go nie miało, nie mogłoby wykształcić się pod względem politycznym, i zrzekłoby się dobrowolnie swojego znaczenia i wpływu.

Co pewna, to, że wady, do której majątek i wygodne życie prowadzi najłatwiej, próżniactwa, jest mniej niż dawniej. Próżniaki są, jak różne rodzaje złego zawsze być muszą, ale ogół nie żyje bez zajęcia, bez obowiązku i odpowiedzialności. Tylko łatwość życia, dodana do naszej wrodzonej miękkości, utrudnia wybór zawodu i powołania, bo nie zmusza do niego potrzeba. Ztąd nieraz w zawodzie i powołaniu chwiejność, brak stałości albo wytrwania; nieraz brak silnego, prawdziwego przywiązania do obranego zawodu. Co zaś uderzające, a z pewnością niedobre, to wielka rzadkość powołań duchownych i wojskowych. Brak pierwszych, jest może skutkiem tradycyjnego (i naturalnego) przy-

zwyczajenia i przywiązania do światowego życia i świeckiego znaczenia, które bezwiednie ale dziedzicznie przechodzi z pokolenia na pokolenie. Jest skutkiem także naszych usposobień religijnych, które choć niezłe i szczere, nie są tak gorące, jak się to widzi naprzykład u Francuzów. Brak powołań wojskowych jest oczywiście skutkiem tych długotrwałych stosunków, które sprawiały, że służba w wojsku nie polskiem była dla polskiego sumienia wstrętną. Dziś, kiedy każdy służyć musi, a w jednej przynajmniej armii służyć może nie narażając swoich uczuć polskich, należałoby nie poprzestawać na jednorocznej służbie ochotniczej, ale zawodowo się kształcić i w zawodzie żołnierskim wytrwać. Przykłady młodych ludzi, którzy się poddają trudnościom i nauki i służby wojskowej, są nader rzadkie. A tymczasem dobry ksiądz i tęgi żołnierz, to podpory, bez których żaden naród nigdy dobrze i silnie stać nie może. W każdem zaś państwie, ale w austryackiem szczególnie, wpływ i znaczenie zależy w wielkiej mierze od liczby i ważności stanowisk zajmowanych w armii.

Czy jest postęp pod względem wykształcenia, nauki, cywilizacyi? Boimy się, że nie. Nie mówimy o umysłach i zdolnościach wyjątkowych; te nie zależą od nikogo; Pan Bóg je daje lub ich nie daje, i b yć może że się takie między młodymi dziś jeszcze nieznanymi pokażą. Ale ogólny poziom i stopień cywilizacyi? Jak sobie przypomnieć tę sumę rzeczywiście ogromną wiadomości i nauki, doświadczenia i głębokiego myślenia, ten szlachetny popęd i potrzebę czytania i kształcenia się, tę ciekawość i ten zapał, żeby znać i rozumieć różne kierunki i kwestye należące do współczesnej historyi i współczesnej cywilizacyi, jakie były w wymie-

nionych wyżej ludziach starszego pokolenia — jak sobie przypomnieć rodzaj ich wychowania i zachowania się między ludźmi, tę estetyczność w rozmowie i układzie, która nie była świadomą, a tem mniej szukaną, ale była bezwiednym skutkiem cywilizacyi przenikającej człowieka na wskróś i obróconej w jego naturę — jak się to wszystko na pamięć przywiedzie, to czasem staje w myśli pytanie i strach, czy poziom cywilizacyi nie obniża się u nas w tych towarzyskich kołach. Wiemy dobrze, że starszym łatwiej było utrzymać go wysoko. Rośli oni i chowali się w czasach, kiedy i ich własne stanowisko w społeczeństwie polskiem było pewniejsze, i stanowisko Polaków w świecie europejskim nierównie lepsze; kiedy majątki były daleko większe; kiedy stosunki ze światem zagranicznym, wyjazdy, były trudniejsze i rzadsze, ale przez to samo były dłuższe i trwalsze, prowadziły do znajomości, a czasem do przyjaźni z ludźmi najwyżej w świecie oświeconymi; kiedy życie towarzyskie w całej Europie było w formach szlachetniejsze, a w treści rozumniejsze, nie tak płytkie jak dziś. Ale choć powody różnicy są zrozumiałe i logiczne, to różnica niemniej byłaby smutną i szkodliwą, gdyby się utrzymać i ustalić miała. Tych kół towarzyskich bowiem, tych rodzin bogatszych i zdawna cywilizowanych, jest przeznaczeniem — chcą czy nie chcą — być dla cudzoziemców miarą, typem, świadectwem oświaty i ogłady polskiej, dla Polaków jej okazem próbnym. Tak jak suknie, męskie czy damskie, w Warszawie, Krakowie czy Lwowie, krają się według dziennika mód wychodzącego w Paryżu czy Londynie, tak formy życia towarzyskiego, przedmiot i sposób rozmowy, stopień grzeczności i ogłady, bądź to w miastach, bądź na wsi

w sąsiedztwie, stosuje się do przykładu tych, o których się przypuszcza, że mają tej towarzyskiej estetyki najwięcej. Ztąd powinność podwójna: żeby obcym dawać wyobrażenie jak najkorzystniejsze o cywilizacyi polskiej— żeby swoim dawać jak najlepsze wzory zagranicznej. Nie opuszczać się, nie rdzewieć, nie usuwać się od towarzyskiego życia dla małych niewygód i przymusu, jaki ono nakłada; nie leniwieć w wygodnem towarzystwie domowników, lub ścisłych przyjaciół tylko, bo wszystko to prowadzi do stopniowego dziczenia. Nie zaniedbywać języków zagranicznych, bo swoim własnym przez świat przejść nie zdołamy. Dawniej było u nas francuzczyzny za dużo; ale też takeśmy na nią narzekali, że dziś jest jej między młodymi (mężczyznami) stanowczo za mało. Nie ze względu na stosunki towarzyskie tylko, ale z dbałości o wykształcenie ogólne, o kierunek umysłów i pojęć, o poziom naszej cywilizacyi. Tem bardziej należy o to wszystko dbać, że Moskale dbają bardzo pilnie, bardzo zręcznie, i w świecie zagranicznym (zwłaszcza francuskim) mają wielkie powodzenie. Stosunki zaś towarzyskie z europejskim światem, są do utrzymania konieczne, bo są jedyne i ostatnie, jakie nam zostały, a dla stosunków innych są zawsze potrzebne i mogą być przydatne. Im mniej zaś do tamtych pola i sposobności, tem usilniej te pielęgnować powinien, kto może. Możność ta z ubytkiem emigracyi, i z upadkiem majątków, i z powszechną zmianą stanowiska Polaków w świecie, staje się coraz mniejszą, tak, że niebawem zerwać się mogą ostatnie nici naszych znajomości lub przyjaźni ze swiatem zachodnim. Utrzymać i wzmocnić te związki mogą tylko ci ludzie majętni, i tacy, którzy mają ich tradycyę poniekąd

dziedziczną. Oni są naturalnym łącznikiem pomiędzy Polską a wielkim światem zagranicznym; powinni nim zostać, ale łącznikiem prawdziwie dobrym. To jest starać się o miejsce w świecie prawdziwie wielkim, w najlepszym, jaki jest w tym lub owym zagranicznym kraju. Nie ten wybierać, który najłatwiej przystępny, ani ten, który niby najzabawniejszy; stosunki z takim światem są właśnie szkodliwe, bo dają nam pozór fałszywy i zły, sprawiają że u cudzoziemców poważnych możemy czasem uchodzić za co innego, niż naprawdę jesteśmy. Warunek zaś drugi, żeby w tym zagranicznym prawdziwie wielkim świecie, zachowywać się z rozumem, taktem i dobrym smakiem. Podobać mu się, jeżeli można; ale koniecznie robić jemu wrażenie, a sobie sławę, ludzi porządnych i dobrze wychowanych. Młody Polak, dobrze widziany przez cudzoziemców, który skończy jakim mniejszym czy większym skandalem, a nawet taki, który w klubach tylko lub na turfach coś znaczy, a w domu i w salonie nic, jest w swoim rodzaju publiczną klęską; bo po niektórych sądzą nas wszystkich, i mogą nas mieć albo za ludzi, których z największą tylko ostrożnością z daleka znać i przyjmować można, albo za takich, których znać i przyjmować nie bardzo warto.

Od Reja aż do Pana Podkomorzego w *Tadeuszu*, powtarzają u nas wszyscy, że podróże i stosunki zagraniczne są potrzebne, i jakie być mają, jeżeli mają być pożyteczne. Młody Polak, który około roku 1830 i po nim, obracał się w najwyższych sferach politycznego i towarzyskiego życia we Francyi lub Anglii, nic dziwnego, że wracał rozumniejszy i posunięty na wyższy stopień cywilizacyi. Tak kształcili się ci wszyscy,

których wymieniliśmy wyżej, tak Kożmianowie; z żyjących, jeden pan Paweł Popiel jest widocznym i przekonywującym przykładem dobrego wpływu i skutku takich stosunków. Ale klubowe i wyścigowe znajomości i stosunki, skutku takiego nie wydadzą, i w naszych dzisiejszych zagranicznych podróżach widzimy dwa niebezpieczeństwa. Jedno to że gdyby powtarzały się często a trwały długo, mogłyby nas tak przyzwyczaić do milszego, łatwiejszego, weselszego i wykwintniejszego życia, że to jakie mamy w kraju, byłoby nam do zniesienia zbyt trudne. Niebezpieczeństwo drugie, to żebyśmy zamiast zdrowych pierwiastków cywilizacyi chrześciańskiej i świeckiej, jakie na zachodzie są, nie wciągali w siebie tych klubowych czy światowych przyzwyczajeń i wpływów, które wysuszają pomału duszę, a nawet sam polor dobrego wychowania ścierają.

A więc wiele wykształcenia i oświaty, wiele towarzyskiej ogłady i poloru, stosunki ze światem zagranicznym, a w nim jak najlepsza postawa i sława, oto pożytki bardzo wielkie, jakie nam mogą przynieść młodzi Polacy i młode Polki, z majątkami i tytułami. A do tego jedna jeszcze uwaga. Oni także, jako najbardziej na widoku, najłatwiej w stosunkach bliższych czy dalszych z dworami i dworskiemi lub urzędowemi wielkiemi figurami, mają więcej od innych sposobności do utrzymania lub sponiewierania naszej godności narodowej. Na tę reguł oczywiście niema. Doświadczenie uczy, że można ją zachować nietkniętą i czystą w najbardziej urzędowem stanowisku, w stosunkach nawet najbardziej zażyłych i poufałych. Książę Adam Czartoryski przeszedł jak gronostaj niezbrukany przez dwór Katarzyny i gabinet Aleksandra; margrabi Wielopol-

skiemu nawet najzawziętsi nieprzyjaciele, i w chwilach namiętnej do niego nienawiści, przyznawali, że swoją godność polską doskonale szanować umiał i szanować kazał. Naodwrót, były i może zawsze będą indywidua, którym dwory i dworskie fawory imponują niezmiernie, które mają słabość do rang, orderów, tytułów. Na to nie poradzimy, żeby takie natury płaskie nie zdarzały się między ludźmi, i nie potrzebujemy o nie się troszczyć. Mogłyby być szkodliwemi, gdyby się mnożyły, gdyby tworzyły szkołę, gdyby ich przykład działał i zarażał drugich. Ale tego dotąd niema; owszem, ogół raczej się z takich słabości śmieje, niż je naśladować ma ochotę. Ludzi poważniejszych zaś uczyć niepotrzeba. Kto ma godność w charakterze, a takt w postępowaniu, ten potrafi i wszystkie dworskie czy urzędowe formy zachować, i osobistej czy narodowej godności nie narazić. Chodzi tylko o to, żeby jej uczucie starannie pielęgnować, nie dać mu się przytępić. Reguła jest tylko jedna, do szczegółu się odnosząca, ale niezawodna i bez wyjątku. Wszędzie, ale przedewszystkiem i najbardziej w stosunkach z dworem i rządem rosyjskim, kto chce zachować powagę i wpływ, niech nigdy dla siebie o żadne ekscepcye, o żadne ulgi czy zwolnienia pieniężne nie prosi. Otrzyma je łatwo, zaraz; owszem, radzi będą tą przysługą odjąć mu prawo do nagany i skargi. Ale wysoko go uważać, w skrytości serca bać się go jako człowieka wyższego nad osobiste względy, i wyższego od nich samych — przestaną.

Możnaby spostrzeżenia i rady ciągnąć i mnożyć bez końca, a studyum psychologiczne i polityczne nad naturą i historyą arystokracyi polskiej, mogłoby dostarczyć treści na całe dzieło. Tego nie mając na myśli,

kończymy nasze pobieżne uwagi powtórzeniem tych, które nam się wydają najważniejsze. Arystokracya każda, przez to, że ma życie łatwiejsze niż reszta społeczeństwa, powinna być samym szczytem i kwiatem jego cywilizacyi; polska ma to przeznaczenie tak jak inna, a ten obowiązek więcej niż każda inna, dlatego właśnie, że kraj jest w nieszczęściu i w upadku, że wszystko co stracił, trzeba mu wszelkiemi możliwemi sposobami przywracać i zarabiać, a co mu jeszcze zostało, przechowywać i strzedz. Że trudno i z każdym dniem trudniej, bo i środków i ludzi coraz mniej, to dobrze wiemy; ale dopóki jeszcze jakieś historyczne domy są, i jakieś środki w ręku mają, to tego powołania się zrzekać, tego obowiązku zaniedbywać nie mają prawa.

Uwaga druga jest ta. Konstytucya dawnej Rzeczypospolitej i jej historya, zostawiając tych naszych wielkich panów bez zwierzchniej władzy, a narażając ich na ustawiczne pokusy próżności i polityki na własną rękę, sprowadziła ich logicznie na drogi złe, wyrobiła w nich nieokiełznaną, nieposkromioną naturę rokoszańską, i tradycyę oligarchicznej demagogii. Upadek Rzeczypospolitej sprowadził w tem usposobieniu znaczną zmianę i poprawę. Nieszczęście wstrząsło uczuciem i sumieniem; obce panowania i prawa stawiały temu usposobieniu mechaniczne przeszkody. Ale czy ta natura, choć znacznie poprawiona, jest stanowczo przełamaną i przezwyciężoną? Chcielibyśmy wierzyć, że tak jest, a jednak różne w naszych porozbiorowych dziejach oznaki mówią i świadczą inaczej. Dlatego dzisiejszemu pokoleniu, jak i przyszłym, na zamknięcie tej materyi dajemy przypomnienie, że oligarchiczny demagog ze swoją domową polityką był w społeczeństwie staropol-

skiem pierwiastkiem politycznie może najszkodliwszym ze wszystkich — dajemy przestrogę, że on takim w każdem społeczeństwie zawsze być musi.

Sroga kuracya, na którą Opatrzność wzięła nasz naród, pomogła już dość znacznie na ten powód choroby; pomagajmyż my lekarzowi uważnie i starannie, żeby to złe do reszty z organizmu naszego wykorzenić.

# NA WSI — W CHATACH.

Lud wiejski także, jak naród cały, znajduje się w stanie przejścia i przeobrażenia. Wyzwolony z poddaństwa, pan swojej woli a właściciel swojej ziemi, uczestnik praw politycznych i publicznego życia (tam gdzie one w ogóle są), więcej (po części i lepiej) w szkołach uczony, ogółem wziąwszy zamożniejszy niż był, przebywa on wielką przemianę pod względem społecznym, cywilizacyjnym i ekonomicznym. Jakim wyjdzie z tej przemiany? jakim będzie, gdy z dzisiejszego przejściowego stanu nowej formacyi ustali się w swojej równowadze? to zagadka, którą rozwiąże przyszłość, ale której ona szczęśliwie rozwiązać nie zdoła, jeżeli dzisiejsza teraźniejszość nie przygotuje jej potrzebnych po temu warunków. Moralne zdrowie i narodowa świadomość siebie w ludzie wiejskim, to jest samo jądro, sam rdzeń naszej przyszłości, bo to jest ta podstawna, najgłębsza warstwa ziemi, z której ciągnąć będą soki żywotne wszystkie kierunki, wszystkie zewnętrzne widome objawy narodowego życia. Cała sztuka i mądrość, i cała trudność zadania w tem, żeby tę narodową świadomość, która dotąd jest częścią niedostateczna, a częścią żadna, wyro-

bić, a wyrabiając ją, nie naruszyć, nie nadwerężyć tego moralnego zdrowia które jest. Nic łatwiejszego, jak w dwóch słowach zadanie to określić; spełnić je w praktyce, jest rzecz niezmiernie trudna, bo powikłana tysiącem pierwiastków historycznych i psychologicznych, z których jedne tkwią w ludzie samym, drugie w sprzecznych pojęciach i dążnościach politycznych warstw oświeconych. Od stu lat wiemy i powtarzamy, że nasza narodowa siła i przyszłość o tyle będzie rzeczywistą i pewną, o ile oprze się na tej posadzie; ale kiedy chcemy (w dawniejszych latach) zrobić krok do zniesienia poddaństwa, to nie pozwalają na to rządy. Kiedy znowu nasza partya i polityka konspiracyjna chce lud usposobić do powstania przez obudzenie jego żądz, a rozjątrzenie społecznych zawiści, udaje jej się to ostatnie tylko, a przez to psuje się moralne zdrowie ludu, nie podnosi się jego uczucie narodowe.

Jak żeby kara boża na szlachtę, za wiekowe zaniedbanie i upośledzenie ludu, stoi dziś to z dwóch stron usiłowanie, żeby jego podniesienie i wychowanie odbyło się bez niej, wbrew niej i przeciw niej. Usiłowanie dawnych rządów austryackich a rosyjskiego dziś, i przeciw tym rządom niby zwrócone a przecież im pomagające i służące usiłowanie naszych tak zwanych demokratów. Tych zaślepienie partyjne musiało doprowadzić do zupełnego przytępienia uczuć polskich i politycznego zmysłu, skoro dziś jeszcze swoją mniemaną patryotyczną propagandę, prowadzą za pomocą społecznej zawiści i rozkładu. Niemniej interesem narodu, warunkiem przyszłości, jest, żeby to narodowe uczucie i to polityczne wychowanie ludu, odbyło się nie wbrew i przeciw jakiejkolwiek części, ale w organicznym związku, w je-

dności ducha z narodem całym. A my, którym nie chodzi ani o arystokracyę, ani o demokracyę, ale o naród, o społeczeństwo polskie całkowite i jego przyszłość, my pomiędzy tą dążnością rosyjską, która chce lud polski wychować przeciw Polsce, i tą dążnością demokratyczną, która go chce kształcić i użyć przeciw szlachcie, my musimy bronić tego strategicznego punktu przyszłości przeciw dwojakiemu, zewnętrznemu i domowemu nieprzyjacielowi.

Natura polska jest w ludzie tak wyraźna i tak silna (choć nie wszędzie i nie dość świadoma), że cokolwiek jeszcze z nami staćby się miało, treść jej i cecha zatrzeć się do szczętu nie da, i odezwie się choćby po wiekach. Ale nie o to chodzi, żeby po wiekach dopiero nowe latorośle z korzenia puszczały — to ostatnia już tylko i najsmutniejsza pociecha; chodzi o to, żeby dziś korzeń wzmacniał się i rozrastał, i żeby sam zdrowemi sokami żywiony, zdrowe do pnia i konarów podawał, i żeby drzewo całe miało zdrową i jędrną miazgę, a zaszczepianym zarodom próchna oprzeć się mogło i rozszerzać nie dało.

Czy za dawnej Rzeczypospolitej lud wiejski miał miłość ojczyzny? czy wiedział, że jest polskim i takim się czuł? Od rozbiorów mówiliśmy zawsze wiele o jego ucisku i poniżeniu, ale nad tem pytaniem nie zastanawialiśmy się wcale. Prawda, że śladów, dokumentów, wyrazów jego uczuć lub aktów jego woli, nie mamy; lud nie mówił, nie pisał, nie działał. Trudno więc poznać, co on czuł i myślał. A jednak są oznaki, po których wnosić można, że uczucie patryotyczne nie było mu obcem. Mówimy zawsze o Kościuszce; a przecież on nie stworzył tego popędu, który się objawił pod Ra-

cławicami; on go musiał zastać, na to, żeby go rozwinąć i ożywić. A dawniej, przed Kościuszką? faktów nie znajdziemy może, ale czy śladów uczucia nigdzie rozpoznać nie zdołamy? Pieśni kościelne, nie wiemy przez kogo były układane, nieraz przez szlachcica zapewne; ale jeżeli przyjęły się między ludem tak, że w jego pamięci i ustach przeżyły samą Rzeczpospolitą, to dowód pewny, że musiały dobrze jego uczucia wyrażać. Dziś po tylu zmianach, kiedy w dalekim jakim zakącie, w biednym wiejskim kościele, usłyszy się starego gospodarza śpiewającego „oświecaj króla, sprawuj senatorskie rady", ma się jedyne w naszych czasach złudzenie przeszłości. On sam nie zdaje sobie sprawy z tego co śpiewa, ale jego prapradziad przed dwustu laty rozumiał to dobrze, i musiał o taką modlitwę dbać, kiedy jej tak dobrze swoich potomków wyuczył, że nie zapomnieli dotąd. Albo ta druga pieśń, która się przed Bogiem skarży, że „nieprzyjaciel srodze się zaciął i taka jego wola, by z tej znakomitej Rzeczypospolitej uczynił dzikie pola;" albo ta znowu, taka pełna przerażenia, że musi pochodzić z czasów tatarskich, kozackich, i szwedzkich najazdów, ta, co tak natarczywie woła „pośpiesz się Panno ze swoją obroną!" A cóż powiedzieć o tych podaniach z dziejów polskich, które dotąd przechowały się u ludu? Zaprawione są, co prawda, ostrą krytyką tego co było, ale świadomość narodowa, nawet trafny zmysł narodowego interesu, są w nich widoczne. To wszystko znaczy i dowodzi, że te uczucia żyły kiedyś w duszy ludu. A w naszym wieku czy zgasły zupełnie? Nie trzeba być bardzo starym na to, by jeszcze pamiętać starych gospodarzy mówiących z westchnieniem o „Panu Kościuszce"; a w roku 1831 nie sama szlachta przekra-

dała się z Galicyi przez granicę, żeby iść się bić. Widać z tego, że jakkolwiek dawna Rzeczpospolita miała sobie wiele do wyrzucenia względem ludu, to przecie uczucia polskiego w nim nie wyniszczyła.

Dla czego dziś jest tych uczuć mniej, niż było w roku 1830, i gdzie jest ich dziś mniej, a gdzie więcej?

Ojczyzna nie jest abstrakcyą nie jest ideą, potrzebuje być widomą, materyalną rzeczywistością. Człowiek oświecony i rozumujący, może znać i kochać tę ideę, nawet bez zmysłowego dotykalnego kształtu; człowiek prosty i w skutku samych już warunków swego życia myślący prawie wyłącznie o tem, co go najbliżej obchodzi, jeżeli nie widzi tej idei wcielonej widomie w swego króla i w swego żołnierza, musi stopniowo tracić jej świadomość i jej pamięć. To jest jeden powód, i bardzo ważny. Drugim były wpływy zewnętrzne, których tu wymieniać nie chcemy, a które korzystały zręcznie ze wszystkich wrażeń, jakie poddaństwo na duszę ludu wywierać musiało, na to, by w nim nietylko ślady tych dawnych uczuć wygładzić, ale by w nim uczucia przeciwne obudzić i rozwinąć. Rzecz jest jednak niezaprzeczona, widoczna, a godna uwagi, że uczucia polskie są w ludzie tam najdardziej zachwiane i osłabione, gdzie najsilniej i najdłużej działała na niego propaganda emigracyjnych emissaryuszów. Pod rządem rosyjskim było ich działanie za czasów Mikołaja prawie niemożliwem; dziś, pomimo wszystkiego co rząd rosyjski robi, żeby ten lud przygotować do panslawistycznej unifikacyi, ma on przecie w Królestwie narodowej świadomości siebie więcej niż w Galicyi. W Wielkopolsce, gdzie poddaństwo zniesione było najdawniej, gdzie rząd za dawniejszych lat rzetelnie dbał o oświatę ludu, pod-

niosła się najrychlej jego cywilizacya (już za Rzeczypospolitej wyższa niż w środkowych, a cóż dopiero we wschodnich województwach). Ucisk religijny (dawniej sporadyczny tylko i łagodniejszy) obudził, a dążność i passya germanizacyjna rozwinęła jego uczucie narodowe tak, że dziś ono jest zupełnie świadomem stałem przekonaniem. W Galicyi zaś, gdzie przed rokiem 1846 polityka Towarzystwa Demokratycznego (doprowadzenie ludu do miłości ojczyzny drogą nienawiści społecznej) działała najczynniej i najdłużej, w Galicyi właśnie lud ma do dziś dnia narodowej świadomości siebie nietylko najmniej, ale bojaźń i niechęć do szlachcica przeszła u niego w bojaźń i niechęć do Polaka, która po dwóch pokoleniach dopiero, i po przymusowem poniekąd zbliżeniu w praktyce pewnych spraw wspólnych, zaczyna pomału ustępować. Fakt ten niezaprzeczony i powszechnie znany, sam jeden może nauczyć i przestrzedz każdego człowieka sumiennego, że kto naprawdę chce w ludzie uczucie polskie kształcić, ten złych uczuć zawiści i nieufności za środek do tego celu używać nie powinien. Nieufność i zawiść do szlachty, musi stać u ludu w stosunku odwrotnym do jego uczucia polskiego: im tamta większa, tem to mniejsze. Ktokolwiek bowiem zajrzy w usposobienia i pojęcia ludu do dna, ten się przekona, że w jego pojęciu Polakiem jest tylko szlachcic osiadły na ziemi i we dworze. Do wszystkich innych *surdutowych* (jak ich nazywa) ma on uprzedzenie głębsze niż do szlachty; mniema, że to ludzie co

swoją kieszeń tylko, a w kościele się nie mo-
zychodzą na nabożeństwo jak na drwiny. Dro-
szczaństwo, pobożne i stateczne, miałoby więcej
ian powagi i sympatyi; ale to znowu zraża ich

swoją wyniosłością, wyższością nad *chama*, którą lubi okazywać. Pod względem narodowym znowu, lud ma to o *surdutowych* wyobrażenie, że krzyczą *hurra* w pokoju, ale nie dotrzymają placu na wojnie. Uprzedzenia takie dają się widzieć u włościan rozumnych i nieźle oświeconych; nierównie liczniej i uporczywiej w całej masie ciemniejszej i mniej rozsądnej. A skoro tak, skoro dla ludu do dziśdnia szlachcic wyobraża ideę polską, to rzecz oczywista, że kto w jego uczuciu i opinii zaszczepia nieufność do szlachty, ten tem samem zaszczepia i hoduje ją do wszystkiego co polskie.

Uczucie narodowe ludu nie może rozwinąć się na komendę, doraźnie; może przez czas, przez podnoszący się poziom oświaty, przez wielki rozum i takt, ale i wielką nieustanną gorliwość w postępowaniu. Ostrożny, powolny i raczej skryty z natury, a niedowierzający i podejrzliwy, bo przez wieki całe poddany, lud zamknie ucho i serce przed każdym, ktoby chciał szturmem, przebojem, uczuciom swoim do jego serca wstęp otworzyć. Nie sama podejrzliwość, ale i coś lepszego od niej, coś szanownego, jego samodzielność, sprawi, że on nagłego gwałtownego wpływu nie przyjmie. On nie lubi, żeby mu kto inny jego sposób myślenia i czucia podług swojego zdania i swojej woli kształcił i narzucał, on chce myśleć sam przez się, i wiedzieć co i dla czego myśli. Dlatego podawać jego refleksyi materyał zdrowy, żeby go sama przetrawiła i przyswoiła; podawać go ciągle, obficie, i w rozmaitej postaci, w słowie pisanem, jak w praktycznym codziennym stosunku, stawiać mu ciągle przed oczy i narodowy interes i samo jego narodowe jestestwo, ale nie żądać, żeby jego umysł odbył rychło lub odrazu całą daleką drogę od obojętności lub

zgoła niechęci, do gorącego uczucia. Nie niecierpliwić się, jeżeli to uczucie nie wybucha, i nie głaszcze nam uszów i serc zewnętrznemi objawami; nie wywoływać i nie przyśpieszać tych objawów, tylko czekać cierpliwie (choćby najdłużej), aż się zrobią same przez się, naturalnie; a nadewszystko może okazywać mu — we wszystkiem, ale w tych rzeczach przedewszystkiem — poważanie, jakie mu się należy, i rzetelność, jaką jeden człowiek uczciwy winien jest drugiemu. Ani sentymentalne oświadczenia i narzucania się z braterstwem, ani gadanie o równości, jak robiono w roku 1848, ani przesadne a nierówne uprzejmości w chwilach potrzeby, ani ostentacyjne a sztuczne wysuwanie naprzód wiejskich oratorów (dobrze poprzednio wyuczonych swojej sztuki), nie zdadzą się na nic, i uczuć polskich w ludzie nie rozgrzeją. To nie są kapryśne kobiety, które można pozyskać umizgiem, ani głupcy, których można olśnić podchlebstwem; to są ludzie poważni i stateczni, których ufność tylko poważnem i statecznem postępowaniem zdobyć można; umysły surowe i często ciasne, ale przenikliwe i zdolne często rozpoznać prawdę od fałszu, zamiar czysty i szczery, od takiego w którym się mieści jakaś myśl ukryta. We wszystkiem co się mówi i robi, dawać do zrozumienia, że się przypuszcza i wierzy, iż myślą i czują jak my, ale nigdy tego w nich nie wmawiać; i nigdy nie naglić żeby to oświadczyli, dopóki sami z własnej i nieprzymuszonej woli nie oświadczą. Oto byłyby te prawidła zdrowego rozsądku i taktu, które przy uczciwem i życzliwem postępowaniu we wszystkich stosunkach i okolicznościach, przy dbałości o takie stosunki, przy pomocy, jaką jeden dwór dawać może, czy wsi jako takiej, czy w niej rodzinom i osobom, i przy

dobrych książkach do czytania, mogą stopniowo na usposobienie ludu wpływać, i nieznacznie uczucie narodowe w nim rozwijać. Powiedzieliśmy wyżej, że chłop ideę polską jednoczy tylko z szlachcicem, który ma dwór i dobra; otóż dodać winniśmy, że zwraca on uwagę i na to, jak ten szlachcic żyje i jak gospodaruje. Im większa moralna jego wartość, im usilniejsza praca jego około roli i dobytku, tem większe zaufanie ludu do szlachcica i do tej idei, którą on w jego oczach przedstawia. A jeżeli dó tego szlachcic pozbędzie się nie powagi i poczucia swego stanowiska, ale szorstkości, niegrzeczności, sztywnej wyniosłości w obejściu, jeżeli nie braknie mu sprawiedliwości i chrześciańskiej uczciwości, życzliwej rady w potrzebie, a współczucia w nieszczęściu, wytwarza już nietylko ufność, ale nieraz rzetelne, gorące przywiązanie, czasem nawet miłość dla siebie — pośrednio dla tej idei, której jest w oczach ludu widomym znakiem.

„Bez naruszenia tego moralnego zdrowia, które w nim jest“. Czy jest naprawdę? Z pewnością w całem naszem społeczeństwie lud wiejski ma tego zdrowia najwięcej. W każdej wsi, każdy z nas zna tego lub owego próżniaka albo pijaka, marnotrawcę albo zuchwałego kłótnika; i to każdy wié, że usposobienia są bardzo nierówne, że jedna wieś będzie złożona z samych prawie statecznych, rozumnych i poważnych gospodarzy, a druga obok, bez żadnego zrozumiałego powodu, będzie stolicą wszystkich zwykłych wad i złych nałogów wiejskich. Ale nie patrząc na indywidua ani na wsie, tylko na ogół, przyznamy, że stan jako taki, warstwa ludności, jest bardzo szanowna, godna i nie zepsuta. Skutek to zapewne wiejskiego życia, jego bar-

dzo stałych stosunków i związków w zakresie bliskiego tylko sąsiedztwa; skutek ciągłej, codziennej, a niezmiennej pracy w jej formie najpierwszej, przyrodzonej niejako a najzdrowszej, pracy około ziemi; ale rzecz pewna, że sumienie, zmysł moralny, rozróżnienie złego od dobrego, utrzymało się w ludzie w niezaprzeczonej prostocie i czystości. Można, trafiając do złych stron natury ludzkiej, rozżarzyć w nim namiętność i popchnąć go do złych czynów — przykładów przypominać nie trzeba — ale paroksyzmy, gorączkowe wybuchy złego, są nierównie mniej złe, aniżeli stałe pomięszanie pojęć moralnych, zamącenie umysłu sofizmatem, i idąca zatem spokojna ustalona przewrotność sumienia. Te zaś różne sofizmata, które my wciągamy w siebie z doktryn filozoficznych i politycznych, i które często bez naszej wiedzy zostawiają nam w duszy swój osad i mącą nam jasność umysłów, a krzywią prawość sumień, te do ludu (mimo licznych i różnych usiłowań) głęboko jeszcze nie przesiąkły. Jego pojęcie Boga i człowieka, życia i obowiązku, jest proste, prawdziwe, rozumniejsze niż u wielu oświeceńszych; jego pobożność i wiara, jest rzeczywista, a często zapewne prawdziwsza od naszej; jego cnota jest większa już przez to samo, że warunki życia wymagają od niego więcej cierpliwości, więcej rezygnacyi, więcej wyrzeczeń się, niż od ludzi bogatszych. Wielki znawca ludzkich sumień, ksiądz Antoniewicz, mawiał, że w niebie niczego niema więcej, jak polskich chłopów. Tego sprawdzić trudno; ale na ziemi już stwierdzić można, że bardzo mała jest liczba występków, popełnianych na wsi i przez ludzi wiejskich; zadziwiająco mała zwłaszcza, zważywszy brak prawie zupełny u nas środków prewencyjnych, łatwą bezkarność, i zważywszy

rozliczne pokusy, na które naraża człowieka ubóstwo. Złe popędy natury ludzkiej są w tym ludzie i koniecznie być muszą, a podniecone, mogą złe skutki wydawać; ale są bardzo trzymane w karbach przez sumienie, przez bojaźń Bożą — i wszystko razem wziąwszy, musimy przypuszczać i wierzyć, że nie są one ani liczne, ani gwałtowne i nieposkromione. Natura moralna ludu, jego charakter chrześciański, są dobre i cnotliwe; to przyzna każdy duchowny, zajęty pieczą jego duszy, i każdy myślący człowiek świecki, który jego usposobienie uważa i nad niem się zastanawia.

Ale jaka jest natura włościanina polskiego jako obywatela, jego charakter publiczny, żeby się tak wyrazić?

Nie mamy prawa ani śmiałości sprzeciwiać się historykom, a jednak kiedy oni nam mówią, że szlachcic a chłop, to krew inna, uwierzyć im nie możemy. Że kiedyś jakaś mała garstka obcego rycerstwa mogła tu przyjść, osiąść, i służyć za wzór czy za kadry naszego później wyrobionego szlachectwa, nie mamy prawa przeczyć, a uwierzyćbyśmy mogli. Ale żeby ten obcy pierwiastek był nie wsiąknął w miejscowy i w nim się rozpłynął, ale żeby miał był rozrodzić się w górną, a nie rodzimą warstwę społeczeństwa, żeby to, co przez wieki było, i do dziś dnia jest szlachtą polską, miało inne pochodzenie, inną krew, jak lud wiejski — nie, to być nie może. Jakżeby w takim razie zrozumieć i wytłómaczyć to zupełne podobieństwo, więcej niż podobieństwo, tożsamość natury szlachcica i chłopa. Jest między nimi różnica majątku, wychowania, i długiego historycznego życia w innych warunkach; ale w gruncie oni nie są do siebie podobni, tylko są tacysami. Chłop ma tesame

przymioty, tesame upodobania, tesame skłonności, tensam rodzaj umysłu, tensam rodzaj wesołości, co szlachcic; i ma tesame wady co on, prawie wszystkie, z tym jednym wyjątkiem, że ma silne poszanowanie władzy, które my zatraciliśmy w ciągu ostatnich trzech wieków naszej historyi, a on zachował, bo do życia tych właśnie wieków nie należał; może dlatego, że poddany, do karności przywyknął; może dlatego, że nie skrzywiony, czuje instynktem prawa i warunki Boskiego opatrznego porządku na świecie, i czuje, że władza nad człowiekiem być powinna. My teraz dopiero, rozumowaniem i doświadczeniem dochodzimy do tego przekonania, które w nim tkwi jako nieświadomy instynkt; ale zresztą jesteśmy tacysami. Weźmy dobrego szlachcica i dobrego chłopa: jakie będą charakterystyczne przymioty duszy i umysłu? Prawość i poszanowanie swego słowa, łagodność i przestawanie na swojem, zdrowy rozsądek, żywe uczucie tego co przystoi wiekowi albo powadze ojca rodziny, usposobienie pogodne, w wojnie odwaga wielka, przywiązanie do ziemi i do ojcowizny. Chłop jest spokojniejszy, bardziej flegmatyczny, ale popędliwy jest i on: łatwo się wzburzy i wpadnie w gniew, ale najczęściej także łatwo się wyburzy i pogodzi. A weźmy teraz typy gorsze, czy znowu nie będą takiesame? Czy chłop, jak szlachcic, nie podupada przez tęsamą leniwą nieoględność, przez skłonność do miłego wczasu? Czy nie jest taksamo łatwowierny względem ludzi którzy chcą go podejść, a podejrzliwy względem takich, którzy mu dobrze chcą i radzą? Czy zdolny do niesłychanego wysilenia na krótko, nie ucieka ze wstrętem od umiarkowanego, ale ciągłego natężenia? Czy nie jest nieporządny w płaceniu swoich długów,

a zdający się na los, na *jakoś to będzie*, w swojem gospodarstwie? A ten wrodzony pociąg do towarzyskiego życia, do zjazdów, który u szlachty słabnie (czy z pożytkiem?), a włościan pcha na jarmarki (bez pożytku); ta wrodzona potrzeba rozrywki, albo potrzeba swobodnego długiego wygadania się przed drugimi; to podobieństwo konceptów i żartów, które bawią jednych i drugich — czy to wszystko (a możnaby przykłady mnożyć bez końca) nie są istotne rysy charakteru, dowodzące natury rdzennie tejsamej? Nic zresztą nie dowodzi lepiej tej tożsamości, jak to, że jeden i drugi czują się tem samem. Chłop może nieraz nienawidzieć szlachcica, albo mu niedowierzać, albo mu zazdrościć; szlachcic, może nieraz gniewać się na chłopa, albo obchodzić się z nim nie tak, jak powinien — ale żaden z nich nie czuje w drugim innej krwi. Genealogia pana Wojskiego z *Tadeusza*, która jednych wywodzi od Jafeta, a drugich od Chama, jeżeli nawet miała łatwowiernych między szlachtą, to u ludu wiary nie miała nigdy; i ten tej różności pochodzenia nie przypuszczał, i nie przypuszcza dotąd. Najwyraźniej daje się to poznać po usposobieniu, jakie on ma względem mieszkańca miast. Tego uważa za coś innego, i (w skrytości serca) za coś niższego od siebie. Szlachcica często nie lubi, częściej podejrzywa, ale w jego pojęciu tylko interes tego szlachcica jest inny jak jego własny, i z tym niezgodny; stanowisko i prawo jest tak niewątpliwe, tak uzasadnione, jak jego własne. Szlachcic, jak on sam, jest panem ziemi, człowiekiem osiadłym, do gruntu przyrosłym; oba mają tęsamą podstawę bytu, tosamo prawo do gospodarowania na ziemi, którą trzymają i uprawiają. Dawne szlacheckie pojęcie, podług którego obywatelem był

tylko *possessionatus*, właściciel ziemi, u ludu przetrwało wieki i dochowało się do dziśdnia. Jak legitymista francuski uważa cesarstwo czy republikę za przypadek, ale nie za stan prawny, tak u nas lud widzi, że adwokat, profesor lub lekarz, jest posłem, a może zostać ministrem, ale ma to za fakt tylko, nie za słuszną zasadę. Prawdziwym, zupełnym obywatelem, jest w jego rozumieniu on sam i szlachcic. Tamtego on toleruje, tego uznaje. Co więcej, szlachcic, którego podejrzywa i nie lubi, ma dla niego przecie jakiś urok sympatyczny; podoba mu się, działa na jego wyobraźnię, jak on nawzajem podoba się szlachcicowi, choć go nieraz niecierpliwi, gniewa, albo nudzi. Wszystkie dawne stosunki prawne zmieniły się między nimi; ale choć lud nad wszystko niecierpi tego co *opiekuństwem* nazywa, przecież w głębi serca zostało mu bezwiedne uczucie, że ma prawo do tej opieki, której nie chce i nie lubi; i został związek, oparty na tożsamości krwi, natury, i rolniczego zajęcia.

To pojęcie *obywatelstwa*, jako przywiązanego do ziemi i na niej zasadzonego, może nam posłużyć za wskazówkę do oznaczenia politycznego stanowiska ludu, stopnia jego pod tym względem wykształcenia. Pojęcie niegdyś szlacheckie: z obserwacyi ludu dochodzi się do wniosku, że takich tradycyjnych staropolskich pojęć lub skłonności okazuje on w sprawach publicznych więcej. Mniejsza o to — choć oznaka nie jest bynajmniej obojętna — że dzisiejszy poseł włościanin, w rozprawach sejmowych przemawia zupełnie tak, jak przemawiał poseł szlachcic w wieku XVI; nie taki szlachcic jak Ocieski ma się rozumieć, ani nawet jak Siennicki, ale jak zwykły średni poseł szlachecki. Ma tensam ro-

dzaj i sposób mówienia, przewlekły zwykle i krążący długo około kwestyi; ma tensam zakres myślenia o sprawach publicznych i taksamo patrzy na nie zawsze z miejscowego (lub powiatowego) punktu widzenia; ma jak tamten dokładną znajomość i trafne rozumienie tych spraw praktycznych, które go bezpośrednio dotykają i obchodzą — ale po za uciążliwości i *gravamina* jego stanu lub powiatu, już jego widnokrąg nie sięga. Jak niegdyś poseł szlachcic miał silne (do zbytku) uczucie solidarności stanu rycerskiego, tak poseł włościanin ma je dziś względem swego stanu i jego interesów. Nie czuje się — na szczęście — powołanym, jak tamten, przedewszystkiem do podejrzywania i nie dopuszczania (to ujemne, przeczące, przeciwne naturze pojęcie władzy prawodawczej i jej przeznaczenia, które do nas przesiąkło z podziwienia dla wzorów rzymskich, mianowicie dla *trybunatu*, nie zamąciło głowy tym, którzy podówczas politycznie nie żyli); dzisiejszy poseł włościański rozumié lepiej niż dawny szlachecki, że są warunki publicznego życia, którym poddać się trzeba, i są uchwały, które powzięte być muszą. Ducha intercessyi i wolnej kontradykcyi on nie ma; choć sam sobie zostawiony, kto wié, czyby go w sobie nie odnalazł i nie wykształcił. Ale jest przecie do dawnego szlachcica podobny: podejrzliwością. On się nie boi *absolutum dominium* królewskiego, bo owszem, władzy królewskiej (dziś cesarskiej) ulega chętnie, i z góry prawa zwierzchnicze bez targu przyznaje; ale boi się tego *absolutum dominium*, które na nim tak długo ciążyło, które mu bezpośrednio dolegało, boi się, sam dobrze nie wié czego (dziś już zapewne nie powrotu pańszczyzny przecie?), boi się panowania szlacheckiego. Wieki wyrobiły w nim

ten stan chronicznej podejrzliwości; a że ona prócz tego jest wrodzonem usposobieniem polskiem, więc nic dziwnego, że się łatwo (że się może nigdy) usunąć nie da. Raczej dziwić się tylko, i w tem rozsądek jak dobrą naturę ludu uznawać, że ona nie objawia się częściej ani ostrzej, że sprawom czy powiatowym, czy sejmowym, przeszkód istotnych nie stawia, że rozumnem i uczciwem słowem nieraz da się przekonać. Że pomimo całej przeszłości, i pomimo wrodzonej podejrzliwości, lud jest dla dobrej rady przystępnym i powolnym, dowodzi ogół naszych krajowych stosunków, i dowodzą choćby tylko ostatnie wybory do Rady państwa.

A jakie są wyobrażenia polityczne ludu? czy on dba o konstytucyjne prawa i wolności? albo czy ma jaki zaród pociągu do republiki? Przewidujemy odpowiedź, że lud takich wyobrażeń nie ma wcale, że o tych kwestyach nie myśli. Odpowiedź taka nie byłaby całkiem trafna. Lud nie ma wyrobionych przekonań, ale ma instynkta i sympatye. Konserwatysta wielki, a w swoich stosunkach rodzinnych arystokrata w swoim rodzaju i zakresie, w swoich instynktach politycznych lud jest monarchistą zaciętym. Bezrząd polski, który pamięta dobrze, bo na nim cierpiał, zostawił i zaszczepił w nim to uczucie, że rządem prawdziwym, jest tylko rząd jednego. Z tego wynika, że system parlamentarny nie ma u niego wielkich łask i sympatyj; w Galicyi rząd austryacki stracił wiele na powadze u ludu, odkąd się stał konstytucyjnym. Tę zaś nieufność do rządów parlamentarnych, rozwinęło w nim bardzo równouprawnienie Żydów, w którem widzi cięcie wymierzone przeciw swemu mieniu i przeciw swojej wierze. Nasze stronnictwo liberalne podchlebia sobie i łudzi się, kiedy myśli, że lud

nie lubi sejmów i parlamentów dla tego, że w nich widzi szlachtę a podejrzywa rządy szlacheckie. On wié dobrze i rozumié, że ani w Sejmie, ani w Radzie państwa, szlachta nie rządzi sama, a systemu reprezentacyjnego nie lubi, jako takiego, zasadniczo. Jestto doświadczenie, które wyniósł z dziejów przeszłych, a do dzisiejszych stosuje.

Że w tym pociągu i zaufaniu włościan do rządów jednego, może tkwić wielkie niebezpieczeństwo, i jakie, wskazywać zbytecznie, bo rzecz jasna i zrozumiała.

W naturze ludu, w jego przymiotach, jest niezawodnie materyał na rzeczywistą, świadomą siebie polityczną siłę. Ale jak wszystko na świecie, tak i on zepsuć się może, zwłaszcza, że znajduje się obecnie w stanie przejścia i przeobrażenia. Zmieniają się jego warunki bytu ekonomiczne, społeczne i cywilizacyjne, — podobnie jak zmieniły się one dla szlachty w końcu XV i początku XVI wieku. Szlachta z tej przemiany wyszła z zamąconemi i skrzywionemi pojęciami, dla tego, że już sama wtedy stanowiła o wszystkiem, a nie było nikogo, ktoby ją w prostym, dobrym kierunku utrzymać, od zboczeń powstrzymać miał władzę. Lud wiejski dziś takiego górującego stanowiska nie ma, jest więcej zależny; ztąd większe prawdopodobieństwo i nadzieja, że z przeobrażenia on może wyjść rozrosłym, ale nie skrzywionym.

Odgrywa się z nim dziś sławna komedya Arystofanesa: sceną jest cały kraj, Demos sam gra swoją rolę; garbarzem i masarzem jest *postępowe* i *postępowsze* stronnictwo; a kosze pełne dobrych rzeczy, które się Ludowi ofiaruje, to ich pisma. Kto do złych stron ludzkiej natury trafia, ten naród jak człowieka zepsuć może; ze-

psuć zaś łatwiej, niż naprawić, bo złe strony są zwykle czulsze i przystępniejsze od dobrych. Lud jest taksamo ułomny i słaby jak my, i jemu jak nam, można łatwo podchlebstwem zawrócić głowę; budząc w nim zazdrość, doprowadzić go do nienawiści; drażniąc potrzebę lub tylko pragnienie lepszego bytu, rozjątrzyć w nim żądze, — a przez to wszystko otumanić i przytępić jego sumienie, a uwieść i owładnąć jego wolę, tak, że uwiedziony a bezwładny, zrobi co mu każe czy garbarz czy masarz, czy kto trzeci od tych obu mądrzejszy i mocniejszy, co z ich przygotowań skorzysta, by obu przelicytować, a z Demosa zrobić swego niewolnika — mużyka.

To niebezpieczeństwo jest. Może się nie zbliżyć, może się odwrócić i nie przyjść wcale; ale właśnie dla tego, że śmiertelnem jeszcze nie jest, walczyć z nim trzeba, zwłaszcza, że samo otwarcie walkę już wypowiedziało i prowadzi.

Jakież są sposoby obrony?

W Królestwie nie ma żadnych, prócz tych, jakie przypadek nadarzy, a sumienie i rozum wskaże każdemu dobremu obywatelowi z osobna. Kto ma ręce skrępowane a usta zakneblowane, ten ani działać, ani mówić nie może; a gdzie nawet ochronki założyć i utrzymywać nie wolno, gdzie dzieciom każą katechizmu uczyć się z rosyjskich elementarzy, tam tylko na Boga i na wrodzoną żywotną siłę narodu liczyć można, że jeden „skróci one dni wielkiego ucisku," a druga przetrzymać je zdoła.

W Wielkopolsce? Nie nam uczyć ich, co na tem polu robić mają, oni, którzy i dawniej i lepiej niż my, i wiedzą i robią. Ale w tym punkcie pokazuje się do-

tykalnie różnica stosunków pod rosyjskim a pod pruskim rządem, i daje poznać gdzie jest gorzej. Germanizacya pruska, jak moskiewskie *obrusienie*, sięga aż do ostatnich najgłębszych kończyn i organów życia, aż do pacierza i katechizmu. Ale jedna choć na umyślnie robionych prawach oparta, zna przecież jakieś formy i granice prawa, i człowiekowi prywatemu zostawia jakieś w ręku sposoby działania, — kiedy drugie żadnem pojęciem prawa nie krępowane, obejmuje i znosi ukazem wszystko, aż do tej nauki, jaką człowiek prywatny w swoim pokoju bezpłatnie dziecku dawać może. Ta różnica zasadnicza jest i w innych także stosunkach. W Wielkopolsce tedy, wszystko co w tych warunkach, pod temi prawami, dla dobra ludu, dla jego oświaty, dla zabezpieczenia i podniesienia jego religijnych i narodowych przekonań zrobionem być może, to się robi, i mądrze, i gorliwie, i statecznie. Daj nam Boże, żebyśmy wszyscy we wszystkich kierunkach życia tak mało zaniedbań mieli sobie do wyrzucenia, jak mają Wielkopolanie na tem polu.

W Galicyi? Postęp jest niezaprzeczenie znaczny, a czynność obudzona nie ustaje, lecz owszem zdaje się rozwijać. Stowarzyszenie Oświaty, czytelnie z jego ramienia zakładane, kółka rolnicze (znowu zbawienny wynalazek poznański,) powiatowe kasy zaliczkowe, sklepiki powstające po wsiach coraz gęściej, wszystko to rzeczy nowe a dobre, i już wypłacające się potrochu dobremi skutkami. Sejmowe koło posłów włościańskich, bardzo sumiennie, gorliwie i praktycznie zakreśla sobie co roku pewien program ulg i zmian w położeniu włościanina najnaglejszych, i to albo wprowadza w życie przez Sejm, albo Kołu polskiemu w Radzie państwa

jako nagłe i konieczne wskazuje i poleca. Zdaje się, że o ile te sprawy w naszej mocy są, to zaniedbane nie są: a ustawa przeciw pijaństwu i ustawa o lichwie, z pewnością wstrzymały lud wiejski na pochyłości, po której zsuwał się fatalne do ruiny. Likwidacya *Banku włościańskiego* (szlacheckiemi rękami i pieniędzmi dokonana) zatrzymała dwadzieścia kilka tysięcy gospodarstw w ręku dwudziestu kilku tysięcy rodzin włościańskich. Mimo wszystkiego wszakże co się robiło i robi, rzecz jest pewna, że położenie ludu majątkowe jest dziś niemal samem jądrem kwestyi, bodaj nie najważniejszem zagadnieniem obecnej chwili. Lepsze zabudowania wiejskie, zasobniejsze ubranie, umiejętniejsza uprawa roli, są zapewne niejaką w tej mierze (a na pierwszy rzut oka nawet wielką) otuchą; ale trwające i rosnące długi, ale zarobek mały (prawda, że zbyt często wtedy dopiero szukany, gdy już bieda przyciśnie), ale niedostatek który pcha ten lud do niepewnej awanturniczej emigracyi, wszystko to zjawiska zastraszające. Jak na nie radzić? Sejmy nasze, i posłowie w Radzie państwa chodzą już dawno około zniżenia podatku, a uproszczenia postępowania spadkowego, około uproszczenia procedury, żeby lud miał i szybszą i tańszą sprawiedliwość; jeżeli się to uda, będą środki zabezpieczenia jego bytu skuteczniejsze, energiczniejsze może, niż sama ustawa o lichwie. Ale to nie wszystko jeszcze. Pilniejszy, czujniejszy dozór nad podrzędnemi organami władz skarbowych przy wymiarze i poborze należytości różnego rodzaju, jest zdaniem wszystkich znających z bliska wiejskie stosunki, jedną z pilnych, nagłych potrzeb stanu włościańskiego. Ustawa drogowa jest dla niego jeszcze, pomimo wprowadzanych ulg, zbyt ciężka.

Przed laty uchwaliliśmy w Sejmie prawo o podzielności gruntów włościańskich, w nadziei, że podzielność ta posłuży do spłacenia długów a zabezpieczenia roli. Z czasem i doświadczeniem, gdy się pokazało, że wskutku rozdrobnienia gruntów, wytworzył się liczny a nieszczęśliwy proletaryat wiejski, żałowaliśmy owej uchwały. Kwestya do dziś nierozstrzygnięta, nie ustalona. Wielu prawdziwych znawców wsi i ludu twierdzi, że gdyby dziś podzielność gruntów była zabronioną, to przy braku gotówki, a nieumiejętności obchodzenia się z pożyczkami, powstałoby ztąd gorsze niebezpieczeństwo dla drobnej własności, a nowa sposobność nabywania jej dla obcych. Bez osobnego prawa zaś, gospodarz rozsądny, sam o ile tylko może stara się, żeby grunt niepodzielony w jednem ręku pozostał, i często do tego dochodzi. Wprawne oko rozpoznaje łatwo, które grunta i rodziny w gminie rozejdą się, a które utrzymają się i stopniowo powiększą. Wzrost małej własności ziemskiej, w ręku włościanina zabiegliwego i statecznego, zdaje się być nietylko możliwym, ale prawdopodobnym końcem dzisiejszego jej stanu, jeżeli nie staną mu na przeszkodzie wypadki, a prawa i dobre rozumne wpływy dopomogą. Byłby to i koniec najszczęśliwszy! Wytworzenie stanu włościańskiego zamożnego, poważnego, religijnego, a w lepszym stanie i z czasem z pewnością już wolnego od uprzedzeń i niechęci do innych części społeczeństwa.

Z zakazami emigracyi do Ameryki — jeżeli wolno odezwać się ze skromnem zdaniem niedoświadczonego — należałoby raczej obchodzić się ostrożnie. Nie zarzucać ich, i wstrzymywać emigrantów, czy to widocznie oszukanych, czy nie mających jakiego-takiego zapasu. Ale

opór systematyczny i czysto mechaniczny, przymusowy, może mieć swoje złe skutki. Zaprzeczyć się nie da, że niejeden z emigrantów doszedł w Ameryce do losu wcale dobrego; wiedzą o tem rodzice lub krewni, których wspomaga (nieraz wcale hojnie), wiedzą sąsiedzi, wiedzą okolice. Budzi to w wielu nadzieje zapewne złudne; ale zakaz może znowu budzić w ludzie to uczucie, że „panowie“ zatrzymują go gwałtem, bo jego ręki, jego taniej pracy potrzebują; a z tego uczucia nowy żal, nowy kwas. Jeżeli zaś taki emigrant istotnie może tam znaleźć byt lepszy, to jakiem prawem przeszkadzać mu do tego? Roztropności, rozeznania, miary, potrzeba naszem zdaniem w tej sprawie — nie systemu, nie formuły, nie twardej i niezmiennej reguły.

Ale skoro ten prąd emigracyjny już jest, skoro istotnie jest wielu w naszych zachodnich powiatach, którzy zaledwo nędznie wyżyć mają z czego, czy nie możnaby zwrócić tej emigracyi w inny kierunek? Taka rodzina wynosząca się do Ameryki, ma zwykle jakiś fundusz za sprzedany grunt i chatę; czy za ten fundusz nie mogłaby nabyć ziemi u nas, taniej lub na spłaty? W części wschodniej kraju, tyle wielkich posiadłości przechodzi w obce ręce. Gdyby się dało założyć Towarzystwo, którego celem byłoby majątki takie kupować, ale kupować na to, by je na małe części dzielić i odprzedawać, czy taka akcya (nie wiemy o ile możliwa — rzucamy tylko nieśmiałe pytanie) nie mogłaby przynieść nam podwójnego pożytku? Jeden byłby ten, że lud i grosz polski nie wynosiłby się za morza, nie byłby dla zasobu narodowej siły stracony; a drugi ten, że na Rusi wzmocniłby się żywioł polski.

Drugim punktem kardynalnym tej przemiany, jaka

się w ludzie odbywa, jest jego oświata. Poczęła się ona, postępuje, szkoły się mnożą, ludzi czytających coraz więcej, i coraz większa ciekawość, chęć do czytania.

Zdrowy, albo zły kierunek tej oświaty, uczciwa, albo sofistyczna treść i dążność tych książek, które lud będzie czytał, oto co w znacznej części stanowić będzie o jego przyszłości i wartości; zdrowiu albo zepsuciu. Tu zaś jest to niebezpieczeństwo oczywiste, że czytelnik wiejski (jak każdy inny) lgnąć może z łatwowiernem upodobaniem do pism i książek takich, które trafiać zdołają do jego uprzedzeń lub przesądów, podchlebiać jego miłości własnej, drażnić jego namiętności, głaskać jego wady. Ten proces psucia ludu przez błędne pojęcia, złe uczucia i wiadomości fałszywe, już się odbywać zaczął w różnych pismach dla niego przeznaczonych, i nie byłoby nic dziwnego, gdyby wydał bodaj częściowo swoje logiczne następstwa. Przeciw temu środek jedyny jest w działaniu i wpływie duchowieństwa i szlachty, i w dostarczaniu ludowi pism i książek dobrych, które rozwijając zakres jego myśli i wiedzy, szanowałyby i wzmacniały w nim wiarę, zmysł moralny, zdrowy rozsądek i publicznego ducha. Co do wiary, ta widocznie musi być silna i dobrze zakorzeniona, skoro wszystkie pisma wyrachowane na wyzyskanie ludu przez jego zepsucie, nietylko nie śmią otwarcie jej zaczepiać, ale nawet nieznacznie podawać w wątpliwość; owszem wszystkie jaknajstaranniej dają sobie pozór pobożności i katolickiej prawowierności. Zabawny jest nawet widok, a rodzaj hipokryzyi wysoko komiczny, kiedy ludzie, którzy w innych pismach głoszą *postęp* oparty na osłabianiu powagi religii a dążący do negacyi wszelkiej prawdy religijnej, do tej bezwyznaniowo-

ści absolutnej, która uczy, że dla człowieka prostego wszystkie religie są zarówno dobre, a dla myślącego wszystkie zarówno błahe — jak ci nieprzyjaciele i burzyciele chrześciaństwa, kiedy się odzywają do ludu, udają jego uczucia, żeby zyskać jego zaufanie. Tartuffe sam przez się był już dość komiczny, i dość nikczemny; ale Voltaire, Renan, Dawid Strauss, bijący się w piersi w kościele i śpieszący do kropielnicy, żeby łatwowiernemu Orgonowi podać wodę święconą, to komiczność głębsza i podniesiona do potęgi — nowy i wcale ciekawy sposób licytowania łask starego Demosa.

Dla ludzi uczciwych na tem polu jak na każdem innem, jak zawsze, ale z ludem zwłaszcza, reguła postępowania jest: nie schlebiać nigdy, i nigdy nie podchodzić. Mówić prawdę czy o ludzie, czy ludowi o nim samym, o innych, i o sprawach lub wypadkach. Kto chce dobrą wiarę i zmysł moralny w drugim pielęgnować, ten je sam mieć i zachowywać powinien; a kto prostego rozumu i prostego sumienia żąda, ten powinien na sobie pokazywać ich przykład. Bodaj czy ze względów nawet praktycznych nie najpewniejsza to droga do zaufania ludu i do jego trwałego szacunku.

Ale pisma i książki, to środek pomocniczy tylko w kształceniu i oświacie ludu, a głównym i najsilniejszym jest szkoła. Nie tu miejsce na roztrząsanie, jaka ona jest, i w czem mogłaby być lepszą; a że jak *malities*, tak i dokonana poprawa *sufficit diei*, więc na dzisiejszą chwilę niech nam wystarczy przeświadczenie, że szkoła jest nietylko liczniejsza ale lepsza niż była, i że nie są zasłużone skargi na jej złe dążności, mianowicie na zły, niechrześciański kierunek wychowania. Mogłaby ona takiego charakteru nabrać, gdyby dążności

niechrześciańskie wzięły górę w parlamencie austryackim, i w swoim duchu urządzać ją zaczęły; ale dotąd jest tylko niedostateczna affirmacya dobrego (za którą u nas praktyka w znacznej mierze czyni zadosyć), nie ma dotąd affirmacyi złego. Rzecz prosta, że zdrowy umysł i prawy charakter nauczycieli wiejskich, jest warunkiem niemal głównym dobrego wychowania wiejskich dzieci, czyli przyszłych pokoleń ludu; a nauczyciela każdego nawskróś przejrzeć, taksamo jak każdego dobrze wychować, niepodobna. Niemniej można i trzeba chować dobrze liczbę ich o ile się da największą, i dla tego kwestya konwiktów dla przyszłych nauczycieli, nauka połączona z dozorem, jest jedną z najważniejszych w naszej narodowej hygienie moralnej i społecznej, jednym z tych nakładów, na które Sejm i kraj najmniej winien żałować wydatku. Wszelako samo choćby najlepsze wychowanie nauczycieli wiejskich, nie usunie jednego wielkiego w tej kwestyi szkopułu, którym jest ich płaca niska, dla człowieka żonatego i ojca rodziny istotnie bardzo szczupła. Na to zaś w dzisiejszym stanie naszego skarbu rady niema, jak niema jej na to, że człowiek, który się zdolniejszym czuje, nie poświęci się zawodowi nader mozolnemu a mało korzystnemu: że ten mniej zdolny który mu się odda, często będzie się w nim czuł nieszczęśliwym, a goryczą swoją może i uczniów swoich i ich rodziców zarażać.

Tu rada jedyna, ale stanowcza i dostateczna, byłaby w Bractwie Nauczycielskiem, które nie potrzebowałoby być zakonem, ale poświęcałoby się na tę służbę z miłości Boga i bliźniego, z religijnego powołania. Francuzcy braciszkowie *de la doctrine chrétienne* mogliby być gotowym i doskonałym wzorem. Wiemy, że

bractwo takie naprzód nie prędko zdołałoby większej liczby nauczycieli dostarczyć, a powtóre, miałoby do walczenia z niemałemi trudnościami. Wszelako jeżeli zakonnice, Felicyanki i Siostry Miłosierdzia, mogą czynić zadość wszystkim przepisom i zdawać potrzebne examina nauczycielskie, to mogliby trudnościom tym podołać i mężczyźni. O powołania szlachetne, zwłaszcza o duchowne, łatwiej między niewiastami, niż między nami; wszelako znajdują się one i tu. Jeżeli brat Albert poświęcił się na usługi najuboższych, najbardziej zaniedbanych, i w tem powołaniu najcięższem znalazł towarzyszy i naśladowców, to może przecie znajdzie się drugie jakie serce szlachetne, co się zapali do dzieła mniej przykrego a nie mniej potrzebnego i pełnego zasługi. Kiedy biskup Wereszczyński, za Zygmunta III, marzył o Bractwie Rycerskiem, które miało bronić Rzeczypospolitej od Tatarów a kolonizować zadnieprską Ukrainę, ochotników nie znalazł. Bractwo, któreby broniło duszy polskiej od nieprzyjaciół przeciw niej sprzysiężonych i zawziętych, a głowy polskie oświecało i ze wsi naszych robiło kolonie cywilizacyi, miałoby zadanie nie tak rycerskie, nie tak ponętne dla wyobraźni, ale niemniej ważne a do wykonania łatwiejsze. Czy się znajdzie założyciel, i czy znajdą się ochotnicy?

Tem marzeniem zamykamy nasze uwagi i spostrzeżenia o ludzie wiejskim. Nie mieliśmy uroszczenia powiedzieć o nim wszystkiego co jest do powiedzenia, ani robić odkryć nowych i nieznanych. W tych zaś rzeczach powszechnie i dawno wiadomych, któreśmy tu przypomnieli, są zdaniem naszem prawdy dobre do zapamiętania i do rozważenia dla każdego, kto z ludem stosunki ma lub w przyszłości mieć będzie. Jedno tylko

dodamy, to, że każda morga ziemi przez chłopa kupiona, każde jego gospodarstwo zaokrąglające się i rozszerzające, wydaje nam się jak żeby małym polowym szańcem usypanym na obronę Rzeczypospolitej, kapitałem wlanym do funduszu żelaznego naszej narodowej siły i przyszłości. Może ten kapitał nierychło zacznie przynosić dochody, ale nie przepadnie, i w swoim czasie zadziwi swoim przyrostem. Dla tego gdzie własności szlacheckiej grozi nieodwołalna konieczność sprzedaży, tam interes narodowy, obowiązek obywatelski, wskazuje sprzedaż mniejszemi częściami między włościan, jako najlepszy, najpewniejszy sposób utrzymania ziemi w polskiem ręku. Z nich wyszliśmy kiedyś: wszyscy przed wiekami byliśmy chłopami, jak oni dziś. Niechże nasza ziemia, jeżeli jej sami utrzymać nie możemy, do nich wraca, żeby na niej rośli, i da Bóg na takich wyrośli, jak my bywaliśmy pod Grunwaldem, pod Wielkiemi Łukami, pod Chocimem i pod Wiedniem.

# USPOSOBIENIA RELIGIJNE.

# W CIĄGU WIEKU.

Nie myślimy opisywać stanu Kościoła w Polsce, ani dziejów jego prześladowania, ani liczyć wiele Kościołów zamknięto lub obrócono na cerkwie, wiele parafii zniesiono, wiele wydano praw i rozporządzeń na to, by ten Kościół rozprządz i zniszczyć. Nie o to nam tu chodzi, co przeciw naszej wierze zrobiły obce rządy i wyznania, ale o to, co my zrobiliśmy lub zrobimy, żeby jej bronić, jak się do tego obowiązku poczuwamy i jak go pełnimy. Usposobienia religijne dzisiejszej Polski, jej uczucia czy przekonania, stopień oporu jaki stawia dążnościom niechrześcijańskim, lub stopień bezwładności z jaką im się poddaje, gorliwości jaką im służy — oto przedmiot, któremu się przypatrzeć chcemy.

„Dzieje są mierzeniem się humanizmu z chrystyanizmem“; gdzie jest, w człowieku czy w Bogu, źródło prawdy dla umysłu, prawa dla woli? Jeżeli to źródło jest w Bogu, to w takim razie człowiek ma powołanie i możność prawdy swoim rozumem szukać, znajdować ją w całym zakresie natury czy myśli, do poznania prawdy pomagać, ale niema ani mocy, ani przeznaczenia dojść do prawdy wszechstronnej, zupełnej, abso-

lutnej; a wiedząc to, ma tę prawdę od Boga przyjmować, a w następstwie Jego prawo w swojem pojęciu godziwości i niegodziwości, w swoich postępkach, zachowywać i stosować. Albo: źródło wszelkiej prawdy i wszelkiego prawa jest w człowieku samym, a w takim razie on jeden sądzi co prawda a co fałsz, co dobre a co złe. Że zaś człowiek nie jest jeden, ani wszyscy ludzie jednacy, więc w takim razie niema prawdy jednej, zupełnej, niezmiennej czyli prawdziwej; jest tyle mniemań, ile głów ludzkich. Niema jednej niemylnej miary złego i dobrego, jest ich tyle, ile zdań, czy upodobań ludzkich. Pierwsza zasada zostawia umysłowi ludzkiemu wolność badania i szukania, ale w tej pracy daje mu podporę i wskazówkę; zostawia wolność ludzkiej woli, ale wskazuje jej granice i prawa, których przekraczać nie powinna. Druga, przyznaje rozumowi prawo sądzenia o wszystkiem w najwyższej instancyi, a nie daje mu mocy zupełnego poznania wszechrzeczy; przyznaje mu prawa i atrybucye wszechmocności, bez jej istoty i rzeczywistości. W logicznej konsekwencyi powinnaby tęsamą wszechmocność, tęsamą nieograniczoność, przyznać i ludzkiej woli. Ale tu zachodzi niepodobieństwo, bo absolutna wolność woli każdego musiałaby jako swój skutek wydać nieustającą walkę każdego człowieka z drugim człowiekiem. Żeby więc uniknąć logicznych sprzeczności i następstw fałszywej zasady, były tylko dwa wyjścia; albo powiedzieć, że wola każdego powinna i musi być podległą woli jednego mocnego, albo (w logicznej zgodności z wszechmocnością rozumu) przyznać woli ludzkiej równe prawo, a zależność jej, uznać za jej krzywdę, za jej niewolę. Pierwszy sposób wyjścia prowadził do despotycznego,

absolutnego państwa; drugi nie mógł woli ludzkiej dać zupełności, ani wszechmocności, ale przyznał jej prawo do samowoli, i prowadził do rewolucyi, do anarchii.

W tych dwóch formach objawiała się ta zasada, według której człowiek jest ostatniem źródłem prawdy i prawa; a obie, każda swoim sposobem, walczyły z zasadą przeciwną, z tą, która źródło to mieści i widzi w Bogu. Absolutne państwo (katolickie czy protestanckie) nie przeczyło i nie tępiło wiary, ale przez swoją zasadę, przez swoją wszechmocność, krępowało jej organ, Kościół; a przez swoją *racyę stanu* przeczyło i obalało praktyczne skutki i przykazania chrześciaństwa. Cała jedna gałąź filozofii w teoryi, a później rewolucya w praktyce, przeczyła i znosiła wiarę samą, objawienie.

O takich skutkach nie śniło się zapewne Lutrowi, ani Kalwinowi, ani tym księżętom, którzy skwapliwie ich wiarę przyjmowali; ale niemniej oni są tych skutków przyczyną. Filiacya jest naturalna i jasna. Za pytaniem: „dlaczego papież," „dlaczego ten lub ów dogmat," musiało naturalnie pójść drugie: „dlaczego dogmatów więcej, dlaczego nie wszystkie zaprzeczone i zniesione, dlaczego Jezus Chrystus?" A za tem znowu pytaniem musiało pójść dalsze, ostateczne: „czy i dlaczego Bóg?" W drugim kierunku wypłynęło z tegosamego źródła drugie pytanie innego porządku: „jeżeli dlaczego papież, to taksamo dlaczego król? a jeżeli dlaczego król, to także dlaczego społeczeństwo?"

Pytanie, „dlaczego papież i dogmat," to stanowisko Lutra; „dlaczego Jezus Chrystus," to stanowisko Voltaira; „dlaczego król," to stanowisko rewolucyi francuskiej. A „dlaczego Bóg" i „dlaczego społeczeństwo," to stanowisko filozofii i rewolucyi dzisiejszej.

Że celem prawdziwym (często ukrytym) sekt rewolucyjnych jest zniszczenie chrześcijaństwa, któż nie wié. Cele uboczne, dodatkowe, a zwłaszcza pozory, są różne, ale istota rzeczy jest ta. W chwili zwycięstwa głosi się to i robi jawnie, jak robiła rewolucya francuska; w chwilach, kiedy po zwycięstwie rewolucya chce się ustalić i dowieść swojej zdolności ustalenia się i rządzenia, politykuje, staje się łagodniejszą; nie stawia bogini rozumu na ołtarzu, owszem, pozwala przy nim msze odprawiać, ale w chwili szczerości wyjawia swą zasadę *l' ennemi c'est le prêtre*, a z tą zasadą zgodnie w praktyce wyrzuca katechizm i krzyż ze szkoły, księdza i siostrę miłosierdzia ze szpitala. Nie republikańska forma rządu, nie jej bezpieczeństwo wymaga tych środków; wymaga ich tylko rewolucyjna żądza i idea zniszczenia, wykorzenienia, chrześcijaństwa. Bezpieczeństwo zjednoczonych Włoch i ich królestwa, nie potrzebuje ani zaboru majątku Propagandy, ani stawianych heretykom posągów; służą one znowu tylko temusamemu rewolucyjnemu celowi. W innych krajach, gdzie stosunki nie dozwalają tak śmiałej otwartości, poprzestaje się na mniejszem. Na razie wystarczy ogłosić i w prawo wcielić zasadę, że wolność wyznań i sumień wymaga, by państwo jakie takie nie miało religii żadnej. Jest w tem zwycięstwo, i wielkie; jest zasada i fakt wyłączenia religii z życia społecznego i politycznego; a w szczegółach praktycznych pożytków także niemało, jak ten naprzykład, że władza duchowna pozbawiona exekucyi świeckiej, karność kościelną utrzyma trudniej; albo że małżeństwu odejmie się wobec prawa charakter aktu religijnego, sakramentu; albo, że pod pozorem równouprawnienia ludzie

chrześcijaństwu niechętni lub otwarci jego nieprzyjaciele, będą mieli przystęp do wszystkich zawodów i stanowisk, z których mogą bezpośrednio wpływać i działać na ludzkie uczucia, przekonania, i sumienia. Rzecz ciekawa, od państw z ludnością przeważnie protestancką nie żąda się, iżby się z religijnego charakteru wyzuły, czy że rządy tam silniejsze, czy że te wyznania racyonalizmu bliskie w chwili otwartej walki, nie będą miały dość siły, by chrześcijaństwa bronić. Państwa z ludnością i tradycyą katolicką, Austrya, Francya, Włochy, te mają być *bezwyznaniowe;* w nich ma być urzeczywistnioną zasada, że społeczeństwo świeckie i państwo nie ma nic wspólnego z Panem Bogiem, a Panu Bogu też nic do nich.

Ogromna przewaga niechrześcian w Europie, przez banki, przedsiębiorstwa i pożyczki, któremi wszystkie państwa trzymają w zależności od siebie, przez dzienniki, któremi trzymają w zależności opinie wszystkich krajów i narodów, to niby drugi korpus w tej armii, prowadzącej ukrytą, ale regularną wojnę z chrześcijaństwem.

Trzecim jest filozofia i nauka. Filozofia pozytywna czyli materyalistyczna nie wynalazła wprawdzie żadnej idei nowej; zakres jej pojęć i arsenał jej argumentów jest tensam, jaki był w wieku XVIII. Głębszą ani mędrszą nie stała się od tego czasu. Ale stała się szkodliwszą i niebezpieczniejszą w stosunku prostym do liczby czytelników. Diderot i Lamettrie miał ich daleko mniej, a miał bardziej wykształconych i myślących, niż mają ci, którzy dziś rozpowszechniają naukę Augusta Comte, robiąc ją płytszą, lżejszą, łatwiejszą do zrozumienia. A kiedy ta filozofia uderza w Boga, objawienie, duszę ludzką, i cały nadprzyrodzony porzą-

dek rzeczy, to pomagają jej inne nauki. Lingwistyka i krytyka tekstów dowodzi, że ewangelie są podrobione, czyli szturmuje do samej podstawy chrześcijaństwa, mierzy w Jezusa Chrystusa. Krytyka historyczna wydziela starannie z Jego żywota, z poprzednich dziejów Starego Zakonu i z późniejszych dziejów apostolskich, wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, Boski, a opowiada je jako prostą historyę polityczną, jak opowiadałaby historyę Fenicyi lub Kartaginy, albo jakąkolwiek zmianę odbywającą się w łonie rzymskiego państwa. W tem wszakże przerachowała się bardzo. Dziś wprawdzie działa na umysły i wiele z nich zaraża pojęciem chrześciaństwa jako mytologii, a jego rozszerzenia jako zwykłego historycznego procesu; ale z tego nie zdaje sobie sprawy, że swoim pozytywnym, realistycznym sposobem traktowania tych kwestyi i dziejów, ona mimowolnie chrześcijaństwu służy, robi je dla chrześcian samych widoczniejszem, dotykalniejszem, zrozumialszem. Odkrywając i objaśniając stronę ludzką tych spraw, ona sama o tem nie wiedząc, uczy poznawać, jak się myśl i wola Boża ludzkiemi środkami i stosunkami posługiwała, jak się do nich stósowała, a nad niemi panowała. Dzięki takim pisarzom, rozszerzenie chrześciaństwa staje nam w oczach wyraźniej, w całej swej rzeczywistości ludzkiej i praktycznej; a każdy nieuprzedzony, niezaślepiony, po przeczytaniu Renana utwierdza się w tem przekonaniu, jakie wyniósł z czytania Aktów Apostolskich, że ludzkiemi środkami, ludzką siłą, stać się to nie mogło. Znajdą się z czasem tacy, co z tej całej lingwistycznej i historycznej krytyki odbiją skorupy i żużle, a dobędą ukryte żyłki szlachetnego kruszcu prawdy, i złożą je

jak Trzej Królowie złoto w ofierze i hołdzie. A całej rzeszy wiernych wyjdzie to także na pożytek.

Lekką kawaleryę stanowi literatura wszystkich języków i rodzajów. Powieści i romanse, książki naukowe przeznaczone dla szerokiej publiczności, książki szkolne (zwłaszcza historyczne), napozór niezłe, naprawdę przesiąkłe duchem niekatolickim, książki dla dzieci, ładne, zabawne, nawet rozumne pod niejakim względem, tylko unikające starannie najmniejszej wzmianki o Panu Bogu, poezye wreszcie, wszystko to swoim sposobem pomaga do wielkiego dzieła: energicznie odrywa, albo łagodnie odwiązuje umysły i sumienia od chrześciaństwa. Dziennikarstwo wszelkich stopni i odcieni, od grubiańsko radykalnego, aż do poważnie i dyplomatycznie przyzwoitego, które religii nie zaczepia, oddaje jej niby wszelkie uszanowanie, tylko ją podkopuje, bo za przeciwną wolności i oświecie udaje — dziennikarstwo w milionach arkuszy dzień w dzień sączy po kropli w miliony umysłów nieufność, wątpliwość, niechęć, niewiarę, we wszystkich możliwych dozach i stopniach.

Walka „humanizmu z chrystyanizmem“ była zawsze, ale nigdy podobno tak wszechstronna i głęboka, tak uzbrojona w potężne środki, jak teraz.

Polska zaś wzięta jest we dwa ognie. Nie dość, że musi, jak wszystkie inne narody, bronić swojej wiary od powszechnego europejskiego ducha przeczenia, od tego ducha rewolucyjnego, który pracuje nad wytworzeniem anarchii w sumieniach, żeby anarchia w stosunkach łatwiej udać się mogła — musi jeszcze oprócz tego wytrzymać prześladowanie religijne, i to wszystko, co rząd rosyjski robi dla rozprzężenia i rozkładu Kościoła.

Dwie te dążności, rewolucyjna i rosyjska, spotykają się na tem polu i pomagają sobie nawzajam. Nic dziwnego, bo w istocie swojej jestto tasama zasada, tensam duch, w dwóch tylko różnych kształtach. Polska literatura i polska publicystyka bezbożna służy Rosyi (czy chce, czy niechce); a Rosya jej to odwdzięcza, kiedy jej zostawia wszelką wolność podkopywania wiary i Kościoła, a księżom i pismom chrześcijańskim odejmuje wolność i możność obrony.

Jak Polska zachowuje się w tej walce? Z pewnością nie dość rozumie jej naturę i jej niebezpieczeństwo; nie dość się broni, zbyt łatwowiernie i niebacznie daje się podchodzić.

Dlaczego tak? Łatwowierność, niebaczność, ta dobroduszna czy leniwa powolność, która lubi na złe oczy zamykać aż do chwili, kiedy ono ukaże się tak groźnem, że już przemódz go trudno, jest w naszym charakterze i w naszej krwi. Ale niebaczność w tej sprawie właśnie, nie z tego jednego źródła pochodzi. Jest ona skutkiem długiego psychologicznego procesu, i długotrwałego stanu (historycznego, żeby się tak wyrazić) naszych religijnych usposobień. Musimy sobie przywieść na pamięć tę wiarę i pobożność szczerą, poczciwą, nawet gorącą, ale nieczynną i mało oświeconą, jaką miała większość narodu w wieku XVIII. Taka ona była u świeckich, i taka u niższego (świeckiego czy zakonnego) duchowieństwa. Nad takimi wiernymi, pasterze, biskupi, do nich podobni: szczerze wierzący i pobożni nieraz, ale światowemi sprawami więcej niż dyecezyą zajęci, bierni, czasem wprost niedbali.

Na takie usposobienie padł zasiew i wpływ filozofii i literatury XVIII wieku. Szlachcic na wsi, albo

proboszcz, albo mnich z klasztoru, nie ulegał tym wpływom, które do niego nie dochodziły. Zasłyszał on coś ogólnie o tych zgorszeniach i żegnał się od nich krzyżem świętym; odżegnał się istotnie i został jakim był, ale się czynnie nie bronił, bo tej koniecznej potrzeby na sobie i swojem otoczeniu nie doświadczał. Sfery warszawskie i dworskie, ludzie bogaci i światowi, ludzie uczeni, ci za to poddali się tej filozofii tak skwapliwie i łatwo (i tak nierozważnie) jak niegdyś ich przodkowie w wieku XVI poddawali się protestanckim nowościom; a jak w owym czasie Uchański albo Drohojewski, tak teraz niejeden biskup uległ grasującej zarazie. Trudno jest oznaczyć rozmiary, a zwłaszcza głębokość naszego niedowiarstwa w końcu XVIII wieku. Było u nas wtedy, jak zawsze, dużo sprzeczności. Nie był bez wiary, ani nawet bez pobożności Stanisław August; Krasicki, na podstawie *Monachomachii*, a poniekąd *Doświadczyńskiego*, źle pod tym względem sądzony, jest lepszy od swojej reputacyi. Naruszewicz, zdaje się czasem taki przejęty poważnym kapłańskim i pasterskim duchem, że niewiedzieć, jak jedne jego słowa i pojęcia godzić z drugiemi. Przewodnicy Sejmu konstytucyjnego są wiernem odbiciem wyobrażeń i usposobień francuskich: w pozorach zachowują przyzwoitość, w duszy śmieją się ze starych przesądów, a dobra kościelne zabierają bez wahania. Jednak na samem czele Ustawy Trzeciego Maja mieszczą artykuł: „Religia katolicka jest panującą.“ Czy z popędu uczucia i wiary? czy tylko z przekonania politycznego, że jakaś panującą być musi, a może być tylko ta, do której należy większość narodu? U ludzi należących do ówczesnego „postępowego“ stronnictwa, u tych „francuzkich du-

chów," na które Kiliński tak się oburza i skarży, u sprawców warszawskich wieszań za Kościuszkowskiego powstania, musiało być podziwienie i małpowanie bezbożności francuskiego terroru, tylko nie dało się ani marzyć o tem, żeby w zacofanej Warszawie odprawiać nabożeństwa do bogini rozumu. U ludzi prywatnych, nie należących do historyi, a oświeconych, w najpoważniejszych zresztą i najgodniejszych rodzinach, lekkomyślna obojętność zafarbowana niedowiarstwem, jako znakiem wykształcenia i elegancyi. Aleksander Fredro opowiada w swoim pamiętniku nie bez zdziwienia, że kiedy był mały, rodzice jeździli w niedzielę do kościoła, ale o religijne uczucia i pojęcia dzieci nie troszczyli się wcale. To był stan zwyczajny, powszechny. W tej lekkomyślności i obojętności odzywa się czasem niespodzianie wiara i pobożność, i dowodzi, że w ich religijnem usposobieniu było wiele zwłaszcza niestateczności. Są między nimi uparci i zawzięci w niedowiarstwie, złośliwi i namiętni; ale w ogóle niedowiarek polski tego czasu jest raczej płochy i płytki, niż nienawistny i zły. Nawracał się nie trudno, umierał zwykle z sakramentami, czasem (jak Matuszewicz) nawracał się do wielkiej i budującej gorliwości.

Księstwo Warszawskie, wojny napoleońskie, ciągła styczność wojska a częsta ludności z Francuzami, zapał i uwielbienie dla wszystkiego co francuskie, musiały naturalnie utrzymywać i szerzyć między nami te religijne pojęcia, które we Francyi były najpowszechniejsze. W początkach naszego wieku zatem stan jest prawie takisam, jak był w wieku XVIII; nie jest on bardzo zły; ale jest mdły. A w tem znowu tkwią pewne niebezpieczeństwa i złe skutki. Złe nie było bardzo

straszne, więc opór przeciw niemu nie był bardzo energiczny raczej powolny i bierny. A jeżeli nasze religijne przekonania nie są dziś bardziej wyrobione i zahartowane, nasza gorliwość większa i czynniejsza, to w znacznej części jest skutkiem tego nie bardzo złego, ale letniego, mdłego usposobienia religijnego, w jakiem żyły pokolenia dawniejsze.

W tem ich usposobieniu daje się widzieć jedna cecha charakterystyczna. Niema w nich zupełnego braku wiary, ani zupełnego braku uczucia religijnego, tylko oni zdają się nie rozumieć tego, że ta wiara i to uczucie obowiązuje ich do pewnej zgodności między uczuciem a postępowaniem, do pewnego (chociaż) posłuszeństwa. Wszyscy naprzykład, nieraz szczerze wierzący i pobożni, należą do lóż wolnomularskich, choć Kościół katolikowi należeć do nich zakazuje; z tymsamym brakiem logiki z jakim należą do nich, choć w rzeczach świeckich mają przekonania stanowczo i silnie przeciwne wszelkiej rewolucyi. Inni znowu (lub cisami) są wierzący i pobożni, a rozwodzą się bez ceremonii. Ta nieznajomość i praw Kościoła i własnego obowiązku posłuszeństwa, musiała być bardzo powszechną i zakorzenioną, jeżeli dochodziła aż do biskupów, i to bardzo dobrych nawet. Woronicz był pełen gorącej wiary i rzewnej uczuciowej pobożności, był w życiu przykładny, cnotliwy, świątobliwy; a jednak nie wiedział, czy nie pomyślał, że nie miał prawa odprawić publicznego nabożeństwa w kościele katolickim za Aleksandra I schizmatyka.

Jednak między młodszymi a starszymi różnica jest znaczna. Grunt tradycyjnego polskiego uczucia i wpływ francuski, działają tu może wspólnie. Wpływ

nie de Maistra zapewne, tylko Chateaubrianda, ztąd skutek jego wywarty raczej na uczucia i wyobraźnie, niż na przekonania; ale dość, że to odrodzenie katolicyzmu, które się poczęło w Europie po rewolucyi francuskiej, ta odraza do bezbożności poprzedniej, objawia się i u nas. Pan Stanisław Grabowski, minister oświecenia, był rzadkim przykładem przekonań katolickich, nietylko bardzo wyrobionych, ale dążących statecznie do praktycznego objawu i wyrazu w życiu publicznem (był też bardzo ganiony i wyśmiewany); ale poziom uczuć religijnych podnosił się widocznie, przesąd bezbożności był zwyciężony. Przestano już wierzyć, że chcąc być rozumnym, trzeba myśleć jak Voltaire.

Podnosiło się za to między młodymi inne złe: nie bezbożność, ale niechęć do katolicyzmu. Z liberalnej opinii francuskiej, z niemieckich książek historycznych i filozoficznych, przesiąkało do nich to pojęcie, że Kościół katolicki jest przeszkodą do wolności, organem despotyzmu, warownią ciemnoty. Dawne pojęcia Voltaira i encyklopedystów, przyjęły nowy kształt. Literatura świadczy bardzo wyraźnie, że w ludziach, którzy byli młodzi w r. 1830, uczucie religijne było, ale połączone z takiem pojęciem katolicyzmu i z takim do niego u jednych żalem, *(Kordyan* Słowackiego), u drugich wstrętem *(Wacław* Garczyńskiego), u innych nienawiścią (Goszczyńskiego *Trzy Struny)*. W latach emigracyjnych, pod wpływami francuskiemi wzmaga się to naturalnie; ludzie nawet spokojni patrzą z podziwieniem lub pogardą na takich, co chodzą do kościoła; uważają ich za głupców albo za hipokrytów. W dwa kierunki rozszczepia się to usposobienie i wydaje dwa skutki: pospolitą, rewolucyjną nienawiść religii u ciem-

niejszych, płytszych i głębiej zepsutych — zerwanie z Kościołem i szukanie pociechy i prawdy w mistycznych naukach u głębszych umysłów i natur szlachetniejszych. Ale pośród tych dwóch kierunków zrodził się trzeci, i począł dążenie do katolickiego odrodzenia Polski. To ten, którego pierwszy zaród (przez Mickiewicza troskliwie hodowany, a później opuszczony) rozwinął się w Zgromadzeniu Zmartwychwstańców; za organ miał wymowę Kajsiewicza, a przez Kożmianów przeniesiony do Wielkopolski, tam naprzód się przyjął — jak niegdyś chrzest — i ztamtąd się rozszerzył. W emigracyi są początki naszego dzisiejszego stanu religijnego: po jednej stronie otwarta i namiętna rewolucyjna nienawiść chrześciaństwa (mówiąca czasem swoją drogą, że chce chrześciańskiej miłości i „rewowolucyjnego chrześciaństwa"), po drugiej, wyrabiające się z uczuć przekonania i zasady katolickie, lepsze zrozumienie Kościoła i należnego mu posłuszeństwa, rosnąca świadomość katolicka, oparta nie już na samem uczuciu, ale na zgodności przekonania z uczuciem, a woli z obojgiem.

Zasiew ten w Wielkopolsce przyjął się cokolwiek, w Królestwie i Galicyi nierównie mniej. Sama odległość, same materyalne trudności kommunikacyi, a większe od nich trudności komor i cenzur, sprawiały, że wszystko dochodziło tu później i słabiej; ale powodem ważniejszym było może samo wewnętrzne usposobienie ludności w tych krajach. Pod rządem rosyjskim Kościół łacińskiego obrządku skrępowany i oderwany od związku z Rzymem, materyalnie prześladowany nie był, ale prześladowania zawsze się obawiał. Zachowywał się więc jak najciszej, biernie. Biskupi, nie zasługujący na

żaden zarzut ciężki, byli do tej bierności przywykli, może przywiązani. Świeccy zachowywali tradycyjnie i wiarę i sumienie katolickie, ale myśleli o kwestyach religijnych mało, oświecać się w nich nie czuli potrzeby, czynnie działać nie mieli możności, a nie czuli ochoty. W Galicyi było podobnie, tylko może gorzej. Duch Józefiński działał tu bez przerwy od roku 1774 i nie mógł nie wywrzeć pewnego wpływu na duchowieństwo i na świeckich. Biskupi (a takich dobierano umyślnie) ulegali mu, nie domyślając się może, jakie w nim szkody i krzywdy Kościoła; duchowieństwo niższe, pod ich dozorem w seminaryach kształcone, nie wynosiło z nich ani dostatecznej znajomości Kościoła, jego istoty i dziejów, ani dostatecznego doń przywiązania. Świeccy, bez gorliwego i światłego pod tym względem kierunku i przykładu, zapadali naturalnie w niewiadomość coraz głębszą i w wygodną opieszałość. Prócz tego wpływ literatury niemieckiej, któremu konieczna znajomość tego języka otwierała przystęp, sprawiał, że przywykliśmy patrzeć na sprawy religijne przez niemieckie i protestanckie okulary. Młodzież szkolna, ucząca się historyi i stająca zawsze z zapałem po stronie, którą ma za dobrą, jak z Grekami przeciw Persom, z Niderlandami przeciw Hiszpanii, tak trzymała prawie zawsze przeciw Kościołowi, z jego nieprzyjaciołmi; a wrażenie w szkołach odebrane zostawiało ślad na dalsze życie. Ci nawet, co nie odstępowali ani wiary, ani praktyk religijnych, zachowywali zawsze jakieś do Kościoła uprzedzenia, zawsze on był podejrzany; we wszystkiem co robił, tkwiła niby jakaś myśl ukryta, a przeciw wolności myśli i sumień skierowana. Własne wpływy polskie, *Kursa* Mickiewicza

naprzykład, czytane z największem uszanowaniem, przyczyniały się także do tego skutku. Mniemało się z żalem, że Mickiewicz zbłądził, kiedy uwierzył w missyę Towiańskiego; ale przypuszczało się, że miał racyę, kiedy mówił, że Kościół stracił odwagę, o swojem powołaniu zapomniał, a względom świeckim pozwolił nad sobą wziąć górę. Stróż ludzkich sumień, Kościół, powinien być obrońcą spraw dobrych, a pogromcą wszystkiego złego; a gdy nie odpowiadał klątwą na każdy ucisk spełniony w Polsce, to oczywiście stracił ducha i jest zawsze Kościołem, ale Kościołem w upadku. A kiedy takie mieli pojęcia ci, co wiary nie stracili, owszem chcieli się jej trzymać do śmierci, to ci, którzy tej woli nie mieli, albo mieli ją słabszą, stanąwszy raz na tej pochyłości, staczali się aż na dno. Była więc religijność tradycyjna, ale zmięszana z rozmarzonym patryotyzmem u jednych; była u innych wielka uległość dla książek niemieckich filozoficznych i historycznych; u tych, którzy mieli związki krwi lub zażyłości z rodzinami urzędniczemi, była józefińska, przyzwoita obojętność i niedbałość; i było w duchowieństwie wyższem kościelnego ducha niewiele, w niższem nie dosyć jego znajomości, i nie dosyć wykształcenia.

Po roku 1848 zaczęło się to zmieniać, ale bardzo powoli i nieznacznie. Katolik pobożny nie był rzadkim, ale zahartowany w swoich przekonaniach, i rozumiejący, czem jest Kościół, jak Helcel, jenerał Chłapowski, Mann, Lubomirski, Leon Rzewuski, był wyjątkiem. W owych latach nie był jeszcze takim wyjątkiem Kalinka. W roku 1859 rozumiano, że Pius IX nie wypowiada wojny Austryi; ale nie rozumiano, czemu się za jednością Włoch nie oświadcza: a kiedy po zaborze

posiadłości kościelnych protestował, opłakiwano jego zaślepienie i sądzono dobrodusznie, że Kościół wtedy dopiero swobodnie odda się sprawom wiary i zbawienia dusz, kiedy z niego zdjęty będzie ciężar spraw świeckich i świeckiej władzy. A kiedy niektórzy, jak właśnie wspomniany Helcel i Mann, albo ksiądz Kajsiewicz, tłómaczyli, że nie o łupinę chodzi, ale o sam orzech, nie o władzę świecką, ale o władzę, jedność i istność Kościoła, że po rozbiciu tej łupiny przyjdzie kolej na orzech, nie wierzono i ruszano ramionami na „klerykalne urojenia i przesady". *Przegląd Poznański* był *ultramontańskiem* pismem, do czytania za ciężkiem, a w dążnościach swoich podejrzanym.

Usposobienie takie, dziś jeszcze wcale nie rzadkie (żeby nie powiedzieć bardzo częste), przed laty trzydziestu było prawie powszechnem. A jednak duch i poziom religijny w narodzie był już wtedy bardzo zmieniony i bardzo podniesiony, choć ten naród sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Rzecz od chrztu Mieczysława nie widziana, zdarzyła się po raz pierwszy. Nigdy przez wszystkie wieki naszej historyi nie wyszło ze społeczeństwa polskiego nowe zgromadzenie zakonne. Teraz, za przykładem Kajsiewicza i Semenenki, powstało ich w krótkim przeciągu lat więcej. Prawda, że były tylko żeńskie, ale były i odpowiadały istotnym żywotnym potrzebom społeczeństwa; Felicyanki służyły ubogim, nauką i pielęgnowaniem chorych; Służebniczki służyły ludności wiejskiej, pilnowaniem i uczeniem dzieci i swoim przykładem; Siostry Niepokalanego Poczęcia służyły majętniejszym i oświeceńszym, przez kształcenie i wychowanie dziewcząt. Nigdy dotąd duchowieństwo polskie nie okazało powołania i popędu

do trudnej, najeżonej poświęceniami pracy misyonarskiej u ludów innej wiary; teraz Zmartwychwstańcy po nawróceniu części Bulgarów, poszli ich utwierdzać w wierze, oświecać, wychowywać im księży, a za morzami zakładali parafie, dla pozbawionych nabożeństwa i Sakramentów różnych Słowian i Niemców w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Literatura i nauka kościelna w wieku XVIII i prawie do połowy naszego tak zaniedbana, zaczęła żyć na nowo, a kościelna wymowa weszła w drugą u nas swoją złotą epokę przez Kajsiewicza, otoczonego mniejszymi, ale nie małymi kaznodziejami, jak ksiądz Antoniewicz, Prusinowski, Golian. Pomimo więc wszystkich przeszkód i trudności, grunt katolicki, który pod nami dzięki Bogu został, użyźnił się, ożywił i wydał plony dawno, a niektóre nigdy nie widziane.

Duch przeciwny naturalnie nie spał. Od chwili jak zwrot katolicki począł się na emigracyi, ścigał go swojem prześladowaniem, a między wszystkimi u nas od wieków czernionymi i szkalowanymi, mało kto zniósł tyle i tak bolesnych potwarzy, jak ksiądz Kajsiewicz i jego zgromadzenie.

Taka byłaby w krótkich słowach i jednym pobieżnym rzucie oka, historya naszych usposobień religijnych, aż do ostatnich lat dwudziestu pięciu. A jakiż jest ich stan obecny?

# W CHWILI OBECNEJ.

Do dawniejszego podobny, tylko pod wpływem wypadków, które zmieniły stan religijny całego świata, różnice i dążności wyraźniej się oddzieliły i wystąpiły. Zabór Rzymu, prześladowanie Kościoła, nie krwawe, ale bardzo rzeczywiste we Francyi i we Włoszech, w Niemczech *Kulturkampf*, w Austryi zniesienie konkordatu i bezwyznaniowość państwa — w Polsce prócz tego prześladowania rosyjskie, to praktyczne wypadki i fakta, w tym najnowszym okresie historyi Kościoła. Z niemi zaś schodzi się wielki postęp niechrześcijańskich pojęć i namiętności w społeczeństwach europejskich przez naukę, literaturę i prasę. Metafizyczna filozofia z pierwszej połowy naszego wieku, była ciężka, wymagała natężenia i mozołu od tego kto ją czytał, działała więc szkodliwie, ale na mniejszą liczbę umysłów. Szerokiego rozpowszechnienia z natury swojej mieć nie mogła. Dzisiejsza filozofia pozytywna, zwłaszcza w przerobionych dla powszechnego użytku podręcznikach, jest do zrozumienia łatwa. Nie trzeba myśleć; wystarczy przeczytać, żeby schwycić i zapamiętać, co w niej jest. Dawid Strauss był także ciężki

i nudny, a książki Renana są do czytania przyjemne i ponętne. Nie trzeba zaś nawet i tego małego natężenia, jakiego żąda książka; dzienniki w streszczeniach lub krytykach podadzą każdemu tosamo w małych rozmiarach, i z nich, kto zechce, przyswoi sobie w kilku minutach *ostatnie wyniki umiejętności*. Pism i czytających jest też nierównie więcej niż przed trzydziestu laty. I tak, kiedy wypadki waliły w Kościół z dział najcięższego kalibru żeby go zburzyć, wpływy nauki, literatury i prasy ryły i ryją pod nim, żeby w umysłach i sumieniach podkopać jego podstawy.

Wszystko to musiało naturalnie dodać odwagi i siły nieprzyjaciołom chrześcijaństwa w Polsce. Mamy ich też różnego rodzaju, a wszystkie te gatunki i odmiany, które są zagranicą, powtarzają się (w mniejszych tylko rozmiarach i liczbie) i u nas.

Czytając co piszą, słuchając co mówią, i z różnych a licznych oznak usiłując zrozumieć jaki jest sam grunt myśli u ludzi, którzy wierzyć nie umieją lub nie chcą, dochodzi się do przypuszczenia (może mylnego), że z pojęć niechrześcijańskich najpowszechniejsze u nas wśród ludzi wykształconych, są następujące:

„Żadna religia nie jest prawdziwą; wszystkie od najstarszych znanych i najgrubszych, aż do chrześciaństwa, są wyrazem i formą tychsamych wrodzonych uczuć i potrzeb ludzkiej natury. Ta forma, z postępem czasu staje się zwykle szlachetniejszą, podlega ona także pewnemu prawu ewolucyi; ale we wszystkich ile ich było i jest, tkwią, obok wrodzonego i poniekąd prawdziwego popędu, tesame błędne pojęcia w różnych tylko odmianach i proporcyach. Prawdy niema w żadnej z nich. Ale tylko religie są fałszywe. Ten

wrodzony popęd, to uczucie, które je tworzy, czyli religijność, ta jest prawdą i zawsze prawdą zostanie". Taka jest najogólniejsza formuła dzisiejszego deizmu: odpowiada ona doskonale dzisiejszym upodobaniom filozoficznym, pozwala uważać chrześcijaństwo za wyższą formę indyjskich, egipskich i greckich mythologii, a zarazem pozwala nie mieć się za bezbożnego, uspokaja sumienie, spłaca swój hołd czy dług „wrodzonemu i prawdziwemu popędowi religijności".

Im częściej spotyka się te pojęcia, tem trudniej jest zrozumieć, jakim sposobem umysły logiczne i zdolne zastanowienia, nie spostrzegają widocznej i rażącej w nich sprzeczności. Jeżeli bowiem (jak mówią) religijność jest prawdą, to prawdą także musi być jej przedmiot, Bóg. Inaczej ona byłaby bez przedmiotu i celu, nie służyłaby i nie prowadziłaby do niczego, czyli nie byłaby prawdą, tylko jakiemś urojeniem i popędem marnym. Jeżeli zaś prawdą jest religijność, i prawdą jest Bóg, początek wszystkiego co jest, to nie może już być inaczej, tylko stosunek między temi dwoma czynnikami, tem uczuciem i tym przedmiotem, czyli Religia, musi znowu być prawdą. Nie może znów być (dalej) iżby wszelkie jakie być mogą pojęcia tego stosunku były zarówno prawdziwe: prawdziwem może być tylko jedno, a wszystkie które od tego jednego odstępują muszą być mniej lub więcej ale wszystkie koniecznie fałszywe. Wynika to również koniecznie z istoty samego Boga. Jeżeli On jest początkiem wszystkiego a zatem i tego wrodzonego w człowieku popędu, który nasi deiści nowocześni nazywają religijnością, to znowu nie może być inaczej, tylko ten Bóg musiał temu swojemu stworzeniu, człowiekowi, wskazać, jak On sam (Bóg)

stosunek ten wzajemny pojmuje i jakim go mieć chce. Inaczej Bóg byłby jakąś istotą i mocą obojętną — a raczej złośliwą — stwarzającą człowieka i jego duszę bez celu, lub nie dającą mu środków do zrozumienia i do osiągnięcia tego celu. Jeżeli więc prawdą jest religijność, to prawdą musi być Bóg, jeżeli prawdą jest Bóg i religijność to prawdą musi być i religia, a tylko jedna prawdą być może. Jeżeli prawdą jest religijność, Bóg, i religia, to ta religia musi być objawioną i tylko ta jedna prawdziwą być może.

Rozumowanie tak proste i jasne, że nie zrobi go ten tylko kto nie chce. I w tych słowach *nie chce* tkwi podobno rzetelny powód niedowiarstwa. Nie chce się wierzyć, że jakaś religia jedna musi być prawdą, bo przyznawszy to trzebaby już koniecznie przyznać objawienie i chrześcijaństwo. Przyznawszy zaś jedno i drugie, w dalszym następstwie wypadłoby koniecznie i logicznie przypuścić i uwierzyć, że skoro jest prawda religijna jedna i objawiona, to gdzieś musi być jej całość, straż tej całości i organa przeznaczone do jej strzeżenia, objaśniania i nauczania, czyli Kościół. Ktoby zaś przypuścił kościół, musiałby w dalszem następstwie logicznego rozumowania przypuścić i posłuszeństwo temu kościołowi jako swój obowiązek. Przeciw tej ostatniej konsekwencyi broni się i buntuje instynktowo tysiące pierwiastków i sił natury ludzkiej, i przeczy objawieniu i chrześcijaństwu, a wikła się w oczywiste i błahe sprzeczności deizmu, dla tego (często bezwiednie) żeby tego posłuszeństwa nie uznać i nie przyjąć.

To jest, jeżeli się nie mylimy, najczęstsza dziś u nas podstawa i forma niedowiarstwa, dowolnego jakiegoś deizmu. Formą drugą jest ateizm zupełny, oparty

na filozofii materyalistycznej, w różnych stopniach otwartości i namiętności. W indywiduach występują te pierwiastki w rozlicznych i przeróżnych kombinacyach i permutacyach, i wydają tysiączne odmiany i exemplarze, które znowu dadzą się mniej więcej zaliczyć do kilku typów podstawnych i głównych.

Jest więc naprzód anti-religijny radykał, namiętny i gwałtowny. Ten od pół wieku postąpił znacznie. W dawnem Towarzystwie Demokratycznem bluźnił przeciw Bogu, a księżom „obskurantom“ groził „zemstą ludu,“ ale ograniczony, ślepy i zaciekły, nie był na wskróś i do gruntu bezbożnym. On jakiegoś Boga przypuszczał, czuł nad sobą, i myślą nieraz się do Niego zwracał, w marnem ale nieraz szczerem złudzeniu że Mu służy. Oczywiście, on był ojcem dzisiejszego wroga chrześciaństwa; tylko ojciec był lepszy od syna. Ten w skutku i wypadków, i literatury na której się kształcił, i wreszcie tej natury rzeczy, mocą której po złem niewstrzymanem następuje gorsze, jest religijnym nihilistą. Dla takiego niema nic, nad światem, w świecie, ani w nim samym, prócz tego, co zmysłami swemi może poznać, sprawdzić i pożądać — z jednym tylko wyjątkiem: nienawiści wściekłej do Kościoła. Gwałtowny w temperamencie i we frazeologii, albo wystygły i powolny, tę namiętność on ma, i cieszy się, że przez nią podobny jest do radykalistów francuskich — nie wiemy, czy cieszy się równie z niezaprzeczonego podobieństwa do nihilistów rosyjskich. Nie odbywa jak jego współwyznawcy zachodni obrzędów swojej nowej religii (jak naprzykład parodya chrztu, przez którą niemowlę polane czerwonem winem, przyjęte jest na łono tego nowego kościoła), nie zakazuje dzieciom ślu-

bów kościelnych, nawet publicznych pogrzebów bez księdza demonstracyjnie biedny urządzać nie może. Na to wszystko jeszcze w zacofanym kraju zawcześnie! Ale pisze artykuły dziennikarskie, książki, wiersze, sztuki teatralne, i w nich szerzy swoje *zasady*, a nieraz w swojem życiu okazuje ich zastósowanie i przykład. Ten niezawsze jest socyalistą, i gdyby „współbracia“ próbowali dobrać się do jego kieszeni, uznałby, że żart niesmaczny, a konsekwencya zasad takiej ofiary po nim nie wymaga. Jednak najczęściej i najgłośniej, odzywa się ten religijny nihilizm w pismach tych ludzi, którzy do rewolucyi socyalnej wzdychający albo wciągnięci, są na prostej drodze do nihilizmu zupełnego i na wszystkich polach.

Drugi znowu, to filozof, mędrzec wyższy nad wszelką namiętność. On nienawiści niema do nikogo i niczego; przeciwnie, on ma tylko miłość, a co robi, to zawsze i jedynie z miłości. Jest taki szlachetny i wzniosły, że wszystkich kocha, nawet przeciwników; taki mądry, ze wszystko rozumié, tłómaczy, wybacza. Ta miłość powszechna jest jego szczęściem; gdyby nienawidził, czułby się już nieszczęśliwym, a szczęśliwym być chce i ma prawo. Ta jego miłość, to także postęp i szczęście ludzkości, bo on przez nią dźwignie to całe plemię do braterstwa powszechnego i uszczęśliwienia. Tylko, jeżeli kto stanie na drodze jemu i jego idei, to naturalnie usunąć go musi! Sama ta miłość nakazuje mu iść naprzebój i w środkach nie przebierać, bo inaczej zdradziłby sprawę ludzkości. „Kto godzi w cel, ten środków się jak strzał zatrutych chwyta“ — a „złe nie złem, brud nie brudem, zbrodnia nie zbrodnią, kiedy przez nie dąży się do wszech-ludzkości“. Zresztą złego,

[illegible]

Dalej jest polityk, umiarkowany i cywilizowany,

który żadnych gwałtownych namiętności, ani przewrotnych pojęć niema, owszem, takiemi się brzydzi: żadnej wiary znosić, ani nawet krzywdzić nie myśli; wie doskonale, że w społeczeństwie ludzkiem dla porządku jakaś religia jest potrzebna, a sądzi, że ze wszystkich dotąd wynalezionych, chrześcijańska jest najlepsza. Gotówby może nawet być katolikiem z przekonania, gdyby nie to, że ta religia żąda od swoich wyznawców wiary w pewne artykuły i dogmata. To przecież zbyt oczywiście nie zgadza się z wolnością myśli i sumienia, to jest przeciwne prawom człowieka. Jakże można stawiać kwestye tak absolutnie i mówić: jeżeli w to, lub owo nie wierzysz, to nie możesz należeć do mego Kościoła! Wyznania protestanckie wprowadziły w chrześciaństwo poprawkę bardzo potrzebną, i dla tego reformacya była faktem błogosławionym, który wyswobodził ludzkość z więzów, krępujących myśl i wolność. Co się zaś tycze stosunków społecznych i politycznych, to rzecz jest jasna, że skoro państwo ma obywateli wszelkich wyznań, a ci obywatele mają wszyscy równe i tesame prawa, więc gdyby ono przyznawało się do jednego z tych wyznań, krzywdziłoby przez to i upośledzałoby wszystkie inne. Zatem państwo bezwyznaniowem być musi. W szczególności zaś katolickiem państwo dlatego być nie powinno, że ten Kościół nie ma tego wyrozumienia i światła, co protestanci, i chce zawsze mieć w państwie jakieś prawa swoje i dla siebie, na co znowu zasada zwierzchności państwa pozwolić nie może. Ten umiarkowany i cywilizowany polityk, ten człowiek liberalny, który nikogo prześladować nie chce, bo trzyma się sumiennie świętej zasady wolności, równości i sprawiedliwości, może się sam tego

niezawsze domyśla, ale bardzo rzeczywiście podkopuje wiarę, krępuje sumienia, a Kościół katolicki podkopuje a nawet prześladuje. Bynajmniej nie rewolucyjny — a kiedy ma stanowisko wygodne, śmiertelnie nienawidzący i bojący się rewolucyi — on jej pomaga i służy, bo przez to pomięszanie wszystkich religijnych pojęć i zasad, wyznaje i uczy, że prawdy religijnej w istocie niema żadnej, że wszystkie są równie prawdziwe, albo równie urojone. Wprowadza więc i proteguje religijną obojętność, za którą w dalszem następstwie idzie koniecznie religijna anarchia. On to, w imię wolności i sprawiedliwości zawsze, wymyślił wychowanie bez wyznania; i we Francyi je szczęśliwie w życie wprowadził. On starł, ile mógł, charakter sakramentu z węzłów małżeńskich, robiąc je prostym cywilnym kontraktem; bardzo nielogiczny, jeżeli nie dopuszcza rozwodów, bo dlaczego ten kontrakt nie miałby módz być rozwiązanym, jak każdy inny? On na zasadzie wolności i równości utrzymuje, że człowiek innego wyznania, protestant lub żyd, ma prawo nauczać religii katolickiej tak samo, jak katolik; a katolik, któryby przeciw temu protestował, gwałciłby prawa człowieka. Nie mnożymy przykładów, bo gdyby je wyliczać, nie skończyłoby się nigdy. Dodamy tylko pytanie, czy on jest istotnie sprawiedliwym, czy ma jedną miarę dla wszystkich? czy nie przepuszcza innowiercom takich zniewag, lub krzywd, zadanych uczuciom katolickim, za jakie katolików z pewnością pociągałby do odpowiedzialności? i czy to nie jest już przywilejem jednych, upośledzeniem, jeśli nie prześladowaniem drugich?

Obok burzenia Kościoła środkami gwałtownemi,

rewolucyjnemi, jest powolne i łagodne rozkładanie go środkami racyonalistycznego liberalizmu.

Wszystkie te rodzaje nieprzyjaciół wiary, jak mają swoje typy główne, tak mają wielkie mnóstwo pośrednich, mięszanych, w których te pierwiastki połączone są w różnych proporcyach, i naturalnie mają mnóstwo każdy swoich adeptów. Jeden ma ich dotąd dzięki Bogu najmniej. To ten, który za tamtymi postępuje, z ich robót i przygotowań korzysta, i mówi: „Skoro wszystkie religie są obojętne, skoro Kościołowi katolickiemu i tak wierni nie jesteście, a na tej niewierności zasadzacie waszą chlubę i zasługę, to zróbcież już jeden krok więcej, a taki, który przynajmniej na coś się wam przyda. Możecie być pewni, że jak się raz tego Kościoła wyrzeczecie, to rząd rosyjski nie zawaha się przywrócić wam niektórych praw politycznych. Przejdźcie na schizmę! Co wam to szkodzi? *Paris vaut une messe;* dla was różne warunki życia narodowego powinny być co najmnie tyle warte, ile ta wiara, w którą sami nie wierzycie. Są, co prawda, inni, którzy wierzą, jest ich nawet dużo; ale jak z jednej strony dojdą do rozpaczy, a z drugiej przekonają się, że to główna zawada do lepszego losu, jak rozumni ludzie dadzą im dobry przykład, to kto wié“.....?

Czy tacy zupełnie nigdy nie znajdą posłuchu? czy rozpacz nie otworzy i tej pokusie przystępu do jakiego serca słabego? Spodziewamy się, że nie.

Mniej czy więcej z sobą połączona, prowadzi ta nierycerska i nie krzyżowa armia wojnę z chrześciaństwem systematyczną i nie bezskuteczną. Na część znaczną społeczeństwa wpływa ta propaganda widocznie; młodzież nieraz tak się głośno popisuje swoją wyższo-

[illegible] zwątpić. [illegible] dojrzewa. [illegible] z stanu już na całe [illegible] w swoim organizmie [illegible] szkodliwem. [illegible] a wojna [illegible] nie jedna [illegible] przeszkadzane [illegible] wszystkich [illegible] wypadkiem [illegible] szczęśliwym: [illegible] przed niemi drogi. [illegible] ale w jego wła- [illegible] jakby [illegible] przeciw [illegible] przeszkadzania [illegible] się kre- [illegible] nie [illegible] tego [illegible] krzyk [illegible] i [illegible]. [illegible] przeszkodzić nie można: [illegible] zawsze podkopując [illegible] przeszkadzaniem. Ale co za [illegible] O [illegible] więcej postąpiłaby [illegible] gdyby [illegible] na jej usługi cały zasób namiętności, jaki [illegible] To [illegible] mogą sobie pozwolić tylko wyjątki. [illegible] takie, jak warszawska [illegible] które pod względem reputacyi nie mają nic do stracenia. Inni muszą politykować, dyssymulować i namawiać się w zapędach! Ale umieją powetować to sobie innym sposobem. Jeżeli nie mogą na prześladowany Kościół uderzać, to mogą przynajmniej nad nim się użalać: brać go w obronę przeciw papieżowi, który zaniedbuje swoje względem niego obowiązki,

nie ratuje podlaskich unitów naprzykład. Uboczną drogą wprawdzie, ale zawsze zrobi się krok do celu. A skoro uczucie religijne narodu nie pozwala nam uderzać na Kościół tak dzielnie, jakbyśmy chcieli i potrafili, to niechże przynajmniej jego uczucie polskie przyda nam się na to, by w nim zaszczepić nieufność i żal do Kościoła i papieża. Zawsze to coś, a więcej w tej chwili zrobić się nie da: *ad impossibilia nemo obligatur.*

Jest i druga przeszkoda ciężka, nieznośna, to prawowierność i pobożność głupiej massy narodu, a zwłaszcza wiejskiego ludu. Poradzić na nią prędko nie można, więc trzeba jej się akkomodować i schlebiać. Święta wiara, katolickie tradycye narodu, przedmurze chrześciaństwa, Matka Boska Częstochowska, wszystko to powtarza się i figuruje często w niechrześciańskich pismach, owszem, wystawiane bywa na widok ostentacyjnie: to wędka, na którą się głupie ryby łatwo dadzą złapać, flaga, pod którą się przemyci broń i amunicyę potrzebną do arsenału religijnej i społecznej anarchii. Nasi rewolucyoniści, kiedy przed nami grają rolę katolików, robią to, co robił (nie porównywując i nie obrażając wielkiej fikcyjnej postaci), Irydion Krasińskiego, kiedy przyjmował chrzest, krzyż zawieszał na piersiach, a Biskupa pokornie i słodko nazywał ojcem. Tylko jest ta różnica, że on dla dobrej sprawy w dobrej wierze tragicznie zdradzał, a oni w złej wierze dla złej sprawy nikczemnie oszukują.

Niemniej to co robią, jest zbrodnicze i zgubne; a stan religijny narodu nie był nigdy tak niebezpieczny jak dziś, chyba przed trzema z górą wiekami, kiedy wicher reformacyi rzucał iskry i głównie nowych nauk na nasze drewniane czy słomiane dachy, i wznie-

cił ten pożar, w którym istotnie nasza wiara mogła była spłonąć. Stan jest podobny. Takasama ciekawość i skwapliwość, takisam zapał i łatwowierność dla nowości, dlatego że jest nowością; takasama niesprawiedliwość względem Kościoła, którego obrony wysłuchać i poznać się nie raczy; tasama przeciw niemu namiętność, a zaślepiająca się samochcąc i odurzona własnym krzykiem; tasama gwałtowność wrażeń a niejasna świadomość przekonań; tasama wreszcie rozmaitość pojęć i nauk, aż do najskrajniejszych, najdalej od chrześciaństwa odsuniętych. A jak wtedy wielka część senatu i szlachty, tak dziś wielka także ludzi oświeconych, rwie się naślepo do nowości. Tylko dzisiejszy nieprzyjaciel jest od ówczesnego gorszy. Reformacya nie była bezbożną, nie wypierała się objawienia i chrześciaństwa (choć bezwiednie dała początek ich negacyi). A i szkodliwość skutków dziś może być większa. Rozterk religijny XVI wieku jako zapalił i zawichrzył umysły, odwrócił je od potrzebnego, pożądanego, poczętego dzieła poprawy Rzeczypospolitej, i tę wielką sprawę tak zawikłał i zasłonił kwestyami religijnemi, że zeszła na drugi plan, i skończyła się marną, błahą, połowiczną exekucyą roku 1564, a ostatecznie elekcyą roku 1573, i paktami, czyli przyczynił się bardzo do rozprzężenia i rozkładu państwa. Dziś polskiego państwa niema, ale jest jeszcze rzecz ostatnia do ocalenia lub stracenia — polska dusza; i tej rozprzężeniem i rozkładem może się skończyć teraźniejsza na naszej ziemi „walka humanizmu z chrystyanizmem,“ gdyby chrystyanizm był w niej pobity.

A obrona czy jest? czy rychlejsza niż wtedy, a równie dzielna? czy okaże się równie skuteczną?

Nie może być zupełnie złym stan religijny narodu,

skoro on w czasie krótkim wydał z siebie cztery nowe zakony, przez nie swoje religijne działanie nawet nazewnątrz posunął, literaturę kościelną znacznie ożywił i podniósł, skoro z dawnych zakonów jedne uczuły potrzebę odrodzenia się przez ściślejszą obserwacyę swojej reguły (Dominikanie i Bazylianie), inne, przeznaczone do bezpośredniej styczności ze społeczeństwem świeckiem (Jezuici i Missyonarze) rozwijają na tem polu czynność niestrudzoną i wielostronną. Dobór biskupów jest tak szczęśliwy, jak nie był od czasów bardzo dawnych, a grunt religijnego życia, wiara w ludzie, jest dotąd mimo prześladowań rosyjskich, mimo naszej długiej opieszałości, i mimo usiłowań (dziś już widocznych) naszych anarchistów, jeszcze silna i pewna. Jest więc nasz stan pod tym względem, stan usposobień a po części i stosunków, lepszy, niż był przed pół wiekiem; i są, nie pod rządem rosyjskim oczywiście, ale w Galicyi, liczne po temu i sprzyjające warunki, żeby ten stan poprawiać i podnosić. W Wielkopolsce jest mniej niż u nas swobody, ale za to więcej wyrobienia i oświecenia, więcej świadomej woli, zatem i tam niema braku tych warunków.

Czy się z nich korzysta jak należy? Wiemy już wszyscy z mnogich doświadczeń, że dobra sposobność opuszczona i nie zużyta, nietylko nie wraca, ale jeszcze mści się na tych, którzy z niej nie skorzystali. Mamy zaś obawę, że tu w Galicyi, jak na polu społecznem i politycznem, daliśmy przez niedozór wzróść i szerzyć się anarchii, choć mogliśmy doskonale wstrzymać ją i poskromić w początkach, tak podobnego grzechu zaniedbania i opuszczenia możemy się dopuścić i na polu religijnem.

Z tego głównie powodu, że nie dosyć zdajemy sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Zdaje nam się, że kiedy niema otwartego prześladowania, kiedy nikt nie zakazuje ani nabożeństw, ani nauk, ani lekcyi religii w szkole, ani zewnętrznych obrzędów, i skoro liberalne dzienniki jawnie religii nie zaczepiają, to wszystko jest dobrze i obawiać się nie ma czego. Takie jest wrażenie czy uczucie większości wiernych, a nawet niektórych duchownych. Nie biskupów oczywiście; ani tych zakonów, o których była wzmianka wyżej, ani duchowieństwa świeckiego niższego, kiedy jest umysłem i uczuciem wysokie. Ale społeczeństwo świeckie jest z natury skłonne do tego, żeby na złe oczy zamykać, dopóki się ono bardzo groźnie nie objawi, a dla spraw kościelnych jest raczej obojętne. Może to nie jego wina nawet, tylko skutek okoliczności, wpływów i stosunków, w jakich się chowało: długiej opieszałości biskupów naprzykład, za którą poszła bierność i senność duchownych i w dalszem następstwie świeckich; dalej tego usposobienia mdłego bez przekonań i zasad, a małego lub żadnego religijnego wykształcenia, które było u nas stanem chronicznym przez ciąg paru pokoleń co najmniej. Dalej ten powszechny w Europie stan umysłów i stosunków, który sprawiał, że życie religijne zostawało na boku, ze świeckiego wydzielone, że się o niem mało mówiło i słyszało, o nie mało troszczyło. System józefiński znowu, jak utrzymywał wiele rodzin (zwłaszcza urzędników) w nieświadomości i obojętności religijnej, tak w duchowieństwie także, choćby samą siłą przyzwyczajenia, obniżył pojmowanie swego stanowiska i powołania. Literatura (a zwłaszcza niemiecka), działała tu także, bo (jak wspomnieliśmy wyżej) sączyła u nas po kropli

przekonanie, że Kościół jest z natury swojej przeciwny wolności, a władzy swojej zawsze skłonny i gotów nadużyć do prześladowania.

Te wszystkie wpływy sprawiły, że katolik w Galicyi jest w uczuciach letni, a w przekonaniach nie wyrobiony. Ma on w rzeczach religijnych, jak we wszystkich innych, zwykłą polską nczuciowość i wrażliwość; lubi i potrzebuje być od czasu do czasu rozczulonym i wstrząśniętym; gotów serdecznie wypłakać się w kościele, kiedy się okazya zdarzy; ale jego dobre uczucie nie wyrobiło się jeszcze na charakter, jego temperament lubi i w tem miły wczas i bezczynność, a jego umysł żywy ale zmienny, nie lubi długo zajmować się jednym przedmiotem, ani ciągle go mieć na pamięci. Usuwa też od siebie te zagadnienia przykre; nie do niego należy ani od niego zależy rozwiązywać je i rozstrzygać; nie zastanawia się więc nad niemi, i mówi sobie (jak o wielu innych rzeczach) „jakoś to będzie“. Znajomości swojej wiary i religijnego wykształcenia, ma wcale nie dosyć. Można śmiało twierdzić, że dzieł, a nawet broszur i artykułów w przedmiotach religijnych, czytuje bardzo mało (jeżeli jakie czytuje); i to nie obcych nawet, francuzkich albo niemieckich, ale polskich, które czytaćby powinien przez samą ciekawość, przez wzgląd na swoje wykształcenie polskie, choćby dla przyjemności wreszcie i dla tego rozczulenia, które lubi; nawet tych nie zna. Na stu ludzi oświeconych i katolików chodzących do kościoła, jeżeli pięciu zna kazania Kajsiewicza, to dobrze; a przecież to, nie mówiąc o ich stronie religijnej, jedna z wielkich ozdób i chwał naszej literatury. O znajomość dziejów Kościoła, a ztąd o zrozumienie prawdziwe jego stanowiska w naszym ludzkim świecie, lepiej wcale nie

pytać, bo odpowiedź mogłaby prowadzić do odkryć niezbyt przyjemnych. Z tego zaś skutek naturalny, że jego katolicka świadomość, choć nie wywietrzała zupełnie, to się osłabiła, zaciemniła, wzmocnić nie mogła.

Do tego przybywa jeszcze nasz polski wstręt do przepisów i reguł, nasza samowolna natura nie lubiąca zakazu, i często u nas niepamięć o potrzebnej zgodności między uczuciem i przekonaniem, a postępowaniem. Zagł znowu pochodzi, że w Kościele nie podoba nam się jego natura i jego atrybucye władzy, a nakaz jego jest nam niemiły, jako niby ograniczenie naszej osobistej wolności. Nie bez tego takie, zdybiemy czasem nie pytali „na co też to ten lub ów przepis albo zwyczaj, to nie potrzebne, to nie ma logicznego uzasadnienia;“ a że do samowolności jesteśmy skłonni, że posłuszeństwo nie jest dla nas najłatwiejszą z cnót, więc w takich razach dajemy sobie sami dyspensę, i nie zachowujemy przepisu, który nam do przekonania nie trafia. Nie myślimy wchodzić w niczyje sumienie i pytać, czy kto zachowuje religijne praktyki i kościelne przepisy; ale pozwolimy sobie zrobić jedną uwagę, zupełnie świeckiej natury. Gdzie we dworze nie pości się w piątek, opuszcza mszę w niedzielę, a sakramenta nawet raz w rok około Wielkiej Nocy, tam wieś się dziwi, gorszy, i do takiego dworu wiele ufności, dla niego wiele szacunku nie ma. W miastach dyspensy takie (podobno wcale nie rzadkie) swoim złym wpływem i skutkiem nie przekraczają przynajmniej po za dom i rodzinę; ale na wsi szkodzą nawet praktycznie powadze i stanowisku obywatela. A czyż trzeba dodawać, że mogą zaszkodzić i wsi — moralnie, bo mogą być dla niej złym przykładem.

Ten gatunek nie jest bez wiary, bez religijnego uczucia, tylko bez logiki i przekonań. Jest zaś inna odmiana polskiego katolika, rzadsza, ale może gorsza, katolik polityczny, który ma właśnie więcej przekonania, aniżeli uczucia i wiary. Ten władzę Kościoła uznaje, i wszystkich chciałby jej poddać; tylko dla siebie ma pewne w zakresie myśli i uczynków dyspensy, które naturalnie sam sobie daje. A jak je ze swojemi przekonaniami godzi, to już tajemnica jego logiki, nie tęższej od logiki poprzedniego.

Zdarza się też często, że katolik polski nie może pogodzić jakiego rozporządzenia Kościoła ze swoim sposobem widzenia rzeczy, i w najlepszej wierze mniema, że musi się Kościoła bać, posądzać go o jakieś ukryte zamiary. Uczucie podobne do tego, jakie miał dawny szlachcic względem władzy królewskiej. Taki nieraz powié w szczerości ducha: „Ja jestem katolikiem z całego serca, i będę nim do śmierci, tylko ten Kościół wszystko psuje!“ — powié tak, nie domyślając się, że między pierwszą a drugą połową jego oświadczenia, jest sprzeczność głęboka i zasadnicza. Czego się w Kościele boi? Klerykalizmu, czyli panowania duchownych w świeckich sprawach, albo zmowy Kościoła z rządami przeciwko wolności ludów, albo jego mniemanego antagonizmu z oświatą i nauką, albo wszystkiego razem, czego się w książkach i gazetach naczytał. Jeżeli zaś dawniej niezrozumienie stanowiska Kościoła mogło mieć jaką wymówkę, to nie ma już żadnej dziś, odkąd Leon XIII wyłożył jasno jak na dłoni, jak Kościół pojmuje swój stosunek czy do społeczeństw i władz świeckich, czy do prawa publicznego i międzynarodowego, czy do nauki. Niewiadomością, po tych encyklikach, składać

się już nie można; ale czy je dużo ludzi u nas czytało? Niewiadomość podobno jest zawsze, tylko nie z winy Kościoła.

Usposobienie to, choć ani wiary ani szlachetności nie wyłącza, dobre nie jest, i może nas zaprowadzić dalej niż myślimy. Wszakże nie z czego innego wypłynął u nas towianizm, we Francyi odstępstwo Lammenais'go a niedawno podobne (tylko komiczne nie tragiczne) karmelity Hyacynta, w Niemczech tak zwany stary-katolicyzm.

Tu nasuwa nam się jedna strona naszych usposobień religijnych, niezmiernie ważna. Jest nią stosunek Kościoła, raczej stosunek Stolicy Apostolskiej do spraw polskich. Jak prześladowanie Kościoła w Polsce, utrudnia zadanie jego polskim nieprzyjaciołom, tak znowu ułatwia je i pomaga im wszystko to, co od Kościoła wychodzi, a dla naszych uczuć polskich jest bolesne. Rzecz pewna, że bulla Grzegorza XVI z roku 1832, posłużyła za środek do oderwania wielu serc polskich od Kościoła. Wielu czuło i powtarzało to, co Mickiewicz powiedział w *Kursach*: „Papież mówi, że był w błąd wprowadzony? Otóż to właśnie złe, że mógł być wprowadzonym w błąd: bo to znak, że go duch Boży nie wspiera i nie oświeca.“ Paradoks oczywisty, ale dla zbolałego uczucia ma złudne pozory słuszności. Pierwiastek ludzki w Kościele jest nieunikniony, a nieuniknione także są jego pomyłki, skoro on jest ludzki; ale nieprzyjaciele obrócą i wyzyskają zawsze pomyłkę lub błąd ludzi przeciw prawdzie Boskiej, i tym środkiem będą ją w umysłach i sercach podkopywali. Od tego czasu zmieniło się wiele; nastała u nas lepsza znajomość położenia Kościoła, zrozumienie, że są pewne rzeczy, które on robić musi, i są inne,

których dokazać nie może; nastała w Rzymie nawzajem lepsza znajomość i naszego położenia i naszych nieprzyjaciół. Przeszło całe długie panowanie Piusa IX, na którego Polacy skarżyć się nie mogli. Niemniej dla nieprzyjaciół Kościoła w Polsce najpożądańszą, najporęczniejszą i najulubieńszą bronią, jest sprzeczność między uczuciem polskiem, a tym lub owym zamiarem czy postępkiem Stolicy Apostolskiej. Nas tą sprzecznością rozdrażnić, rozjątrzyć, jest zawsze łatwo; a rozdrażnionych i zbolałych, łatwo od jedności z Kościołem odciągać. Robi się też to raz ostrzej, drugi raz powolniej, ale przy każdej sposobności. Naturalnie, przypomina się bez końca doznaną przykrość: ignoruje się pociechę albo opiekę, jakiej Polska od papieża doznała. O rozmowie Grzegorza XVI z Mikołajem naprzykład, nie wspomina się nigdy; nikt o niej nie wié, jak żeby jej nie było na świecie. Na samego Piusa IX były często skargi, że nie dosyć robi dla Polski, a nie dość ostro wyrzuca Rosyi jej występki — na co on odpowiadał: „Chcecie ostrzej? jestem gotów, jeżeliście wy gotowi na męczeństwo.“ Leon XIII znowu „sprzeniewierzył się swemu posłannictwu, poświęcił swój Kościół,“ bo unitów podlaskich nie obronił od prześladowania! Że nie miał wojska, a bez wojska obronić ich nie mógł, to się dyskretnie i zręcznie pomija milczeniem. Wyznajemy też, że nie byliśmy bez obawy, kiedy przyszła nominacya księdza Dindera na arcybiskupstwo gnieźnieńskie i poznańskie. Niemiec na najstarszej, na pierwszej stolicy biskupiej w Polsce! Boleść była sroga, miało to pozór zaprzeczenia, zapieczętowania i przeszłości i praw dzisiejszych! Ale jeżeli co daje miarę, żeśmy wzrośli i zmężnieli w katolickich uczuciach i zasadach, i nawet w świe-

ckiej politycznej roztropności, to sposób, w jakiśmy tę boleść znieśli. Zewnętrzni i wewnętrzni nieprzyjaciele Kościoła, liczyli na ten ból, jak na swoją najpewniejszą kartę; spodziewali się, że to będzie początkiem naszego rozbratu z Rzymem i Kościołem. Zawiedli się. Za przykładem Wielkopolski, która najbardziej dotknięta, najtrudniejsze miała do odniesienia zwycięstwo nad sobą, nikt się nie opierał, nikt nie sarknął. Arcybiskup Niemiec był, rządził, uszanowanie sobie zjednał; a my jesteśmy Polakami jak dawniej, choć nie przestaliśmy być katolikami i Kościołowi posłuszeństwa nie wypowiedzieli.

Okazye zdarzały się i potem. Jedną z niebezpieczniejszych, była wieść o przyzwoleniu papieża na język rosyjski w nabożeństwach katolickich, rozszerzana właśnie w chwili, kiedy pielgrzymi Polscy mieli wyjeżdżać do Rzymu na jubileusz kapłański Leona XIII. Przeszło to bez skutku, jak przeszły mniejsze dodatkowe poduszczenia i fałsze rozsiewane już na miejscu w Rzymie, podczas owego pobytu Polaków w roku 1888. Ale co przeszło, to wrócić może; niejeden raz może jeszcze Rzym będzie zmuszony zrobić coś, co naszemu uczuciu będzie przykre. Ta pokusa zaś dla nas zawsze niebezpieczną będzie. Daj Boże, żeby się nie zdarzyła; a widzimy i mamy dowody, z jaką oględnością, z jaką stałością i troskliwością postępuje Ojciec św. w tych sprawach. Ale gdyby się zdarzyło, to pamiętajmy, że kto nie chce pomału i nieznacznie dać się przeciągnąć na schizmę, ten przedewszystkiem powinien nie dać się odrywać od jedności z Kościołem i posłuszeństwa dla niego.

Niebezpieczeństwo to może się stać tem groźniejszem, że nierzadko u nas uczucie religijne opiera się

na patryotycznem, z niego wypływa, od niego jest zależne. Jestto może skutkiem naszej poezyi, która miłość ojczyzny łączyła z religijnym mistycyzmem. Niejeden, przynajmniej w pokoleniu dziś już starszem, nauczył się Pana Boga kochać i w niego wierzyć, kiedy wyczytał w Krasińskim, że ten Pan Bóg zrobi tę sprawiedliwość, której pragnął i wyglądał; niejeden mógł się w wierze zachwiać, gdy zobaczył, że Bóg jeszcze Polski nie zbawił. A na to taki w Krasińskim zważał mmniej, że „Bóg bez nas samych nie może nas zbawić.“ — Taka religijność z patryotyzmu, jest podobna do tej religijności z legitymizmu, jaką się widzi u niektórych Francuzów, nie mogących pojąć i znieść tego, że Stolica Apostolska utrzymuje stosunki z republiką. Kardynał Czacki, kiedy był nuncyuszem w Paryżu, charakteryzował dowcipnie ten rodzaj gorliwości: „Oni się modlą — mawiał — o nawrócenie papieża, a o wieczne potępienie nuncyusza!“ Podobny rodzaj religijności u nas Polaków opisuje Szujski w zwierzeniach młodzieńczych, kiedy wspomina, jak chciał „Bogu staremu dokuczyć — który śmiał się Polsce sprzeniewierzyć.“

Taka wiara jakiś czas rozkoszuje w exaltacyi własnej, płonie miłością Boga i ojczyzny razem, ale sama w sobie nie taka jak być powinna, jest przytem koniecznie wiotka i nietrwała. Do niej to trafiali, na niej grali, jak na posłusznym instrumencie ci, którzy sami śmiejąc się z Boga i wiary, nas uwodzili do religijnych demonstracyj w roku 1861 i 1862. Krasiński znowu genialnie, intuicyjnie przeczuł ten epizod naszych dziejów. Niewierny Irydion podszedł wierzącą Kornelię, i tak ją opanował, że ona w obłędzie swoim, jego z Bogiem mięszała, brała go za Zbawiciela samego. A kto wié,

czy dzisiejsze prześladowanie i burzenie Kościoła w Rosyi, te kościoły i parafie bez księży, księża na wygnaniu bez ołtarza i bez wiernych, czy ten straszny głód religijnego życia, jaki tam jest, czy to nie kara za to użycie i nadużycie religii do celów świeckich, za często nierzetelne udawanie modlitwy. Jak ta Kornelia była głęboko zwiedziona, jak rozwiązywała sumienia z zamiarów i uczynków z przykazaniami bożemi niezgodnych, pocóż mówić! A złudzenie jej było czasem długotrwałe, i dziś jeszcze można spotkać ludzi i prawych, i gorąco wierzących, i przykładnych, którzy nie rozumieją, że pod pozorem i hasłem powstania, kryć się może przeczenie Boga i nienawiść wiary; wierzą dotąd, że kto do tajnych związków i sekt należy, ten służy nietylko ojczyźnie, ale Bogu; kto inaczej twierdzi i przestrzega, ten przewrotnie zdradza i naród i Boga! Zdarza się ten rodzaj katolicyzmu do dziśdnia, a (wyjątkowo) nawet między księżmi.

Zdarzał się — może się jeszcze kiedy zdarza — między nimi inny, najsmutniejszy, udany, który miłość ojczyzny uważa za środek wyłamania się z kościelnej karności i surowości obyczajów, charakter kapłański za środek żądania szacunku, a zgorszywszy swoich (czasem i obcych), zemściwszy się wściekłą nienawiścią i potwarzą na lepszych od siebie, za to że szacunku ich zyskać nie potrafił, kończy na odstępstwie, na zmianie wiary, nawet na zmianie ojczyzny. *Necesse est, ut veniant scandala* — ale takie zgorszenia mogą służyć za przestrogę, do czego wiedzie religijność nierzetelna, połączona z równie nierzetelnym patryotyzmem. Zdarza się i to, że ksiądz złego życia, przez biskupa strofowany i ukarany, gdy poprawić się nie chce, nadużywa

swojej kapłańskiej sukni, a używa udanej pobożności i gorliwości, by lud prosty nią oszukując, stać się podpalaczem wszystkich społecznych nienawiści. Taki typ księdza zjawia się zwykle w czasach burzliwych. Rok 1831 miał księdza Puławskiego, a od tego czasu widywaliśmy jego duchowych potomków.

I tu nie można wstrzymać się od uwagi, że nasze stosunki same nieraz przeszkadzają poprawie naszego religijnego stanu. Dziwi się świat gorliwości i przykładności duchowieństwa francuskiego; zły ksiądz, czynnik jeden z najskuteczniejszych podkopania w ludzie wiary, a w Kościele karności, tam się prawie nie zdarza. Prawda — ale w tej Francyi, która dziś otwarcie niechrześciańskim dążnościom służy, biskup ma przecie do dziśdnia więcej władzy, niż w Austryi. Tam proboszcz jest odwołalny, i jeżeli tylko źle się sprawuje, biskup może go prostym rozkazem w jednej chwili usunąć. U nas potrzeba na to kanonicznego procesu; przy tym procesie świadkowie, zastraszeni, albo uproszeni, albo ujęci, cofają wszystko to co mówią zawsze, lub co sami w skargach pisali. Najczęściej pokazuje się brak dowodów, i zły ksiądz gorszy i psuje wiernych do śmierci, a biskup musi to znosić, bo poradzić na to nie może. W naszym religijnym stanie jest to złe jedno ze szkodliwszych. A sposób na nie jedyny, lepsze w kościelnym duchu i gorliwości wychowanie księży, z czasem dopiero może okazać swoje dobre skutki.

Łatwowierność niektórych duchownych względem tak zwanego liberalizmu, jest szkodliwa, ale jest naturalna. Nie spadają oni przecie z księżyca, tylko wyrastają i żyją na naszej ziemi; a jakie jest nasze społeczeństwo, tacy muszą być i oni. Święcenie kapłańskie

nie ściera z nich natury ludzkiej; w swój stan wnoszą oni te pojęcia, ten sposób myślenia, te sympatye lub podejrzliwości, jakiemi przesiąkli w swojem życiu świeckiem, jakie we krwi może przejęli od rodziców. Jeżeli opinia, czy społeczeństwa całego w swojej większości, czy tej jego części, z której ten duchowny pochodzi i z którą ma najbliższe związki, nie widzi, nie rozumié, albo nie wierzy, że co innego jest wolność, a co innego liberalizm, że on nadużywa tylko jej imienia, a pod jej pozorem krępuje Kościół a sumienia rozwiązuje, to trudno żądać, żeby wszyscy księża byli w tych pojęciach wyżsi i mędrsi od tych świeckich. Nie dziwmy się tedy, że biorą za dobrą monetę wszystkie liczmany, jakie znajdują w książkach i gazetach, bo robimy tosamo co oni. Pamiętajmy prócz tego, że to są po większej części synowie rodziców ubogich, którzy dzieciństwo i młodość przebyli w widnokręgu umysłowym dość ciasnym, że nikt za młodu nie umiał kierować ich wzroku na różne strony kwestyi i stosunków; niedziw więc, że jednę tylko widzieli i do tej jednej przywykli. Niedziw, że synowie ubogich mają taki pociąg i taką naiwną wiarę do hasła *demokracyi*, jak świeccy, a nie lepiej od świeckich zdają sobie sprawę z istoty rzeczy, jaka się pod tem hasłem kryje.

Ale rzecz psychologicznie wytłómaczona może niemniej być rzeczą złą, a ta taką jest. W propagandzie religijnej i społecznej anarchii, która się u nas prowadzi (jedna jeszcze zamaskowana, druga już otwarta), proboszcz wiejski może i powinien być najdzielniejszą, najskuteczniejszą siłą obrony i odporu. Nie będzie nią, nie przyczyni się do zabezpieczenia i wiary, i moralności, i społecznego porządku, jeżeli zaślepiony nie prze-

kona się, że niebezpieczeństwo jest. Wielkim też i pocieszającym dowodem postępu na tem polu, jest oświadczenie przekonań, złożone przez księży dyecezyi tarnowskiej księdzu biskupowi Łobosowi, gdy ten w roku zeszłym zakazał popierania i czytania złych dzienników. Moglibyśmy, świeccy, tych duchownych wziąć sobie za przykład i naśladować w głębszem rozumieniu rzeczy i w odwadze.

Ale że i między świeckimi są niemylne oznaki postępu, to także pewna. Przed laty czterdziestu i trzydziestu, my dziś starsi, nawet po katolicku wychowani, wierzący i praktykujący, zawiązując jakie stowarzyszenie, bylibyśmy się bali, a co gorzej, bylibyśmy się wstydzili, nazwać je otwarcie stowarzyszeniem katolickiem. Narazić się na niepopularność, na śmiech, na oskarżenie że nie rozumiemy „ducha czasu“ i jesteśmy nieprzyjaciołmi „wolnego myślenia,“— tej odwagi w nas nie było. Żeby zaś przed własnem sumieniem jakoś się usprawiedliwić, był gotowy wybieg, tensam, co w rzeczach świeckich: „Nietrzeba występować zbyt otwarcie i śmiało, żeby drugich nie zrazić, nie odstręczyć, i wpływu się z góry zbytnią gorliwością nie pozbawić.“ Nawet kto przystąpił do Towarzystwa św. Wincentego, ten miał to sobie za heroizm; przyznawał się do tego kiedy koniecznie musiał, a swój obowiązek odwiedzania ubogich pełnił o ile tylko mógł chyłkiem, ukradkiem i w sekrecie. Dziś widzimy chłopców bardzo młodych, uczniów i rzemieślników, którzy śmiało i z głową do góry wypisują charakter katolicki na swoich stowarzyszeniach; wiedzą, że się wystawiają na śmiechy, urągania i potwarze, ale się nie boją. Z takich, da Bóg, wyjdą kiedyś ludzie i katolicy hartowniejsi, niż my.

# NIEKTÓRE ŚRODKI OBRONY.

A takich potrzeba nam bardzo, bo i złe rośnie także, i bodaj czy nie w większych proporcyach. Jeżeli dojdzie do tego, że walka głucha dotąd i podziemna, poczuje się na siłach i stanie się jawną, to nie wytrzyma jej ani katolik liberalny, ani katolik z polityki, ani mistyczno-patryotyczny; a sama nawet szczera i silna wiara ludu, nie da się wykorzenić i zepsuć nazawsze, ale da się zagłuszyć lub namiętnością uwieść do złego. Trzeba zatem zawczasu, a przynajmniej nie po czasie — sposobić się do wytrzymania tych szturmów. Środki zgłębiać i oceniać nie tu miejsce, ale niektóre (pobieżnie, jak cały ten rzut oka) wskazać można. Pierwszy jest prewencyjny tylko, ale bardzo potrzebny: to zasadnicze i sumienne wstrzymanie się od popierania pism niechrześciańskich i pobłażania im, jako niby nieszkodliwym. Między środkami dodatniemi pierwszym, są dobre seminarya duchowne; te, dzięki Bogu, mają teraz taką nad sobą opiekę, że muszą dobre skutki wydawać. Wychowanie publiczne świeckich na jakimkolwiek stopniu, od najniższego do najwyższego, nie może w naszych stosunkach mieć katolickiego chara-

kteru; ale może się bronić, iżby się bezbożnem nie stało. Nawet w zakresie praw obowiązujących da się niejedno pod tym względem zrobić, i w kierunku ubezpieczenia wpływu Kościoła na szkołę i w kierunku nauki samej. Nauka religii żywsza, więcej praktyczna, trafiająca łatwiej i do uczucia i do przekonania młodzieży — historya kościelna zwłaszcza, i żywsza, i ukazana w związku z dziejami i losami społeczeństw świeckich, jest główną w tej mierze potrzebą; a inne nauki i inne książki szkolne, winny nie przeszkadzać jej, ale pomagać, nie pokazywać młodzieży świata pod racyonalistycznym lub protestanckim kątem widzenia. Wychowanie domowe, a w niem przezwyciężenie powszechnej u nas nieznajomości rzeczy katolickich, to już jest w ręku każdego ojca rodziny, którego stać na to, by kupił czasem dobrą książkę, a złą rozmowę od dobrej rozeznał i dzieci od złej strzegł. Staranne pod dozorem wychowanie nauczycieli wiejskich, z troskliwą bacznością na ich pojęcia i na ich obyczaje, to środek, jak wszyscy wiemy, konieczny; tak konieczny, że pomimo całego ubóstwa naszego krajowego skarbu, na ten cel powinniśmy łożyć jak się tylko da najwięcej; dotąd łożymy jeszcze niewiele i za mało. Katolickie stowarzyszenia, szczęśliwie już rozpoczęte po miastach, oby się tylko mnożyły i rozwijały. A przy nich, niech nam wolno będzie zapytać, czy nie byłoby dobrze, żeby ludzie ich organizacyą i prowadzeniem zajęci, zapoznali się bliżej z francuskiem stowarzyszeniem kółek rzemieślniczych *(cercles ouvriers)*. Na te rozmiary, z tą wielką liczbą członków, nasze skromne przedsięwzięcia zapewne rozwinąćby się nie dały; ale w urządzeniu swojem, w sposobie działania, czy nie mogłyby ko-

rzystać z tamtego wypróbowanego wzoru, którego wpływ i skutki są tak widoczne i zbawienne? O książkach i pismach myślimy, wydajemy je nawet; to także środek, i dobry. Nieprzyjaciel wprawdzie używa go także, i pod maską katolicką szerzy swoje pokusy i kłamstwa. Odebrać mu tej broni nie możemy; starajmy się przynajmniej swoją jego cięcia parować i odpierać. A czy to nie byłaby rzecz dobra, choć mała, żeby zrobić to w miastach, do czego gorliwie (i słusznie) zachęcamy lud na wsi? Tam zalecamy chrześciańskie sklepiki; tu bez różnicy i bez skrupułu dajemy zarobek i żydowskim, i takim, które się ze swoją *bezwyznaniowością* same oświadczają, kiedy zamknięte w niedzielę po południu, do południa właśnie, podczas nabożeństwa, stoją otwarte. Żydowskie sklepy wszystkie zawsze zamknięte są przez cały szabas; moglibyśmy iść za tym przykładem. A gdybyśmy sobie takie prawidło nałożyli i jego się trzymali, to niejeden kupiec przypomniałby sobie, zastanowiłby się, że jest katolikiem. Przed laty było nawet zawiązane w tym celu Towarzystwo „święcenia niedzieli.“ Znać mało znalazło zwolenników, skoro skutków jego nie widać; ale czas i wytrwałość mogą czasem przemódz czy opieszałość, czy uprzedzenie, czy nawet złą wolę.

O innych środkach podniesienia katolickiego życia (a poniekąd obowiązkach katolickiego sumienia), jak żywy stosunek ze Stolicą Apostolską i z katolickim światem zagranicznym, mówiliśmy na tem miejscu przed kilku laty, i tosamo pozwalamy sobie dziś dosłownie powtórzyć.

Jak pomyśleć o tym ogromie czynności, jaki rozwijają katolicy francuscy, niemieccy lub amerykańscy,

a potem popatrzeć na naszą bezczynność, to doznaje się i wstydu i strachu. Tem się nie tłómaczmy sami przed sobą, że pod rosyjskim rządem nie możemy robić nic, skoro pod austryackim, który nie przeszkadza, nie robimy więcej. Nie możemy, jak Francuzi, swojemi składkami opędzać *dwóch trzecich części wydatków Propagandy*, i podobno *jednej trzeciej* ogólnych wydatków papieża; nie możemy, jak oni, zakładać i utrzymywać katolickich uniwersytetów, ani oświecać setki tysięcy rzemieślników; ani jak Dom Bosco, wychowywać do pięćkroć sto tysięcy dzieci; ani jak Niemcy, w niezliczonych stowarzyszeniach i corocznych zjazdach, dźwigać naukę, moralizować i organizować społeczeństwo, apostołować je pokojowemi i dobroczynnemi środkami. W takiej mierze oczywiście nie możemy; ale na mniejszą skalę czy robimy tyle, ilebyśmy mogli? Są zakony, które robią co tylko mogą; ogół świecki jest lekkomyślny i leniwy. Miarą może być choćby tylko świętopietrze. Żeśmy biedni, to prawda. Ale wiemy przecie, że potrzeby Kościoła są niezmierne, a jego dochody ograniczone dziś na to, co mu wierni dadzą; wiemy, co pod tym względem robią inni; wiemy, co nam na utrzymaniu Kościoła zależy. A nie pamiętamy o tem, żeby każdy ze swoich dochodów pewną małą kwotę na to przeznaczył? Czy pamiętamy, że z małych i łatwych, byle ogólnych datków, powstają summy dość znaczne? Pod tym względem także moglibyśmy powziąć niejakie postanowienia, w których Wielkopolska daje Galicyi przykład bardzo znaczący. A dopieroż uczestnictwo w ogólnem katolickiem życiu, ta chęć, żeby o niem wiedzieć i z niego ciągnąć pożytek? Kto chce ze wspólnego zasobu czerpać, ten go i zasilać powinien;

a choć missye naszych zakonów (Zmartwychwstańców w Bulgaryi naprzykład, ich i Felicyanek w Ameryce) świadczą, że i nasz naród pracuje na pożytek powszechnego Kościoła, to po świeckich takiej pracy znać mało i mało nawet popędu, żeby z pracy cudzej korzystać. Liczniejsze uczestnictwo w katolickich kongresach uczonych (których choćby dlatego zaniedbywać się nie godzi, żeby o sobie nie dać zapomnieć tym, co wśród Niemców i Francuzów najmniej jeszcze mają do nas uprzedzeń i niechęci), naśladowanie stowarzyszeń za granicą kwitnących, odkładanie pewnej części dochodu na cele kościelne, choćby nie wydać jej odrazu, ale na gorsze czasy przygotować, wszystko to są rzeczy, które robić możemy, nie obrażając nikogo. A i te gorsze czasy przyjść mogą. Któż nam zaręczy, że w przyszłości, jaka parlamentarna większość nie nałoży nam takich warunków wychowania, że nie chcąc by dzieci chowały się w bezbożności, będziemy musieli sami szkoły wyznaniowe zakładać i utrzymywać?

Nie na przypadek zaś walki gwałtownej, która przyjść może, ale niekoniecznie przyjść musi, tylko na codzienną potrzebę, na dzisiejszy stan umysłów i sumień, musimy szukać większego zasobu katolickiego życia. Jeżeli nawet logika zdarzeń zawiedzie tym razem i nie doprowadzi do zaburzeń i wstrząśnień, to sam tylko naturalny postęp złego, jakie już jest, wystarczyłby, żeby chrześciaństwo u nas powoli rozpuszczać w różnych odczynnikach liberalnych, socyalistycznych, lub politycznych. Proces rozpoczęty jest, a jego objawy nie są jeszcze częste, ale są wyraźne i rażące. Wypadki bezbożności zawsze były i zawsze być muszą; jednak nawet kiedy są sporadyczne, i choćby miały znaczenie

tylko symptomatyczne, są zawsze symptomatami, na które bacznie zważać należy. Naprzód jeden symptom widoczny, oznacza zwykle pewną liczbę zjawisk podobnych, które do wiadomości ludzkiej nie doszły; jest zewnętrznym wyrazem pewnej summy usposobień wewnętrznych, ukrytych. Powtóre, gdyby to były *rari nantes* na wielkiem morzu religijnej świadomości i gorliwości, byłyby zapewne godne pożałowania tylko, a nie troski; ale *in gurgite vasto* niewiadomości, wiotkości, lub bierności, te objawy mogą słusznie niepokoić, bo na takim gruncie złe uczucia i pojęcia fałszywe mogą się łatwiej przyjąć. U nas zaś, jeżeli nie są częste, to są niepokojące przez to, że zjawiają się między młodzieżą szkolną, tu i owdzie między nauczycielami wiejskimi, i dowodzą, że złe wpływy przesiąkły już dość głęboko. Władze w takich razach mogą działać — i robią, co do nich należy — ale one przeciw faktom tylko mogą występować; ukrytych usposobień nie mogą ani widzieć, ani poprawiać, a wpływ pośredni i powolny, jaki wywierać mogą przez dobry kierunek wychowania i kształcenie pojęć, nie może działać tak szybko i tak energicznie, jak działa zły wpływ dziennika, książki i codziennej rozmowy. Nie dziw zatem, że złe się szerzy; ale jak ono rozszerzy się naprawdę, jakiem będzie społeczeństwo, i jaka wartość ludzi? Nasi panowie postępowi z wielkiem oburzeniem mówią o złych obyczajach i braku charakterów między wielkimi panami w wieku XVIII — i mają wszelką słuszność. Niech więc zrobią wniosek z tych doświadczeń, i niech się zastanowią, czy tesame przyczyny nie wydadzą tychsamych skutków — na ich własnych dzieciach? Podług wszelkich praw logiki, skutki te będą dziś gor-

sze; bo naprzód w owym wieku złe wpływy działały na mniejszą daleko liczbę ludzi, a powtóre, same przez się nie były tak silne. Człowiek, który nie wierzył w Boga, może nawet w nieśmiertelność duszy, zachował przecie wtedy świadomość odpowiedzialności, przynajmniej przed ludźmi; wiedział i uznawał, że są rzeczy, które go ludzkiego szacunku słusznie pozbawić muszą. Pokolenie, któreby wyrosło w tem wyobrażeniu, że niema ani złego, ani dobrego, ani prawdy, ani kłamstwa, a odpowiedzialność jedyna jest przed kodeksem karnym, jakiem będzie w swojem życiu prywatnem, i w swojej wartości moralnej? Francuzi, bardzo nawet liberalni i bezwyznaniowi, czują to już wyraźnie i mówią ze strachem, że sami są jeszcze wychowańcami i synami chrześciaństwa, ale czego będą ojcami? Instynkt rodzicielski ostrzega ich, że ostatnim rezultatem ich doktryn i zasad, będą synowie bez uczciwości i honoru, córki bez wstydu. Społeczeństwo, które się wyzwoliło „z przesądów religijnych“, musi logicznie wyzwolić się z czasem z przesądów moralnych, obyczaju i honoru (niekoniecznie całe bez wyjątku, ale w swojej znacznej większości), i stanie się z czasem społeczeństwem znikczemniałem. Propaganda bezbożności, którą my niebacznie znosimy lub popieramy, przez rewolucyjną namiętność, przez liberalne uprzedzenia i złudzenia, przez niewiadomość i obojętność często, przez tchórzostwo czasem, prowadzi do obniżenia, do odszlachetnienia, do wyszarzania naszej duszy i wartości. Politycznie prowadzić ona może do chemicznego połączenia się z Rosyą. Rzecz to nie przypadkowa bynajmniej, ale charakterystyczna i godna uwagi, że pierwszy nasz (znany i głośny) pozytywista i materyalista, Trembecki, był

też i pierwszym u nas panslawistą; a że Staszyc, z całym swoim rozumem, charakterem i patryotyzmem, ze swoją ogromną wartością moralną i polską, do podobnych konkluzyj doszedł dlatego, że nie miał, nie rozumiał, nie kochał wiary. Dążność niektórych pism polskich pod rządem rosyjskim, objawy, dające się widzieć tu i owdzie między młodzieżą w Wilnie, w Warszawie, a nawet we Lwowie i w Krakowie, mogą ostrzedz najbardziej uprzedzonych, że obojętność religijna prowadzi do obojętności politycznej. Niechże biernością, sympatyą, lub przykładem własnym nie dopomagają do jednej, jeżeli nie życzą sobie drugiej.

My zaś wszyscy, którzy usposobienie religijne mamy, i nieraz gorące, pamiętajmy o tem', że ono zupełnie dobrem i zupełnie pewnem jest wtedy tylko, kiedy jest zupełnie rzetelnem. Od wieków przywykli w uciskach naszych skarżyć się lub prosić słowami proroctw i psalmów, lubimy i teraz często powtarzać: *Non nobis, sed nomini Tuo da gloriam, ne quando dicant gentes: ubi est Deus eorum.* Wspaniała prośba, zaklęcie tak silne, że powinnoby przebić niebiosa. Ale nadużywać jej nie trzeba, ani brać imienia Boskiego nadaremno. Temi słowami zakończył cesarz Mikołaj swój manifest przed wojną krymską; a kiedy była w połowie, umierał z upokorzenia, ze wstydu, ze złości. Znak to jeden więcej, że Bóg tej prośby słucha od takich tylko, o których wié, że jest naprawdę *Deus eorum.*

# NIEKTÓRE ZŁE ZWYCZAJE.

# FAŁSZYWE BUDZENIE DUCHA.

Od wielu lat słyszy się u nas o *budzeniu* ducha, i o jego *gaszeniu*. „Gasić ducha,“ to znaczy mówić prawdę, czy o Polsce dawnej w historyi, czy dzisiejszej w publicystyce; „budzić go,“ to znaczy szumnemi frazesami o Polsce gadać, odgrażać się Rosyi czy Prusom, a swoim podchlebiać, żeby w miłości własnej głaskanych i za nią ujętych opanować i prowadzić. W ten sposób gasił ducha Skarga, Starowolski, Konarski, Staszyc, później Kajsiewicz, Kalinka, Klaczko i Szujski; w ten sposób budził go przed stu laty Seweryn Rzewuski i Wojciech Turski, przed laty czterdziestu i trzydziestu Mierosławski, dziś budzą tak zwane postępowe dzienniki lub broszury. Dowodzić fałszu w pojęciu i w zasadzie tego mniemanego budzenia i gaszenia, nie będziemy. Dla ludzi dobrej wiary, rzecz jest jasna i dawno dowiedziona; ludzie złej wiary rozumieją ją tak dobrze jak my, a nie przyznają naturalnie nigdy, bo straciliby jeden ze środków, któremi działają na takich, co czując dobrze, dobrze myśleć nie umieją.

Ale między praktycznemi środkami mniemanego budzenia ducha, jest jeden, od pewnego czasu znowu

często i pilnie używany, a w skutkach swoich zły, i o tym kilka słów powiedzieć uważamy za potrzebne, bo należy on do naszego publicznego obyczaju, a wpłynąć może jeszcze (jak już wpływał) na nasze polityczne położenie.

Dobrze jest i słusznie chować pamięć, obchodzić pamiątki ludzi znakomitych lub wielkich zdarzeń dziejowych; źle jest i szkodliwie robić demonstracye. Dlaczego ta różnica? i na czem się ona zasadza? Gdzie jest granica między uczuciem szlachetnem i rzetelnem, a popisową niejako wystawą tego uczucia? Jak jedno od drugiego rozpoznać? Po czystości zamiaru? Skrytości serc nikt nie przejrzy; a choćby ją i przejrzeć, to dowieść nie da się nigdy, że zamiar nie był prawdziwie czysty, zupełnie rzetelny. W tem też trudność główna walki z czczemi manifestacyami; trudność przekonania ludzi dobrego serca i dobrej wiary, że pod pozorem uczucia dobrego może się kryć zła wiara i cel szkodliwy.

Wszelkie uczucie potrzebuje zewnętrznego wyrazu i kształtu. Miłość każda musi się objawiać. Miłość mężczyzny do kobiety musi się oświadczać; miłość rodzicielska, miłość dziecinna, braterska, przyjacielska, musi się okazywać; ukryta, zamknięta w sobie, nie byłaby wiadomą i mogłaby tej drugiej osobie wydać się wątpliwą, niepewną lub zgoła niebyłą. Musi ten jawny wyraz być prawem i potrzebą wszelkiej miłości, skoro Bóg sam chce i przykazuje, żeby Jego miłość miała widomy kształt czci zewnętrznej.

Więc i miłość ojczyzny ma to przyrodzone prawo i tę potrzebę, a święcenie narodowych pamiątek i cześć oddana ludziom zasłużonym, jest jednym ze sposobów

uczynienia zadość tej potrzebie i temu przyrodzonemu prawu. Co więcej, człowiek, który i myśli i czuje głęboko, człowiek dobrze świadomy swoich dążności, może mniej potrzebować zewnętrznego wyrazu tych uczuć, które wié dobrze że w nim nie wygasną, choć ich żadne wrażenie zewnętrzne, żadne wstrząśnienie wyobraźni podżegać nie będzie. Ale człowiek bardzo młody, albo taki który przez całe życie ręczną pracą zajęty, nie ma ani czasu, ani refleksyi dość czynnej na to by sobie ustawicznie zdawał sprawę ze swoich uczuć, taki istotnie mógłby w nich stygnąć, gdyby mu dzień jakiś i obchód uroczysty nie przypomniał ich od czasu do czasu. To jest ten zewnętrzny kształt, w który się jego uczucia niejako widomie wcielają, który przez wyobraźnię dostaje się do jego pamięci, a przenika do jego serca i w niem się utwierdza. Z tego powodu narodowe obchody i uroczystości są uprawnione, poniekąd nawet potrzebne i dobre. Kiedy ludzie mówią, że one mogą pomagać i przyczynić się do wyrobienia i ustalenia narodowej świadomości w szerokich warstwach ludności, mają słuszność.

A jeżeli tak, to dlaczego przeciw obchodom pamiątkowym powstawać, jako przeciw rzeczom złym? dlaczego dawać im tę upokarzającą nazwę *demonstracyi*, która oznacza pozór bez rzeczy, kształt bez istoty i treści, wyraz, bez rzetelnego uczucia?

Jakto bez rzetelnego uczucia? Czyż nie było miłości ojczyzny prawdziwej i szczerej w tych, co przed laty trzydziestu śpiewali po kościołach i placach? czy dziś każdy — jakiekolwiek jego przekonania i dążności — nie ma czci rzetelnej dla pamięci Mickiewicza lub dla Trzeciego Maja? Tak nie sądzimy; owszem wierzymy,

że taka cześć, takie przywiązanie, jest czyste i z żadnem gorszem uczuciem nie zmięszane w ogromnej większości serc polskich: że nawet tam, gdzie się z gorszemi uczuciami mięsza, nie jest zupełnie nierzetelnem i udanem. Tylko sądzimy, że kiedy jedni w prostocie i szczerości ducha mają na myśli i na celu tylko Mickiewicza lub Trzeci Maj, tylko tę miłość i tę ideę, która się łączy z pamięcią dnia czy człowieka, to drudzy mają prócz tej myśl inną, której ten człowiek czy ten dzień służy. On jest pretekstem, prawdą jest ta myśl ukryta; on środkiem, ona celem.

W tem właśnie jest ta granica, ta różnica, której dociec i którą określić chcemy; granica i różnica między słusznym i dobrym obchodem pamiątkowym, a szkodliwą demonstracyą.

Jakaż jest ta myśl ukryta i ten prawdziwy cel? Myśl głębsza (mówią nam), a cel wzniosły, „utrzymywanie i budzenie ducha w narodzie.“

Czy to naprawdę istotny cel, czy tylko zwodnicza ponętna formuła? A jeżeli nawet cel prawdziwy, czy ten środek sumiennie, dobrze, rozumnie wybrany? a ta robota czy potrzebna?

Budzić ducha? A kiedyż on zasnął? Mówimy nieraz o ospałości jego w Galicyi przed rokiem 1830, i później do roku 1848. A jednak Ossoliński, Fredro, Bielowski, Siemieński, Pol, Szajnocha, uczeni a zamiłowani zbieracze, jak Gwalbert Pawlikowski, świadczą, że ten duch, mimo warunków nader trudnych, nie zasypiał sprawy na polu nauk i piśmiennictwa. Wojny napoleońskie i rok 1831 świadczą, że nie zasypiał jej na polu bitew. A jeżeli na owem pierwszem, z natury rzeczy spotyka się mniejszą liczbę ludzi, to na tem dru-

giem stawało bardzo wielu. Leon Sapieha, Kraiński, Kazimierz Krasicki, Towarzystwo kredytowe i rolnicze, same „postulata“ stanowych sejmów, żeby tylko postulat uwłaszczenia poddanych wspomnieć, świadczą, że nie zasypiał ten duch sprawy na polu społecznego i ekonomicznego życia. A więc nawet tam i wtedy, gdzie żyć było mu najtrudniej a zasnąć najłatwiej, jeszcze i tam, i wtedy, ten duch nie zasnął. A jak był do „obudzenia“ i do złudzenia w imię ojczyzny łatwym, świadczą znów ci, co agentom Towarzystwa Demokratycznego uwierzyli lekko i gotowali zbrojny ruch, a sprowadzili... ...wiemy co. Czy w Wielkopolsce spał duch miłości ojczyzny i poświęcenia za czasów Raczyńskiego, Chłapowskiego, Marcinkowskiego, Macieja Mielżyńskiego, Kożmianów? czy spał w Królestwie, kiedy nawet pod rządami Paszkiewicza, potrafił coś robić i mądrze robić w ówczesnem Towarzystwie rolniczem? Nie — duch polski zasypiał za Sasów; ale jak się raz ocknął, tak od tego czasu nie śpi i budzić go nietrzeba. Owszem, on ma własność inną a niedobrą, czujność i drażliwość nerwową, przez którą złudzić się daje tak, że na głos pocztarskiej czy myśliwskiej trąbki zrywa się, jak żeby to była surma wojenna. Tak zrobił w roku 1846, i w 1848, i później.

Ale może teraz, w ostatnich latach dwudziestu pięciu? może zasnął? Gdzie? nawet tam nie, gdzie śmiertelnie ranny, jak na Litwie i Rusi, sam nie wié wiele w nim jeszcze tchu zostało; a z czyjej winy ranny, to niech jego *budzicielom* powié własne sumienie, jeżeli jakie mają. Zresztą? W Królestwie, w Wielkopolsce, w Galicyi, ma być śpiącym i potrzebować budzenia ten duch polski, który przez tych lat ciąg stworzył życie

polityczne, a podniósł ekonomiczne całej jednej części kraju? który naukę polską we wszystkich kierunkach dźwignął tak wysoko, jak nie stała oddawna? który wydał z siebie całą jednę gałąź życia przedtem niebyłą — sztukę? który podniósł i rozwinął życie religijne — niebardzo, ale jednak podniósł? Śpi niby ten duch, co przemawiał głosem i sumieniem Szujskiego, rozumem Kalinki, obrazami Matejki? co z Sienkiewicza błyska i Ogniem i Mieczem? co z Leonem Sapiehą, Gołuchowskim, Grocholskim, Zyblikiewiczem, Baumem, Dietlem, Wodzickim, Krzeczunowiczem, z dwoma (ba, z trzema!) Potockimi (zmarłych tylko wymieniamy) rozwija wewnętrzne siły społeczeństwa, a podnosi jego powagę nazewnątrz? To się nazywa snem? i z tego snu żeby nas budzić, potrzeba mów kandydackich i dziennikarskich artykułów? Nie! duch polski, dzięki Bogu, nie zasnął i nie zaśnie; zamrzeć może — bo w historyi niema duchów nieśmiertelnych, jak jeden osobisty duch ludzki — może zamrzeć, jeżeli z jednego zapalenia płuc w drugie wpędzać go będą; ale zasnąć nie może, i nie potrzebuje być budzonym. A kto tego nie widzi, kto nie słyszy jak potężnym, jak zdrowym i mądrym, jak wzniosłym głosem ten duch do niego mówi słowami i czynami tylko co wymienionych, ten albo nic widzieć, nic rozumieć, nic czuć nie jest zdolny, albo udaje, że nie widzi i nie rozumié. W pierwszym razie ten duch polski, o którym tyle mówi, jest w nim wiotki i niedołężny, w drugim jest zepsuty i przewrotny.

„Widzę ran, guzów, sińców, bez liku w twem ciele,
Widzę wad charakteru, ciężkich błędów wiele;

Lecz mniemać, że ci próżno dziewięć wieków grało,
Chrobry cię próżno stawiał, próżno szablą śmiałą
Tysiące bohaterów w świat rąbało drogę,
Że krzyż próżno wiódł szablę — dalibóg nie mogę!
Żebyć z głowy wywietrzał skrzydeł szum husarski,
Gdyby go nie wspominał frazes dziennikarski —
Że wodzianką tą, ducha trzyma się napięcie?
Tak obrażać cię nie chcę, narodzie...“

Cała robota mniemanego „budzenia ducha“ jest niepotrzebna. Czy jest bez celu? To inne pytanie. Jest cel; ale nie ten, o którym się głośno mówi. Celem jest nie budzenie, ale właśnie uśpienie. Chodzi o to, by tego ducha wprowadzić sztucznie w sen magnetyczny, a w tym stanie z wiedzy i woli własnej wyzuty, zrobi on to, co magnetyzer pomyśli i zechce. A do jakiego stanu rozstrojenia nerwów, wyczerpania sił fizycznych, upadku sił umysłowych, dochodzą magnetyzowani, to rzecz wiadoma. I tych skutków my obawiać się możemy, jeżeli pod pozorem budzenia pozwolimy się usypiać i magnetyzować. Nasz zaś organizm polski, wiekowemi kolejami do nadzwyczajnego wyostrzenia nerwów doprowadzony, jest dla magnetyzera łatwem, wdzięcznem i ponętnem medium. Wiemy już z niejednokrotnego doświadczenia, że magnetyzować go i powolnym uczynić łatwo. Kiedy sławny Bismarck nazywał nasze narodowe życie *ein künstliches Traumleben*, kłamał umyślnie, czy bezwiednie. Ale jeżeli co w niem do sennego i sztucznego życia podobne, to ten stan wrażeń miłych a nietrwałych, których my łakniemy, których nam nasi magnetyzerowie dostarczają, a w których rzeczywiste są tylko trzy rzeczy: nasze dobre uczucie, nasze osłabienie gdy ten stan się kończy, i ich wola żeby

nad nami panować, a obojętność na to nasze osłabienie.

Do takich środków magnetycznego usypiania nas miłemi wrażeniami, żeby nas owładnąć i pod swoją władzą trzymać, należą między innemi źle użyte, nadużyte, w złej wierze i woli wymyślane i wykonywane obchody narodowych pamiątek. Znana jest powszechnie nauka Mazziniego, żeby lud wyprowadzać na ulice, przyzwyczajać do gromadnego zbierania się. Do tego przywykły, tem w stanie rozdrażnienia i rozstrojenia utrzymywany, da się potem łatwiej kierować i użyć jak magnetyzer zechce. Narodowe pamiątki zaś są doskonałą po temu sposobnością i pozorem. Są w każdej pamięci, wzruszają każde serce, przemawiają do każdej wyobraźni. Któż może powiedzieć że są złe? kogo nie pociągnie serce do oddania czci Mickiewiczowi, i kto się temu pociągowi będzie opierał? każdy musi sobie mieć za obowiązek i za honor, iść za tą trumną na Wawel. A tymczasem pod rzeczą poważną, wzniosłą i słuszną, ukryje się i przemyci rzecz zła: zwyczaj i potrzeba wrażeń, powolność każdemu wezwaniu. Ktoby zaś widział, że ten powtarzany zwyczaj jest zły i może być szkodliwym, jak to wytłómaczy? jak o tem przekona te tysiące ludzi, albo niedoświadczonych, albo niemyślących, których się powolnymi i bezwiednie zależnymi chce uczynić? Jeżeli zaś powié, to argument przeciw niemu gotowy i łatwy, zawsze tensam: „Nie kocha ojczyzny, nie chce ojczyzny, gasi ducha“ i tem słowem zawsze się sprawę na swoją stronę rozstrzygnie.

To rzekome *budzenie ducha*, przeciw rzekomemu jego *gaszeniu* (a gaszeniem jest, jak wiadomo, mówienie prawdy i jawne działanie), to *budzenie* ducha i jego

*gaszenie*, znane nam są przecie oddawna, i mówiło o nich to pismo w ciągu lat dwudziestu pięciu. Określał tę kwestyę Szujski wiele razy, ostatni raz podobno w tym wierszu:

Prawo ducha: potężnie dźwigać się od wnętrza
Gdzie go porywa przeszłość, gdzie boleść wypiętrza;
Dźwigać się wolą, wiedzą, mądrością, sumieniem,
Wbrew przeznaczeń do walki stanąć z przeznaczeniem.
Nabyć czego mu braknie, co chore uzdrowić,
*Sanabiles nationes* raczył Bóg przemówić.
Nie żywot w naszem ręku, ale żywych zdrowie,
Nie duch, lecz objaw ducha, w myśli, czynie, słowie.

To dość wyraźne. Ale jeżeli potrzeba, powtórzymy prozą jasno, dobitnie, praktycznie:

Trzeba ducha krzepić, prawda; trzeba i myślą, i mową, i uczynkiem, i wszystkiemi siłami. Ale trzeba, żeby krzepiony i umocniony, wstawał w swojej sile zdrowy i czerstwy, a nie hypnotyzowany; samowiedny, nie bezwiedny; samodzielny a nie sługa; rozumny a nie bezmyślny; pan swojej woli a nie niewolnik samozwańczych pełnomocników — bez pełnomocnictwa. W zdrowiu i sile, w jasnej świadomości swego celu i właściwych do niego środków, w wolności i tęgości woli, utrzymać i utwierdzić on da się jedynie przez pojęcia prawdziwe i zdrowe, przez uczucia dobre, przez postępki prawe. Kto się do niego z innemi środkami zbliża, ten chce czegoś po za nim i oprócz niego: ale nie jego zdrowia, nie jego siły, nie jego przyszłości i chwały.

Obchody pamiątkowe mogą być słuszne i dobre,

ale pod dwoma warunkami. Pierwszy jest ten, żeby dla mniejszego dobra, większego złego nie sprowadzić. Takiem zaś złem, jest wszelkie prześladowanie, wszelkie nowe osłabienie sił polskich pod rządem rosyjskim. Nietylko to; złem byłoby dla obchodu stwarzać sobie polityczne trudności i zawikłania, a to już nie pod samym rosyjskim, ale i pod austryackim rządem także. Nie zważać na jego bądź to rzeczywiste kłopoty, bądź nawet mniej uzasadnione drażliwości, byłoby z naszej strony błędem. Rzecz oczywista, że lepiej nam obejść się bez tego lub owego obchodu, niż potem usuwać złe skutki jakieby on mógł sprowadzić. Pierwszy zatem warunek, żeby obchody były słuszne i dobre, jest ten, żeby złych następstw nie sprowadzały.

Drugi jest ten żeby były rzetelne, kiedy chodzi o to, by przy zdarzającej się rocznicy uczcić pamięć drogą człowieka czy czynu. Są złe, kiedy nierzetelne; są nierzetelne, kiedy są pretekstem tylko, kiedy stają się jedną pozycyą w agitacyjnym budżecie, kiedy nie cześć i pamięć wielkiego człowieka lub czynu jest ich powodem, ale system i plan budzenia nerwów, a usypiania woli w społeczeństwie. Są złe, kiedy z góry z kalendarzem w ręku obmyślane i ułożone: na ten rok taki obchód, a na drugi znów inny, i tak dalej. Są złe kiedy nie z prawdziwego uczucia i popędu płyną, ale z powziętego naprzód zamiaru stałych *ad hoc* zawiązanych a bezimiennych komitetów; kiedy są skutkiem lub środkiem tak zwanej organizacyi, a prawdziwej dezorganizacyi społeczeństwa. Są złe kiedy nakazane, a przynajmniej zręcznie, pocichu i pokryjomu narzucone. I złe, kiedy z uczciwych a niedoświadczonych, z młodzieży rzemieślniczej czy szkolnej, robią rozna-

miętnione i rozpolitykowane, ale ślepo i bezmyślnie posłuszne narzędzia w ręku ukrytych, bezpiecznych, nieodpowiedzialnych, samozwańczych reprezentantów i obrońców tego narodowego ducha, którego ani godnie reprezentować, ani skutecznie bronić nie są zdolni.

W naszych pamiątkowych obchodach, tkwi i kryje się ten pierwiastek zły. To nie urojenie, tylko doświadczenie. Wiemy wszyscy, że przed laty trzydziestu urządzane nabożeństwa i śpiewy, dla ogółu były prostem i szczerem nabożeństwem, ale dla tych, co je urządzali, były pretekstem i środkiem; i wiemy, jakie były ich skutki. Podobnie jest dziś, choć bez celu zbrojnego powstania. Gdzie my i ogół widzimy tylko pogrzeb Mickiewicza, albo stuletnią Trzeciego Maja pamiątkę, tam nasi anarchiści szukają sposobu ujęcia steru naszych losów w swoje ręce, hypnotyzowania społeczeństwa, przyzwyczajenia go do posłuszeństwa swoim rozkazom. W tem połączeniu własnego ukrytego celu, ze szlachetnem patryotycznem uczuciem ogółu, jest niezaprzeczona zręczność. Każdy chce oddać cześć Mickiewiczowi czy Trzeciemu Majowi, a każdy który ją odda, będzie tak wyglądał jak żeby uznawał władzę „łagodnej anarchii“ i jej prawo do rozkazywania. Ludzi takiej polityce przeciwnych, postawi się w alternatywie przykrej; albo nie oddadzą zewnętrznej czci temu co czczą w sercu, albo przyjmą pozór zgodności z wolą agitatorów. Oczywiście wybiorą to pierwsze: nie oprą się, i postawi się krok pierwszy, za którym pójdą dalsze, kiedy się zechce i postanowi; i polityka rzekomego „budzenia ducha“, polityka demonstrowania, znowu będzie górą.

Byłoby bardzo zabawne, gdyby nie było tak bolesne, widzieć szumne a sztuczne zapały dla Trzeciego

Maja, przy braku rażącym najprostszych o nim pojęć i wiadomości. Lud naturalnie miało się oświecać, miało się w nim rozżarzać cześć i miłość tej przeszłości! Zdarzyło nam się właśnie widzieć gromadę włościan przed obrazem Matejki, i słyszeć, jak jeden pan bardzo postępowy, objaśniał jego znaczenie: „Ten“ — mówił — „to jest *biskup* Małachowski, który *napisał* (sic) konstytucyę!“ Inni, mówią, nawet piszą o „powstaniu Kilińskiego“. Biedny Kiliński! gdyby ci, co mu stawiają pomniki i ulice jego imieniem nazywają, choć raz w życiu zajrzeli do jego pamiętników, gdyby się przekonali jak jego zdrowy rozum i jego polskie serce sądzi te „francuskie duchy“, co zaburzenia sieją a lud uwodzą, tęgi, prawy pułkownik straciłby popularność odrazu! W tych wszystkich zaś uniesieniach nad Trzecim Maja, charakterystycznym jako niewiadomość u jednych, jako nierzetelność i tendencya u drugich, jest kult Kołłątaja. Twórca, jeden z głównych, konstytucyi, który w rok później podpisał akces do konfederacyi Targowickiej, ale warunkowy, jeżeli mu wrócone będzie podkanclerstwo i zasekwestrowany majątek, jest ideałem naszych wielkich *patryotów!* Człowiek, który w rok znowu później (w dziele o *Ustanowieniu i upadku*) nie miał dość słów oburzenia i pogardy dla króla, za akces do Targowicy, to jest za to, co on sam zrobił — człowiek, który to sam w swoich własnych listach zeznaje i przyznaje, jest ulubionym i nad wszystkich ówczesnych sławionym bohaterem naszej postępowej opinii! Dlaczego? Dlatego właśnie, że nie miał zasad ani charakteru; dlatego, że próbował naśladować w Warszawie, paryzkie „rewolucyjne środki“. Dlatego można zataić lub wybaczyć jego postępki brzydkie, wybaczyć

i ów akces, i podkopywanie Kościuszki, bo w jego postępkach brzydkich można znaleść usprawiedliwienie własnych! Sławią go, bo jest poniekąd niestety ich typem, wzorem i patronem; rozumem i zdolnością dorównać mu nie mogą, ale tem gorliwiej naśladują w tem co miał w sobie brzydkiego i nizkiego. Jako illustracya gruntownej znajomości i gorącej miłości Trzeciego Maja u naszych panów *postępowych*, jako illustracya ich pojęć o patryotycznym obowiązku, ten kult Kołłątaja jest ciekawy i wymowny.

Czyż trzeba dodawać, że przy poważnych wspomnieniach, bolesne są dla polskiego uczucia niepoważne wybryki, które tym wspomnieniom ubliżają, zamiast im cześć oddawać? wybijanie szyb, albo huki i gwizdy na ulicach? Albo rzeczy, które zamiast podnosić patryotyzm, dają mu przykry pozór rzeczy teatralnej i śmiesznej? Niech nam płeć piękna wybaczy, ale takie wrażenie robi ten strój niby polski, jaki niektóre Panie w takich okazyach przywdziewają. „Miło to było widzieć ojcu, matce — *syna* w kontuszu i konfederatce“, ale syna — nie córkę. Córki krakowskich czapek ani konfederatek nie nosiły, wylotów nie zarzucały; a ten mniemany strój niewieści polski, wynaleziony był w naszym wieku, na teatrach i baletach, kiedy to co tańcowano, nazywało się krakowiakiem lub mazurem. Czy ztamtąd mamy pożyczać objawów narodowego ducha i życia?

Smutne to, bo dowodzące, jak powierzchownie, jak dziecinnie, a jak niedostatecznie szanujemy nasze wspomnienia. Ale są rzeczy od śmieszności nierównie gorsze. Jedną z takich jest rozpolitykowanie niedorostków, uczniów gimnazyalnych: przyzwyczajanie ich naprzód

do politycznych dyskusyj między sobą, a następnie
jawnego okazywania swoich „politycznych opinii" i s
patyj. Że chłopiec do tego przyuczony, nie łatwo
tem na rozumnego człowieka i dobrego obywatela w
dnie, to jasne. Drugiem złem jest przyzwyczajenie o
do powolności i posłuszeństwa dla bezimiennych od
i rozkazów. Śladem stempli „komitetu obchodów"
podpis ludzi, może z czasem wkraść się (z innego m
źródła pochodzącą) pieczątka „komitetu centralneg
i może znaleść posłuch, jak go ta znalazła. Wres
niebezpieczeństwo nowych prześladowań i ucisków
rządem rosyjskim. Demonstracye tam odbyte (a p
obecnem usposobieniu młodzieży zdarzyćby się mog
sprowadziłyby te prześladowania niechybnie; dem
stracye odbywane tu, mogą im posłużyć za pretek
może nawet za okazyę, bo z natury swojej szerzą
epidemicznie, i łatwo mogą od nas dostać się za kord

Ale — mówią niektórzy — od czegóż rząd? cze
rząd nie przeszkadza, nie wstrzymuje? Odpowiedź p
sta: bo nie może. On tylko fakta zna, i faktom m
stawiać zapory. Ale dopóki usposobienie nie stało
zaburzeniem, rozruchem, przekroczeniem tego lub ow
artykułu prawa, rząd wkraczać nie może, i nie m
działać skutecznie. On usposobień nie zna, i mocy n
niemi niema żadnej. W tem zaś właśnie zręczn
i sztuka „łagodnej anarchii", żeby swoje robić, a w żad
kolizyę z prawami i przepisami nie wejść; nie dać p
ciwko sobie żadnego powodu do urzędowego wystąp
pienia. Nasza zaś agitacya posiada tę sztukę w wy
kim stopniu biegłości. Na rząd się oglądać, na ni
zwalać odpowiedzialność, nie jest ani słusznie, ani r
tropnie; to jest wymówka, którą lekkomyślni, bojaźli

lub leniwi, zasłaniają się przed własnem sumieniem z zaniedbania tego co zrobić byli powinni. Ma i rząd swoje w takich sprawach obowiązki, niewątpliwie i niezaprzeczenie; ale nie może robić tego i za to odpowiadać, co od niego nie zależy. Na usposobienie, na popędy, na to wewnętrzne psychologiczne najgłębsze źródło zdarzeń i wypadków, działać i wpływać może tylko społeczeństwo samo. Niech wpływa, i prostuje, i czuwa, jeżeli nie chce, żeby usposobienie zepsuło się, na jego szkodę.

Gdyby zaś kto chciał mniemać lub twierdzić, że w tych obchodach niema planu i systemu, taki niech zważy, jak się one mnożą, jak się wyszukują starannie, i jak nie są wywołane powszechnem uczuciem ogółu. Naprzykład nabożeństwa żałobne za Kilińskiego, o którego duszę czy inicyatorowie nabożeństw dbają tak bardzo? albo nabożeństwa (znowu co roku powtarzane) na pamiątkę ślubu Jana Kazimierza. Wszystko to wskazówki, że nabożeństwa, jak przed laty trzydziestu, mają być środkiem utrzymywania ludności w mechanicznym ruchu, a magnetycznego usypiania jej sądu i woli. Jest zaś pogłoska — nie wiemy o ile uzasadniona — że komitet obchodów narodowych, ma ich w zanadrzu gotowych dużo. Że mianowicie lata najbliższe, jako wiekowe rocznice ostatnich walk i nieszczęść Rzeczypospolitej, mają nam przynieść cały nieprzerwany szereg obchodów. I tak: w roku 1892 obchodziłaby się smutna pamięć konfederacyi Targowickiej i wojny, w 1893 pamięć drugiego rozbioru, w 1894 Kościuszkowskiego powstania, w 1895 nareszcie, rocznica trzeciego rozbioru. Były już podobno i panie,

które z zapałem powzięły myśl noszenia przez te lata narodowej żałoby.

Otóż, trzeba z temi obchodami obchodzić się ostrożnie. Żeśmy Polacy, o tem i bez obchodów wiemy my, i wiedzą wszyscy. Dokumentować naszego życia i ducha w ten sposób nie potrzebujemy. Gdybyśmy zaś po polsku czuć i myśleć przestawali, to nas obchody miłości ojczyzny nie nauczą, i do życia nie przywrócą, jeżeli prawda że umieramy. Ale nieprawda! Żyjemy, i żyć możemy, jeżeli sił żywotnych samochcący sami w marnych, pozornych działaniach nie zmarnujemy.

I na polu więc tych obchodów pamiątkowych, spotyka się duch narodowy ze swoim przeciwnikiem, duchem rewolucyjnym. Który przemoże? Po doświadczeniach z przed lat trzydziestu możnaby już zda się przypuszczać, że nie damy się temu ostatniemu zaprowadzić pochodami tam, gdziebyśmy niechcieli. Ale któż zaręczy, że się znowu zamagnetyzować nie damy?

Kiedy się czyta *Króla Leara*, nie chce się dowierzać, a nie może się pojąć, iżby starzec poważny i doświadczony, mierzył lekkomyślnie miłość swoich dzieci podług ilości ich słów i retoryki ich oracyj, iżby myślał, że te córki naprawdę kochają go więcej, które w szumnych przemowach składają mu oświadczenia swoich uczuć, a tę odepchnął, ba przeklął, która mówi cicho i mało, a kocha prawdziwie. Zdaje się, że to nieuwaga wielkiego poety, wierność zbyt wielka starej opowieści, z której wziął treść do swojej tragedyi? Nasze społeczeństwo polskie tymczasem — może i wszystkie ludzkie taksamo — są do tego starego

ojca podobne. Tylko one stare nie są nigdy; z każdem pokoleniem, jak żeby w fontannie młodości, czy w Letejskiej wodzie zapomnienia skąpane, zapominają łatwo o doświadczeniach przeszłości. I one, jak Lear, często wierzą, że większa i lepsza jest miłość tych dzieci, co więcej o miłości gadają. Ale król Lear pomiarkował się przecie; i gdy skrzywdzona Kordelia przyszła go bronić, ratować, pomścić, poznał swój błąd. Gdyby wtedy raz drugi Regan i Goneril były od niego żądały wiary, gdyby były mówiły, że kochają go więcej i lepiej niż Kordelia, Lear już zapewne nie byłby im uwierzył. Nasz polski Lear zawierzył słodkim słowom Gonerili i Regany, i dziś wygnany ze swoich państw — z Litwy, z Rusi, — po Mazowszu, Sandomierzu, Kujawach, bez domu i ziemi tuła się w wichrach i burzach, obdarty, ze wszystkiego wyzuty, z nędzy i rozpaczy prawie obłąkany. Kordelia znowu, małomowna jak zawsze, i jak zawsze kochająca z całej duszy, opatrzyła choć parę ran, pokrzepiła cokolwiek jego siły, pośpieszyła z jakim takim ratunkiem, i pociechą na jego opuszczenie, sieroctwo i nędzę. Ale wielomowne i wymowne córki stają przed nim znowu, i powtarzają, że one go bardziej, one jedynie kochają! żeby nie wierzył tej milczącej, która oczywiście nie czuje, skoro nie gada.... A Lear co zrobi? czy zapamięta wiele już za sprawą tych córek utracił, i czego doznał? lub też czy im jeszcze raz swoją świętą głowę, swój los, resztki swego życia powierzy....

Gdyby tak być miało, to koniec mógłby być taki, jak w tragedyi Szekspira. Wymowne córki zabiją

Kordelię, zabiją tego Błazna co je przejrzał i ojca przed niemi przestrzegał, ojca o śmierć przyprawią, a gdy już na swojem postawią, wtedy podejrzliwe, zazdrosne, i nienawistne, nawzajem zaczną się między sobą żreć, i zgładzą się jedna drugą. Z całego domu nie zostanie nikt — państwami Leara zawładnie obcy książe Albanii.

# WYKRĘTY I PODEJŚCIA.

Są dwa słowa bardzo piękne, które bez uszanowania a prawie wzruszenia wymówić trudno; dwa pojęcia szlachetne, na których kształci się i wspiera charakter obywatela; dwie cnoty, na których stoi wartość społeczeństw, ich zdrowie i siła: to duch publiczny i wiara publiczna. Dla chrześcianina, jest takich moralnych podstaw bytu więcej, i są innego jeszcze porządku; ale w czysto świeckiem, ludzkiem, politycznem pojęciu, powiedzmy w bezwyznaniowem i pogańskiem pojęcia społeczeństwa, te dwie cnoty są koniecznym warunkiem jego trwałego bytu i siły. One utrzymują w niem narodową świadomość siebie i miłość ojczyzny, one wewnętrzny ład a nazewnątrz bezpieczeństwo i siłę. Wiara publiczna, jest podstawą prawa i sprawiedliwości; ona sprawia, że obywatel może bezpiecznie zawierzyć społeczeństwu, gwałtu i krzywdy się nie bać, a o prawo swoje i o wolę swoją być spokojnym. Na niej opiera się wiara traktatów, na niej więc pokój, bezpieczeństwo, dobry byt ludów i postęp ich cywilizacyi. Duch publiczny jest podstawą obywatelskiej karności i poświęcenia; on sprawia, że jeden czuje się

obowiązanym wolę swoją poddawać pod prawo, że za niegodziwość uważa znosić się z nieprzyjacielem ojczyzny, za powinność w potrzebie oddać za nią życie. Jak człowiek samolub nie będzie miał wyższych cnót, ani chrześciańskich, ani obywatelskich, tak społeczeństwo, bez publicznego ducha nie będzie miało ani odwagi, ani wytrwałości, ani siły, ani rzetelnej miłości ojczyzny. Jak człowiek tyle jest wart ile warte jego słowo, a bez tego niema ani prawości, ani honoru, ani wiary, ani szacunku u ludzi, tak społeczeństwo bez wiary publicznej nie może na sobie samem polegać, sobie ufać że wykona co zamierza, a dotrzyma co postanowiło; nie może być pewnem swojego własnego uczucia i słowa; przez to musi tracić wszelką moralną spójność i jedność, a w końcu naturalnie wiarę i cześć u siebie samego i u ludzi.

Publicznemu duchowi sprzeciwia się prywata (ludzi czy fakcyi); wierze publicznej sprzeciwia się chytrość, i płynące z niej uczynki: wykręt, podstęp, podejście, w wyższym stopniu oszukaństwo, przeniewierstwo i zdrada.

Dawna Polska, odkąd się psuć zaczęła, miała ducha publicznego mało; od Sejmu czteroletniego dopiero uznała za swój obowiązek wyrabiać go w sobie i mieć. Ale wiara publiczna była w niej, rzetelna i pewna. Przeciw temu twierdzeniu świadczy jedna tylko zła sława trybunałów, i to w czasach upadku, kiedy i one zaraziły się zepsuciem powszechnem. To zaś zepsucie sprawiedliwości nie było długotrwałem, a może nie było tak wielkiem, jak sobie wyobrażamy. Współcześni podają nam wiadomości o nadużyciach, które ich raziły i oburzały, a nie opowiadają o wyrokach uczciwych

i sprawiedliwych, bo to rzecz naturalna, która nie zwraca na siebie uwagi. Zresztą indywiduów złych było wiele, ale ani rząd polski ani społeczeństwo, nie były bez sumienia, bez honoru i bez słowa.

O ten przymiot najszanowniejszy, o tę kardynalną cnotę społeczną, możnaby się u nas obawiać, gdyby niektore oznaki miały się powtarzać i ze sporadycznych stać się chronicznemi. Nieprawda w teoryi, musi niemal koniecznie mieć za skutek nieprawość w praktyce. Stronnictwo, które się postępowem zowie, dawno, bo od lat sześciudziesiąt przyzwyczaiło się nieprawdę mówić: o sprawach publicznych (wypadkach, planach, stosunkach), i o rzeczach osobistych (ludziach, przekonaniach, dążnościach). Wyznając zaś zasadę że cel uświęca środki, a dla „idei“ wszystko robić jest wolno, wprawiano się bez wahania w sztukę kłamstwa lub potwarzy. Przestano też w końcu wiedzieć, że prawda jest obowiązkiem uczciwego człowieka, podstawą i cechą prawości i honoru. Co gorzej, to że za tym przykładem i tą praktyką, zaczęło się z nieprawdą oswajać i społeczeństwo. Od ostatnich lat dwudziestu pięciu, zrobiło ono pod tym względem postępy smutne. Zrobiło je pod wpływem dzienników, kiedy przez lata całe dzień w dzień czytało wymysły i fałsze. Wierzyło jednym, nie wierzyło innym, ale pozwalało na wszystkie. Jego wina była tu oczywiście taka, owszem większa niż wina złego dziennikarstwa. To należycie skarcone, zagrożone utratratą abonentów, byłoby z musu stało się rzetelniejszem; bezkarne, gdy widziało, że mu wszystko uchodzi, naturalnie pozwalało sobie na wszystko. Publiczność zaś przez to długie przyzwyczajenie do fałszu i kłamstwa, doszła do tego, że jej kłamstwo nie

razi i nie oburza. Widzi często, ale znosi obojętnie. Stępiła się w niej wrażliwość, czułość na złe, zdolność osądzenia go i potępienia — z czasem może już i sama zdolność rozeznania między tem co prawe a tem co przewrotne, co godne a co brzydkie.

Widząc zaś stałe i rozczulające pobłażanie dla nieprawdy w słowach, rzecz prosta, że ludzie „wyżsi nad przesądy“, ludzie, którym wszystko wolno („dla idei“ ma się rozumieć!) poszli o krok dalej i zaczęli próbować szczęścia, czy im się nie uda nierzetelność w postępowaniu. Jest w nich przebiegłość, od mądrości bardzo daleka i zupełnie różna, na wielki pomysł lub czyn znaczący zupełnie niedostateczna, ale przydatna i doskonała do wybiegu, do wykrętu, do podstępu i podejścia. Tą też bronią zaczęli od lat paru wojować; zrazu ostrożnie, skromnie, jak żeby na próbę tylko. Próba się udała; nieprawość w uczynku znalazła takiesame pobłażanie, takąsamą flegmatyczną obojętność i bezkarność, jak nieprawda w słowach; i wtedy zaczęto stawiać kroki śmielsze i szybsze na tej krętej drodze.

W tym ogólnym pobieżnym szkicu naszych usposobień, zmuszeni jesteśmy pomijać (nieraz z żalem) przykłady, jakich nam dostarczają bieżące wypadki; charakterystyczne bardzo, ale tak drobne że niebawem pójdą w zapomnienie i staną się niezrozumiałemi. Tym razem jednak musimy od przyjętej reguły odstąpić, i przytoczyć parę przykładów, parę grzechów przeciw uczciwości i wierze publicznej.

Jednym z wcześniejszych, ale jednym z jawnych i charakterystycznych a stałych, jest łamanie słowa i wydawanie tajemnic. Członkowie Koła polskiego

w Wiedniu zobowiązani są do dyskrecyi, od której częstokroć zależy ich powodzenie w tej lub owej sprawie. Tymczasem, rzecz powszechnie i oddawna wiadoma, obrady i uchwały Koła poufne, dostają się zaraz do wiadomości dzienników „postępowych“. Przez kogo? Na posiedzeniach Koła nie bywa nikt, prócz posłów, a więc tylko niektórzy posłowie „postępowi“ mogą donosić co się tam działo, i — łamać dane przyrzeczenie.

Świetniejszym, bardziej efektowym był podstęp spełniony przy pogrzebie Kraszewskiego. Bez swojej winy (jesteśmy o tem najmocniej przekonani), Kraszewski umarł bez sakramentów. Chodziło o publiczny uroczysty pogrzeb w Krakowie. Taki oczywiście bez duchowieństwa i nabożeństwa obejść się nie mógł; pogrzeb taki, jak Wiktora Hugo w Paryżu, w Krakowie byłby zgorszył ludność. Biskup, wiedząc jak wszyscy z dzieł zmarłego, że on pod względem religijnym miał pojęcia niestałe a popędy różne, oświadczył, że najchętniej na nabożeństwo pozwoli, nawet je sam odprawi, byleby wiedział, że nieboszczyk umarł jak katolik. Na to przychodzą z Genewy telegramy: „Kraszewski umarł z sakramentami“. Pogrzeb się odbywa, po katolicku. Ale zaledwo trumna złożona była w grobach na Skałce, przychodzi z Genewy telegram drugi, do bardzo postępowych pism warszawskich: „Nieprawda! umarł bez sakramentów!“ Cieszmy się bracia! I człowiekowi (katolikowi ze chrztu a nieraz z uczucia), dało się umrzeć bez księdza, bez spowiedzi i wiatyku, i biskupa wyprowadziło się w pole, i uroczystym obchodem „budziło się ducha“. Co za gratka! i co za tryumf! Nie dwie ale aż trzy pieczenie upieczone przy tym jednym ogniu.

Któryż z tych dwóch telegramów był prawdziwy? Drugi, jak świadczą zgodnie świadomi tej sprawy, jak potwierdza pan Chmielowski w swoim szczegółowym i starannym żywocie Kraszewskiego. A więc pierwszy? czem był? Rozmyślnem kłamstwem, nadużyciem dobrej wiary biskupa i duchowieństwa, świadomem wprowadzeniem ich w błąd, co wszystko w ludzkiem sumienin i nawet w pojęciu prawnem, nazywa się podejściem, oszukaństwem.

A jak się nazywa w języku honoru?

Ale to uszło, przyschło, i nie zaszkodziło nikomu w opinii. A więc naturalnie można próbować dalej, i ćwiczyć swój dowcip w równie dobrze wymyślonych (równie szlachetnych także — i niestety równie bezkarnych) nowych wykrętach gwoli nowych sukcesów.

Były wypadki, mniej rażące na oko, w rzeczy gorsze może, wypadki wkładania i wprawiania ludzi młodych do wykrętów, do obejścia rektorskiego zakazu naprzykład, a potem do poufnego niby przyznania się do winy. Ta udana ufność i pokora, miała niby władzę związać a zapewnić bezkarność. Albo znowu przyzwyczajanie młodych do obietnic warunkowych, do „restrykcyj mentalnych", o których strona przyjmująca obietnicę nie wié nic, a strona obiecująca, ma w nich jakąś niby wymówkę, jeżeli obietnicy nie dotrzyma, i — działa w złej wierze. W młodych zaś tępić uczucie dobrej wiary i honoru, przyzwyczajać ich do wykrętów i uczyć subtelnych sofizmatów, to jest występek jeden z najgorszych, jakie przeciw wierze i uczciwości publicznej, przeciw zdrowiu społeczeństwa i jego przyszłości można popełnić. Rzecz jest aż nazbyt widoczna, że skutki będą złe. Pokolenie wcześnie zaprawiane do

do wykrętu i złej wiary, trudno wyrośnie na pokolenie ludzi prawych. Ale któżby na takie małe względy uważał, wobec tej korzyści wielkiej, że się młodym dało lekcyę wykrętu, podejścia i lekceważenia? Że zaś temu co zgorszy jednego z młodych, lepiejby było, żeby sobie kamień młyński uwiązał u szyi i rzucił się w głębokości morza, na to któżby zważał. Marne i urojone groźby chrześciańskiej mitologii, na które człowiek postępowy rusza ramionami i uśmiecha się z politowaniem.

Podejście śmielsze, głośniejsze, wobec całego już kraju, dokonało się przy ostatnich wyborach do Rady państwa. Jak wiadomo, interes polski wymaga solidarności posłów w Wiedniu, a ta znowu, ze względu na różne krzyżujące się w kraju wpływy, nakazuje, iżby wybory odbywały się pod jednym kierunkiem. Ztąd poszło, że od lat wielu Koło sejmowe wybiera komitet wyborczy, a dobry obywatel winien jest temu komitetowi pomagać i być powolnym. Wiedzą to i rozumieją doskonale wszyscy; nikt się nigdy z pod tej dobrowolnej karności nie wyłamywał. Koło sejmowe wybiera do tego komitetu posłów ze wszystkich frakcyj i grup, z lewicy, jak z innych. Posłowie z lewicy, tym razem (jak zwykle) wybór przyjmują; przez to dają do zrozumienia, że do tak wybranego komitetu należeć będą szczerze i rzetelnie. Tymczasem ci sami wstępują do innych komitetów wyborczych (czy może zawiązują je sami), a z owego pierwszego przecież nie występują, zostają w nim. Ktoby był chciał postąpić otwarcie i rzetelnie, ten byłby Koło sejmowe z góry przestrzegł, że ma inne widoki i inne komitety na myśli: „Jeżeli z tem zastrzeżeniem wybierać mnie chcecie, to dobrze, wybór przyjmę; ale ostrzegam uczciwie o tem, co zamierzam

zrobić". Albo jeżeli przy wyborze komitetu centralnego w roku 1889, te inne jeszcze postanowione nie były, to należało przy pierwszej sposobności, podczas Sejmu roku 1890, oświadczenie takie przed Kołem sejmowem zrobić, powiedzieć, że się do innej organizacyi wyborczej należy lub należeć chce, i poddać się powtórnemu wyborowi. Ale należeć do dwóch komitetów wyborczych, z których każdy ma inną akcyę i innych kandydatów; zasiadać w jednym, wiedzieć wszystko co się w nim dzieje, a równocześnie w drugim jego zamiary krzyżować, to jest podejście, to jest podstęp, to jest postępowanie, które zawsze dotąd uchodziło za brzydkie. W naszej liberalnej opinii ono jednak nikomu widać nie szkodzi, bo nie spotkaliśmy w jej organach ani jednego słowa nagany dla ludzi, którzy tak postępują. Jeżeli istotnie nikt się tam na podstęp nie oburza, jeżeli nie ma tam opinii, którąby nakazała swoim reprezentantom czy przywódzcom postępować inaczej, to znak, że jesteśmy chyba mocno nadpsuci. Nie wszyscy jednak, bo tym razem sukces zupełnym nie był; a ta dwuznaczność w czynie a dwujęzyczność w słowie, oburzyła jednak wielu, i ukazała im ten rodzaj „postępu" i „liberalizmu" w świetle, w jakiem go dotąd może nigdy jeszcze tak jasno nie zobaczyli.

Świeżym a nader charakterystycznym przykładem tej *nieprawdy*, która się stała regułą i ulubionym, praktycznym środkiem działania, były ostatnie wybory do Rady państwa w Krakowie. Ktoby chciał napisać satyrę na system parlamentarny, nie mógłby wymyśleć nic zupełniejszego i wymowniejszego. Zwołano zgromadzenie wyborców. Rzecz prosta, że na takiem znajdować się powinni tylko wyborcy sami; inaczej zgroma-

dzenie jest udaniem, komedyą, a jego uchwały nie mają żadnej wagi. Tu, sala ogromna pełna ludzi, ale w tym tłumie bardzo dużo takich, których sam wiek chłopięcy wskazuje, że wyborcami być nie mogą. Jeżeli więc są nimi wszyscy dorośli, to w każdym razie oprócz wyborców jest w sali wielu takich, którzy tam być nie powinni. Ci naturalnie spraktykowani naprzód, i nauczeni, żeby to robili, co wskaże jakiś *ad hoc* wyznaczony komendant. Mowy kandydatów; po nich mają nastąpić interpelacye. Jeden wyborca (prawdziwy), pan Paweł Popiel (syn), prosi o głos, dostaje go i zaczyna mówić. Ale ledwo zdołał kilkanaście słów wymówić, przewodniczący przerywa i zapytuje, czy zgromadzenie chce słuchać interpelacyi. Zgromadzenie wielkim hukiem odpowiada podług rozkazu, że *nie*. Inni wołają, że *tak*, ale są zagłuszeni, a w ścisku i zgiełku głosowania urządzić niepodobna, gdyby nawet przewodniczący był miał ten zamiar. Nieszczęśliwy wyborca, pozbawiony głosu, próbuje bronić swego prawa, upomina się; na to przewodniczący odpowiada mu z wielką powagą, że gdyby tu każdy miał mówić jak chce i kiedy chce, to posiedzenie nie skończyłoby się nigdy. Ludzie, którzy chcieli prawdziwego przedwyborczego zebrania, próbują tłómaczyć; pan Paweł Popiel (ojciec) zbliża się do przewodniczącego i mówi z nim swoim zwykłym, bynajmniej nie podniesionym głosem. Na to przewodniczący odpowiada gromko, ze wspaniałą energią i majestatem, że „nie pozwoli mącić powagi zgromadzenia!“ Krzyki, oklaski, wrzawa nie do opisania. Wyborcy, pogwałceni w swoich prawach, opuszczają salę.

Byłoto zupełnie tosamo, co nasi staropolscy pisarze mówią z taką głęboką żałością i troską o sejmi-

kach. Tłum ludzi, Bóg wié czy uprawnionych do głosu, spraktykowany naprzód przez agentów tego lub owego wojewódzkiego potentata, krzykiem i hukiem nie dopuszczający ani dyskusyi, ani prawomocnej uchwały, urąganie i z wolności i z prawa. Wszystko było tu nieprawdą; i zgromadzenie wyborców, i tych wyborców wolność głosu, i użytek ze służącego im prawa, i ważność uchwał na takiem zgromadzeniu zapadłych, i wreszcie to, co o całej sprawie na finał pisały „organa postępowego stronnictwa.“ Pisały, że przeciwnicy ich zrobili burdę! Pan Popiel, ze swoim charakterem i wiekiem robił burdę! a tłum niedorostków krzyczących i huczących reprezentował i utrzymywał „powagę zgromadzenia.“ Prawdą było tylko jedno, to, co się mimowolnie ale jasno pokazało: oto ten rodzaj i stopień pojęcia i poszanowania wolności i prawa, jaki mają ludzie co o wolności mówią, a o anarchii, o terroryzowaniu przeciwnika, o samowoli własnej myślą. Prawdziwym i charakterystycznym był obraz tej wolności i tego prawa, jakich używałby kraj pod dobroczynnemi rządami tego stronnictwa, gdyby ono kiedy rządzić nim miało.

Ale ludzie uczciwi, ludzie prawi, którzy w tem stronnictwie są, których się tam na tem zebraniu widziało, czy oni pochwalają takie postępowanie? czy je uważają za dobre? czy nie rozumieją? czy nie mogą zganić, napomnieć, skarcić? Żal ich było doprawdy, kiedy tam stali i grali upokarzającą rolę figurantów w tej komedyi, której zdrożność i śmieszność w swojem sumieniu czuć jednak musieli, skoro są uczciwi i prawi. Milczeli jednak! I tam na zgromadzeniu, i później, żadnem słowem, ani uczynkiem nie dali poznać, że się na takie postępowanie nie godzą. Czy dobrze robią, że

milczą i pozwalają? Niech rozważą, jakiem będzie społeczeństwo, jeżeli i prawo, i wolność, i czynności obywatelskiego życia, staną się komedyą naprzód ułożoną i odgrywaną wedle woli tego, kto ma głos najdonośniejszy i liczbę pięści największą? Raz i drugi uda się to szczęśliwie, ale broń jest obosieczna i łatwo skaleczyć może tego, kto jej używać pozwala. Nikt nie jest pewnym, że zawsze będzie mocniejszym; a jak w przyszłości środkiem tymsamym i za tym przykładem zechce działać kto inny przeciw temu „liberalnemu postępowi," do którego przyznaje się dziś wielu ludzi istotnie uczciwych? Nie *wstecznicy* — tej obawy niema, bo oni takiemi broniami nie walczą. Ale jeżeli za jakie lat kilka nowy jaki, a bardziej „postępowy" postęp zechce taksamo zgromadzenie wyborcze zakrzyczeć, wyborcom usta zamykać, i podobnie gorszącą komedyą woli swojej nadawać pozory uchwały, co wtedy powiedzą ludzie uczciwi z dzisiejszego liberalnego i postępowego stronnictwa? Warto to rozważyć. A nawet nietrzeba i tego; wystarczy zważyć wpływ, jaki nieprawda w słowach, a nieprawość w postępowaniu może (raczej musi) wywrzeć na pojęcia i charaktery ludzi, zwłaszcza młodych. Poważny i godny ojciec uczy syna bardzo słusznie, że kłamstwo i potwarz jest rzecz podła; syn myśli (jeżeli nie mówi), że gdyby to była prawda, to ojciec oburzałby się na swoich przyjaciół politycznych i na ich organa, które kłamią i szkalują. Ojciec uczy, że wykręt i podstęp jest rzecz porządnego człowieka niegodna; a syn mniema, że gdyby to było prawdą, to przecież ojciec protestowałby słowem lub uczynkiem przeciw wykrętom i podejściom. Ojciec uczy, że dobry obywatel powinien szanować i wolność i prawo; a syn

w duchu zapytuje: „Jeżeli tak, to dlaczego ojciec był na pewnem zgromadzeniu wyborczem i przeciw niemu się nie oświadczył?“ Znoszeniem nieprawdy ojcowie uczciwi gotują sobie i społeczeństwu tę pociechę, że ich synowie prawdy i prawości ani dobrze znać, ani szanować nie będą umieli; może nie będą chcieli.

Nie opowiadamy więcej, choć było więcej przykładów tej niby sprytnej, a naprawdę niemądrej, a tem bardziej nieuczciwej przebiegłości. Przytoczone fakta wystarczą, by pokazać, że szerzy się między nami wykręt i podejście, nieprawda w mowie, nieprawość w postępkach. Nie jest to zaś rzecz dla przyszłości narodu obojętna i mała. Ona dowodzi, że słabnie w nas świadomość i cnota wiary publicznej, bez której żaden naród ani silnym, ani godnym, ani mądrym nie będzie. Mówią nam zawsze o postępie i sile Polski demokratycznej; niechże wiedzą i pamiętają, że społeczeństwo demokratyczne, jak każde inne, jeżeli ma być zdrowem i silnem, musi się składać z ludzi porządnych, i na dobrej wierze opierać. Owszem, demokratyczne społeczeństwo chyba bardziej niż każde inne, potrzebuje tej podstawy, ono, które mówi o sobie (nie bez racyi), że monarchie mogą trzymać się władzą, arystokracye honorem, ale demokracye cnotą tylko jedną, a bez niej rozprządz się i runąć muszą. Niech nasza demokracya będzie demokratyczną jak chce najbardziej, i owszem; ale niech będzie uczciwą, i swoim (wyższym czy niższym) nieuczciwości nie dozwala. Bo jeżeli, jak chce i twierdzi, w niej jest przyszłość narodu, to ta przyszłość bez tej podstawy ani trwałą, ani silną, ani szanowną nie będzie.

# PRZEDWCZESNE POLITYKOWANIE.

W prawie karnem opisany jest i ciężkiemi karami obłożony występek, zwany „uwodzeniem nieletnich.“ Rozumié się przezeń uwodzenie niedorostków, chłopców czy dziewcząt, do rozpusty. Nie przed kodeksem, ale przed sumieniem obywatelskiem, występkiem podobnym jest uwodzenie małoletnich do przedwczesnego politycznego życia. Umysł i charakter, jak organizm fizyczny, potrzebują pewnych lat i pewnego stopnia dojrzałości na to, by bez szkody, bez przedwczesnego wyczerpania i zwątlenia, mógł pełnić wszystkie funkcye, do których jest przeznaczony. Dlategoto wszystkie prawodawstwa od początku świata, znają i oznaczają pewną granicę wieku, którą gdy przebył młodzieniec, staje się dopiero własnowolnym: dlatego wszystkie bez wyjątku małoletniemu dodają opiekę. Nie przyznają mu prawa rządzenia swoim majątkiem, zawierania i podpisywania kontraktów lub ślubów małżeńskich, nie przypisują mu nawet zupełnej odpowiedzialności za własne postępki, i w razie winy karzą go lżej, niż pełnoletniego. Prawo publiczne nie dopuszcza małoletniego do wykonywania praw obywatelskich; żąda pełnoletności od wyborcy, żąda jeszcze

kilku lat po nad nią od posła. Sokrates w dowcipnej rozmowie pokazuje Glaukonowi synowi Arystona, że się do rządów Rzeczypospolitej rwać nie powinien, a Pismo święte groźną, ponurą wróżbą przestrzega narody przed rządami niewiast i dzieci.

Dowodzi to, że ród ludzki, od czasu jak jest na tym świecie, wiedziony naprzód instynktową wrodzoną znajomością swojej natury, następnie zastanowieniem i doświadczeniem, uznawał wiek młody za wiek nauki i przysposobienia się do życia, nie za wiek czynnego w życiu działania. Czy się ród ludzki (cały jak był i jest) w tem swojem pojęciu mylił? Z pewnością nie. Owszem, dobrze znać na niem wychodził, kiedy się go wszędzie i zawsze trzymał ściśle, nawet w chwilach najburzliwszych, najbardziej namiętnych zamieszek i wstrząśnień. W rewolucyi francuskiej, kiedy przeróżne korporacye mięszały się do spraw i z głosem swoim wyrywały, kiedy Konwent nie mógł się opędzić od niezliczonych deputacyj i słuchał ich z pozornem uszanowaniem a istotną cierpliwością, niewiadomo, iżby był przyjmował deputacyę młodzieży jako takiej. Wspominają o niej współczesne opisy jako o należącej do uroczystych pochodów i obchodów, nie wspominają jako o korporacyi, którąby przyznawała sobie sama, lub miała przyznane prawo do głosu w sprawach publicznych.

Tego nie możemy zaprzeczyć, że u nas młodzież występuje i głos zabiera w tych sprawach więcej, niż w każdym innym kraju. Czy mamy to tłómaczyć gorętszą u niej miłością ojczyzny? Zkądże dowód, a choćby domysł, że młody Francuz, Anglik, lub Niemiec, kocha swoją ojczyznę mniej, niżeli swoją kocha młody Polak? Nic zatem nie świadczy, nic nas nie uprawnia do ta-

kiego mniemania. Każdy z tamtych w potrzebie bije się i poświęca za swoją ojczyznę taksamo jak my, taksamo z zapałem o niej mówi i marzy; gdy dorósł, często służy jej lepiej niż Polak. Nie w większej miłości ojczyzny zatem, ale w naszem anormalnem, niezdrowem położeniu jest powód tego (jak wielu innych) niezdrowego objawu i stosunku. Młodzież pospołu ze społeczeństwem czuje wszystkie uciski i krzywdy, czuje je nie żywiej, ale gwałtowniej od starszych, bo jest młoda. Od pierwszego dzieciństwa słyszy, że ma ojczyznę kochać i jej służyć, i temu wierzy, tem się do samego dna duszy przejmuje. Ale ona ma tosamo co naród cały usposobienie, niecierpliwe i zapalne zawsze, a w naszym wieku bardzo nerwowe; ma tęsamą co wszyscy (tylko w wyższym stopniu naturalnie) potrzebę czy namiętność wynurzenia się ze swojem uczuciem. Kiedy go nie wypowié często i głośno, kiedy go nie widzi przed sobą, żeby się tak wyrazić, ona nie jest pewna czy je jeszcze ma; myśli, że ono w niej zasnąć, albo wyśliznąć się może. Dalej, z natury (znowu jak starsi) skłonna jest do podejrzliwości i skłonna do niechęci względem wszystkiego co jest zwierzchnością, władzą. Z tem usposobieniem, widząc co się dzieje, i że dzieje się źle, a nie wiedząc jak wiele do tego potrzeba by złe usunąć a choćby tylko naprawić, ona posądza starszych o brak miłości ojczyzny i dobrej woli, a przypuszcza, że jej zapał, jej szlachetny poryw i popęd, gdyby mógł udzielić się wszystkim, „tworzyłby cudy“, a sprawę pchnąłby „nowemi tory“.

Aż dotąd wszystko dobrze. Wszędzie i zawsze młodzież taką jest, i taką być powinna. Ale tu zaczyna się zboczenie z prostej i dobrej drogi. Z tego bowiem

usposobienia rodzi się pragnienie, żeby tym swoim uczuciom (które się zwykle bierze mylnie za zdania i plany) dać wyraz, żeby tych wystygłych i zaspanych starszych swoim zapałem wstrząsnąć, zelektryzować, a w najgorszym razie, żeby ich zawstydzić; żeby siebie i rówieśników, i młodszych, od podobnego zaśnięcia ustrzedz. I w tym punkcie młodzież schodzi z naturalnego i przynależnego jej stanowiska: chce objawiać swoją wolę, kiedy naprawdę niema jeszcze ani woli, ani jej możności, ani do niej prawa; chce swój sposób widzenia objawić, a w takiem zaś objawieniu zawiera się logicznie chęć i żądanie, choćby niewypowiedziane, żeby starsi swój sposób postępowania regulowali podług sposobu widzenia młodzieży, podług jej uczuć i wrażeń. Przez to młodzież zajmuje już stanowisko niesłuszne, niezdrowe i nieuprawnione; stanowisko odrębnej niby całości w całości społeczeństwa, naprzeciw tej drugiej, jako niby równa, poniekąd jako wyższa, powołana do upominania, radzenia i sądzenia.

Są tacy, co powodu i winy tego zboczenia szukają w Mickiewiczu, mianowicie w *Odzie do Młodości*. Nam się zdaje, że i bez niej mielibyśmy tensam rodzaj i stan usposobień, choć zaprzeczyć nie możemy, bo widzimy, że *Oda do Młodości* cytowana jest zawsze przez młodzież samą i przez jej podchlebców, ile razy chodzi o to, by ją skłonić do przekroczenia właściwej granicy zajęć i obowiązków, albo z takiego wykroczenia wymówić. Dziwno nam tylko — może dlatego żeśmy starzy — jak ta wspaniała poezya może być braną dosłownie i służyć za hasło, czy za program. Pod tym względem jest ona wcale niewystarczająca i skromnie przestająca na małem. Prawda, że chce „bryłę świata

ruszyć z posad i pchnąć nowemi tory", ale od tej obietnicy dziwnie odbija dziecinne pojęcie świata jako martwego, i skromna ambicya, żeby wzlecieć „w rajską dziedzinę *ułudy*". Dla fantazyi poety, to dziedzina w sam raz: ale taka ojczyzną nie jest i być nie może, i dziedzina rzeczywistości, choć nie rajska, ale cokolwiek mniej ziemska, byłaby może właściwszem polem dla Polaka i obywatela. Zapał, który „nowości potrząsa kwiatem i obleka nadzieję w złote malowidła", to także zapał, który przestaje na małem: bo powinienby nie nowości kwiatem potrząsać, ale z owoców prawdy i mądrości ziarna pożytku i siły rozsiewać, a w złote malowidła oblekać nie „nadzieję", ale rzeczywistość. Kto wié, czy my w naszych zapałach nie poprzestajemy na tem złoceniu i malowaniu nadziei tylko; i czy nie dlatego na skrzydłach takiego zapału wzbijamy się w dziedzinę rajską zapewne, ale w dziedzinę ułudy, z której za każdym razem rzeczywistość strąca nas na łeb, na samo dno przepaści.

Jakkolwiek zresztą ma się rzecz z *Odą do Młodości* i z jej wpływem, rzecz pewna, że w naszej młodzieży jest ta skłonność do przeceniania swego stanowiska, i że jest ona dla polityki anarchicznej archimedesowym punktem w jej działaniach na młodzież.

Polaka na patryotyzm, człowieka na podchlebstwo, zawsze złapać można; cóż dopiero młodego człowieka i Polaka? „Powinniście służyć ojczyznie", młodemu na te słowa serce rośnie. „Patrzcie, jak ci służą jej źle, jak ją zaniedbują, albo zdradzają"; młody na takie słowa niepokoi się i drży jak spłoszony źrebiec. „Wy waszym zapałem powinniście, wy jedni możecie ojczyznę ratować"; w młodym na takie słowa budzi się pycha.

„A chcecie ją ratować, to mnie wierzcie i mnie słuchajcie“; młody temi słowami wzięty na arkan, przestaje być wolnym stepowym źrebcem, a okiełznany i osiodłany, staje się wierzchowym koniem swojego podchlebcy. Święta zasada, „postęp zasadza się na obalaniu powag, a przedewszystkiem religii i władzy“, znajduje tu naturalnie szerokie zastósowanie i wyborne dla siebie pole, a pierwszą powagą którą się obala, jest naturalnie zwierzchność tej młodzieży. Do tego jako przykład, pozwolimy sobie przytoczyć ciekawą, autentyczną anegdotę. Przed pogrzebem Mickiewicza, była rozmowa między kilkoma uczniami uniwersytetu, a członkami pogrzebowego komitetu. Chodziło o to, żeby ci młodzi odstąpili od jakiegoś zamiaru, który nawet najbardziej „postępowym“ wydawał się niewłaściwy. Otóż jeden z tych, chcąc wytłómaczyć i skłonić do ustępstwa, odzywa się naiwnie: „ależ panowie, mnie przecie możecie wierzyć, przecież „ja nie jestem z uniwersytetu!“

Po kilku latach usilnej pracy nad młodzieżą różnych zakładów, ale przedewszystkiem uniwersytetów, po szumnych i nieskończonych pochwałach dawanych każdemu zarozumiałemu przemówieniu, a cóż dopiero każdemu aktowi niekarności i nieposłuszeństwa, po wytłómaczeniu tej młodzieży, że powinna swoje opinie i dążności objawiać w pismach publicznych, a postępowość swoją zadokumentować adresem do członków dawnego emigracyjnego Towarzystwa demokratycznego, doszło się do rezultatów wcale świetnych. We Lwowie młodzież ogłosiła swój program polityczny, w którym domagała się dla swoich reprezentantów głosu w sprawach krajowych; w Krakowie, w kilka miesięcy później, domagała się dymissyi Rektora.

Że młodzież sama poznała się w obu uniwersytetach na wartości tych programów i żądań swojej głośniejszej ale mniejszej części, i że im sama położyła tamę i szerzyć się nie pozwoliła, to jest jej wielka zasługa, a dla społeczeństwa dobra na przyszłość otucha. Z młodzieńców, którzy mieli dość rozumu i dość odwagi na to, by roznamiętnionym i sfanatyzowanym powiedzieć prawdę w oczy i oprzeć się, będą kiedyś, da Bóg, ludzie tęższi od nas starszych. Mieli na wstępie do życia bolesną ale zdrową jego naukę; i mieli to szczęście, tę zasługę także, że w młodości odbyli pierwszą gimnastykę charakteru, wprawili go w odwagę, wyłamali go do tego ruchu odwagi cywilnej, który dla nas Polaków bywa zwykle najtrudniejszym ze wszystkich. Ale jedna kryzys przebyta, przebyta może na jednem miejscu, nie na wszystkich, nie znaczy jeszcze, iżby choroba była ustąpiła. Jest ona, i paroksyzmy powtarzać się mogą, i powtarzają się na różnych miejscach i pod wpływami różnemi. Raz będzie to prosty wpływ i duch niby narodowy, naprawdę spiskowy i anarchiczny; drugi raz będzie socyalny (z pewną zawsze przymieszką patryotyzmu dla osłody i ozdoby); w jednym zakładzie będzie więcej zniecierpliwienia na profesorów, w drugim więcej politycznego pierwiastku, ale na różnych miejscach i w różnych odmianach fermentuje tensam pierwiastek zdrowej i błogosławionej anarchii, zaszczepiony temisamemi zawsze rękoma, w celu, żeby przeszedł w krew tej młodzieży i zrobił z niej powolne narzędzia. Że on systematycznie i podług planu szczepiony, dowodzi jednoczesność i tożsamość objawów i skutków. W Warszawie nieszczęśliwa młodzież doprowadzona do rozpaczy rządami Apuchtina, przerażona widokiem kilku kolegów słab-

szych i ulegających wpływom rosyjskim, nie dziw, iż uwierzyła, że „powinna dać znak życia“, „manifestować swoje uczucia“, i że „gorszego już nic być nie może“. Udawała się też w dniu 3 maja na wskazane miejsca; skutkiem było aresztowanie wielu, w więzieniu samobójstwo jednego — a co będzie dalej, to tylko Apuchtin wié i Pobiednoscow. U nas w Galicyi odezwy tesame, i tensam nakaz zbierania się w pewnych miejscach na wspólne pochody. Zgodność objawów dowodzi jedności kierunku. Kryzys zatem w uniwersytetach dziś uspokojona i przebyta, objawia się na innych miejscach i w innych zakładach. Anarchiczna propaganda nie ustaje, owszem, podwaja energię i przesiąka już głębiej, bo do uczniów gimnazyalnych. I ci zaczynają politykować, i ci na pauzach dyskutują o „zasadach“, a czasem czubią się o „postęp“ i o „wstecznictwo“. I ci chcą manifestować swoje opinie. Że się dają użyć do kocich muzyk i tłuczenia szyb, rzecz to w ich wieku i przy usposobienia studenta tak naturalna, że nie można ani się dziwić, ani nawet na nich gniewać. Ale na nich tylko! Nie na tych, co ich w takie manifestacye wciągają! nie na tych, co między nimi zawiązują jakieś polityczne stowarzyszenia, a było takich wypadków kilka. Na tych sprawców, na tych korruptorów młodzieży, co nadużywając jej uczuć patryotycznych, a podchlebstwem wkradając się w jej zaufanie, uczą ją przedwcześnie politycznych i społecznych namiętności, na tych niema dość gniewu i oburzenia. Ci na umyśle i charakterze tych chłopców popełniają takisam występek, jaki względem fizycznego zdrowia i siły popełniają ci, co młodzieniaszków zaprawiają do rozpusty.

Czy trzeba przypominać skutki takiego rozpolity-

kowania młodzieży? Jeżeli przypominać trzeba; to nigdzie tak łatwo jak w Polsce. W r. 1830, młodzi ludzie — nie uczniowie przecież — wzięli w swoje ręce i na swoją odpowiedzialność los ojczyzny, narzucili jej swoją wolę. W r. 1863 wymknęli się nawet z rąk które ich prowadziły, i dali hasło do walki. Oba razy sprawa wyszła na tem źle. A jeżeli wszelki spisek w wybuchu swoim i w skutkach swoich, nie zależy nigdy od woli tych co go zawiązali i prowadzili, to najmniej dopiero taki, w którym jest dużo młodych. Ale ten argument nie stosuje się do dzisiejszego położenia? dziś niema mowy o żadnym wybuchu? Wierzymy że tak jest, choć wiemy, że są zawsze tacy, co wyznają starą teoryę Mierosławskiego *ce sera à recommencer;* a kto zaczyna od znanych maksym „nie może być gorzej“ i „trzeba nowych ofiar“, ten nigdy nie może wiedzieć do czego dojdzie i na czem skończy. Ale jeżeli ten argument najogólniejszy nie służy każdemu czasowi zarówno, to są inne zawsze jednako prawdziwe i przydatne. Ten pierwszy: że człowiek przywykły za młodu nie robić tego co powinien, a robić to, co do niego nie należy, nie wyjdzie nigdy na człowieka z wolą, z uczuciem obowiązku, z charakterem. Ten drugi: że człowiek od młodości w politycznych i społecznych nienawiściach chowany, nie wyjdzie nigdy na dobrego obywatela. Ten trzeci: że człowiek chowany w złudzeniu i udawaniu przed sobą i ludźmi jakiegoś politycznego działania, które jest urojonem (choć jemu zdaje się rzeczywistem), politycznego rozumu i zdolności, choćby z natury miał ich pierwiastki, nie wyrobi w sobie nigdy. Ten ostatni — a nie bez wagi, choć mniejszy — że siebie samego zmarnuje w próżnem i marnem pozornem działaniu. Wielu

spraw praktycznych, oświaty ludu naprzykład, albo dziennikarstwa, albo innego jakiego sposobu służby publicznej. W tem się mylą oczywiście. *Qui trop embrasse mal étreint* po francusku, a po polsku: kto kilka srok za ogon trzyma, temu wszystkie wyślizną się i polecą. Powtóre, nie bierną, ale owszem, czynną i w ich latach jedyną rzetelnie czynną służbą jest nauka i wyrobienie się na zdolnych, tęgich ludzi. A wreszcie, co wystarcza i służy Francuzom lub Anglikom, to i nam Polakom równie dobrem być może, bo nas Pan Bóg nie z innej gliny jak wszystkich ludzi ulepił; a który system sposobienia się do służby lepszy i skuteczniejszy, który się bardziej ojczyznie przydaje, nasz polski, lub też ów angielski i francuski? popatrzmy, gdzie więcej ludzi dzielnych, rozumnych, albo znakomitych, zdolnych ojczyznie swojej i siły, i chwały, i szczęścia przyczynić? u tych cudzoziemców, czy u nas? Podobno u nich; a ztąd wniosek, że ich sposób gotowania się do służby publicznej, ich pojęcie i pełnienie obowiązku miłości ojczyzny w latach młodzieńczych, musi być od naszego lepsze.

Pozwolimy sobie powtórzyć tu kilka słów własnych (za co przepraszamy), przy innej sposobności wyrzeczonych do młodzieży, a naszą myśl i przekonanie w tej kwestyi dokładnie określających:

„*Patrz na swoje widnokręgi,*“ nauka to mądra, dla wszystkich, w jakimkolwiek wieku i stanowisku; a my właśnie bardzo jesteśmy skłonni do tego, żeby na swoje widnokręgi nie patrzeć i tego nie robić, co do nas bezpośrednio należy, a do tego się palić i rwać, co leży po za zakresem naszego obowiązku i powołania. Waszym widnokręgiem jest na najbliższą przyszłość przez

lata nuki uniwersyteckiej tak wykształcić i zbogacić swój umysł, a przez oddanie się temu właśnie najbliższemu obowiązkowi tak wyrobić swoją wolę i charakter, iżby każdy zrobił przez te lata z siebie samego człowieka tak usposobionego i zdolnego, jak tylko przy swoich wrodzonych zasobach najbardziej być nim może.

To jest najlepsze, to jedyne prawdziwe przygotowanie do życia; a kto przed czasem chce do czynnego życia należeć, do niego się mięszać, lub w niem występować, ten się wyczerpie, zmarnuje, zwiędnie moralnie tak, jak fizycznie wyczerpują się i starzeją ci, co fizycznie zawcześnie żyć zaczęli i zachcieli być mężami, kiedy jeszcze młodzieniaszkami być nie przestali. Ale za takie słowa młodzi gniewają się czasem i odpowiadają: „przecież my nie dzieci! Dlaczego na nas wołają: uczcie się dzieci"!? Nie tak: ale „uczcie się młodzieńcy, żebyście na wiek męski dziećmi nie zostali". Dzieckiem nie będzie ten, kto lat młodości użyje na to, by nabył i wiedzy i zwyczaju pełnienia swego obowiązku; owszem, taki jak skończy nauki, naprawdę „stanie mężem pośród braci swoich." Dzieckiem jest tylko ten, kto zawsze więcej pożąda, a tego co ma, nie chce i nie umié robić jak należy; — dzieckiem jest ten, kto marzeniem i rojeniem zachciewa zasługi czy rozgłosu na szerszych polach, a temu, co ma na swojej odpowiedzialności, podołać nie może. Dzieckiem jest także, kto zuchwalstwo bierze za odwagę, niesforność za samodzielność, nieufność i niechęć do przełożonych za dowód i miarę niezawisłości i tęgości charakteru. U małych dzieci to zjawisko częste i może naturalne, że nauczyciela mają za nieprzyjaciela, a nieposłuszeństwo czy kaprys za rodzaj bohaterstwa. Bohaterstwo

przypadające zupełnie do miary ich wzrostu i lat. Od młodych, którzy dziećmi być przestali, można słusznie żądać i spodziewać się czego innego. Tacy powinni wiedzieć, że kto zawcześnie chce i mniema być mężem, ten dzieckiem zostaje, choć mu wąsy wyrosły: a najczęściej i dzieckiem zostanie, nawet kiedy mu wąsy posiwieją.

Nam zaś koniecznie, nam bardziej niż każdemu społeczeństwu na świecie, potrzeba mężów, a nie starych dzieci.

Na to, żeby mężem być naprawdę, jest jeden sposób najlepszy: pełnienie swego obowiązku i dobra wiara. Jakkolwiek rozwiną się wasze pojęcia i przekonania, jakiekolwiek będą wasze powołania i zawody, jedno miejcie przedewszystkiem w sercu i na pamięci: żebyście byli porządnymi ludźmi. Porządny człowiek zaś jest ten, który mówi prawdę, który ma cześć i wiarę, którego słowu można zawierzyć. Pamiętajcie, że każdy z nas jest tyle wart, ile warte jego słowo. Kłamstwo, podejście, oszukaństwo, oszczerstwo, podstęp, podłe są, i jednej rzeczy zawsze pozbawić nas muszą: własnego i ludzkiego szacunku. A jeżeli nawet uda im się czasem znaleść powodzenie, to trwałe ono nie będzie, prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa; i człowiek u współczesnych głośny i wzięty, jeżeli do wziętości swojej krętą drogą doszedł, potomnym ukaże się w całym blasku czy całej nagości swojej nikczemności, a jego zła sława potrwa dłużej, niż niezasłużona dobra. Dlatego nad wszystko brzydźcie się wykrętem, fałszem, podstępem; czyby was chciał podejść, czy skusić i pozyskać. Ustrzedz się go trudno, bo zręcznym i powabnym być umié; ale poznać go zawsze można po jednem niemylnem znamieniu: po

pochlebstwie. Bajka o kruku i lisie jest wielką prawdą, a młodzi często bywają zwiedzionym krukiem. Strzeżcie się więc pochlebstwa i pochlebców; strzeżcie się oswojenia się z kłamstwem i wykrętem. Pamiętajcie, że honor męski tak łatwo daje się stracić, jak niewieści; a u nas mężczyzn słowo, prawość, dobra wiara, jest tem, czem u niewiast cnota. Nasza cześć zaś jak ich, raz stracona, już się nie odzyskuje; kto wiarę u ludzi stracił, ten przez pokutę i skruchę może u Boga wyjednać przebaczenie, a nawet wielką zasługę: ale ufności, szacunku, dobrej sławy u ludzi już nie odzyska."

W tej chwili właśnie, kiedy nadużywanie patryotycznych uczuć młodzieży, pociąganie jej za te uczucia do wystąpień jawnych, które jej polskości (nie potrzebującej zresztą dowodu) nie dowodzą lepiej, niż rzetelne pełnienie obowiązku, a na sprawę polską i na młodzież samą mogą sprowadzić nowe klęski, a przynajmniej szkody — jak się to w Warszawie już stało, — w tej chwili wyraźniej niż kiedykolwiek pokazuje się występny charakter umysłowego, moralnego, i politycznego „uwodzenia nieletnich." Tem większy też obowiązek piszących, żeby przed tym występkiem i niebezpieczeństwem przestrzedz, — społeczeństwa, żeby się od niego bronić.

# BRAK MIARY.

„Miarą stawały w dziejach narody na świecie: Grecya, Rzym, Francya, Niemcy, Anglicy...“ Tak zaczynał Szujski satyrę swoją urwaną, w ostatnich już czasach życia pisaną. Co chciał powiedzieć dalej? To zapewne, że bez miary niema mądrego, to jest praktycznego i skutecznego zamiaru: że nie ma w zamiarach dobrego i obliczonego wymiaru: w przedsięwzięciach świadomego i określonego rozmiaru. Chciał zapewne powiedzieć dalej, że miara jest skutkiem dwóch własności nader potrzebnych: znajomości siebie samego, i sprawiedliwości względem drugich. Że jest warunkiem wszelkiej doskonałości i wszelkiego powodzenia. Bez niej nauka nie wejdzie do głowy i nie wyda owoców; sztuka nie stworzy arcydzieła; cnota sama może staś się szkodliwą, bo zbyt surową, niemiłosierną, dziką; gieniusz wyrodzi się w dziwactwo, wolność w swawolę. W porządku politycznym, miara wstrzymuje od wojny niepewnej, wojnę szczęśliwą zatrzymuje w dobrą porę po zwycięstwie: pokój robi trwałym i pewnym przez to, że robi go sprawiedliwym, dla pokonanego niezbyt twardym. Wielki przymiot rozumu, jest ona i cnotą

charakteru, w życiu publicznem zwłaszcza bardzo przydatną i praktyczną.

My, uczuciowi, w uczuciach popędliwi, a pełni fantazyi przytem, nie mamy w naturze swojej tej miary, która trzyma na wodzy popęd i namiętność; która woli nadaje kierunek i uczy ją posiadania siebie; która w działaniu roztropnie wybiera chwilę, upatruje miejsce, oznacza kres. Nie mając jej w naturze, powinniśmy cnoty tej nabyć sztuką; a sztuką w tych rzeczach jest wola i wprawa.

Przez fantazyę i wrażliwość, jesteśmy skłonni do przesady, we wszystkich niemal stosunkach i kierunkach życia. W sądzeniu ludzi, w sądzeniu dzieł, w pojmowaniu siebie samych i swojej sprawy, w krokach które bierzemy przed się, najczęściej przebieramy miarę; chwalimy albo ganimy, zapalamy się lub oburzamy, ufamy lub niedowierzamy, grozimy lub ulegamy — nad miarę: i sąd do rzeczy, środki do celu, stósujemy z przesadą.

Skłonność to u nas wrodzona, ogólna; mało kto od niej wolny. Od życia nad stan i na popis, które było długo (może przestaje być) naszym obyczajem, aż do spraw publicznych, wszędzie uważać można tę przesadę, która jest zła, bo nietylko częstokroć udaremnia sukces, ale samą prawdę i rzetelność uczuć nadweręża.

Bardzo zaś widoczną jest ona nie w naszej miłości ojczyzny, ale w naszej narodowej miłości własnej. Narody jak ludzie, mają swoją próżność i zarozumiałość, a ta jak u ludzi, miesza się u nich nieraz z najlepszemi, z najwznioślejszemi uczuciami i czynami; a wtedy zwykle je zmniejsza, czasem udaremnia.

Czy zawsze byliśmi takimi? Narodowa zarozumia-

łość i przechwałkowatość, to, co Francuzi nazywają *chauvinisme*, w dawnych wiekach (ile je znamy) dostrzegać się nie daje. Pierwszy może Orzechowski, jak do osobistego, tak i do narodowego samochwalstwa jest skłonny, i w *Dyalogu*, w *Quincunxie*, puszcza tej skłonności wodze w sposób, który współczesnemu czytelnikowi musiał być bardzo miły, bo był bardzo podchlebny, ale który ze względu i na Litwę, i na własny narodu sąd nad sobą, mógł być wprost szkodliwym. Zdaje się, że brak miary zrodzić się u nas musiał, przynajmniej rozwinąć, podczas rozprzężenia i rozhukania naszych opinij za Zygmunta Augusta, bo w sprawach politycznych przesada, nieznajomość granic i miary, objawia się wyraźnie po jego śmierci. Cóż innego widać w tych *Pactach*, w które wpisuje się wszystko co komu przejdzie przez myśl, co tylko potrzebne, co możebne i niemożebne, wykonalne i niewykonalne! Wszystko się na tego króla wali, bez uwagi i rozwagi czy on to zrobić może; on na wszystko przysięga, wiedząc doskonale, że wszystkiego nie zrobi; i w ten sposób brak znajomości granic, brak miary, staje się po jednej stronie lekkomyślnością i łatwowiernością, po drugiej, brakiem dobrej wiary; staje się stosunkiem i sytuacyą niezdrową, nierzetelną, opartą na nieprawdzie, i staje się źródłem nieskończonych nieporozumień, nieufności, niechęci, zatargów. Z niemal każdem zaś bezkrólewiem, z każdemi pactami, powtarza się ten zły obyczaj i utwierdza się ta zła tradycya warunków i żądań bez właściwej miary, zatem bez możności dotrzymania, zatem bez skutku; prócz jednego tylko — wzajemnego niedowierzania i rozbratu.

W życiu prywatnem musiała dawna Polska chro-

nicznie chorować na brak miary w okazałości, zbytkach, biesiadach, strojach, nieraz może i w namiętnościach różnego rodzaju, skoro wszyscy statyści, moraliści świeccy, i kaznodzieje, wyrzucają jej to zgodnie a gorżko. I wszyscy także wróżą nam zgubę, bo wolność „przebrała miarę.“

Wiek XVII przebiera ją jeszcze bardziej w życiu publicznem, a swoim smaku i obyczaju prywatnym staje się do najwyższego stopnia przesadnym, hyperbolicznym, panegirycznym, nie względem ojczyzny, ale względem osób. W swojej świadomości narodowej jest także zarozumiały, a dumę swoją mieści źle. Nie Tyszowce, nie Częstochowa, nie oswobodzenie Rzeczypospolitej od tylu i takich nieprzyjaciół, nie Chocim i Wiedeń „Sobieskiego europejski czyn“ unosi go słusznem uczuciem ufności w siebie i chwały — ale unosi go dumą wolność. „Żaden naród nie jest tak wolny, żaden nie wybiera sobie królów;“ i ta wolność, która właśnie zapisała na kartach naszych dziejów sejm przez Sicińskiego zerwany podczas wojen kozackich, i rokosz Lubomirskiego kiedy Rzeczypospolita ledwo z życiem wyszła z tylu wojen, to jest bożyszcze, na którego ołtarzu palą się kadzidła, to jest przedmiot naszej narodowej dumy i narodowej przechwałki.

Za Stanisława Augusta, zwłaszcza za Sejmu Czteroletniego, w chwili obudzonego patryotyzmu, zjawia się wyraźnie i strona odwrotna pięknego medalu, patryotyczna przesada. Szumny frazes o ojczyźnie, niebaczne pogróżki i dotkliwsze o nich przekąsy dla Katarzyny, rycersko — lub sielsko — patryotyczne widowiska, uroczyste strzyżenie włosów i przywdziewanie kontuszów, wszystko to dziś ma swój wdzięk nawet sympa-

tyczny, jako właściwa cecha czasu. Ale niemniej zaprzeczyć nie można, a bez żalu nie można przyznać, że było w tem dużo sztucznego, sentymentalnego roztkliwienia, zapału na zimno, a rzeczywistość nie zawsze pięknym frazesom odpowiadała. Stanisław August był ciekawym exemplarzem patryotyzmu teatralnego i deklamacyjnego (nie nieszczerego przytem), i wielką przed takim przestrogą. Ale nie on jeden. Był ten pierwiastek w lepszych od niego: był w Puławach, w Niemcewiczu, dostrzega się go nawet w Staszycu. A za Kościuszkowskich czasów, czemże innem były te ofiary składane na ołtarzu ojczyzny, ze wszystkiego, aż do obrączek ślubnych! tylko lepiej było zachować obrączkę na palcu, a za to dobyć więcej dukatów z kieszeni. W przesadzie, w teatralności, w zamiłowaniu i szukaniu effektu, jest zawsze trochę nierzetelności, komedyi; i dla tego ona taka zła.

W naszym wieku zniszczona równowaga świata i Polski, to wielkie uczucie sprzeczności między sumieniem a rzeczywistością, które wydało i w wielkiej części naszą historyę i całą romantyczną poezyę, wzniosłe natchnienie tej poezyi, i jej prozaiczne a czasem śmieszne skutki; wszystko to musiało koniecznie rozwinąć w nas potężnie i szkodliwie wrodzony brak miary. Zapał patryotyczny, nieustanny wpływ poezyi, obyczaj towarzyski nawet, ze swojemi wymaganiami i modami romantycznemi, wyrabiały wspólnemi siłami exaltacyę, która nie zawsze była wolną od sztuki i przesady, która zawsze była szkodliwą. Na gruncie dobrych uczuć, rosły bujnie te niepotrzebne dodatki i chwasty. Brak miary był we wszystkiem, nawet w miłości ojczyzny. Daje się to widzieć wyraźnie na na naszej poezyi. Nie

dość jej było tego, że nasza sprawa była dobrą i świętą; trzeba jej było uwierzyć i nas uczyć, że jesteśmy narodem wybranym, ofiarą za grzechy i na zbawienie świata. Historya znowu, odkrywała w nas naturę inną, niż we wszystkich ludziach na świecie: a ztąd wnosiła, a przynajmniej naprowadzała na wniosek, że nie podlegamy takim jak inni prawom politycznego bytu i logiki, ale mamy jakieś osobne dla siebie. Publicystyka jak raz w to uwierzyła, bujać zaczęła na tem polu bez pamięci, i dowodziła naprzykład, że wojna w roku 1830 skończyła się źle dla tego, bo nie była wydana wszystkim trzem państwom rozbiorowym naraz. A wszystkie te wpływy i nauki przesiąkając zwolna w umysły i uczucia ogółu, sprawiały, że ten ogół patrzał na siebie, na swoją sprawę, i na swoje siły, przez szkła powiększające, albo przez pryzmata, w których linie i kolory rzeczy przedstawiały mu się inaczej niż były w istocie. U gorszych, ta przesada stała się umyślną i świadomą siebie fanfaronadą, a przewrotnem zwodzeniem drugich (Mierosławski i podobni); u lepszych, przytępiała zmysł rzeczywistości, przyzwyczajała ich widzieć taką postać rzeczy jakiej chcieli, a nie taką jak była w istocie.

Wada napozór mała, szkodziła nam wielce w politycznym, w umysłowym i cywilizacyjnym porządku rzeczy. Gdyby wziąć samą literaturę za dowód i przykład. Wyobraźmy sobie, że zamiast tej pochopności do zachwytów i uwielbień, mamy w sobie tę sprawiedliwą miarę, która sądzi trafnie, a mówi prawdę. Czy w takim razie nie jeden — owszem każdy niemal — z naszych poetów, czy prozaików nie byłby dokazał rzeczy większych i świetniejszych? Dajmy na to, że Zaleski

usłyszał za młodu zbawienną przestrogę, iżby się wystrzegał zbytecznej dźwięczności i gracyi: Pol, żeby mniej gawędził: Kraszewski, żeby się więcej skupiał i sam sądził, żeby i myślał i pisał staranniej, z zastanowieniem; i Zaleski, i Pol, i Kraszewski, byłby zapewne wyszedł dużo wyżej, niż go dziś widzimy. Zamiast tego, słyszeli tylko chór uniesień i uwielbień, które i im, i literaturze, i cywilizacyi polskiej służyły źle, bo zatrzymały poziom talentów i piśmiennictwa na miejscu, kiedy on mógł i powinien się był podnieść. Bezmierne zachwyty czytelników sprawiały, że ani autorowie w swojej twórczości, ani czytelnicy w swojem artystycznem i naukowem wykształceniu, wyrabiać się nie mogli. Tosamo powtórzyło się później ze sztuką. Byliśmy tak spragnieni rzeczy własnych a pięknych w poezyi czy sztukach, że przyjmowaliśmy wdzięcznie wszystko co one nam dawały, czasem wmawiając w siebie, że się nam to podoba. Wtedy każdy kto dał jaki koncert, zostawał wielkim i *naszym* muzykiem; wtedy January Suchodolski był wielkim i *naszym* malarzem. Napróżno Klaczko przestrzegał roztropnie przed przesadnemi zachwytami, a dowcipnie wyśmiewał te różne *naszości*. Nasz wrodzony brak miary, poparty jeszcze i rozwinięty przez reklamy dzienników (które po roku 1850, a zwłaszcza po śmierci Mikołaja i mnożyć się i więcej znaczyć zaczęły), wziął górę, i z pewnością wstrzymał, obniżył, popęd i rozwój naszej literatury i sztuki, przez to naszej cywilizacyi.

Czyż trzeba przypominać, jak strasznie ten brak miary zaszkodził nam w polityce, i w całym naszym dzisiejszym stanie? Przypuśćmy, że po pierwszych strzałach i pogrzebach w roku 1861 w Warszawie, zatrzy-

mujemy się w mierze, mamy sami siebie w mocy, i zamiast śpiewać po kościołach, pisać po dziennikach, gadać po zebraniach, mówimy mało, cicho, trzeźwo a stanowczo? że chwytamy w lot i wyzyskujemy korzyści, jakie nam sposobna chwila niespodziewanie przyniosła? Szerszą miarą mierzyłaby się dziś nasza siła, nasze znaczenie i życie; a gdyby granice ówczesnych żądań były ciaśniejsze, to dziś granice Polski byłyby mniej ścieśnione.

W ostatnim okresie naszego życia, jest ten zły zwyczaj jak był w dawniejszych. Ten brak miary, który sprawia, że ludzi często widzimy większymi niż są; że własne siły przeceniamy i żądamy nieraz więcej, niżbyśmy znieść mogli z pożytkiem; że i chwilę i środki działania wybieramy często nie trafnie; że wreszcie przesadzamy w różnych objawach naszych uczuć. Daje się to widzieć w naszem życiu politycznem, w naszej literaturze, w naszej sztuce, wszędzie.

W jakiemś przed laty kilku wydanem na cel dobroczynny piśmie zbiorowem, zwrócił naszą uwagę i utkwił w pamięci głęboki aforyzm księcia Adama Sapiehy: „klęską są mali, których robimy wielkimi“. Tak! klęską dla literatury, w której dostaje prawo obywatelstwa każdy, kto umie stawiać litery, choć nie zawsze myśleć i pisać umié. Przejdzie on i zniknie; za lat kilkanaście nie będzie po nim i śladu. Ale przez lata swego życia jest klęską, bo obniża i piśmiennictwo, i co gorzej, rozum i smak w tej publiczności, która go czyta, w niego wierzy, a nie spostrzega się na jego małej wartości. Klęską w życiu publicznem są ci ludzie, bez prawdziwego rozumu i zdolności, których chwilowa popularność raz wyniosła do powiatowego, miej-

scowego, lub krajowego znaczenia, a którzy zostają potem na zawsze: zachowują jakiś wpływ i stanowisko, niekiedy stają się prawdziwą potęgą, nawet kiedy nikt już, z wyjątkiem zupełnie niemyślących, w ich rozum i zdolność nie wierzy. A powodem tego złego jest znowu brak miary. Gdybyśmy ją mieli i ją do ludzi odrazu przykładali, mały nie wydałby się i nie zostałby wielkim, i nie stałby się klęską.

Z faktów, które ten brak miary charakteryzują dobrze, jeden w politycznym a drugi w psychologicznym i obyczajowym porządku rzeczy, przypomnimy dwa.

Pierwszym była Rezolucya Sejmowa z roku 1868. Zabrakło nam wtedy miary, naprzód do trafnego zmierzenia naszego własnego położeniu, naszych sił i środków, i położenia strony drugiej; czyli tych dwóch warunków, tych dwóch cyfr, z których oblicza się możliwość skutku. Powtóre, zabrakło nam miary w samym zakresie naszych żądań ówczesnych, bo były między niemi takie, które zamienione wprawo i fakt, byłyby nam w praktycznem wykonaniu sprawiły trudności zbyt wielkie, może i szkody. Zabrakło dalej miary w wyborze chwili (przypominamy zamierzony i politycznie ważny przyjazd cesarza). Wreszcie zabrakło miary w wyborze środków; nasze wystąpienie z Rady Państwa było początkiem bezpośrednich do niej wyborów, czyli zaprzeczenia tej zasady, na której stać, której bronić mieliśmy i chcieli. W ogóle w sprawach politycznych ten brak miary, posiadania się, mocy nad sobą, sprawia, że tam gdzie należałoby działać nieznacznie i cicho, gdzie skutek nieraz od tego zależy, tam my podnosimy wielki krzyk i hałas. Jak nie słyszymy rozgłosu, a nie widzimy nerwowego biegania i krzątania się, zdaje nam

się, że sprawa jest zaniedbana, że zasypiają ludzie którzy jej pilnować mają, że zasypiamy wszyscy. Wołamy też i ruszamy się, ale skutek mamy mniejszy niżby był gdybyśmy zachowali się cicho i z miarą; a czasem jest żaden.

Drugim faktem, który przypomnieć chcemy jako przykład braku miary, jest jubileusz Kraszewskiego z roku 1879. Dla człowieka, któryby był bitwy wygrywał i zwycięztwa odnosił, co moglibyśmy byli wymyśleć większego i piękniejszego, jak delegacye wszystkich ziem polskich składające mu dzięki i hołdy? Ależ, zarzuci kto, Kraszewski był pretekstem tylko, a celem prawdziwym był zjazd, była wielka narodowa manifestacya. Prawda; ale jeżeli ona miała być istotnie wielką i poważną, to pomiędzy jej rozmiarami a jej pozornym przedmiotem, powinna była być zachowana proporcya. Brak tej proporcyi sprawiał, że rzecz sama zostawiała wrażenie jakiejś powierzchowności, lekkomyślności. Czuliśmy wszyscy, że hołdy nie były zastósowane do miary człowieka; a czując to, albo mówiliśmy że on jest właściwie tylko pozorem, albo staraliśmy się sztucznie tę proporcyę udawać za rzeczywistą, nadając zasługom człowieka rozmiary większe niż były w istocie. Ale gdyby nawet nie było przesady żadnej w pojęciu zasług Kraszewskiego, to zawsze była w tem, że człowiekowi pióra zgotowaliśmy tryumf tak świetny, że byłby przystał do miary człowieka szabli i czynu. W tych zaś hołdach, oprócz braku miary w samem założeniu, przykra była widoczna, nie ukrywana nawet u wielu nieszczerość hołdów. Byli tacy, było ich niemało, co do całego owego obchodu należeli, a w rozmowach dowodzili głośno, że on nie był do miary człowieka. Cze-

mąż tego nie oświadczyli publicznie jeżeli tak myśleli? czemu myśleli inaczej, a inaczej robili? To było przykre. Złem zaś było to, że obchód ówczesny bez wiedzy i woli swego właściwego twórcy, Zyblikiewicza, był pierwszym krokiem do odżywienia tej obchodomanii, której objawy i złe skutki już widzimy, a daj Boże byśmy gorszych nie zobaczyli.

Albo — jeszcze jeden przykład — sprawa pomnika Mickiewicza. Nic słuszniejszego ale i nic prostszego. W każdym innym kraju pomnik byłby już stał od lat. U nas, ile kłótni, swarów, gwarów — nawet gorszących, jak ów protest rzeźbiarzy przeciw orzeczeniu sędziów, którzy jeszcze w owej chwili orzeczenia nie byli wydali! Ile rozpraw zawziętych o miejsce, na którem pomnik ma stanąć. Najrozumniejsi, najspokojniejsi, tracą równowagę i miarę, zacinają się w zdaniu, unoszą się namiętnie, i myślą naprawdę, że narodowe uczucie, że honor nasz i honor Mickiewicza będą pokrzywdzone i sponiewierane, jeżeli pomnik nie stanie na tem a tem oznaczonem miejscu, tylko stanie na innem. Wszystko dla tego, że nie umiemy brać rzeczy poprostu; że nie mamy miary; że pod odebranem wrażeniem przypisujemy rzeczom wagę, jakiej one same przez się nie mają; że z małych rzeczy — podobnie jak z ludzi — robimy wielkie.

W objawach patryotycznego uczucia — a powiedzieliśmy już wyżej, które z nich są dobre, a które złe — w objawach takich, nawet kiedy są złe, powinnaby być zachowaną ta miara, iżby objaw był poważny, jak rzecz którą wyraża, żeby w niem nie było żadnej teatralnej a dopieroż karykatualnej przesady, żeby nie było nic śmiesznego. *Du sublime au ridicule*

*il n' y a qu' un pas*, a krok ten zrobić łatwo. Robią go naprzykład panie w konfederatkach, albo panie w teatralnej żałobie idące za trumną Mickiewicza i wyobrażające niby postać ojczyzny, czy postać Litwy, z własnego upoważnienia. Wyobrażające naprawdę postać Aldony „z Teki Stańczyka", która przed laty zdawała się wymysłem zbyt śmiesznym i w praktyce niemożliwym.

Od takich drobiazgów i śmieszności, aż do ważnych politycznych działań, wszystko dowodzi, że w naszem usposobieniu niema dość tej miary, która rzeczy trafnie sądzi, chwilę trafnie wybiera, środki trafnie stósuje. Nabyć jej, nauczyć się jej, potrzeba nam koniecznie, jeżeli chcemy być społeczeństwem samowiednie i samodzielnie działającem. Potrzeba nam tej miary,

„co świadoma nieszczęścia, skąpa w słowa, w lament,
W przechwałki, w pewność siebie, po nad uczuć zamęt
Umie panować szczytnym nieszczęścia spokojem"
i... „Stanąć nam winna za przygotowanie,
Cokolwiek nam w przyszłości udziałem się stanie".

# BRAK ODWAGI.

To już nie zły zwyczaj tylko, to wada jedna z najsilniejszych i najgorszych w naszym charakterze. Cóż o niej mamy mówić! Mówimy od lat dwudziestu pięciu, walczymy z nią jak możemy, ze wszystkich sił, z przekonaniem że to cichy, ale jeden z najgorszych nieprzyjaciel naszej przyszłości; walczymy nie zupełnie bez skutku, jak nam się zdaje, ze skutkiem bardzo niedostatecznym, jak wszyscy widzimy. Ostatnie majowe zdarzenia, drobne jako takie, nie małe i nie dobre jako oznaki, pokazują wyraźnie, że jeżeli nam odwagi cywilnej trochę przybyło, to przybyło jej nie wiele, nie dosyć. Oprzeć się, powiedzieć *nie*, choć widzimy, że robi się lub gotuje coś szkodliwego lub złego, na to jeszcze nas nie stać. Wiemy, że takim oporem, takiem *nie*, bylibyśmy mogli uratować i zachować Jagiellońskie granice tej Polski, która dziś w granicach Piastowskich ledwo oddycha. Wiemy, że wezwania do demonstracyi rozrzucane po Warszawie, mogą sprowadzić ubytek ostatnich sił i resztek oddechu. Wiemy, że polityka *budzenia ducha* przez nowe ofiary i aksiomat *już nie może być gorzej*, są tak fałszywe i zgubne, jak dawna polityczna maksyma *sła-*

*bość jest siłą Rzeczypospolitej* i *Polska nierządem stoi.* Wiemy, że ta polityka kierowana ręką „patryotów“ bezpiecznie w Genewie czy Zurichu „poświęcających się dla ojczyzny“, ma w kraju swoich zwolenników i sług, i szerzy się, skoro swoje odezwy rozrzuca, a zbiera swoje składki. Wiemy, że pod rządem rosyjskim nieszczęścia i klęski, ale pod austryackim nawet przynieść może szkody. Wiemy to wszystko, a jednak nie opieramy się dosyć, poddajemy się posłusznie. Znając wartość tej polityki, przewidując jej skutki, robimy co ona chce, bo nie mamy odwagi, bo się boimy.

Czego? opinii. Czyjej? dzienników. Niech nam stanie w oczach myśl, że ktokolwiek powie lub napisze o nas żeśmy źli Polacy, a zaraz tracimy głowę i gotowiśmy być naprawdę złymi, to jest Polsce szkodliwymi Polakami, byle nas gazety za takich kłamliwie nie oszkalowały. I ten strach — bo nic więcej — sprawia, że robimy co innego jak myślimy, że robimy, choć wiemy że to co robimy może być złem.

A gdybyśmy też spróbowali być opinią i ją tworzyć? Gdybyśmy powiedzieli, że my nią jesteśmy i swojej tylko opinii słuchamy? To bardzo łatwo. Trzeba tylko raz się oprzeć; raz powiedzieć, że nie *Kuryer Lwowski* lub inne jakie pismo jemu podobne, jest wyrazem i wyobrazicielem opinii, ale ci, którzy sprawie służyli zawsze, a nie zaszkodzili jej nigdy. Prawo mamy po temu lepsze jak oni — daje nam je to właśnie, żeśmy nigdy nie zaszkodzili. Czystość zamiaru mamy lepszą jak oni, bo nam nie chodzi ani o pewną partyę, ani o pewien dziennik, ani o pewne osoby, ani o miejsca, ani o pieniądze, tylko o sprawę samą: o to, żeby jej nie zrobić nic złego, a dobrego jak się da najwięcej.

Wiarę u ludzi znaleźlibyśmy łatwiej niż oni, bo się na swój lepszy rozum w polityce i na skutki naszego a ich działania powołać możemy. Moglibyśmy więc opinii fałszywej, samozwańczej i szkodliwej, nakazać milczenie a sami opinią się stać i opinię wyrabiać, tylko jednej nam rzeczy po temu brak — odwagi, śmiałości.

I dlatego rządzi coraz bardziej we Lwowie *Kuryer* w Krakowie *Reforma*.

Czego my się boimy naprawdę, i czy mamy bać się czego? Czy nasza miłość ojczyzny, nasza służba uczciwa a nieraz gorliwa i nie bez zasługi, warta jest tak mało, że jedna potwarz, a choćby tysiąc potwarzy, zdoła ją zaprzeczyć i znieść? To popatrzmy za siebie w przeszłość. Zawsze byli potwarcy i spotwarzani, a którzy są dziś górą w naszej pamięci, w naszej czci, w naszej historyi? Czy Gurowski czy Skrzynecki? czy *Nowa Polska* czy Mickiewicz? czy Mierosławski czy Czartoryski? Sadyk Czajkowski czy Władysław Zamoyski? czy X. Kajsiewicz czy X. Mikuszewski? Zygmunt Krasiński, czy ci koledzy co go znieważyli w Warszawie? Leon Sapieha, czy te pismaki co go nikczemnie szarpały? Zyblikiewicz, albo ten dziennik, co go o nadużycie funduszów krajowych oskarżał? Szujski, albo *legio*, a z tej legii naprzykład ów pan Ludwik Wolski, co mu brak miłości ojczyzny zarzucał? I tak dalej bez końca. Potwarz jest bolesna dla człowieka który ją znosi, szkodliwa i demoralizująca dla społeczeństwa które na nią pozwala, ale przeciw dobrej sławie dobrych ludzi bezsilna. Swoją dobrą sławę człowiek tylko sam zepsuć może; a kiedy tego nie zrobił, to mu jej nikt nie zepsuje. Szarpać będą ale nie podrą; a po krótkim czasie pokaże się, że ich wściekłe zęby nawet naj-

mniejszej dziurki wykąsać nie mogły na tym granicie, jakim jest uczciwe życie i sława uczciwego człowieka.

Kto więc swojej miłości ojczyzny i swego obywatelskiego ducha jest pewien, niech się krzyków i potwarzy nie boi; a jak w ogniu nie bałby się kul, choć gwiżdżą i zabić mogą, tak w walkach cywilnych niech ma cywilną odwagę, zwłaszcza, że chodzi o rzeczy niemniej ważne, jak obrona fortecy, albo zabezpieczenie części terrytoryum. Chodzi o obronę i wolności osobistej każdego i dobrej polityki, i w danym razie nawet materyalnego porządku, i w każdym razie zdrowia społeczeństwa i jego samodzielności, od przewagi i panowania — w danym razie może od rozkazów i gróźb — zatem od moralnego terroryzmu anarchii dziś łagodnej jutro może ostrej, reprezentowanej przez redakcye dwóch czy trzech dzienników, a wykonywanej przez ich pretorianów czy mameluków.

Zkądże i dlaczego te upomnienia dziś właśnie? Dlatego, że nakazują je świeże zajścia; dlatego, że stuletnia rocznica Trzeciego Maja użyta była za pretekst do agitacyi, ża próbę niejako, czy dotychczasowa agitacya się udała, czy rozkazy znajdą posłuszeństwo; dlatego, że znalazły posłuszeństwa więcej może niż się same spodziewały, a dużo więcej niż się należało.

Jak tylko rozrzucane odezwy były znakiem i dowodem, że pod zamierzony obchód Trzeciego Maja podszywa się *organizacyjna* robota tak zwanych rządów narodowych i propaganda socyalistyczna, jak tylko stało się wiadomem, że te dwie dążności chcą i Warszawie narzucić swoje rozkazy, należało sprzeciwić się im stanowczo. Zrobiliśmy to w jednej części, to jest o ile tyczyło się Warszawy. Wszystkie dzienniki polskie, z wy-

jątkiem dwóch: *Kuryera Lwowskiego* i *Nowej Reformy*, oświadczyły się stanowczo i kategorycznie przeciw narażaniu ludzi i kraju na nieszczęścia, z nadużyciem i podejściem ich uczuć patryotycznych. Ale tę część obowiązku spełniwszy, nie mieliśmy już ochoty czy energii, do spełnienia drugiej. A jednak była druga; nie tak jawnie i głośno przemawiająca do sumienia i do zdrowego rozsądku, jednak rzeczywista i ważna. Zasłaniać Warszawę ile możemy od polityki rządów narodowych, to dobrze: ale to nie wszystko. Trzeba jeszcze i na to nie pozwolić, temu przeszkodzić, żeby ta polityka nie szerzyła się po Galicyi i w niej nie próbowała rządzić.

Czy próbuje? Oczywiście! a nawet się z tem nie kryje, skoro w Zurichu odbywa generalne zjazdy wszystkich Stowarzyszeń polskich, zapowiada peryodyczne ich odbywanie, i oblicza „skarb narodowy“ ze składek (naturalnie) zebrany. Czy ma swoich zwolenników u nas? Oczywiście: skoro są pisma, które donosząc o jej zamiarach i krokach, nigdy jednem słowem przeciw niej nie wystąpią i nie powiedzą, że jest zła. Z tego wynika, że ci ludzie w kraju, którzy ani stanu Królestwa pogorszyć, ani stanu Galicyi narazić nie chcą, powinni opierać się wszelkim z tych stron pochodzącym wezwaniom, choćby w rzeczach drobnych, żeby się nieznacznie na złą drogę nie dać wciągnąć. Kto się podda zrazu w rzeczach małych, ten później w ważnych oprzeć się już nie zdoła. Wynika z tego dalej, że kto dzisiejszy stan Galicyi chce zachować i rozwijać, ten zgodę z rządem i jego powagę powinien utrzymywać i popierać, a nie pomagać tym ludziom, których zasadą jest

„obalanie władzy“, a celem, zepsucie tego stosunku, w jakim dziś ten kraj do rządu austryackiego zostaje.

W tym więc szczególnym wypadku pamiątki Trzeciego Maja, skoro było powszechnie wiadomem, że ona była jedną pozycyą w preliminarzu demonstracyjnym „Komitetu obchodów narodowych“ — skoro było powszechnie wiadomem, że rząd niema nic przeciw święceniu tej rocznicy w murach, byle nie na ulicach i rynkach, to należało i woli owego komitetu się oprzeć, i obchód sam utrzymać w tych granicach, w jakich on dla rządu nie był drażliwym. Nie przez zbyteczną uległość, nie przez serwilizm (jak zaraz kłamliwie głosić zechcą), ale przez rozum, przez wzgląd na własne kraju dobro, przez wzgląd na konieczne porozumienie z rządem i na jego położenie, którego utrudniać zapewne nie chcemy. Zamiast tego, cóżeśmy zrobili? W Krakowie, przyznać należy, znalazło się ludzi kilkudziesięciu a następnie paręset, którzy szkodliwość i występność konspiracyjnych odezw stwierdzili, a oświadczyli, że nabożeństwo i illuminacyę na pamiątkę Trzeciego Maja uważają za słuszne, to podpisami swemi stwierdzili i ogłosili. Miało to ten dobry skutek, że wprawdzie odbywały się w myśl wyższych rozkazów „narodowe spacery“, śpiewy i kocie muzyki, ale złożone były z niedorosłych zatem nieodpowiedzialnych. Nikt z ludzi poważnych, tembardziej z reprezentantów jakiegokolwiek ciała czy stowarzyszenia, do nich nie należał. Ale we Lwowie udało się lepiej, i pod inną nazwą „komitet obchodowy“ zdołał swój „program“ wykonać co do joty. Był punkt zborny przed ratuszem, był gromadny pochód do katedry, było potem gromadne „zwiedzanie ulic“ (jak żeby przez obcych turystów!) Czyli manifestowano w ten

sposób, że we Lwowie robi co chce „Komitet obchodowy“ i z nim złączone dzienniki. Niema co mówić, tak to wygląda, skoro na wezwanie tego komitetu, stawili się i program jego wykonali ludzie w poważnych, nawet urzędowych stanowiskach. Było ich wielu, którym i rozsądek i sumienie mówiły wyraźnie, że źle robią i schodzą na ślizką pochyłość, którzy to przyznawali i powtarzali, a przecież szli! Wiedzieli, że źle robią, w głębi serca wstydzili się swego braku odwagi, ale przypinali do czapek kity co najwyższe, przypasywali do boków karabele co najdłuższe, i maszerowali w tym spacerze... ze strachu! Bali się, żeby nazajutrz *Kuryer Lwowski* nie napisał, że są złymi Polakami i robili co on chciał, choć sami tego nie chcieli. Potem naturalnie nie było już nic innego do roboty, tylko udawać, że się tak chciało, a nie zrobiło nic złego! Dzienniki, stronnictwu temu przeciwne zwykle, jak lwowski *Przegląd*, aprobowały wszystko potem, a potrochu nawet zachęcały przedtem, zachwycały się nawet nad pannami w konfederatkach. Czyli, że ci wszyscy, którzy powinni byli stać silnie na własnych nogach i o własnej mocy, dali się sprowadzić na równię pochyłą. Jeszcze nie bardzo, tylko trochę, ale już przecie; a w tych rzeczach jak w innych *il n'y a que le premier pas qui coute*. Po takim początku nie będzie nic dziwnego, jeżeli „komitet obchodowy“ każe swojej orkiestrze grać dalej, a my będziemy tańcowali, jak oni zagrają.

„Zawsze Polak tak skakał jak oni mu grali!“ i za dawnej Rzeczypospolitej przy podobnej muzyce dotańcował się rozbiorów; po rozbiorach, w naszym wieku nie skokiem wprawdzie, tylko uroczystym, procesyonalnym chodem doszedł w r. 1861 i 62 nad brzeg prze-

paści, w którą się i stoczył. Wydźwignąć się z niej powinien i musi: ale przy tej muzyce wydźwignąć się nie zdoła.

A wszystko i zawsze przez brak odwagi! Późno to zaczynać dopiero, co dawno powinno być nie rozpoczętem, ale już zrobionem, dokonanem. Gdyby było zaczęło się wcześniej, przeciwnik nie byłby dziś tak pewny siebie i zuchwały. Prawda, że ćwierć wieku, to czasu może za mało, żeby się z wiekowej choroby wyleczyć; jednak w tym czasie były doświadczenia tak straszne, nauki tak gorżkie, że do zastanowienia mogły były pobudzić i mogły były obudzić wolę, wyrobić postanowienie tej odwagi, której brak tak się nam srogo dał uczuć — skutkami. U nas tymczasem jest co najwięcej jej pragnienie, jest teoretyczne przekonanie żeśmy ją mieć powinni, i dopóki w praktyce pokazać jej niema sposobności i potrzeby, myślimy i mówimy, że ją mamy. Ale gdy zajdzie wypadek wzywający do stwierdzenia czynem tego, co się w myśli i słowie wyznaje, do wystąpienia i oporu przeciw temu co szkodliwe i złe, my robimy inaczej jak myślimy i chcemy. To znaczy, że mamy dopiero pragnienie odwagi, nie jej wolę i postanowienie. A pragnienie samo, nawet najlepsze i najszczersze nie wystarcza, bo jest wiotkie; bo jak się z silną wolą przeciwną spotka i do walki z nią stanie, nie wytrzyma i przegrać musi. Przejdzie u jednych w znikome i marne zachcenie, u drugich w bierne żałosne westchnienie, u innych w zalęknione milczenie, u wszystkich z czasem i po czasie, w wielkie, ale niestety nie niezasłużone cierpienie.

Późno jest dziś zaczynać, ale zacząć raz trzeba. I gdy anarchiczna polityka na ten nasz dobrze sobie

znany brak odwagi licząc, nowe do niego szturmy przypuszcza, trzeba odwagę z siebie wydobyć, głowę podnieść, pierś nadstawić i powiedzieć: Nie — nie pójdziesz dalej. Rok obecny przywodzi nam na pamięć wiele grzechów i wiele nieszczęść, które z braku odwagi wynikły. Sto lat temu, Stanisław August przysięgał na ustawę Trzeciego Maja; gdyby rokiem później nie był się uląkł staropolskiej anarchii i przed nią ustąpił, gdyby był miał odwagę powiedzieć *Nie!* to w następstwie byłby jej znalazł dosyć, by odmówić podpisu na drugim rozbiorze, i na trzecim, i na akcie abdykacyjnym; byłby uratował swój honor (co mniej ważne, choć wiele, skoro był królem), ale byłby Rosyi i Prusom odjął wszelką możność udawania prawnego niby pozoru działania; byłby im stworzył położenie trudne i nieznośne, Rzeczypospolitej lepsze, i takie z którego dobre wyjście mogłoby było się znaleźć. Przed laty sześciudziesiąt, gdybyśmy byli powiedzieli *Nie*, to dziś, od wojny krymskiej, bylibyśmy zapewne Państwem niepodległem. Przed laty trzydziestu jeszcze, gdybyśmy byli powiedzieli *Nie*, bylibyśmy narodem silnym, któregoby Rosya ani tępić, ani dławić nie mogła. A jeżeli Stanisław August w swoim braku odwagi miał tę wymówkę, że stał przed wrogiem sto razy mocniejszym i powolnością rozbroić go się spodziewał; jeżeli w r. 1830 przewaga uczucia nad wolą, była do zrozumienia i wytłomaczenia łatwiejsza; jeżeli w r. 1861 stan świata był taki, że złudzić mógł i rozważnych, to dziś tych wszystkich wymówek niema, a doświadczenia stuletnie stają się dla tego grzechu, dla braku odwagi okolicznością tak obciążającą, że najpobłażliwszy sąd historyi i polityki uniewinnićby go nie mógł. Kiedy więc dziś

dają się widzieć małe, nieznaczne, ale przecież wyraźne zamysły i kroki tej polityki, która jako swoje skutki, ma do wykazania same tylko klęski narodu i sprawy, to opór staje się najprostszym obowiązkiem, odwaga najpotrzebniejszą z cnót, a jej brak występkiem jednym z najcięższych, jakim jest zawsze i w każdych okolicznościach: wadą jedną z najbrzydszych, najbardziej upokarzających w jednym człowieku czy w społeczeństwie.

Jak pieczęć też na tym rozdziale, obejmującym przypomnienia i napomnienia kilku złych zwyczajów polskich, kładziemy tę przestrogę przed brakiem odwagi, jako przed jednym z najgorszych.

# WNIOSKI I PRZESTROGI.

# DOBRE I ZŁE ZNAKI.

Przebyliśmy ten wiek XIX prawie do samego już końca; przebyliśmy go w warunkach najtrudniejszych, jakie się dadzą pomyśleć lub w dziejach zobaczyć, a przecie jakoś zdołaliśmy życie zachować, i nie znać po nas, iżby nam się miało na śmierć. Owszem, sam tylko ten fakt życia każe wnosić i sądzić, że jest w nas wielki jego zasób, wielka siła i wytrzymałość, wola i upór życia. Po tem wszystkiem cośmy przeszli, klęsk, nieszczęść, pokus, prób wszelkiego zepsucia, jeszcze się tak trzymać, jak my się trzymamy? Nie chcielibyśmy wpadać w niesmaczne i szkodliwe samochwalstwo, ale sama z siebie nasuwa się uwaga, czy jaki inny naród w tem położeniu byłby lepiej dawał sobie radę, więcej od nas samym sobą zostać zdołał? „Nie możecie już zapobiedz, żebyście nie byli pożarci; starajcie się, żebyście się strawić nie dali"; tej radzie stało się zadosyć. Sto lat czasu, i sposobów używanych tysiące, nie wystarczyły na to strawienie. Gdy historya polska zrobi kiedyś obrachunek XIX wieku, powié, że mogliśmy zapewne bronić się i ratować lepiej; ale żebyśmy byli bez zasługi, bez wartości, żeby w pasmie naszych dziejów

ten wiek pogrobowy był gorszy i niższy od innych, żeby był bez skutku nad utrzymaniem życia i jestestwa polskiego pracował — nie, tego historya nie powié.

Owszem, przyznać będzie musiała, że on to życie w pewnych kierunkach bardzo podniósł. W początkach swoich podniósł wysoko, w roku 1831 utrzymał sławę wojenną narodu. W Królestwie kongresowem dał przykład doskonałej administracyi, doskonałej skarbowości i doskonałego sądownictwa, a to ostatnie przetrwało byt Królestwa i zostało doskonałem, jak długo zostało polskiem. W drugiej swojej połowie, pokazał wiek ten w Galicyi, w stopniu może nie tak wysokim, ale niezaprzeczone przecie zdolności polityczne, administracyjne i ekonomiczne. W każdym zaś okresie czasu okazywał on miłość ojczyzny, zdolność i gotowość poświęceń, większą w każdym razie, niż ją miał od obrony Częstochowy aż do Racławic i rzezi Pragi. Życie religijne także od początków XVII wieku nie było ani razu tak czynnem i świadomem siebie, jak stało się w wieku XIX. Oświata jest i szerzej rozlaną i głębszą, rzeczywistszą, niż była przed stu laty; pomógł do tego niezaprzeczenie jej potężny rozwój w całym świecie, ale on sam tego skutku nie sprawił. Były takie czasy, i długie, że u nas nie odbijał się, na nas nie wpływał żaden dokonany za naszą granicą postęp nauki i cywilizacyi; i w tym wieku mogło być podobnie, gdybyśmy nie byli mieli woli uczenia się, zdolności nauczenia się. Liczba ludzi znakomitych we wszystkich gałęziach nauki nigdy może nie była wiekszą, a literatura nigdy (nawet w wieku XVI) tak wszechstronną, bujną i żywą; jej zaś jedna gałąź, poezya, doszła do wysokości, o jakich przedtem nie śniło się epoce żadnej. Sztuka, niegdyś jeżeli

się objawiała, to w pożyczonych formach i sposobach tworzenia (malarstwo cechowe, snycerstwo samego Wita Stwosza są do współczesnych niemieckich bardzo podobne), a w XVII, w XVIII wieku już tych artystów Polaków niema. Za Stanisława Augusta ledwo zaczyna się dwóch lub trzech kształcić, a wysoko nie dochodzą. Dziś wszystkie wystawy sztuki w Europie pełne są dzieł i imion polskich, otoczonych uszanowaniem, niekiedy podziwieniem powszechnem. Muzyka, w wieku XVI znakomita, jak mówią znawcy, ale potem zaniedbana, rozwija się w różnych kształtach i rozmiarach, okazuje talenta twórcze, i wykonawców wielkiej sławy. Jeżeli nasze piękne Kazimierzowskie i Jagiellońskie budowle były przez Polaków nie przez obcych stawiane, to zabytki świeckiego, jak kościelnego budownictwa, od czasów Bony stawiane były przez Włochów, później czy nie przez Francuzów? Dziś i ta sztuka ma u nas ludzi, którymi się chlubić może. Może kto zarzuci, że sztuka, że nawet literatura, nie może służyć za dowód rozstrzygający, bo ona nieraz już umiała trwać, a nawet kwitnąć tam, gdzie inne siły życia były wyczerpane? Gdyby literatura i sztuka sama jedna o tem życiu świadczyła, zapewne możnaby pytać, czy ona nie jest kwiatem zasadzonym na ozdobę grobu; ale kiedy nie jest sama jedna, kiedy obok niej rozwija się nauka, ukazują się jedne po drugich zdolności polityczne, wzmaga się życie religijne, pomnażają się zasoby ekonomiczne, to ona wtedy jest bardzo pięknym i chlubnym, ale jednym tylko objawem i dowodem życia: a wszechstronność tego życia dowodzi, że to nie są ostatnie błyski dogasającego płomienia, ale ogień ciągły, dobrze zasilany, któremu do gaśnięcia nie znać iżby blisko być miało. Wyżej wska-

zaliśmy przyrost ogromny siły myślenia, siły pracy i siły uczucia, spowodowany obudzonem życiem miast. Zniesienie poddaństwa i uwłaszczenie ludu, materyalnie niestety nie przez nas wykonane, ale z naszej myśli i woli poczęte, jest znowu tego wieku nabytkiem. Mniejszy stopień i mniejsze rozmiary niektórych wad narodowych, zatem dokonana w pewnej mierze poprawa; zliczmy to wszystko razem, a przekonamy się bez zarozumiałości i samochwalstwa, że naród w ciągu tego wieku zrobił w niejednym kierunku postępy wielkie, że około swojej przyszłości położył zasługi istotne, że swojego obowiązku nie zaniedbywał, ale go w znacznej mierze spełnił.

Tyle życia rozbudzonego, wzmagającego się i w tylu nieraz kierunkach, kiedy logicznie raczej do przewidywania było stopniowe obumieranie, ubytek życia, a postęp śmierci, to dziwne: tak dziwne, że na ten widok rośnie nadzieja, krzepi się wiara w przyszłość. Nie! sprawa rozegraną i skończoną nie jest, drogi przyszłości nie są zamknięte; musi Bóg mieć jakieś na ten naród zamiary i widoki, znać chce go jeszcze na coś użyć i do czegoś przeznaczyć, kiedy go tak wspiera i tyle daje mu siły, pomimo wszystkiego co robili i robią ludzie żeby go dobić, pomimo tego co robił on sam, żeby swoje siły i życie niebacznie trwonić.

Własne zaś, może niepewne, może do złudzeń skłonne uczucie, znajduje potwierdzenie ciekawe ze strony, z której najmniej obawiać się można złudzeń i uczuciowych porywów. Talleyrand pisze w tej Instrukcyi, którą ułożył dla siebie od Ludwika XVIII, kiedy wyjeżdżał na kongres do Wiednia *les polonais parviendront sous des dominations étrangères, à l'âge viril auquel ils n'ont pu arriver en neuf siècles d'indépen-*

*dance; et le moment où ils l'auront atteint, ne sera pas loin de celui où, émancipés, ils se rattacheront tous à un même centre*[1]). Tak przepowiada w roku 1814 ten umysł potężny właśnie swoją trzeźwością, swoim chłodem, swoją praktyczną znajomością spraw i społeczeństw ludzkich, ten wielki znawca politycznej psychologii. A gdy się widzi, że tego męskiego charakteru i dojrzałości nie wyrobiliśmy w sobie w zupełności, ale że jednak mamy ich cokolwiek więcej aniżeli dawniej, żeśmy się do nich zbliżyli, wrodzona potrzeba wiary w przyszłość znajduje niespodziewane poparcie w tem zeznaniu obojętnego, bezstronnego, nieuprzedzonego świadka. Kiedy o przyszłości mówią Polacy a śpiewają poeci, mogą się łudzić i marzyć: ale ten, to nie Polak, nie marzyciel, nie ideolog, a jego trzeźwe rozumowanie dochodzi do wniosków zgodnych z ich przeczuciami?

Wiara w żywotność i przyszłość narodu ma podstawy, ma rzeczywiste, rozumowe, nie urojone bynajmniej, ani mistyczne uzasadnienie. Ale takiesame ma i obawa, trwoga, prawie rozpacz. Liczymy, co nam w ciągu wieku przybyło, i widzimy, że niemało; ale spróbujmy zliczyć to cośmy stracili? W tamten obrachunek bierzemy wszystko co dobre i wielkie z lat stu; nie zapominajmy, że my, którzy dziś żyjemy, ciągnęliśmy nasze siły życia z tego gruntu, z tego wiekowego dobrobku, z tych wszystkich zasług, cnót i mądrości. Ale te pokolenia przyszłe, które róść będą w stosunkach i wpływach stworzonych przez ostatnich lat dwadzieścia pięć, te jakie będą? W Galicyi mogą młodzi chować

[1]) *Mémoires*. T. II, 250.

i kształcić się prawdziwie i w dobrym duchu, w Wielkopolsce także, choć z większym trudem; ale to część narodu tylko, a jego jądro, jego rdzeń i massa największa jest gdzieindziej. Ta zaś wydana jest nietylko na wszystkie męki prześladowania, ale na wszystkie niebezpieczeństwa zmarnowania i zepsucia. Wszystkie zawody, wszystkie rodzaje czynności, zamknięte, skonfiskowane dla Moskali; nawet do zawodów technicznych docisnąć się coraz trudniej. W szkołach nietylko język obcy, ale duch przewrotny. Zdolność nie może ani się rozwinąć, ani się przydać; prawość i honor musi się krzywić, bo młodzież od dzieciństwa uczy się albo nienawidzieć, albo (co gorzej) wierzyć, że tylko sukces coś wart. Uczy się ukrywać, udawać, i kłamać. W późniejszem życiu, przez brak utrzymania, widoków przyszłości, może wpadać albo w odrętwiałość i bezwładność, albo w rozpacz i wściekłość. Może to przyczyni się do kary i pomsty nad Rosyą, ale dla nas pociechą nie będzie, bo może być zepsuciem i zgubą polskiego ducha i społeczeństwa. To jedna zła wróżba przyszłości, jedna groźba, jaką nam ostatni okres dziejów zostawia w spuściźnie. Drugą jest stan Litwy i Rusi, o których najśmielszy nie będzie ręczył, jak się na nich polski duch i żywioł utrzyma. Za symptom złowrogi uważają niektórzy tę ruską świadomość siebie, która się na Ukrainie i w Galicyi podnosi; te zarody odrębnej litewskiej narodowej świadomości, którą rząd rosyjski sam podobno rozdmuchać próbuje, nie obawiając się nielicznego plemienia dla siebie, a licząc, że przeciw sile polskiej ono w tym kraju może być użytem i służyć skutecznie. Gdzie nowe organizmy społeczne i narodowe formować się zaczynają, a choćby tylko próbują, tam stary wi-

docznie się rozkłada; znak jest nieomylny i doświadczeniem zawsze stwierdzony. Tak sądzą niektórzy; tak my nie sądzimy. Postęp Rusi, nie wydaje nam się — na dalszą przyszłość — dla Polski niebezpiecznym; na bliższą tylko utrudniającym (i nieraz może bardzo). Odrębny patryotyzm litewski, nie sprawi naszej zguby, ani do niej nie dopomoże, jeżeli zguba nam przeznaczona; nie zaszkodzi, jeżeli nasze losy obrócą się szczęśliwiej. Ale bez tych żywiołów, w Rosyi samej jest niebezpieczeństwo dla nas w tych krajach takie, że nasza siła może nie wystarczyć na jego przetrzymanie. To drugi rezultat ostatnich lat dwudziestu pięciu.

Trzecim jest ta przewaga Rosyi, nieograniczona i niczem nie powstrzymana, która całym swoim ogromem na nas prze i ciąży, a całą swoją piekielną sztuką i przebiegłością nas rozkłada i psuje; która nie boi się już nikogo i niczego, i przyznaje się jawnie i głośno (nawet nam samym w oczy) że nas chce zdławić i wytępić, i że nie spocznie, dopóki tego dzieła nie skończy.

Czwartym — i nie najmniej złym — jest ta powszechna a cyniczna podłość, która na wszystko pozwala, a udaje że nic nie widzi i nie wié. To obniżenie sumienia i honoru w Europie, skutek ustawicznych zwycięztw i tryumfów nieprawości (skutek nieszczęściem i błędów popełnionych w imie spraw dobrych i w ich służbie); obniżenie, które utrwalił i rozwinął Bismarck swoją polityką, swoją metodą, i swojem bezprzykładnem szczęściem. Kto nie ma pieniędzy, ten sprawy nie wygra, nie na polu faktów tylko i wypadków, ale przed opinią spodloną, przed stępionem i sparaliżowanem sumieniem. Niech się stanie krzywda kilkuset żydom na Wołoszczyznie, a zaraz cały świat podniesie wielki

krzyk oburzenia, zgrozy i groźby. Niech wielkie mocarstwo, jak Rosya, spróbuje ucisnąć żydów, a zaraz przy całej swojej wielkości, uczuje groźbę, lub nawet zemstę; może się nie ulęknie i nie cofnie, ale musi się dobrze namyśleć, zanim się na wykonanie swoich zamiarów odważy, bo naraża się na skutki dotkliwe. Żydzi mają pieniądze, ich głów tykać bezkarnie nie można! Ale kiedy miliony Polaków, na ich własnej zagrabionej ziemi, tasama Rosya pozbawia wszystkiego, do czego Bóg ludziom i narodom dał prawo, ziemi, chleba, języka prawa, własności, wiary — wszystkiego — kiedy setki tysięcy chrześcian, gwałtem a często okrucieństwem, męczarnią, krwią, na swoją wiarę nawraca, kiedy spełnia barbarzyństwa, których świat murzyńskim kacykom nie przebacza: to nikt nie piśnie, nikt nie wspomni, nikt się nie oburzy. Przypomina się Krasińskiego formuła: „coraz podlej na tej ziemi było.“

Do takiego stanu moralnego i usposobienia świata, które także jest złą cyfrą w naszej rachubie, do tych powyższych, czy trzeba dodawać jeszcze więcej? Wystarczą same na to, by nasze położenie zrobić groźnem. Ale choć wystarczą, to dodawać do nich można więcej — i nie mało. Jest przecie ten w całej Europie proces przemiany, przetwarzania się, z którego co wyniknie, co wyjdzie cało? nikt nie przewidzi; w którym niepewna jest przyszłość wszystkich państw, wszystkich zasad, wszystkich znanych form bytu. Czy się Francya ustali w swojej dzisiejszej chwiejnej równowadze, albo czy przejdzie przez nowe wojny i nowe wstrząśnienia wewnętrzne? a w takim razie, czy nie spadnie na nią nowe okrojenie granic, albo gorsze od dzisiejszego rozprzężenie? Królestwo włoskie czy nie będzie dalej (ze

strachu, nie z niewiadomości) folgowało swojej dawnej aliantce, rewolucyi, aż do chwili, kiedy ona z jego poniewolną zgodą, zmiotłszy z powierzchni ziemi Watykan z kopułą św. Piotra, obróci się przeciw królestwu, i niedługo zabawi się nad łatwiejszym do zwalenia Kwirynałem? a wtedy czy jedna wielka, krótkotrwała republika włoska, nie rozpadnie się na tyle małych, ile jest miast i okręgów? Sama Anglia taka niewzruszona na bazaltowych posadach swojej wyspy, ta bezpieczna i zaufana w swoje umiarkowanie, poszanowanie prawa i bogactwo, czy nie kryje w swojem łonie fanatyzmów gwałtowniejszych, niż były religijne w wieku XVII, i czy one jeżeli wybuchną, nie obalą i królestwa, i parlamentu, i City, i zamków na wsi, i fabryk po miastach? Niemcy, tak w swojej wielkości młode i niezużyte, nie są o swoją przyszłość spokojne. Wojna, wywołana nawet nie wolą któregokolwiek z mocarstw, tylko logiką ich położenia zaostrzoną lada nieprzewidzianym przypadkiem, albo wrząca pod tą skorupą rewolucya społeczna, może sprowadzić takie trzęsienie ziemi, w którem runie jedno po drugiem co tylko jest w Europie; a co zostanie na wiek XX, z czego on się złoży, pocznie i rozwinie, jak będzie wyglądał? Bóg jeden wie.

W tej niepewności powszechnej, możemyż my najsłabsi i najnieszczęśliwsi liczyć na przyszłość, choć mamy w sobie wiele po temu warunków? Zwłaszcza kiedy mamy w sobie swoje stare stronnictwo anarchiczne, które przez łączenie sprawy ojczyzny ze sprawą rewolucyi powszechnej, już nas o tyle klęsk i strat przyprawiło, a nie jest tak owładnięte i okiełznane iżby swoją wolą na nasze losy wpływać nie mogło; zwłaszcza, kiedy obok niego mamy nowe, tworzące się stron-

nictwo socyalistyczne, które nie próbuje nawet udawać, że chce czego innego jak rozkładu wszelkiego żywego politycznego organizmu? Mamy dokoła siebie i w sobie silnych rozczynników tyle, że nie możemy śmiało powiedzieć: „nie, nie rozłożą nas, nie zdołają nas w coś płynnego zamienić i rozpuścić; przeżyliśmy cały wiek XIX i nie bez pewnych dorobków nawet, w wieku XX tembardziej strawić się nie damy.“

Możemy mieć tę nadzieję, mamy tę wolę; tej pewności mieć nie możemy.

Przyłóżmy sami do siebie jedną miarę, bardzo bolesną, ale bardzo znaczącą. Za Napoleona restauracya Polski, ze względu na stan narodu jako taki, była rzeczą najłatwiejszą w świecie. Wystarczało tylko ogłosić ją, postawić jakiegoś króla, i rzecz skończona; części terrytoryalne kraju, i części składowe narodu, miały tak żywą i świeżą tradycyę jedności i całości, że byłyby do niej wróciły, byłyby się na nowo zrosły, bez żadnej wewnętrznej trudności, bez żadnej potrzeby wzajemnego naginania się do siebie. W roku 1831, gdyby wojna była się skończyła zwycięztwem, to w samym fakcie zwycięztwa, byłaby się znalazła moc zjednoczenia wszystkich części w jednym spólnym środku ciężkości. Zwycięztwo byłoby wskazało człowieka, który tym środkiem ciężkości być mógł; równowaga i organiczna całość, byłaby się wytworzyła naturalnie, z faktu samego. Przypuśćmy, że wojna Krymska skończyła się inaczej; że była wojną z polityczną myślą i celem, poczętą w stałem i jasnem postanowieniu, a nie (jak było) w nieokreślonem rojeniu i zachceniu, przypuśćmy, że ta wojna dąży naprawdę do ustalenia równowagi w Europie, i kończy się odbudowaniem Polski: to wtedy

wewnętrznych trudności, w nas samych, restauracya taka byłaby już znalazła daleko więcej niż w roku 1831. Już więź i spójnia wewnętrzna była bardzo zachwiana i rozwiedziona przez dwadzieścia pięć lat emigracyjnych stosunków, konspiracyjnych wpływów i propagand. Jednak wtedy jeszcze, reprezentant jakiegokolwiek zagranicznego państwa, któreby akcyę taką było podjęło, byłby wiedział do kogo ma się w Polsce udać, z kim mówić, gdzie szukać pierwiastków i zarodków tego porządku rzeczy jaki chciał stworzyć; byłby miał pewność niemal zupełną, że co mu powié pewien zastęp ludzi w Królestwie Polskiem (poparty blizkimi siebie w Galicyi i w Wielkopolsce), to powtórzy i potwierdzi naród, to będzie wyrazem polskiej opinii, w potrzebie będzie słowem, na którego dotrzymanie liczyć można z pewnością. Wyobraźmy zaś sobie że dziś jakiekolwiek państwo, z jakiegokolwiek powodu politycznych kombinacyj, chce restauracyi Polski, nie znalazłoby w niej takiego środkowego punktu, w którym skupiałyby się siły i dążności z całej przestrzeni, aż do obwodu; nie znalazłoby nikogo, ktoby mógł za całość przemawiać, ufając sobie, że nie dozna zaprzeczenia, że znajdzie powolność i posłuch u znacznej większości. Wyobraźmy zaś sobie, że rzecz się stała, to w takim znowu razie obawa wielka, czy ona silnie, nawet czy długo utrzymać się zdoła. Oddzielone i odwykłe od siebie części, musiałyby przezwyciężyć wiele nawyknień, wiele różnic, wiele nawet materyalnych interesów, i zrastałyby się nie tak łatwo jak niegdyś, nie bez tarć i przeszkód. A europejskie stronnictwo rewolucyjne, które u nas swoje szkółki i agencye ma, a socyalizm wszczepiony już w niektóre warstwy ludności, nie dopuszczałyby

ani politycznej, ani społecznej równowagi, jedności i organicznej całkowitości.

W tem jest znak i miara osłabienia, nad którem mógłby zapanować człowiek wielki, albo niezwykły zbieg okoliczności, ale którego sami przed sobą nie powinniśmy ukrywać.

Z tego wszystkiego wynika, że bez obawy o siebie być nie możemy. Na przyszłość daleką możemy być spokojni. Cokolwiek stałoby się z nami w czasach bliskich, jakikolwiek obrót wezmą dzisiejsze sprawy europejskie, to jeżeli tylko Europa cała, jak jest, nie zmarnieje i nie zejdzie do rzędu części świata obumarłych, jak dzisiejsza Azya, możemy być pewni, że i my przetrwamy złe czasy i doczekamy chwili nowego wzrostu. Może ta chwila przyjść po wieku, może jeszcze później, ale chybić nie może. Jeżeli Bułgarzy i Serbowie przetrwali potęgę ottomańską i na jej gruzach puścili z korzenia i rosną, to plemię od nich o tyle liczniejsze, o tyle w cywilizacyi wyższe, obdarzone i zdolnościami różnego rodzaju i bardzo silną świadomością siebie, z narodową osobistością i zupełnie odrębną i wiekami historyi wyrobioną, takie plemię nie da się ani z korzeniem z ziemi wyrwać, ani na inne przerobić; i kiedyś, choćby po wiekach, jak znajdzie tylko pierwszą sposobność życia, znajdzie w sobie i jego warunki, a wyrobi sobie jego nowe formy. Ale o ile w tę przyszłość daleką patrzeć możemy z ufnością, nie bez pewnego optymizmu nawet, o tyle przyszłość bliska nie musi lecz może być zgubną. Odwieczny proces historyczny między Polską a Rosyą, doszedł dziś do chwili stanowczej i zwrotnej. Ogrom siły nas gniecie, ogrom nieprawości nas zatruwa i psuje. Nasza wiekowa, historyczna praca,

odrabia się tą siłą mechaniczną i tym rozczynnikiem chemicznym: a przez to zagrożone jest nasze narodowe jestestwo, jak przed stu laty (i dawniej) zagrożoną była nasza narodowa niepodległość. Jestto inny okres, wyższy stopień tejsamej walki; jedno jest uzupełnieniem i logicznem następstwem drugiego. Że kiedyś, jeżeli ten rosyjski potop świata rzeczywiście nastąpi, to i ustąpi także w swoim czasie: a my wtedy z pod jego zalewu znowu dobędziemy się na wierzch, — na to po ludzku sądząc, liczyć możemy z wszelkiem prawdopodobieństwem. Ale takie odżycie po wieku, czy wiekach, choć jest dla nas pociechą i otuchą niemałą, jest przecież ostatnią dopiero w rzędzie: i nie jest naszym celem, bo nie może być skutkiem naszych działań i starań w wieku obecnym, bo do zapewnienia tego odżycia w nieoznaczonej przyszłości my dziś w bardzo małej mierze tylko i bardzo pośrednio przyczynić się możemy. Na naszej odpowiedzialności zaś są czasy i losy bliższe: jest wartość, tęgość i roztropność ludzi i pokoleń bezpośrednio następujących. A tymczasem, jeżeli na wartość ludzi, na stósowność, zatem skuteczność własnych działań, wpływać możemy, to na ogólny kierunek naszych losów, na wypadki, które nas pospołu z innymi w tę lub ową stronę poniosą, nie mamy wpływu żadnego. Być może, że inni, silni i samodzielni, nie mają go także; że choć trzymają w ręku ster swoich spraw, choć kierują niemi jak mogą najlepiej, to zależni są od przypadków i okoliczności, od siły rzeczy, więcej niż od własnej woli. Ale oni mogą przynajmniej próbować kierować się jak chcą; my bezwładnie i biernie musimy uledz takiemu obrotowi spraw, jaki ich krokami będzie wywołany. A w tej żegludze bez steru i masz-

tów mamy jedną gwiazdę polarną, jedną igłę magnesową: przekonanie i uczucie obowiązku, że bądźcobądź powinniśmy wszystko przetrzymać, wszystko przetrwać, wszystko przeżyć. Z tem jesteśmy rzuceni na morze, i w taką burzę, że największe najbardziej pancerne statki mogą się bać rozbicia, a nie mogą wiedzieć gdzie dopłyną.

W jakie strony może nas ta burza zapędzić? na jakich skałach nas rozbić i doreszty w toni pogrążyć? albo do jakiego lądu, do jakiej przystani nas przybliżyć? Można przyszłość przewidywać, można ją czasem odgadnąć, można wiedzieć napewno, że ona rozwinie się z tych pierwiastków i sił które już są: ale które z nich wezmą górę nad innemi, w jakiej proporcyi wejdą w skład przyszłej, a daj Boże, lepszej formacyi? jakich wypadków drogą świat dojdzie do stalszej i pewniejszej równowagi? tego nie wskaże i nie oznaczy nikt. Zatem wszystko, coby się mówić próbowało o możliwym tym lub owym układzie europejskich stosunków, byłoby osobistem tylko i bardzo niepewnem, a może zupełnie błahem przypuszczeniem. Zasłon przyszłości nasz wzrok nie przebije, ani ich nasza ręka nie odsunie. Jakiemi drogami Bóg wywiedzie swoją biedną ludzkość z tej pustyni, po której ona błądzi i kręci się już tak długo, jakie otworzy jej wyjście z dręczącej niepewności i zamętu, próżno kusilibyśmy się zgadywać. Niech nam wystarczy wiedzieć, „że siła Bóg może odmienić w godzinie," a mało który wiek w dziejach stwierdził tę prawdę tak często, tak dotykalnie i tak uroczyście, jak właśnie nasz dziewiętnasty. Wiele on już przeżył potęg niewzruszonych niby, wielu „niezwyciężonych" widział w upadku i w upokorzeniu! Wielki Napoleon sądził się,

i świat sądził go niezwyciężonym; Mikołaj oparty jedną nogą na swojej wielkiej Rosyi, drugą na świętem przymierzu, trząsł światem; Napoleona III każde obojętne nawet słowo, słuchane było jako zapowiedź i wyrok przyszłych losów świata; Bismarck wreszcie, kiedy mówił: „Ja jestem rozum — ja jestem konieczność,“ wierzyła Europa struchlała i drżąca, „że on ziemi panem.“ A dziś? „co zostało z dumy?“

Tchnęli jednak tą siłą bez granic
Co światu przykładem...

przecież z gruzów ich wielkości czyta kto chce, wielkie słowo Bossueta *Dieu seul est grand* — i to drugie, że kiedy wszystko w upadku albo w nicości, kiedy ludzie bezradni i bezwładni nie wiedzą co począć, a prawie co myśleć — *Il agit*.

W lekcye historycznej, Boskiej raczej i opatrznej sprawiedliwości, obfituje ten wiek, jak mało który: i w tem największa otucha i siła. Każde złe nosi w sobie zarody swojej kary, swego odwetu; spadnie on prędzej czy później, ale niechybnie. Mamy tego dowód, choćby tylko na swojej własnej sprawie. Kiedyśmy przez pół wieku z górą o sprawiedliwość wołali, natrząsano się z ideologów, co myślą, że świat bez ich Polski obejść się nie może, choć widzą, że się bez niej doskonale obchodzi. Że się obchodzi, to widzimy. Czy na tem dobrze wychodzi? to inne pytanie: i niejedno z państw europejskich byłoby dziś swego losu pewniejsze, gdyby dawna równowaga nie była zepsutą.

Ale niemylna i niechybna kara za złe, choć jest wielką nauką i wielką pociechą, nie jest ostatecznym celem. Tym jest zwycięstwo dobrego, tryumf myśli

Bożej, woli Bożej, praw Bożych, w historyi i w ludzkości. Ta sprawiedliwość, która karze złe, prędzej lub później, ale zawsze, musi je karać *sine acceptione personarum*, czy je popełnią słudzy złej czy dobrej zasady i sprawy. Dlatego ludzie, którzy dobrego chcą i dobremu służą, muszą tej sprawiedliwości pomagać: muszą swojej sprawie dobrej dobrze służyć, muszą jej być godni; czyli muszą zawsze i w każdem położeniu, we wszelkich okolicznościach, czuć szlachetnie, myśleć mądrze, żyć prawo, działać roztropnie; muszą mieć tę jedność, spójność i moc nad sobą, która jest fizyczną niejako siłą i czerstwością narodów; muszą mieć wiarę, sumienie, miłość ojczyzny i duch publiczny, które stanowią narodów siłę i wyższość moralną. W nierozegranej dotąd sprawie, która się toczy, my swoją wartością możemy szalę na złą lub na dobrą stronę przechylić; nasza wartość zaś zależy od naszej woli, a w każdem położeniu, w każdym możliwym obrocie dziejowych wypadków, ona może i musi stanowić o naszych losach, sprawić że staniemy na nogach, albo padniemy naprawdę i nazawsze. To co dziś przebywamy, jest niezawodnie przesileniem w naszem życiu; co z przesilenia wyniknie, powrót do zdrowia albo początek konania? tego dziś wiedzieć nie możemy. Ale to pewno, że może wyniknąć jedno i drugie. Jeżeli będziemy mądrzy, prawi i dzielni, jeżeli sił i życia marnować nie będziemy, może wyniknąć powrót do zdrowia. W przeciwnym razie może przyjść śmierć: bo stan jest tak ciężki i niebezpieczny, jak żaden naród nigdy nie był w groźniejszym.

Dziś warunków życia mamy jeszcze wiele; możemy przy nich i wiele jeszcze wytrzymać, i siły w so-

bie nawet wyrabiać i zwiększać. Kiedy się myśli o naszej przyszłości, jaką być może, kiedy się przewiduje w skrytości serca różne drogi, jakiemi wypadki pójść mogą, i różne nowe układy świata, jakie z nich mogą wyniknąć — i kiedy umyślnie przypuszcza się jak najwięcej złego, jeszcze dochodzi się do przekonania, że w każdem położeniu znajdą się jakieś środki obrony. Nieprzyjaciele mogą wymyślać co chcą, my jak nie daliśmy w XIX, tak w wieku XX możemy nie dać się strawić. Ale jestto znowu możliwość tylko, nie pewność, ani konieczność. Assekuracyi na wieczne życie niema nikt, a stracić je może każdy, jeżeli go pilnie nie strzeże. Czy są jakie dla nas środki strzeżenia życia, jakieś wskazówki i reguły postępowania stałe, których moglibyśmy się trzymać w każdem położeniu, we wszelkich stosunkach, z nadzieją, jeżeli nie z pewnością, że przy nich nie zabłądzimy?

# KILKA PEWNIKÓW POLITYCZNYCH.

Polityka jest sztuką niezmiennych celów a zmiennych środków. Środki muszą zawsze stósować się do czasu i położenia. Ten, który wczoraj był złym, jutro może okazać się praktycznym; i naodwrót: ten, który dziś byłby dobrym, jutro może już nie być właściwym. Sprzymierzeniec wczorajszy może jutro być przeciwnikiem; nieprzyjaciel sprzymierzeńcem. Dlatego środki nigdy w polityce naprzód przewidzieć się i oznaczyć nie dadzą; błądziłby, ktoby je chciał z góry wskazywać. Ale jeżeli środki mogą i muszą zmieniać się ciągle, to warunki położenia i z nich wynikające ogólne kierunki polityki, zmieniają się mało i rzadko. Jest w geograficznem położeniu każdego kraju, w jego granicach i sąsiedztwach, w jego ekonomicznych niezbędnych potrzebach, w naturze każdego ludu i w jego historycznem wychowaniu, pewna summa przyrodzonych niebezpieczeństw, przyrodzonych także warunków bezpieczeństwa, wreszcie popędów i dążności, która się nie zmienia: która wytwarza naturalnie podstawne logiczne kierunki jego działania, czyli zasady jego polityki. Jeżeli popatrzymy na krótki przeciąg lat, ujrzymy

zawsze między państwami europejskiemi zawikłaną i napozór nielogiczną mięszaninę stosunków, labirynt manowców i ścieżek krzyżujących się i poplątanych, wśród których jednej stałej drogi postępowania rozpoznać prawie nie można. Ale patrzmy na okresy, nie na lata, patrzmy nawet na wieki, a ujrzymy wśród tego labiryntu widoczne i wyraźne drogi stałego niezmiennego dążenia i postępowania. Widzieliśmy naprzykład w ciągu tego już wieku Anglię wiele razy z Francyą w niezgodzie i wiele razy w dobrem porozumieniu; ale weźmy jej historyę od wieków średnich, a przekonamy się, że usposobienie Anglii względem Francyi, że treść i zasada jej polityki w tym zakresie, była zawsze tasama. Środki się zmieniały, nawet uczucia modyfikowały się na pewien czas; cele i kierunki ogólne były stałe. Taksamo polityka Prus, czy względem Austryi, czy względem Polski, od chwili osadzenia domu Hohenzollernów na Brandenburskiej Marchii, aż do chwili, kiedy ten dom osiągnął cesarską niemiecką koronę. I taksamo także nie zmieniały się kierunki i dążności polityki rosyjskiej względem Polski, od Iwana III aż do Aleksandra III. I taksamo stałą — choć ze swego stanowiska niekoniecznie trafną — była polityka austryacka względem naszej Reczypospolitej; i taksamo polityka francuska, i taksamo wzajemne usposobienia Francyi i Austryi, albo Niemiec i Francyi względem siebie. Z tej naturą rzeczy wskazanej i wyrobionej stałości dążeń i celów, wynika znowu dla każdego z tych państw równie naturalna i wskazana konieczność pewnych, z doświadczenia już znanych ostrożności, pewnych rękojmi własnego bezpieczeństwa, których ono przedewszystkiem pilnie przestrzegać musi, i które w nieskończonej mnogości i roz-

maitości zmiennych środków działania, stają się stałemi drogoskazami kierunku i celu tych działań, czyli punktami stałemi, zasadami, axiomatami polityki tegò Państwa. Jak zaś jedne z tych punktów stałych zasadzają się na położeniu geograficznem i na stosunku do sąsiadów, i te tworzą ogólny podstawny kierunek polityki zagranicznej — tak inne znowu wynikają z natury ludzkiej i natury społeczeństw jako takiej, i ze szczególnych usposobień właściwych każdemu narodowi, a na tych opierają się stałe reguły rządzenia się w sprawach wewnętrznych.

Takie stałe punkta mają wszyscy, mają drudzy względem nas; mamy takie i my, i dobrze jest żebyśmy je wszyscy znali i pamiętali. Spróbujemy przypomnieć ich kilka, najprostszych, najwidoczniejszych, najpewniejszych. Jakakolwiek przyszłość przed nami, jakkolwiek na lepsze czy na gorsze zmieniłoby się nasze położenie, te prawdy się nie zmienią i zawsze przydać się nam mogą.

Żaden naród nie może mieć materyalnej siły bez świadomości siebie, bez treści i istoty duchowej, którą wyrabia jego historya, ale którą składa w nim i zapładnia (żeby się tak wyrazić) jego religia. Prawdziwa czy fałszywa, ona zawsze jest pierwiastkiem głównym, stanowczym w jego jestestwie, w jego dziełach i dziejach. Tak było i jest z ludami muzułmańskiemi, tak z Rosyą, tak z protestanckiemi narodami Europy, których protestantyzm stał się rdzeniem i znamieniem charakteru, regulatorem polityki. Naród, który swoją istność, swoją treść moralną i narodową chce zachować niezmienną, nie powinien zmieniać swojej religii, bo za jedną zmianą, druga musi pójść koniecznie. Czuje to instynktem Rosya, i dlatego tak się broni od wszelkiego

wpływu katolickiego, tak się go boi; wié, że gdyby porzuciła swoją schyzmę, musiałaby zmienić swoją naturę. My w wierze rzymsko-katolickiej ochrzczeni, w niej wychowani i przez Kościoł oświeceni, my w tej wierze przez cały ciąg naszych dziejów trwający, w jej rozszerzeniu i obronie najbardziej światu i sobie zasłużeni, jeżeli mamy zostać sobą i swojej narodowej istności i odrębności nie wyprzeć się i nie stracić, musimy tej wiary trzymać się ze wszystkich sił i nigdy jej nie opuścić. Nie z religijnego tylko stanowiska, nie ze względu na zbawienie dusz, ale z czysto nawet świeckiego i politycznego stanowiska, kto chce, żeby naród polski został narodem, i polskim, ten jego charakteru katolickiego strzedz ma jak oka w głowie, jak głównego podstawnego warunku jego odrębnej istności i osobistości. Dlatego Rosya tak stale i przebiegle pracuje od wieku nad tem, żeby nam ten charakter odjąć, żeby go powolnie osłabiać, a w końcu zmazać. Dlatego rewolucya, wiary i Kościoła nieprzyjaciółka śmiertelna, nieznacznie i pod maską do tegosamego celu dąży; dlatego zabija czynnie wiarę w wykształconych, zakłada sobie z czasem osłabić ją stopniowo i zabić w samym ludzie. Dlatego te z dwóch stron, czy połączone, czy od siebie niezależne usiłowania, są dla nas tak zgubne. Dlatego, kto chce, żeby Polska swojej narodowości i przyszłości nie straciła, kto nie chce, żeby ona rozpuściła się chemicznie w rozczynie Słowiańszczyzny czyli Rosyi, ten chociażby sam nie był katolikiem i nie miał wiary ani za grosz, ten z samych tylko świeckich i narodowych względów, z samego politycznego rozumu, powinien służyć i pomagać wszystkiemu, co w Polsce katolicką wiarę i charakter szerzy i utwierdza, a opierać się

wszystkiemi siłami i na wszelkich polach tym rosyjskim i ogólnie rewolucyjnym dążnościom i robotom, które tę wiarę chcą z ziemi naszej wykorzenić. Do katolików i ze stanowiska katolickiego o tem nie mówimy, bo niema potrzeby; wszyscy to czują i rozumieją, choć nieszczęściem nie wszyscy postępują tak logicznie, działają tak czynnie jakby należało.

Żaden naród nie może bezkarnie, bez zmiany swego jestestwa, zmienić swojej wiary; ale każdy może ją zmienić jeżeli zechce. To zależy od jego woli. Ale nie zależy od jego woli zmienić swoją przeszłość, swoją historyę, rodzaj i kierunek cywilizacyi na której się wychował, którą w siebie wciągnął, którą ma. Tak jak organizm fizyczny, gdyby z niego połowę krwi ludzkiej wypuścić, a w miejsce upuszczonej, wprowadzić w żyły równą ilość krwi bydlęcej, musiałby stać się organizmem zmienionym: taksamo organizm społeczny, gdyby mógł wyrzucić z siebie te pierwiastki moralnego i umysłowego życia, które w sobie ma i które stanowią jego krew, a zastąpić je innemi, musiałby przez te zmienione soki żywotne zmienić się także. Z ubytkiem dawnych, przybytkiem nowych i obcych pierwiastków cywilizacyjnych, musiałby albo wpaść w mdłość i stopniowo zamrzeć, albo znowu stracić swoją odrębność i istność cywilizacyjną, a przerobić się na organiczną, doskonale zjednoczoną część tego ciała, którego soki żywotne w siebieby wciągnął. My całą naszą cywilizacyę wzięliśmy z zachodniego łacińskiego świata. Z nim w związku przebyliśmy wszystkie wieki naszego życia; cały skład naszych pojęć religijnych, moralnych, politycznych i społecznych, jest z tego wspólnego skarbu wzięty. Nasze

instytucye, formy naszego życia, nasza nauka, nasza literatura, nasz obyczaj, nasze towarzyskie nawet stosunki i zwyczaje, wszytko się z zachodnim światem łączy i łączy nas z nim. Że jego cywilizacya jest na naszej kuli ziemskiej najwyższą, nie zaprzeczy nawet ten, ktoby nie przyznawał, że jego rzymska wiara jest jedyną prawdziwą. Z obowiązku zatem, jaki każdy naród ma względem całości ludzkiego rodu i jego dobra, z obowiązku wierności i sobie samym i cywilizacyjnej przeszłości jak przyszłości świata, z obowiązku wreszcie i samego zmysłu zachowania siebie, musimy stać na tym gruncie, na którym wyrośliśmy, i z którego ciągnęliśmy swoje soki żywotne, trzymać się tej cywilizacyi, która jest i najwyższą, i naszą, i jedyną zgodną z naszą naturą, z naszą narodową istnością i przyszłością: a wszelkiej innej niższej i gorszej nie przyjmować i jej się opierać. W walce między zachodnią a wschodnią cywilizacyą, która się toczy pocichu, a może kiedyś wybuchnąć jawnie, jeżeli nie chcemy wyprzeć się i zgubić siebie samych, musimy trzymać z Zachodem przeciw Wschodowi.

Od czasu jak są wojska stałe w Europie, nie udał się żaden ruch zbrojny, chyba że do niego wojsko regularne przystąpiło. Myśmy je mieli w r. 1830, a przecie przegraliśmy, bo nieprzyjaciel miał wojsko liczniejsze. Samo zjednoczenie Włoch, które stawiają nam zwykle za przykład i dowód skuteczności konspiracyjnych działań, udało się przez pomoc i przemagającą siłę francuską: nie udało się w r. 1848 i 49 pomimo wojsk sardyńskich. Wniosek ztąd wyciągnąć łatwo, że wszelkie usiłowania spiskowe, rządy i skarby narodowe, kadry oficerskie i tak dalej, są marnowaniem czasu,

pieniędzy i zdolności, kiedy do wybuchu nie dochodzą. A czem są, kiedy go wywołają, to wiemy. Jeżeli zaś było tak zawsze dotąd, to o ileż więcej musi tak być teraz, kiedy wszystkie wynalazki wieku, koleje, telegrafy, uzbrojenie i amunicya itd. pomnażają w stosunku nieobliczonym siłę wojsk regularnych i szybkość ich obrotów, a obniżają w tej samej mierze możność i warunki powodzenia wszelkiej ruchawki.

W historyi jak w naturze, skoków niema; wszystko dzieje się powolnym naturalnym procesem. Jak w jednym ludzkim, tak w zbiorowym społecznym organizmie, choroba prędko siły wyniszczy, ale zdrowie wraca i przywraca te siły pomału. A kto przed ich powrotem chciałby udawać silnego, w siebie i drugich wmawiać że nim jest, i próbował żyć tak, jak człowiek w dobrym stanie sił i zdrowia żyć może, ten zapadłby w recydywę i w końcu musiałby się sam o wyczerpanie sił, o śmierć przyprawić.

Wszelkie działanie spiskowe jest nieprawne, bo nigdy pewna liczba ludzi ukrytych, przez siebie jedynie umocowanych, niema prawa samowolnie rozrządzać wolą i losem drugich, niepytanych, nieświadomych, niezezwalających. Jest nieprawne jako samowolne, nieprawne bo nieodpowiedzialne; a kiedy do tego swoją bezimiennością i spokojnym pobytem za granicą ubezpieczone, drugich naraża, a samo na niebezpieczeństwo się nie wystawia, to ci ludzie ukryci i bezpieczni, są w dodatku jeszcze i podli. Działanie ich, o ile ma sprawę polską na celu, jest głupie, bo tej sprawie nigdy korzyści, a zawsze tylko same klęski przynosi. Jest samo w sobie — nawet bez klęsk — szkodliwe i zgubne, bo uczy łudzić się pozorami działania, zamiast rzetelnie i sku-

tecznie działać; bo jest szkołą politycznego nierozumu, a zarodem i *mikrobem* społecznego rozkładu. Naród, który przywyknie ukrytych samozwańczych nieodpowiedzialnych władz słuchać, nie będzie miał nigdy dość spójności i tęgości na to, by stał się zdolnym sam jawnie i świadomie losami swojemi władać, rząd prawdziwy, sprężysty, skuteczny z siebie wydobyć. Poddawanie się spiskowym działaniom i komitetom, że jest zgubne, dowodzi cała nasza porozbiorowa historya. Ale oprócz tego, że zgubne jest i głupie, i względem ojczyzny występne: bo nie może być większego nierozumu, jak swoją wolę ślepo poddawać pod rozkazy ludzi, których się nie zna, których sądzić nie można, którym ufać i wierzyć nie ma się powodu ani podstawy. Nie może też być większego względem ojczyzny grzechu, jak jej los powierzać i oddawać w ręce ludzi, o których się nie wié nic, prócz tego co sami o sobie lub przez swoich agentów powiedzą. Pozwalać na ich rządy, to jest względem ojczyzny grzech lekkomyślności i niedbałości równy niemal sprzeniewierzeniu, a w skutkach swoich nieraz od tego gorszy. Ze względu na ludzi zaś, jest to u jednych nierozum zwykły ale niemniej występny, u innych nierozum pomieszany z tchórzostwem.

Rewolucya nie jest ani powstaniem, ani niepodległością; jest pierwiastkiem rozkładu wszelkiej społecznej jedności i siły; zatem rzeczywistem (choć nie zawsze świadomem) marnowaniem ojczyzny, przeszkodą do jej przyszłości. W naszych czasach staje się ona coraz jawniej i otwarciej zaprzeczeniem wszelkiej idei ojczyzny.

Demokracya jest faktem wszędzie. W społeczeństwie polskiem może stać się siłą zbawczą i siłą rzą-

dzącą, jeżeli raz uwierzy naprawdę (lub raczej jeżeli powié otwarcie i stanowczo, bo wié to już dobrze i wierzy), że Rewolucya nie jest ani powstaniem ani ojczyzną; jeżeli wyswobodzi się z pod przesądów i kierunków, które jedno to pojęcie z drugiem mieszają, między jednem a drugiem należycie rozróżnić nie dają; jeżeli raz stanie o własnej sile i nie da się w sprawach publicznych wprowadzić przez demagogów demokratycznych i konspiracyjnych, jak niegdyś szlachta dawała się prowadzić przez demagogów arystokratycznych i konfederackich.

Demagog arystokratyczny jest zawsze i na całym świecie jednym z najniebezpieczniejszych; ale nigdzie tak niebezpiecznym, bo nigdzie tak głęboko w tradycyi i historyi nie zagnieżdżonym, jak w Polsce.

Obywatele dobrzy, ludzie statku w polityce, są zawsze i wszędzie mniej obrotni zręczni i czynni od tych, co wodę mącą i w mętnej łowią; ale w Polsce są chyba gnuśniejsi, mniej do skupienia, więcej do rozsypki skorzy i przywykli, niż gdziekolwiek. Mają prócz tego wadę wielką, brak odwagi cywilnej, z którą się miesza, i którą w części sprowadza u jednych brak zdania, u drugich brak zgody z samym sobą, u innych chęć popularności. Ten brak odwagi sprawia, że dają się prowadzić przez ludzi wprost przeciwnych pojęć i dążności, a przynajmniej oprzeć się im nie umieją: i dochodzą nie tam gddzie iść chcieli i gdzie iść powinni. I zawsze tak będzie, jeżeli i dopóki tej wady w sobie nie zwyciężą, a tęższego charakteru nie wyrobią.

Miłość ojczyzny obowiązuje nas do politycznego rozumu niemniej jak do wierności, wytrwałości, poświęcenia, i innych cnót. O tem zapominało przez cały ciąg XIX wieku stronnictwo spiskujące, i pod jego wpływem

zostające demokratyczne skłonności, i temperamenta porywcze. O tem się dowiedzieć, tego się nauczyć, tego się w praktyce trzymać muszą, jeżeli w przyszłości mają ojczyźnie swojej skutecznie służyć a nie szkodzić.

Rozum polityczny zaleca nam i nakazuje często — prawie zawsze — powściągliwość języka i panowanie nad wrażeniami i popędami. Nasze położenie jest tego rodzaju, że nieraz powodzenie w zamysłach, zawisło od milczenia; nieraz cała sztuka w tem, żeby o sobie jak najmniej mówić. Nasza wrodzona potrzeba wynurzania się, wypowiedzenia tego co mamy w myśli, musi być opanowaną i trzymaną na wodzy. Nam się często zdaje, że jeżeli będziemy milczeć, to tem samem zaprzemy się siebie, z ujmą dla naszego sumienia i honoru. Trzeba nam pod tym względem więcej ufności do siebie samych: trzeba raz sobie zawierzyć, że sobą być nie przestaniemy, choć tego głośno ciągle oświadczać nie będziemy. Co innego jest zaparcie się i odstępstwo, a co innego moc nad sobą i swojem uczuciem, która uczuciu temu daje wyraz w sposobnej chwili i w stósownej mierze. Wiara nakazuje nam wyznawać się śmiało i stale, choćby się na śmierć narazić; ale nie każe nam, owszem zabrania, popisywać się z wiarą pośród niewiernych, bez pytania i powodu, i bez innego możliwego skutku, jak wywołanie prześladowania. W obowiązku względem ojczyzny możemy śmiało trzymać się tejsamej reguły, i nie obawiać się że mu uchybimy. Jak zaś jednym powściągliwości języka, tak drugim niemniej potrzebna jest miara, takt, godność w słowach i postępkach. Wszelka zbyteczna czy uległość i uniżoność, czy grzeczność, czy czułość, naprzód nie przystoi nam, a powtóre nam szkodzi. Chwycona w lot przez prze-

ciwników, służy im za dowód niby naszej służbistości względem rządów, obojętności względem własnej sprawy. Na jeden jak na drugi z tych błędów, moglibyśmy przytaczać przykładów wiele, nawet i bardzo świeżych; przed oboma przestrzegamy najusilniej.

W Polsce obawiać się prawie więcej małych zdrożności niż wielkich występków, małych skłonności niż wielkich namiętności. Wielkie ambicye, które naprzebój rwą się do swego celu, wielkie nienawiści, zdolne świat zburzyć byle zgubić nieprzyjaciela, zdarzają się między nami bardzo rzadko. Małe próżności, małe zazdrości małe mściwości, tak drobne, że niema po nich śladu w dziejach, a często nawet w pamięci współczesnych, małe a działające nieustannie, przeszkadzające na każdym kroku, utrudniające każdy skutek w ważniejszych czy mniejszych sprawach, te są niemal gorsze od wielkiego złego. Występek przeraża swoją wielkością, odstrasza skutkami, zostawia po sobie złe wspomnienie a dobrą naukę. Trudny jest zresztą do spełnienia: wymaga śmiałości i stanowczości, naraża zawsze na niebezpieczeństwo, jeżeli się nie uda. Mała zdrożność, dlatego właśnie że mała, unika szczęśliwie sądów ludzkich i sądu sumienia. Podszywa się wygodnie pod jakikolwiek pozór uczciwy i szanowny, pobłażanie znajduje zawsze, schwytać się na gorącym uczynku i przekonać nie daje; nie daje się też wykorzenić; szkodzi zaś niezmiernie, i zawsze w dziejach naszych szkodziła. Radziejowski, Krzysztof Opaliński, Janusz Radziwiłł, zrobili bardzo wiele złego; ale niemniej zrobili go razem wzięci ci niewiadomi z imienia i zapomnieni (nieraz uczciwi nawet) ludzie, którzy zrywali sejmy. Jedni są jak wielkie klęski w gospodarstwie, gradobicia albo wylewy, straszne, ale

nie coroczne; a gdy nie wracają, to szkoda po jakimś czasie da się naprawić. Drudzy są jak śniedź, jak niezmiarka, jak myszy, napozór mniej straszne w skutkach równie złe, bo powtarzające się ciągle, a nie dopuszczające środków ostrożności i obrony.

Ludzie, którzy w polityce bronią zasad chrześciańskich, a przedewszystkiem religii i rodziny, muszą trzymać się tych zasad w życiu, inaczej osłabiają nietylko własne znaczenie i stanowisko, ale samą powagę tych względów wyższych. Liberalni (a dopieroż bezwyznaniowi i rewolucyoniści!) mają pod tym względem położenie daleko wygodniejsze. Sami sobie zasady tworzą, przyjmują jakie chcą, odrzucają te które im się nie podobają; cokolwiekby więc zrobili, zawsze mogą powiedzieć, że nie są z sobą i ze swemi zasadami w sprzeczności. My przeciwnie: różnica między przekonaniem jakie głosimy, a postępowaniem, nawet nie wielka, musi być widoczną; większa musi być rażącą. Stronnicy nie mogą jej zaprzeczyć, przeciwnicy chwytają ją w lot, i korzystają z niej by dowodzić, że sami nie wierzymy w to co niby wyznajemy; że udajemy i gramy komedyę (w jakichkolwiek celach i widokach), że z naszych zasad śmiejemy się między sobą jak augurowie. Człowiek który nie działa i nie żyje w praktyce według tego co w teoryi głosi za prawdziwe i święte, nie może się dziwić i brać za złe, że ludzie tracą do niego zaufanie; ta zaś nieufność spada z jednego człowieka na jego stronnictwo i na jego zasady, podkopuje ich wpływ i powagę. Z czysto świeckiego nawet i politycznego stanowiska, jest to bardzo szkodliwe. W publicznem jak w prywatnem życiu, charakter i wartość człowieka, poznaje się po zgodności jego słów z jego uczynkami;

między prywatnem zaś a publicznem życiem zachodzi ten związek, że ludzie zawsze jedno z drugiem łączą, jedno po drugiem sądzą. Kto więc chce mieć wpływ i powagę w życiu publicznem, ten w prywatnem musi praktykę do teoryi stosować. Przekonania nie wystarczają; trzeba mieć rzetelne czyli rzeczywiście i pilnie przestrzegane i zachowywane zasady.

Wiemy, że usposobienia Państw i narodów europejskich względem nas, nie zmienią się, chyba w razie, jeżeli zmieni się znacznie ich własne położenie. Możemy zatem przyjąć za pewne, że Anglia (naprzykład) będzie nas zawsze uważała za wygodną dla siebie kulę u nogi Rosyi, która tejże przeszkadza do śmiałych kroków na Wschodzie. Będzie też na nas zwracała uwagę wtedy tylko i o tyle, kiedy i o ile jej interes będzie wymagał, iżby ta kula ciężyła i przeszkadzała bardziej niż zwykle. W takich chwilach możemy się spodziewać artykułów dziennikarskich, mów w parlamencie, meetingów, nawet not dyplomatycznych. Ich rzeczywista wartość i praktyczny skutek, będą zawsze takie, jak z doświadczenia wiemy.

Francya, na długo zapewne wepchnięta w kolej swojej rosyjskiej polityki, będzie nas ignorowała aż do chwili, kiedy własne zawody, lub w danym razie nasze jakie powodzenie, nie przywrócą nas do jej łask. Wtedy zacznie się nanowo moda głośnych sympatyj do Polski. Sympatye takie o tyle są trwałe i praktyczne, o ile ten, kto jest ich przedmiotem, ma sam w sobie dość siły na to by z nich pożytek ciągnął, a sam wyzyskiwać się nie dał.

Nowe królestwo włoskie, nie ma z nami żadnej styczności, żadnych związków; z natury rzeczy, musi

być dla spraw naszych najzupełniej obojętnem. Włoska rewolucya, udaje i udawać będzie jakieś dla nas dobre uczucia, kiedy będzie miała potrzebę lub nadzieję znaleść w nas dogodne narzędzie w walce z Kościołem, lub (w danym razie) w walce z Austryą.

W Watykanie przez długie czasy, stanowisko nasze było trudne i słabe, w skutku zaniedbania z naszej strony wszelkich stalszych i ciąglejszych stosunków. Biskupi pod rządem rosyjskim utrzymywać takich nie mogą, pod austryackim, długo o to nie dbali; skutkiem była głęboka w Rzymie nieznajomość spraw i stosunków kościelnych u nas. Długie i usilne starania niektórych katolików świeckich, a jeszcze więcej księży Zmartwychwstańców, sprowadziły szczęśliwą zmianę, od samych już początków panowania Piusa IX. Wszelako potrzeba ciągłych i pewnych informacyj, potrzeba stosunków, potrzeba zaufania i poważania w tych sferach, jest zawsze i zawsze będzie; a zapomnienie i zaniedbanie, mogłoby odbić się na nas ciężkiemi szkodami. O tem pamiętać trzeba; a pamiętając, wiedzieć jeszcze i to, że jedna rzecz może tam nieraz utrudniać nam i szkodzić, to niedostateczna znajomość historyi krajów, północnych, i wynikająca z niej nieznajomość natury północnych państw i ludów. Zmiana jest pod tym względem wielka i nader pomyślna, jednak okoliczności tej nigdy spuszczać z oka i pamięci, tej strony rzeczy nigdy zaniedbywać nie można. W chwilach nawet napomyślniejszych, to złe zostaje bodaj w niektórych, nielicznych, ale nie nieznaczących osobach. Każda zmiana panowania, może za sobą pociągnąć zmianę w tych stosunkach, i każda zawsze wymaga i wymagać będzie nowych starań, nowych objaśnień. Stałe mieszkanie, a przynajmniej częste

i długie przebywanie w Rzymie, Polaków niezawodnej katolickiej prawowierności, a dość rozumnych i poważnych na to, by tam dobre stosunki i wpływy mieć mogli, jest jedną z największych naszych potrzeb zakrajowych.

Rosya musi dążyć do zagarnięcia reszty ziem polskich. Może się tego zawsze wypierać; może nawet szczerze, na pewien choćby długi przeciąg czasu, sprawę tę odkładać do szczęśliwszej pory; zrzec się tego naprawdę i nazawsze nie może, chyba, gdyby była pobitą tak stanowczo, że klęska zmieniłaby całe jej dzisiejsze stanowisko, a w skutku tego z czasem i jej naturę. Dziś żądza — ukryta i zaprzeczona — jest takasama jak była za wiedeńskiego kongresu.

Takiesame też jak wtedy, jest położenie Prus i Austryi względem niej. Jak Prusy podówczas, tak Cesarstwo Niemieckie dziś, nie mogłoby (bez stanowczej przegranej znowu) pozwolić na nowe rozszerzenie się Rosyi w krajach polskich. Dawne Prusy zachowywały stale w tej sprawie tę taktykę, że podburzały i jątrzyły Rosyę przeciw Polakom. Nowe Cesarstwo, może tego sposobu (jako dla siebie mniej potrzebnego) używać nie zechce; ale w rzeczy głównej, w owej podyktowanej naturą rzeczy, widoków swoich zmienić nie może.

Jeszcze bardziej, jeszcze konieczniej działa ta siła rzeczy na Austryę i w niej. Ona zawsze, jak w roku 1815, może uważać za dobre dla siebie wszystko, coby Rosyę od niej oddaliło; musi uważać za niebezpieczne wszystko, coby ją zbliżyło. Nietylko materyalnie, terrytoryalnie, ale nawet moralnie. Mniejszy przedział między Rosyą a Polską, zmiana wzajemnych usposobień, zmiana

stosunków w Królestwie Polskiem, przez nią musiałaby być źle widzianą, jak źle widzianem było Królestwo kongresowe, jak później rządy margr. Wielopolskiego. Tak bywało, i tak przy zdarzonej sposobności byłoby znowu. To także jeden z punktów stałych, z pewników politycznych, które powinniśmy znać i pamiętać.

Wyliczyliśmy ich kilka, w przekonaniu, że jakkolwiek obróciłyby się nasze losy, one się nie zmienią; że w takich lub innych wypadkach i stosunkach, one (w różnych formach i kombinacyach) mogą się zjawiać i powtarzać, a my zawsze w naszem postępowaniu będziemy musieli na nie się oglądać. Dla tego sądziliśmy, że w zakończeniu tych długich rozmyślań, przypomnienie ich, choć dobrze znanych, nie będzie nie na miejscu.

---

Rzadki to, a bodaj czy kiedy w dziejach bywały widok, ten widok narodu, który przez wiek cały broni się od zguby czem może, słowem, jak nie czynem; myślą, jak nie słowem, i nie ginie, bo zginąć nie chce. Rzucały się w ogień z rozpaczy ludności całych miast, Sagunt, Carthago, i kończyły samobójstwem; straszny to koniec i wielki w swojej okropności. Ale tak doraźnie skończyć może jedno miasto; narody całe nie mogą odebrać sobie życia; muszą albo obumierać pomału, jak dawna Grecya i dawny wschód pod panowaniem Rzymu, albo opierać się, ratować się, walczyć ze zgubą czyhającą, ziejącą ze wszystkich stron naraz. Taką walką było nasze życie przez cały ten wiek XIX, który w dziejach naszych nie będzie wyglądał najgorzej. Trudniejszy może i tragiczniejszy, niż jeden kartagiński akt rozpaczy, ma ten wiek naszych dziejów

swoją wielkość. Kiedyś, jak w odległości znikną szczegóły, jak pójdą w zapomnienie wszystkie powszednie (i niepowszednie) małości charakterów i umysłów, które współcześni znać muszą, a których szczęśliwsza potomność może nie widzieć, jak zostaną tylko wielkie ogólne rysy nieszczęść i usiłowań, cnót, poświęceń i mądrych myśli — kiedyś w pamięci ludzkiej złoży się z tego obraz rozdzierający, ale wspaniały. Na wstępie epopeja wojen Napoleońskich, z bohaterem, jakich świat dotąd trzech tylko widział, i z tym zastępem żołnierzy, co nosił orły srebrne obok złotych od Kairu do Gdańska i od Madrytu do Moskwy, pod hasłem i przy odgłosie tej pieśni legionów, którą stwierdzał w oczach świata, tak, jak w nią wierzył; potem pierwsze z porozbiorowych rozbicie tego polskiego okrętu w chwili, kiedy już już do portu przybijał... zdawało się, że wszystko zniknie w głębokościach morza. Nie: znalazł się statek mały, do śmiałej dalekiej żeglugi nie sposobny, przez to obowiązany nie puszczać się daleko od brzegu; ale załoga na nim była, i sterując roztropnie, mogła z czasem na większy się przenieść. Załodze było za ciasno: śmiała, żądna chwały, przeświadczona o swojem prawie do pełnego morza, które Bóg jej jak innym otworzył, puściła się na morze i rozbiła się znowu. Wtedy wyrzucone na daleki ląd rozbitki, z okrętu unieśli tylko flagę, i tę pokazywali niebu i ziemi, jak sztandar sprawiedliwości samej. Teraz się pokaże, tu, na tej sprawie, czy wolność, czy prawo, czy przykazania Boże same są prawdą, albo nie? Czy ta cywilizacya, co się sobą tak chełpi i pyszni, jest rzetelna i coś warta, czy jest udaniem tylko i kłamstwem? Na tej sprawie pokaże się, od jej końca zawisło, czy świat

pójdzie w górę i stanie się chrześcijańskim, uczciwym i szczęśliwszym niż bywał dotąd! W uniesieniu serca, w rosterce sumienia z rzeczywistością, gdy nie mogli losów swoich zrozumieć, ubóstwili swoją sprawę; uwierzyli, że Bóg sam sobie winien jest jej zwycięstwo. Wielkością myśli, potęgą natchnień, wzbili się tak wysoko, jak nigdy przez wszystkie wieki swego życia; ale wzbili się aż za wysoko, w mgły, które im rzeczywistość zasłaniały, w obłoki, z których ziemi jaką jest wyraźnie nie widzieli. A kiedy tak uczucia i myśli bujały, działania błądziły, pewne swego celu, niepewne drogi. Powrotu chcieli; jedni zbijali tratwy różne małe i na nich do swojej ziemi płynąć myśleli; drudzy czekali ze swoją łodzią, żeby ją do wielkich okrętów przywiązać; tratwy rozbijały się jedna po drugiej, wielkie flotty nie puszczały się na morze, i łódź uwiązana w porcie, kołysała się na miejscu. Tak było przez lat trzydzieści. Wreszcie tratwa jedna, większa od innych, wzięła flagę i popłynęła; zdawało się, że same te wielkie okręty jeżeli nie popłyną, to bodaj łodzie swoje poślą jej na ratunek — A wtedy rozbicie ostateczne: morze wściekłe „lądy żyjące pochłania", zalewa dachy miast i wieże Kościołów, wsie zmiata i unosi, krzyże obala, ludzi zionie w swoją otchłań setkami tysięcy; potop na ten kraj jak za Noego na świat; zalanie lawą i zasypanie popiołem jak za Tytusa na jedno Pompei.

*E pur si muove!* Pompei zagrzebane oddycha; korab niby tonie, a jednak pływa, i z wysileniem rozpaczy, z wysileniem miłości, z wysileniem wiary, walczy z rozhukanemi bałwanami potopu.

Z pewnością piękne to jest i wielkie, a w tych niemylnych znakach wielkości jest i otucha, i są rze-

czywiste warunki ratunku, jest niejako znak i dowód woli Bożej, iżby ratunek był. Ale nie chodzi o wspaniały tragiczny i heroiczny effekt na kartach historyi, chodzi o dobry koniec tej tragedyi w rzeczywistości. Skończona ona nie jest, a rozwiązanie może być dwojakie. Rozdzierające nieszczęściem, albo wzniosłe wydobyciem się z nieszczęścia. Pierwszego chcieć nie możemy, drugiego chcieć musimy; a jeżeli go chcemy, to te wszystkie małości umysłu i charakteru, których potomność w naszych dziejach XIX wieku może nie dojrzy, ale które my znamy, które w nas są, które nam rozum mącą, sumienie oszukują, wolę psują, działanie krępują, te, które dawną Polskę przyprawiły o zgubę, a nową, porozbiorową, od celu odpychały w każdem jej do niego dążeniu, te musimy w sobie zwyciężyć, z siebie wydrzeć — ludzie czy stronnictwa — te musimy spalić na ołtarzu ojczyzny, o którym tyle zawsze mówimy, jak się pali podły perz na polu dobrze sprawionem, kiedy się chce, żeby się na niem pszenica urodziła.

Rozum i duch publiczny, ten polityczny i patryotyczny charakter, który dobro sprawy trafnie widzi, nad wszelką prywatą i namiętnością panuje, a służy roztropnie i godziwemi środkami, to jest dziś nasz obowiązek pierwszy, i obowiązek zupełnie praktyczny. Nie ze względu doskonałości moralnej i cnoty, ale poprostu już tylko ze względu na skuteczność naszych zamysłów i działań, ten warunek, ten przymiot jest konieczny, bo z nim najgorsze nawet okoliczności dadzą się przetrzymać, a każde przyjaźniejsze dadzą się spożytkować. Powié kto, że rada nie nowa i zbyt ogólna, a nic nie wskazująca, nie określająca praktycznie: „miejcie rozum

i miejcie tęgość — one się wam zawsze przydadzą"! Któż tego nie wie? Ale to kazanie, nie polityczna nauka. Słyszymy zarzut, który bez słuszności nie jest: „mówicie nam, czego nie robić? powiedzcież, co robić mamy. Negacyjny, ujemny program, nie jest żadnym; a nie robiąc nic, tylko czekając, musimy w końcu być zalani, albo zasypani." Pojmujemy to rozumowanie: ale odpowiadamy na nie twierdzeniem, że dziś pod rządem rosyjskim jest wybór między dwoma tylko *niby* dodatniemi działaniami: albo złączyć się z rewolucyą rosyjską (jak chcą polscy zwolennicy rewolucyi powszechnej), i prędzej czy później dojść do jakiegoś wybuchu, który rząd stłumić musi; albo rządowi się poddać i z jego ręki przyjąć russyfikacyę. „Z dwojga złego — wolę nic." Oprócz tego dwojga zaś, jest jedno tylko możliwe, trzecie: to czekanie, o którem mówimy, od tamtego obojga mniej złe. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy przy osobie niebezpiecznie chorej, i wiemy, że ta choroba swój przebieg mieć musi; niema środka, któryby ją doraźnie zwyciężył i usunął. Czy w tym tyfusie poddamy chorego operacyi, która mu pomódz nie może, a zabić go może? albo czy zwątpiwszy o jego życiu, zadamy mu jaki środek na lekkie skonanie, żeby się dłużej nie męczył? Nie. Nic straszniejszego, jak takie czekanie w niemożności pomagania i leczenia, ale trzeba je wytrzymać, bo próby leczenia sprowadziłyby niechybną śmierć. Tak się postępuje przy ludziach, tak należy postąpić przy ojczyznie, choć ta cierpliwość i moc nad sobą jest boleśniejsza nad wszystko. Zapewne: szczęśliwsi byli ci, co przed stu laty, oprócz o rozum i charakter, mogli wołać o sto tysięcy wojska, o tron dziedziczny, o zniesienie poddaństwa, o jedno prawo

dla wszystkich; oni mogli wskazywać praktyczne, określone środki ratunku! Ale dlatego właśnie, że sto lat temu, tego rozumu i charakteru dosyć nie było, dlatego owe ich mądre, praktyczne środki skutku nie przyniosły; i dlatego my dziś tych praktycznych, doraźnych w ręku nie mamy, i tylko takiemi pośredniemi, ogólnemi, moralnemi, ratować się możemy. A że one praktyczne są, o tem przekonać nas mogą nasze porozbiorowe znowu dzieje i nasz stan dzisiejszy, który nie byłby tak groźnym jak jest, gdybyśmy tych dwóch przymiotów mieli więcej. Sto lat temu, Kołłątaj, kiedy radził dziedzictwo tronu, robił w *Ostatniej Przestrodze* porównanie Polski za Jagiellońskich i za swoich czasów, i pokazywał, czem ją zrobiły, do czego doprowadziły wolne elekcye ze swoim orszakiem następstw. Gdybyśmy tak dziś zliczyli, czem była Polska przed wiekiem, a czem jest, powinnibyśmy tak przekonać się o potrzebie rozumu i publicznego ducha, jak wtedy posłowie Czteroletniego Sejmu przekonali się o potrzebie poprawy Rzeczypospolitej. My środków mechanicznych na jej poprawę już nie mamy: nie możemy podeprzeć jej ani wojskiem, ani lepszą konstytucyą, ani mądrze obmyślanym systemem przymierzy — my wyboru środków nie mamy. Jest jeden tylko, ten jeden, który od naszej woli zależy, który jest w naszem ręku, którego użyć możemy, i który dobrze użyty, zawsze nam pomagać może. Powolny ale pewny, nieznaczny ale niezawodny, niby żaden napozór a naprawdę radykalny i kardynalny: bo w nim jest tajemnica siły, której użytek praktyczny wskażą już w każdem położeniu okoliczności same, — byle ona była.

Ociągać się zaś i odkładać nie możemy, bo czasu

straciliśmy już bardzo dużo, a czas dzisiejszy jest groźny, jak nie był żaden. To bowiem jest prawda, że „przepaść, śmierć wieczna, pnie się ku nam, wzdyma,“ i prawda, że „jeśli się ku niej jednym zbliżym krokiem, na dnie jej sobie nicestwo pościelem.“ Prawda, żeśmy „czasów pryśniętych otoczeni kołem i państw ginących“ i „zawieszeni między otchłanią a Twem Królestwem.“ Możemy piąć się wyżej, ale możemy zapaść się w otchłań. I dlatego

„Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Wśród dóbr Twych dobro, daj nam dobrą wolę!

Do tej prośby, która obejmuje i rozum, i duch publiczny, i miłość, i sprawiedliwość, i dobrą radę, i wszystko co upadłych dźwigać może w górę, dodalibyśmy drugą: pieśń kościelną, która tak do naszych dziejów i usposobień przystaje, że mogłaby zaiste służyć nam za hymn narodowy. Kiedy pomyśleć, jak od Skargi czasów, i dawniej, rozlegały się nad naszemi głowami upomnienia, błagania i groźby, i jak od tych głów odbijały się jak groch od ściany! i jakie za groźbami szły spełnienia straszne — w kozackich, tatarskich, szwedzkich i moskiewskich najazdach, — kiedy pomyśleć, że i te nie pomogły, a przyszły po nich, oh! jakże nieskończenie straszniejsze, — kiedy popatrzeć na to, co się dziś z nami dzieje, a przecie w prywatnem i publicznem życiu odmiany tak niewiele: znajduje się na ten nasz

stan formułę i określenie w słowach: „Życie w uciskach prawie ustaje, złych jednak nałogów swoich nie poprzestaje.“ Kiedy sobie przypomnieć wspaniałe chwile podniesienia ducha, chwilę Częstochowy i Tyszowiec, a po nich wojnę domową, — znowu jak wyrzut sumienia stają w myśli słowa: „gdy miecz Twój na nas podniesiony trzymasz, siłać obiecujemy, a skoro go spuścisz, obietnic wykonać nie chcemy.“ I później, w naszym już wieku, ile błagalnych próśb, ile w naszem imieniu złożonych aktów skruchy i obietnic poprawy, ile ich w Mickiewiczu choćby albo w Krasińskim! a my wtórowaliśmy im i wtórujemy w głębi serc i w dobrej wierze; ale znowu „wyznawamy z płaczem w karaniu, czegośmy się dopuszczali, — a po nawiedzeniu zapominamy, czegośmy dopiero płakali.“ Po trzech wiekach próśb, jakże prosić jeszcze? po trzech wiekach obietnic a nie dotrzymanych, jak śmieć obiecywać jeszcze? Skończyć chyba znowu ostatniemi słowy tejsamej pieśni:

„Racz nam tedy dać, o co prosimy, lubośmy nie zasłużyli,
Któryś nas z niczego stworzył, abyśmy Cię chwalili.“

Zeszyt *Przeglądu Polskiego* z 1 lipca 1891, którego niniejsza książka jest osobnem wydaniem, miał następujące zakończenie:

A teraz kto doczytał do końca, ten powié zapewne, że nie znalazł w tym całym zeszycie *Przeglądu* nic, czegoby ze wszystkich poprzednich nie znał od lat już dawnych. Tak jest. Nie o nowość nam chodziło, tylko o przypomnienie, streszczenie tego, cośmy wiele razy, cośmy zawsze mówili; nie o odkrycie rzeczy niewiadomych, tylko o powtórzenie prawdziwych, a nie spełnionych, nie wykonanych. Od jak dawna nie wykonanych? Nie od jednej ćwierci wieku niestety! Trzebaby takich ćwierci dodać do siebie dwanaście, i więcej, żeby dojść do tych, co pierwsi przestrzegać i prosić zaczęli. Od Kalinki i Klaczki, najmłodszych; od Krasińskiego i Kajsiewicza, przez Staszyca i Konarskiego, przez Leszczyńskiego, Starowolskiego, ciągnie się ten smutny, wspaniały szereg aż do Skargi; a za nim jeszcze w głębi czasów odzywa się ten głos gniewny, który przepowiada: „rozedrą was, jak psy flak“ — i ten głos trzeźwy, który „narzeka na porządną niedbałość naszą,“ i ten groźny, który kazał „obawiać się, aby gwałtowna burza nie spadła, a nas wszystkich, i domów, i narodów, i samego imienia polskiego z gruntu nie wywróciła i nie potarła“ — i tak dalej, aż do tego, który przy pierwszych zaledwo oznakach złego odzywał się *pro Reipublicae ordinatione*. Z nimi się równać, ani nam w głowie; a kiedy oni wszyscy, — tacy! nie poradzili, tam my poradzić nie mamy zuchwałego uroszczenia. Ale za nimi stać, ale w tej co oni chorągwi służyć, ale w ich szeregu być najmniejszym, być najskromniejszym luzakiem przy tych towarzyszach! to była nasza myśl, nasz zamiar, to był nasz ślub przy założeniu tego pisma — a nasza nadzieja i ambicya jest, że nam to kiedyś przyznanem będzie.

Skutek? Któż odpowiada za skutek! „Człowiek strzela, Pan Bóg kulę nosi“ — dobrze mierzyć, to wszystko, co człowiek może i i co powinien; a czy jego strzał „trafił do serca spólbraci,“ to już nie od niego zależy. Kiedy

patrzy na tylu i takich poprzedników, a takie z ich pracy skutki, następca biedny miałby wszelki powód do rozpaczy. A jednak? Słyszeliśmy niedawno uwagę, która nam trafiła do samej głębi serca i rozumu. Gdy deszcz pada, nikt nie widzi i nie wié, która jego kropla ożywi we wnętrznościach ziemi ziarno, które potem wyda plon; z dobremi chęciami i pracami jest podobnie. Niewidzialnie, bez naszej wiedzy, mogą tu i owdzie dobrą myśl obudzić, dobre serce wzruszyć, jakiś choćby mały, dobry skutek wydać. W rozpaczy i złości wyrzekamy sami na siebie, że nam Skarga nie zdał się na nic: a co wiemy, czy on narodowego sumienia nie wstrząsnął, i czy nie z jego posiewu mieliśmy potem Żółkiewskiego i Czarnieckiego? Bez Leszczyńskiego, bez Konarskiego, z pewnością nie bylibyśmy mieli tych, co zrozumieli potrzebę poprawy Rzeczypospolitej, i wzięli się do niej w Czteroletnim Sejmie; bez ich ducha i dzieła, my znowu czy bylibyśmy zdołali nie dać się strawić przez tych ostatnich lat sto? Niezupełny, częściowy, choćby mały, ale przecież jakiś skutek z dobrego był zawsze. Może więc i z tego *Przeglądu* coś dobrego zostanie.

Zostanie zawsze jedna chluba, jedno wielkie imię, jedno wielkie wspomnienie, które tu kładziemy, jak pieczęć i jak gwiazdę zasługi, na dwudziestopięcioletnim żywocie tego pisma. Zakładał je z nami Szujski. W niem ogłaszał i *Niepoprawnych*, i *Fałszywą Historyę Mistrzynię Fałszywej Polityki*, i swoją *Wstępną Prelekcyę*, w niem *Moralność i Wiedzę*, w niem *Cecorę i Chocim*, *Rejtana*, *Nerona*, w niem *Władysława IV* i Eschylosa *Persów*, i w niem wreszcie *Odrodzenie i Reformacyę*. To przypominamy jako nasz stan służby, nasze świadectwo zasługi, nasz tytuł chwały.

Nie zwykliśmy prac własnych składać komukolwiek w ofierze na znak wdzięczności i czci, bo między małością tego znaku a wielkością tych uczuć, niema dobrego stosunku; ale gdybyśmy ten zwyczaj dedykowania mieli, przypisalibyśmy niniejszy zeszyt *Przeglądu Polskiego* Pamięci Józefa Szujskiego.

# TREŚĆ:


str.

Wstęp . . . . . 1

**Nasze położenie polityczne** . . . . . 9
Stanowisko w Europie . . . . . 11
Stosunek do Rosyi . . . . . 25
Stosunek do Prus . . . . . 50
Stosunek do Austryi . . . . . 74

**Opinie i stronnictwa** . . . . . 95
W ciągu wieku . . . . . 97
Od lat dwudziestu pięciu . . . . . 115
W chwili obecnej . . . . . 132

**Usposobienia i skłonności polityczne** . . . . . 147
W miastach . . . . . 149
Na wsi — we dworach . . . . . 173
Na wsi — w pałacach . . . . . 199
Na wsi — w chatach . . . . . 227

**Usposobienia religijne** . . . . . 255
W ciągu wieku . . . . . 257
W chwili obecnej . . . . . 274
Niektóre środki obrony . . . . . 300

**Niektóre złe zwyczaje** . . . . . 309
Fałszywe budzenie ducha . . . . . 311
Wykręty i podejścia . . . . . 329
Przedwczesne politykowanie . . . . . 341
Brak miary . . . . . 356
Brak odwagi . . . . . 368

**Wnioski i przestrogi** . . . . . 379
Dobre i złe znaki . . . . . 381
Kilka pewników politycznych . . . . . 398

C112

DK 434.9 .T323 1891 C.1
Z doswiadczen i rozmyslan /
Stanford University Libraries
3 6105 036 514 912

DK
434.9
.T323
1891

DATE DUE